

DANIELLE
Steel



WIEŻY RODZINNE

Świat Książki

Steel Danielle

Więzy rodzinne

Annie poświęciła miłość i karierę architekta, by wychować troje dzieci tragicznie zmarłej siostry. Nawet po latach, gdy Liz, Tade i Kate stają się dorośli, Annie żyje ich kłopotami. Mimo to samotna, od pewnego czasu czuje, że wszystko ma już za sobą. I wówczas poznaje pewnego mężczyznę... Czyżby los jednak się do niej uśmiechnął?

ROZDZIAŁ 1

W słoneczne wrześnie popołudnie Seth Adams zamknął za sobą drzwi mieszkania Annie Ferguson w West Village. Był przystojny, zabawny, inteligentny, interesujący i spotykał się z Annie od dwóch miesięcy. Poznali się na pikniku z okazji Święta Niepodległości 4 lipca w Hamp-tons i szybko odkryli, że Seth jest równie pochłonięty swoją pracą, jak Annie. Był absolwentem wydziału zarządzania na Harvardzie i robił błyskawiczną karierę w jednym z banków inwestycyjnych na Wall Street. Annie ukończyła wydział architektury na Uniwersytecie Columbia sześć miesięcy przed nim i wciąż nie mogła się nacieszyć ekscytującą pierwszą pracą w mającym doskonałą opinię zespole architektonicznym, pracą, która okazała się spełnieniem wszystkich jej marzeń. Tak więc dwoje atrakcyjnych młodych ludzi zwróciło na siebie uwagę w zatłoczonym pomieszczeniu i zakochało się w sobie od pierwszego wejrzenia. Na razie spędzili razem wspaniałe lato i już rozmawiali o wynajęciu domu w górach na wypad na narty razem z grupą przyjaciół. Annie i Seth byli sobą zafascynowani i wprost nie mogli doczekać się nowych ciekawych wspólnych przeżyć.

Annie naprawdę świetnie się bawiła - weekendy spędzała z Sethem na uroczej małej żaglówce, którą niedawno kupił, kochając się z nim namiętnie i czule. Miała wszystko: nowego mężczyznę, nowe mieszkanie i pierwszy znaczący awans, na który ciężko pracowała. Właśnie skończyła dwadzieścia sześć lat, była wysoka, jasnowłosa i piękna, w blasku jej uśmiechu stopniałaby każda, nawet największa góra lodowa, a powodów do uśmiechu też jej nie brakowało. Z całą pewnością nie mogłaby wymarzyć sobie lepszego życia.

Spędzili właśnie z Sethem kolejny cudowny weekend na żaglówce i Annie musiała długo namawiać ukochanego, aby zostawił ją samą. Nie miała innego wyjścia, ponieważ tego popołudnia czekało ją jeszcze dużo pracy. Chciała poświęcić trochę czasu swojemu pierwszemu poważnemu projektowi przed spotkaniem z klientem następnego dnia rano.

Wiedziała, że musi go zafascynować i przekonać do planów, które jak zwykle wykonała bardzo starannie. Bezpośredni szef od początku podchodził do jej pomysłów z szacunkiem, a teraz wreszcie dał jej szansę. Telefon zadzwonił w chwili, gdy Annie siadała za deską kreślarską. Przez głowę przemknęła jej myśl, że to pewnie Seth, chociaż wyszedł od niej zaledwie pięć minut wcześniej. Czasami dzwonił w drodze do domu, aby powiedzieć, jak bardzo już za nią tęskni.

Uśmiechnęła się lekko i zerknęła na mały monitor telefonu komórkowego. Numer, który widniał na ekranie, należał do jej starszej o dziesięć lat siostry Jane. Obie były ze sobą bardzo blisko związane, a Jane ze wszystkich sił starała się zastąpić Annie matkę od dnia, kiedy ich rodzice zginęli przed ośmiu laty. Jane była szczęśliwą mężatką mieszkającą w Greenwich w Connecticut i miała trójkę wspaniałych dzieci. Siostry od zawsze wyglądały prawie

jak bliźniaczki. Pod względem fizycznym Jane była nieco starszą wersją Annie. Niecierpliwie czekała, kiedy młodsza siostra przedstawi jej Seta, który wydawał jej się dobrym kandydatem na stałego partnera, a być może nawet męża. Miała nadzieję, że chłopak Annie okaże się równie odpowiedzialny oraz godny zaufania i miłości jak jej mąż Bill. Jane i Bill Marshallowie byli małżeństwem z czternastoletnim stażem, lecz nadal zachowywali się tak, jakby ich miodowy miesiąc dopiero się zaczynał. Annie miała szczerą nadzieję, że kiedyś uda jej się stworzyć równie wspaniałą rodzinę, ale teraz była jeszcze zbyt skoncentrowana na swojej karierze. Nie posiadała się z radości, że dwa miesiące wcześniej los postawił na jej drodze tak niezwyklego mężczyznę jak Seth, bardzo zależało jej jednak, aby w przyszłości zostać wybitnym, cenionym architektem.

- Jest u ciebie? - spytała konspiracyjnie Jane.

Annie roześmiała się głośno. Jane była popularną ilustratorką książek dla najmłodszych i świetną malarką, lecz zawsze więcej uwagi poświęcała mężowi i dzieciom niż pracy. Bill pracował jako naczelny redaktor w niewielkim, ale cieszącym się dużym uznaniem wydawnictwie. Ten weekend spędzili w Martha's Vineyard, zamykając przed zimą swój letni dom i ciesząc się dwoma romantycznymi wieczorami z dala od dzieci.

- Niedawno wyszedł - odparła Annie.

- Dlaczego tak wcześnie? - zaniepokoiła się Jane.

- Mam mnóstwo pracy. Jutro czeka mnie duża prezentacja na spotkaniu z ważnym klientem i muszę poświęcić trochę czasu na przejrzenie planów.

- Grzeczna dziewczynka!

Jane była bardzo dumna z Annie i uważała, że jej młodsza siostra szybko zostanie gwiazdą zespołu.

- Za jakieś dwie godziny będziemy w domu - powie-

działa. - Właśnie wylatujemy, Bill sprawdza aparaturę nawigacyjną. Spędziliśmy wspaniały weekend, strasznie żałuję, że trzeba zamknąć dom.

Jane i Bill uwielbiali Martha's Vineyard, podobnie jak ich dzieci. Kupili letni dom, kiedy na świat przyszła najstarsza córka Lizzie, teraz bardzo podobna do matki dwunastolatka. Drugi w kolejności Ted miał osiem lat i wyglądał jak Bill, miał też ten sam co ojciec spokojny charakter i łagodny styl bycia. Najmłodsza córka Katie pochodziła z zupełnie innej planety, a w każdym razie tak mawiała jej matka. Pięcioletnia dziewczynka miała własne zdanie na każdy temat, była błyskotliwie inteligentna i niezwykle odważna. Nosila starą duszę w ciele dziecka i zawsze powtarzała, że jej najlepszą przyjaciółką jest ciotka Annie.

- Jak pogoda w Nowym Jorku?

Nadchodził sezon wichur i huraganów, ale w Vineyard świeciło słońce.

- Przez cały weekend było gorąco i pogodnie, słyszałam jednak, że wieczorem czeka nas burza - odrzekła Annie. - Moim zdaniem nie zanosi się na ulewę, ale kto wie...

- Tutaj też zbiera się na burzę. Przed godziną zerwał się ostry wiatr, lecz na razie nic się nie dzieje. Bill chce wrócić do domu, zanim pogoda na dobre się popsuje.

Mąż machał już do Jane z kabiny samolotu, chwyciła więc styropianowy kubek z kawą i ruszyła w stronę maszyny, kończąc rozmowę z Annie.

- Zadzwoń do ciebie, kiedy będziemy na miejscu - obiecała. - Nie zapracuj się na śmierć! Kocham cię, skarbie... Może byś tak w przyszły weekend wpadła z Sethem na kolację, co ty na to?

- Postaram się. Możliwe, że będę musiała pracować, wszystko zależy od tego jutrzejszego spotkania. Zadzwoń wieczorem, tylko nie zapomnij! Ja też cię kocham...

Annie odłożyła komórkę i wróciła do pracy. Rozłożyła na desce plany i przyjrzała im się uważnie. Widziała kilka zmian, które ewentualnie mogłaby wprowadzić. Zmiany były naprawdę niewielkie i bardzo subtelne, ale Annie, jako perfekcjonistka, chciała, żeby następnego dnia wszystko wypadło bez zarzutu. Powoli, metodycznie i skrupulatnie zaczęła nanosić poprawki, nad którymi zastanawiała się przez cały weekend.

Jane wsiadła do samolotu, który był wielką dumą i radością jej męża. W młodości Bill służył w wojsku jako pilot, a jego fascynacja samolotami zaczęła się w latach dzieciństwa. Jakiś czas temu razem z żoną kupił cessenę 414 chancellor, największą ze swoich dotychczasowych maszyn. Cessna mieściła osiem osób, była więc po prostu idealna dla nich, Lizzie, Teda i Katie oraz Magdaleny, opiekunki do dzieci, która dość często latała z nimi do Martha's Vineyard. Mieli wtedy dość miejsca dla dwojga przyjaciół albo całej góry toreb z zakupami i walizek, z którymi Jane zawsze podróżowała między Greenwich i Vineyard. Samolot był luksusem, rzecz jasna, ale Bill cieszył się z niego bardziej niż z domu i innych symboli materialnego sukcesu, natomiast Jane czuła się całkowicie bezpieczna, gdy jej mąż siadał za pulpitem sterowniczym, znacznie bardziej, niż w samolotach linii komercyjnych. Bill regularnie odnawiał licencję pilota i aktualizował swoją wiedzę, jeśli chodzi o nowoczesny sprzęt lotniczy.

- Usiądźże wreszcie na tyłku! - rzucił żartobliwie, gdy Jane wepchnęła do samolotu jeszcze jedną torbę z zakupami. - Nadchodzi burza, chciałbym jak najszybciej dowieźć nas do domu!

Niebo ciemniało powoli, jakby na potwierdzenie jego słów, długie jasne włosy Jane rozwiały nagły poryw wiatru.

Wskoczyła do kabiny, a Bill przechylił się ku niej i ją pocałował. Potem całkowicie skupił się na tarczach na pulpicie przed oczami. Dostał już pozwolenie na start. Nałożył słuchawki na uszy i nawiązał kontakt z wieżą, a Jane wyjęła z torby jakiś magazyn. Uwielbiała brukowce, z zapartym tchem czytała o sławnych aktorkach, ich romansach oraz rozstaniach, aby potem rozmawiać o nich z Annie z tak wielkim ożywieniem i przejęciem, jakby wielkie sławy były ich dobrymi znajomymi. Bill z satysfakcją drwił z tych upodobań żony.

Teraz, podrywając maszynę do lotu, uważnie obserwował niebo. Szybko osiągnął zaleconą przez wieżę wysokość. Za mniej więcej godzinę mieli wylądować na lotnisku Westchester County Airport. Lot był mało skomplikowany, Bill musiał tylko uważać na ożywiony ruch w powietrzu w okolicach Bostonu. Przyjaźnie podziękował wieży i uśmiechnął się do Jane. Mieli za sobą bardzo miły weekend. Bill kochał dzieci całym sercem, lubił jednak od czasu do czasu mieć żonę tylko dla siebie.

- Annie bardzo poważnie traktuje swojego nowego chłopaka! - Jane parsknęła śmiechem.

- Nie zaznasz spokoju, dopóki nie wydasz jej za męża. - Bill doskonale znał żonę i obydwójce wiedzieli, że ma rację. - Annie to jeszcze dzieciak, który dopiero wystartował w nowej pracy.

- Ja miałam dwadzieścia dwa lata, kiedy za ciebie wyszłam - przypomniała mu Jane. - Annie ma dwadzieścia sześć.

- Ale ty nie podchodziłaś do kariery zawodowej aż tak poważnie! Daj jej szansę, trudno przecież nazwać ją starą panną...

Jane doskonale wiedziała, że Annie nigdy nie zostanie starą panną. Była młoda i piękna, i mężczyźni bez przerwy

się za nią uganiali. Jednak Bill miał rację - Annie zależało, aby jej kariera zawodowa znalazła się na odpowiednio zaawansowanym etapie, zanim założy rodzinę. Zdaniem Billa świadczyło to o bardzo rozsądnym podejściu do życia. Annie bardzo chętnie wzięła na siebie obowiązki ciotki i uwielbiała pociechy Jane, ale nie była jeszcze gotowa na wydanie na świat własnych dzieci.

Jane zauważyła nagle, że Bill czujnie wpatruje się w ciemniejące niebo. Awionetką zakołysały mocne podmuchy wiatru i Jane zorientowała się, że lecą prosto w objęcia burzy. Nie chciała zawracać Billowi głowy tak oczywistym spostrzeżeniem, przez chwilę wyglądała więc przez okno, a potem otworzyła gazetę i pociągnęła łyk kawy. Parę sekund później ciemny napój chlusnął jej na kolana, gdy samolot zaczął podskakiwać w powietrzu.

- Co to było?

- Zbliża się burza - odparł Bill.

Nie odrywając oczu od przyrządów pomiarowych, skontaktował się z kontrolerem lotów, powiadomił go, że wpadli w spore turbulencje i otrzymał zgodę na zejście na niższy pułap. Jane zobaczyła przelatujący nad nimi po lewej potężny airbus, najprawdopodobniej z Europy, zmierzający w kierunku lotniska Logan albo JFK.

Awionetką rzucało nawet na dość niskim pułapie, a po paru minutach turbulencje wyraźnie się nasiliły. Niebo tuż przed nimi rozdarła błyskawica.

- Może powinniśmy lądować?

- Nie, nic nam nie grozi. - Bill usiłował dodać żonie odwagi uśmiechem.

Zaczęło padać. Byli już nad wybrzeżem Connecticut i Bill właśnie odwrócił się do Jane, kiedy lewy silnik eksplodował z hukiem i samolot przechylił się w prawo. Bill skupił wzrok na tarczach przyrządów.

- Co się dzieje, do cholery?! - wykrztusiła Jane. Nigdy jeszcze nie byli w tak trudnej sytuacji, czego najlepiej dowodziła pełna napięcia twarz Billa.

- Nie wiem, może to wyciek paliwa - rzucił sucho, mocno zaciskając zęby. - Nie jestem pewny...

Ze wszystkich sił próbował zapanować nad maszyną ale gwałtownie tracili wysokość. Z silnika buchnął ogień i Bill momentalnie zszedł jeszcze niżej, gorączkowo szukając wzrokiem miejsca do lądowania. Jane milczała. Obserwowała, jak Bill bezskutecznie próbuje wyrównać lot. Niebezpiecznie przechyleni na bok, z przerażającą prędkością spadali w dół. Bill zdążył jeszcze wywołać wieżę kontroli i powiadomić, gdzie się znajduje.

- Spadamy, pali nam się lewe skrzydło - rzekł spokojnie.

Jane wyciągnęła rękę i delikatnie położyła ją na jego ramieniu. Bill wciąż mocno trzymał drążek sterowniczy. Powiedział jej, że kocha ją całym sercem. Zaraz potemCESSNA uderzyła w ziemię i zamieniła się w kulę ognia.

Komórka Annie rozdzwoniła się w chwili, gdy wycierała ona gumką zmianę, na której naniesienie poświęciła całą godzinę. Poprawka zdecydowanie nie przypadła jej do gustu, postanowiła więc ją zlikwidować. Przelotnie zerknęła na ekran leżącego na stole kreślarskim aparatu. Dzwoniła Jane, co oznaczało, że była już w domu. Przez głowę Annie przemknęła myśl, że może nie powinna odbierać, ponieważ Jane zawsze lubiła chwilę z nią pogadać.

Próbowała zignorować telefon, lecz ten dzwonił tak uporczywie i natrętnie, że w końcu sięgnęła po niego.

- Mogę oddzwonić trochę później? - spytała.

W odpowiedzi ze słuchawki chlusnął potok hiszpańskich słów. Annie rozpoznała głos dzwoniącej, była to Magdale-

na, pochodząca z Salvadoru kobieta, która opiekowała się dziećmi Jane i Billa. W głosie Magdaleny brzmiała nuta paniki. Annie doskonale wiedziała, o co chodzi. Magdalena miała jej numer na wszelki wypadek i czasami z niego korzystała, gdy Bill i Jane wyjeżdżali gdzieś na dłużej. Annie musiała jednak przyznać, że Magdalena dzwoniła tylko w krytycznych sytuacjach. Teraz nie rozumiała ani słowa, ale była pewna, że jej siostra lada chwila będzie w domu.

- Są już w drodze do domu - zapewniła uspokajająco. Zwykle przyczyną niepokoju Magdaleny był ruchliwy i podatny na rozmaite kontuzje Ted, który często spadał z drzewa albo z drabiny. Dziewczynki były dużo rozważniejsze. Lizzie można już było nazwać nastolatką, natomiast żywiołowa Katie rozładowywała nadmiar energii raczej przez popisy werbalne niż fizyczne i nigdy nie odnosiła poważnych szkód na ciele.

~ Rozmawiałam z Jane dwie godziny temu - ciągnęła spokojnie Annie. - Zaraz powinni być w domu, naprawdę.

W odpowiedzi Magdalena wylała z siebie świeży potok hiszpańskiego. Annie zorientowała się, że kobieta płacze i wreszcie zidentyfikowała zrozumiałe dla niej słowo. *La policia*, policja...

- Policja? - zaniepokoiła się. - Czy coś stało się dzieciom?

Może któreś było poważnie ranne... Do tej pory wszystkie ataki paniki Magdaleny okazywały się raczej nieuzasadnione, no, z jednym wyjątkiem... Ted spadł wtedy z drzewa koło domu w Martha's Vineyard i złamał nogę, ale jego rodzice byli na miejscu.

- Jeszcze raz, tylko po angielsku - powiedziała powoli i wyraźnie. - Co się stało? Kto jest ranny?

- Pani siostra... Policja dzwonić... Samolot...

Annie poczuła się nagle tak, jakby ktoś wystrzelił ją

w powietrze. Wszystko działo się w zwolnionym tempie, a ona nie mogła oprzeć się wrażeniu, że ugina się pod ciężarem słów Magdaleny.

- Co powiedzieli? - Z największym trudem wydobyła z gardła to pytanie, miała wrażenie, że pełno w nim okruchów szkła.

Każde słowo sprawiało jej fizyczny ból.

- Co się stało?! Co powiedziała policja?!

Krzyczała na Magdalenę i w ogóle nie zdawała sobie z tego sprawy
Magdalena tylko szlochała.

- CO SIĘ STAŁO, DO CHOLERY?! - wrzasnęła Annie.

- Nie wiem - wyjąkała Magdalena. - Coś stało... Ja dzwonić na jej komórkę, a ona nie podnosić... Mówią... Mówią... Mówią, że samolot w ogniu... To była policja z New London...

- Oddzwonię! - rzuciła Annie i przerwała połączenie.

Po paru minutach dodzwoniła się do pogotowia policyjnego w New London i usłyszała od recepcjonistki, że zaraz przełączy ją do odpowiedniego działu. Jakiś głos zapytał ją o nazwisko, a potem po drugiej stronie zapadła głucha cisza.

- Jest pani w pobliżu? - spytała w końcu policjantka,

- Nie! - wyrzuciła z siebie Annie, ze wszystkich sił starając się nie płakać i nie krzyżeć na obcą kobietę.

Zdarzyło się coś strasznego i teraz mogła tylko mieć nadzieję, że jej siostra i szwagier są ranni, a nie martwi.

- Jestem w Nowym Jorku - wyjaśniła. - Co z samolotem?

Kiedy podała numer cenny Billa, w słuchawce odezwał się jeszcze inny głos. Nieznajomy mężczyzna przedstawił się jako kapitan policji i powiedział Annie wszystko, czego nie chciała wiedzieć i czego spodziewała się nie usłyszeć. Samolot eksplodował po uderzeniu w ziemię, nikt nie prze-

żył katastrofy Kapitan zapytał, czy Annie wie, kto znajdował się na pokładzie awionetki.

- Moja siostra i jej mąż... - wyszeptała, tęnym wzrokiem wpatrując się w przestrzeń.

To niemożliwe, pomyślała. To nie mogło się zdarzyć. A jednak... Nie miała pojęcia, co powiedzieć, więc podziękowała policjantowi i rozłączyła się. Wcześniej poinformowała go, że może skontaktować się z nią w domu Jane w Greenwich i podała mu numer. Zaraz potem chwyciła torbę i wybiegła z mieszkania, nie gasząc świateł.

Później nie mogła sobie przypomnieć, jak wsiadła do samochodu i w ulewie dojechała do Greenwich. Nie pamiętała dosłownie nic.

Zapowiadana burza uderzyła w Nowy Jork. Annie zostawiła wóz na ulicy i pobiegła do domu siostry. Zanim wpadła do środka, zdążyła kompletnie przemoknąć. Magdalena płakała w kuchni, dzieci oglądały na górze film, czekając na powrót rodziców.

Gdy Lizzie, Ted i Katie usłyszeli trzask zamykanych drzwi, wybiegli na schody. Spodziewali się zobaczyć Jane i Billa, lecz zamiast nich ujrzeli Annie, ociekającą wodą. Pasma włosów oklejały jej twarz, policzki były mokre od łez i deszczu.

- Gdzie mama i tata? - spytał ze zdziwieniem Ted. Lizzie patrzyła na ciotkę szeroko otwartymi oczami.

W jednej chwili zrozumiała, że stało się coś przerażającego i zasłoniła usta dłonią.

- Mamusia i tatuś... - wykrztusiła z przerażeniem.

Annie bez słowa skinęła głową. Wbiegła na piętro i otoczyła całą trójkę ramionami. Przyłgnęli do niej tak rozpaczliwie, jakby była tratwą ratunkową na wzburzonym morzu. Dopiero wtedy Annie nagle uświadomiła sobie, że teraz wszyscy troje są jej dziećmi.

ROZDZIAŁ 2

Następne dni były jak koszmarne sen. Annie musiała powiedzieć dzieciom, co spotkało ich rodziców. Lizzie była zrozpaczona, Ted ukrył się w garażu, a Katie bez przerwy płakała. Początkowo Annie nie miała pojęcia, co robić. Pojechała do New London na rozmowę z policją. Wrak awionetki Billa w niczym nie przypominał samolotu. Zwłok nie było, ponieważ eksplozja rozerwała je na strzępy

Jakimś cudem Annie zdołała pozalać wszystkie formalności. Na pogrzebie jej siostry i szwagra była pewnie połowa mieszkańców Greenwich, z Nowego Jorku przyjechali wspólnicy i koledzy Billa. Annie zadzwoniła do pracy, powiedziała, że musi wziąć tydzień lub dwa urlopu i nie może zrobić prezentacji.

Przeprowadziła się do domu Billa i Jane, przewiozła tam swoje rzeczy. Jej nowe mieszkanie należało już do przeszłości. Miało tylko jedną sypialnię, zresztą Annie nie chciała pozbawiać dzieci resztek poczucia bezpieczeństwa i zdecydowała się sama dojeżdżać do miasta. Magdalena zgodziła się wprowadzić na stałe i zajmować dziećmi przez cały dzień, siedem dni w tygodniu. Annie musiała przywyknąć do myśli, że jest dwudziestosześcioletnią ko-

biętą z trojgiem dzieci. Jane i Bill rozmawiali z nią kiedyś o tym, że w razie ich śmierci będzie musiała ich zastąpić. Bill nie miał bliskich krewnych, a rodzice Annie i Jane nie żyli. Poza Annie nie było nikogo, kto mógłby zapewnić dzieciom opiekę. Nie miała więc wyboru. W noc przed pogrzebem przyrzekła w duchu Jane, że poświęci życie jej dzieciom i zrobi, co będzie mogła, aby żyły tak spokojnie, jak tylko było to w tych okolicznościach możliwe. Zupełnie nie wiedziała, jak być matką, bo przecież wcześniej była tylko ciotką i towarzyszką zabaw, ale musiała nauczyć się nowej roli. Nie myślała, by zająć miejsce Jane i Billa i świetnie zdawała sobie sprawę, że nie może równać się z tak wspaniałymi rodzicami, lecz dzieci najzwyczajniej w świecie nie miały nikogo poza nią.

Seth wykazał się delikatnością uczuć i przyjechał do Annie do Greenwich dopiero tydzień po pogrzebie. Zabrał ją na kolację do małej, spokojnej restauracyjki. Powiedział, że szaleje za nią, ale ma dwadzieścia dziewięć lat i nie może wziąć na siebie odpowiedzialności za kobietę z trójką dzieci. Oświadczył, że ostatnie dwa miesiące były najwspanialsze w całym jego życiu, lecz obecna sytuacja kompletnie go przerosła. Annie odparła, że dobrze go rozumie. Nie płakała i nie złościła się na niego, była zupełnie oziębiała. Długo patrzyła na niego bez słowa. Odwiózł ją do domu, także nic nie mówiąc. Próbował pocałować ją na pożegnanie, ale odwróciła głowę, weszła do środka i w milczeniu zamknęła za sobą drzwi. Miała teraz znacznie poważniejsze zmartwienia - musiała wychować troje dzieci. Wszyscy czworo w jednej chwili stali się rodziną, a Seth nie należał do niej i wcale tego nie pragnął. Annie nie wyobrażała sobie, aby jakikolwiek mężczyzna chciał przyjąć tak trudną rolę. Dorosła w ułamku sekundy, w chwili, gdy samolot Jane i Billa zderzył się z ziemią.

Dziewięć miesięcy później, w czerwcu, po zakończeniu roku szkolnego, Annie przeprowadziła się z dziećmi do miasta. Zamieszkali w wynajętym czteropokojowym mieszkaniu, niedaleko tego, które kupiła parę tygodni przed śmiercią siostry. Zapisała dzieci do szkoły w Nowym Jorku. Lizzie parę tygodni wcześniej skończyła trzynaście lat, Ted miał dziewięć, a Katie sześć. Odkąd Annie została ich jedyną opiekunką codziennie pędziła z pracy do domu, aby spędzać z nimi jak najwięcej czasu. Weekendy upływały jej na dowożeniu Katie na lekcje baletu, Teda na mecze piłki nożnej i Lizzie na rozmaite zajęcia oraz zakupy. Zaczęła chodzić z Tedem do ortodonta i zawsze trochę spóźniona zjawiała się na wywiadówkach, chyba że akurat pracowała do wieczora. Szefowie jej firmy architektonicznej byli bardzo wyrozumiali i pomocni, podobnie jak koledzy. Ponieważ Magdalena mieszkała z nimi, Annie nieźle radziła sobie z projektami, a z czasem dostała kolejny awans i podwyżkę. Bill i Jane zadbali o przyszłość dzieci. Bill poczynił sporo mądrych inwestycji, domy w Greenwich i Martha's Vineyard zostały korzystnie sprzedane, a firma ubezpieczeniowa wypłaciła pieniądze z polisy na życie. Annie wiedziała, że musi rozsądnie gospodarować całą kwotą, lecz dzieci pod względem materialnym miały wszystko, czego mogły potrzebować. Nie miały tylko ojca i matki, których miejsce zajęła ciotka. Lizzie, Ted i Katie okazywali jej dużo cierpliwości i uczucia. Z początku przeżyli wiele trudnych, pełnych smutku chwil, ale z czasem przyzwyczaili się do tego, co dał im los. Magdalena stanowiła ważny stały punkt odniesienia w ich życiu. Lata mijały. Annie przeprowadziła dzieci Jane i Billa przez szkołę średnią oraz pierwsze miłości i pomogła im

rozpocząć studia. Ted już w wieku czternastu lat zdecydował, że zostanie prawnikiem. Lizzie zawsze najbardziej interesowała się modą i przez pewien czas chciała nawet zostać modelką. Katie odziedziczyła zdolności artystyczne matki, lecz właściwie od początku życia chodziła własnymi drogami. Mając trzynaście lat, przeznaczyła kieszonkowe na przebicie uszu, a zaraz potem, ku przerażeniu Annie, założyła sobie kolczyk w pępku. Farbowała włosy na niebiesko i fioletowo, a po osiemnastych urodzinach zrobiła sobie przedstawiający jednorożca tatuaż po wewnętrznej stronie przegubu dłoni, co naturalnie musiało potwornie boleć. Bez najmniejszych trudności dostała się na prestiżową artystyczną uczelnię Pratt School of Design i robiła wspaniałe, pełne wyobraźni ilustracje. Była drobniutka, żarliwie niezależna i niezwykle odważna. Miała własne zdanie na każdy temat, włącznie z polityką, spierała się ze wszystkimi, którzy mieli odmienne opinie i nie obawiała się twardo obstawać przy swoich poglądach. Jako nastolatka sprawiała Annie trochę trudności, lecz kiedy dostała się na studia i przeprowadziła do uczelnianego internatu, zupełnie się uspokoiła. Ted miał już własne mieszkanie i po otrzymaniu dyplomu licencjackiego przez rok pracował. Liz zatrudniła się w magazynie „Elle”.

Wychowanie dzieci siostry stało się powołaniem oraz najważniejszym zajęciem dla Annie. Kiedy miała trzydzieści pięć lat, po przepracowaniu dziewięciu lat w jednej firmie, otworzyła własne biuro architektoniczne. Uwielbiała swój zawód i wolała małe zlecenia od wielkich, które wykonywała w poprzednim miejscu pracy. Gdy jej firma przetrwała cztery lata na rynku, Annie wreszcie znalazła swoją niszę.

Bardzo tęskniła za dziećmi. Szybko zrozumiała pojęcie „pustego gniazda” i świeżo powstałą lukę w swoim życiu

wypełniała jeszcze większą ilością pracy, nie kontaktami z ludźmi. Przez pierwsze trzy lata z dziećmi w ogóle nie umawiała się na randki. Później miała kilka krótkotrwałych związków, z których nic nie wynikło, głównie z powodu wiecznego braku czasu. Była zbyt zajęta opieką nad siostrzenicami i siostrzeńcem, a także zdobywaniem pozycji liczącego się architekta. W jej życiu nie było miejsca dla mężczyzny Najbliższa przyjaciółka Annie, Whitney Coleman, ciągle jej to zarzucała.

Przyjaźniły się od pierwszego roku college'u; Whitney była żoną lekarza z New Jersey i miała trójkę dzieci, trochę młodszych od dzieci Jane i Billa. Przyjaciółka bezustannie wspierała Annie, udzielała jej cennych rad, a teraz zależało jej przede wszystkim na tym, aby Annie wreszcie pomyślała o sobie. Czas pędził jak wezbrana rzeka. Annie z radością wspominała cudowne chwile, spędzone razem z dziećmi. Dotrzymała danego siostrze słowa i postarała się, aby cała trójka dobrze radziła sobie w życiu.

- I co teraz? - spytała Whitney, kiedy Kate przeprowadziła się do akademika. - Co zamierzasz zrobić dla siebie?

Było to pytanie, którego Annie nie zadawała sobie od trzynastu lat.

- Co niby mam zrobić? Stanąc na rogu ulicy i zagwizdać na faceta jak na taksówkę? - roześmiała się w odpowiedzi.

Miała trzydzieści dziewięć lat i z całkowitym spokojem traktowała fakt, że jest wolna. Nie przeszkadzało jej to. Życie ułożyło się inaczej niż planowała, była jednak szczęśliwa.

Dzieci wyrosły na przyzwoitych, dobrych ludzi, firma miała mocną pozycję na rynku, a ona dużo więcej pracy niż potrzebowała. Ted właśnie zapisał się na studia magisterskie i zamieszkał z kolegą z college'u, natomiast dwu-

dziestopięcioletnia Liz, po trzech latach w „Elle”, dostała pracę w „Vogue”. Oboje mieli wszelkie szanse na zrobienie kariery. Annie odwaliła kawał dobrej roboty lecz poza pracą nie miała własnego życia. Jej życiem były dzieci i z uporem twierdziła, że innego nie potrzebuje.

- To naprawdę śmieszne! - oświadczyła Whitney bez cienia zrozumienia.
- Nie masz przecież stu lat, na miłość boską! I teraz wreszcie możesz zacząć spotykać się z mężczyznami! Zabrakło ci wymówek, bo dzieci są już dorosłe!

Umówiła Annie na kilka randek „w ciemno”, z których każda okazała się niewypałem. Annie powtarzała, że nie ma to dla niej żadnego znaczenia.

- Jeżeli jest mi sądzone kogoś spotkać, to pewnego dnia tak się stanie - powiedziała filozoficznie. - Poza tym, za bardzo przywykłam już chyba do samotnego życia, a wakacje lub święta i tak chcę spędzać z dziećmi. Mężczyzna tylko by mi w tym przeszkadzał, a dzieci mogłyby poczuć się niepewnie...

- Chcesz aż do śmierci być tylko ciotką? - spytała ze smutkiem Whitney. Wydawało jej się niesprawiedliwe, że Annie poświęciła życie dla dzieci siostry, ale jej przyjaciółka sprawiała wrażenie całkiem szczęśliwej. Baterie biologicznego zegara Annie wyczerpały się dawno temu. Miała trójkę ukochanych dzieci i to jej wystarczało.

- Jestem najzupełniej zadowolona z życia - powiedziała szczerze. Spotykały się z Whitney na lunchu, kiedy przyjaciółka przyjeżdżała do miasta, zwykle na zakupy. Gdy dzieci się wyprowadziły, Annie co jakiś czas pozwalała sobie na weekendowy wypad do New Jersey, ale najczęściej była zbyt zajęta, aby myśleć o jakichkolwiek rozrywkach. Projektowane przez nią domy i mieszkania naprawdę urze-

kały pięknem. Miała na koncie renowację kilku ładnych kamienic w Upper East Side, sporo wielkich apartamentów, parę zachwycających rezydencji w Hamptons oraz jedną w Bronxville. Jej firma kwitła i rozwijała się. Właśnie odrzuciła propozycje pracy w Los Angeles i w Londynie, ponieważ najzwyczajniej w świecie nie miała czasu na podróże. Zlecenia w Nowym Jorku w pełni ją satysfakcjonowały. Była wiecznie zajęta i szczęśliwa. Osiągnęła to, co chciała osiągnąć i zrobiła to, co przyrzekła. Doprowadziła dzieci do okresu dorosłości i nigdy nie roztrząsała, ile dla nich poświęciła. Miała czterdzieści dwa lata, była jednym z najbardziej wziętych architektów w Nowym Jorku i uwielbiała swoją samodzielną pracę.

W dzień przed Świętem Dziękczynienia, w przejmująco zimny poranek, Annie oprowadzała po kompletnie pustym i pozbawionym ścian dzielnych domu przy East Sixty-ninth Street parę, która zleciła jej przebudowę i zaprojektowanie wnętrza dwa miesiące wcześniej. Była to ogromna inwestycja i zleceniodawcy chcieli, aby Annie przeistoczyła zwyczajną kamienicę w niezwykły dom. Teraz, kiedy wspinali się po wzgórkach gruzów, pozostawionych przez robotników na miejscu zburzonych ścian, trudno im było wyobrazić sobie, aby ich marzenia kiedykolwiek się ziściły. Annie pokazywała im właśnie proporcje świeżo powiększonego salonu, jadalni oraz dużej klatki schodowej. Miała niepowtarzalny talent do tworzenia wnętrza równocześnie awangardowych i ciepłych, chociaż w tej chwili jej klienci byli raczej przerażeni niż pełni nadziei.

Mężczyzna szczegółowo wypytywał Annie o koszty, a jego żona z zaniepokojeniem rozglądała się po wybebeszonych wnętrzach. Annie obiecała im, że wykończy dom w ciągu jednego roku.

- Naprawdę pani myśli, że za rok będziemy mogli się tu wprowadzić? - Alicia Ebersohl nerwowo przygryzła dolną wargę.

- Mamy tu bardzo dobrą ekipę budowlaną, która jeszcze nigdy nie zawiodła. — Annie uśmiechnęła się miło, przechodząc przez ułożone na podłodze drewniane belki.

Sprawiła wrażenie spokojnej i opanowanej. Miała na sobie szare spodnie, stylowe wysokie buty z czarnej skóry i pikowany płaszcz z obszytym futrem kapturem. Nadal wyglądała na znacznie młodszą niż była w rzeczywistości.

- Pewnie na koniec przedstawi dwukrotnie wyższy rachunek - mruknął z rozpaczą Harry Ebersohl. - Nie miałem pojęcia, że wyburzymy aż tyle ścian...

- Na razie po prostu robimy miejsce dla nowych, na których będziecie mogli powiesić swoje obrazy. - Annie blisko współpracowała z zatrudnionym przez Ebersohlów projektantem wnętrz i wiedziała, że wszystko jest pod kontrolą. - Mniej więcej za trzy miesiące zaczniecie dostrzegać piękno i wielki urok tego domu!

- Mam nadzieję... - Alicia Ebersohl wyglądała na znacznie mniej pewną siebie niż jeszcze przed paroma tygodniami.

Alicii i Harry'emu ogromnie podobał się zaprojektowany przez Annie dom ich przyjaciół. Ubłagali ją, aby przyjęła od nich zlecenie, a kiedy Annie zobaczyła kupioną przez nich kamienicę, nie zdołała oprzeć się pokusie, chociaż miała aż za dużo pracy.

- Mam nadzieję, że nie popełniliśmy błędu, decydując się na kupno i remont tego domu - powiedziała Alicia.

Jej mąż bezradnie pokręcił głową.

- Jest już trochę za późno na te rozważania!

Zeszli na dół i ruszyli do wyjścia. Kiedy otworzyli drzwi, uderzył w nich podmuch lodowatego wiatru i Annie po-

spiesznie naciągnęła futrzany kaptur na jasne włosy. Oboje Ebersohlowie na samym początku znajomości z Annie wymienili pochlebne uwagi na temat jej urody i doświadczenia; wiele osób wychwalało pod niebiosa jej architektoniczne zdolności.

- Macie jakieś plany na Święto Dziękczynienia? - spytała Annie, odprowadzając ich do samochodu z rulonami planów pod pachą.

- Nasze dzieci przyjeżdżają dziś wieczorem! - uśmiechnęła się Alicia. Annie wiedziała, że jedno z dzieci Ebersohlów studiuje w Princeton, a drugie w Dartmouth. Jej klienci mieli córkę i syna.

- Moje także - odparła pogodnie.

Nie mogła się już doczekać spotkania z Liz, Tedem i Kate. Cała trójka obiecała spędzić z nią świąteczny dzień, jak zawsze. Annie uwielbiała te chwile, kiedy dzieci zjawiały się w domu.

- Nie wiedziałam, że masz dzieci. - Alicia spojrzała na nią ze zdziwieniem.

Annie kiwnęła głową. Nigdy nie rozmawiała o swoim życiu osobistym, ograniczając się wyłącznie do spraw zawodowych. Była absolutną profesjonalistką i właśnie dlatego Ebersohlowie zdecydowali się ją zatrudnić. Wiadomość, że ta wiecznie zapracowana kobieta ma dzieci zupełnie ich zaskoczyła.

- Troje. Tak naprawdę to moje siostrzenice i siostrzeniec. Moja siostra zginęła w wypadku szesnaście lat temu i wtedy „odziedziczyłam” jej dzieci. Są już dorosłe. Najstarsza jest redaktorem „Vogue”, siostrzeniec studiuje prawo, a najmłodsza dostała się do akademii sztuk plastycznych. Potwornie za nimi tęsknię i zawsze szaleję z radości, gdy przyjeżdżają do domu.

Ebersohlowie patrzyli na nią prawie z niedowierzaniem.

- To naprawdę niezwykle - rzekł Harry Ebersohl. - Nie każdy zdecydowałby się na tak poważny krok. Musiałaś być wtedy bardzo młoda.

Jego zdaniem Annie wyglądała na jakieś trzydzieści lat, chociaż znał przecież jej wiek ze strony internetowej.

- Byłam bardzo młoda, to prawda. - Annie uśmiechnęła się. - Wszyscy czworo dorastaliśmy razem i było to dla mnie wielkim błogosławieństwem. Jestem bardzo dumna z moich dzieci!

Gawędzili jeszcze parę minut. W końcu Ebersohlowie wsiedli do samochodu i odjechali. Harry nadal wyglądał na mocno zmartwionego, lecz Annie obiecała im, że prace zostaną ukończone w terminie i bez przekroczenia ustalonych wcześniej kosztów. Ałicia miała znacznie lepszy nastrój i z podnieceniem zastanawiała się głośno nad różnymi możliwościami wykorzystania wielkiej klatki schodowej.

Annie zerknęła na zegarek i zatrzymała taksówkę. Zostało jej pięć minut na dojazd do skrzyżowania Siedemdziesiątej Dziewiątej i Piątej, gdzie umówiła się na spotkanie z nowym klientem. Jim Watson kupił niedawno apartament i nie bardzo wiedział, czego właściwie chce. Tylko co do jednego nie miał najmniejszych wątpliwości - zależało mu, żeby mieszkanie robiło imponujące wrażenie i żeby Annie dokonała jakiegoś cudu, a najlepiej wielu cudów. Annie chciała podrzucić mu kilka pomysłów. Jim był świeżo rozwiedziony i jego marzeniem było posiadanie apartamentu zapierającego dech w piersiach. W drodze do centrum Annie musiała szybko przestawić się na inny tok myślenia. Była już prawie na miejscu, kiedy usłyszała sygnał komórki. Dzwoniła Liz, jak zwykle trochę zdenerwowana i zagoniona. Parę tygodni wcześniej została szefem

działu biżuterii w „Vogue” i dopiero przed dwoma dniami wróciła z Mediolanu. Przyleciała specjalnie po to, aby spędzić Święto Dziękczynienia z Annie i rodzeństwem. Annie zamierzała upiec indyka, jak co roku.

- Jak było w Mediolanie? - spytała Annie, szczęśliwa, że słyszy głos starszej siostrzenicy.

Martwiła się o Liz, która bardzo ciężko pracowała, zawsze żyła w napięciu, nie miała czasu zdrowo się odżywiać i od trzech lat była zdecydowanie zbyt szczupła. Oczywiście sylwetka taka jak u Liz była marzeniem wszystkich pracujących w „Vogue” kobiet, jednak Annie wolałaby, żeby Liz nie była aż taka wiotka.

- Wszystko działa się w szalonym tempie, ale było zabawnie - odparła dziewczyna. - Cztery dni biegałam jak kot z pęcherzem. Weekend spędziliśmy w Wenecji, która o tej porze roku jest po prostu przygnębiająca. Wybrałam kilka wspaniałych kompletów biżuterii do sesji zdjęciowej w przyszłym tygodniu.

Chociaż trudno było to sobie wyobrazić, Liz pracowała może jeszcze ciężiej niż Annie, a z całą pewnością równie ciężko.

- Mogę przywieźć jutro Jean-Louisa? - spytała.

Wiedziała, że Annie się zgodzi. Pytanie było czystą formalnością i wyrazem szacunku, ponieważ Annie zawsze serdecznie witała przyjaciół i znajomych swoich dzieci.

- Nie uprzedził mnie, że przylatuje - ciągnęła Liz. - Wczoraj po prostu zjawił się nagle, i już,.. W ten weekend ma tutaj sesję zdjęciową.

Liz i młody Francuz poznali się w czasie wspólnej sesji w Paryżu.

Jean-Louis wynajmował w Nowym Jorku mieszkanie, bo często odwiedzał Stany. Był popularnym fotografem i praktycznie niczym nie różnił się od wszystkich poprzednich mężczyzn Lizzie, która zawsze wybierała

przedstawicieli tego zawodu albo męskich modeli. Każdy z nich był przystojny, niezbyt błyskotliwy, a Liz nigdy nie angażowała się zbyt głęboko. Annie wiele razy zastanawiała się, czy strata rodziców nie kazała Liz podświadomie unikać uczucia bliskości. Jej romanse trwały zwykle raczej krótko, i Annie dziwiła się, że Jean-Louis tak długo, czyli aż sześć miesięcy, utrzymał się na pozycji partnera Liz.

- Oczywiście, że możesz go przywieźć!

Annie spotkała Jean-Louisa tylko raz. Zrobił na niej dość miłe wrażenie, chociaż niczym jej nie zachwycił ani nie zaskoczył.

- O której powinniśmy przyjechać?

- Tak samo jak zawsze, bądźcie w domu o dwunastej, a do obiadu siądziemy koło pierwszej. Jeśli chcesz, możecie przyjechać dziś wieczorem. Ted i Katie zostają na weekend.

- Obiecałam Jean-Louisowi, że przenocuję u niego - powiedziała Liz przepraszającym tonem. - Chcę pomóc mu ze zdjęciami, naturalnie nieoficjalnie. Wypożyczam dziś dla niego trochę biżuterii...

- Szczęściarz z niego! - rzuciła Annie.

Mówiła szczerze i nie chodziło jej tylko o to, że Liz pomaga Jean-Louisowi w pracy. Liz zawsze dawała więcej niż otrzymywała. Mężczyźni, z którymi się wiązała, byli całkowicie skupieni na sobie i zepsuci przez kobiety. Annie nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Liz zbyt tanio się sprzedaje. Była piękną, utalentowaną inteligentną młodą kobietą. Annie czasami ze zdumieniem uświadamiała sobie, że w wieku dwudziestu ośmiu lat Liz jest dwa lata starsza niż ona w chwili, gdy wzięła trójkę dzieci pod swoje skrzydła. Pod pewnymi względami Lizzie wydawała jej się bardzo młoda i niedojrzała, może dlatego, że nigdy nie

myślała o małżeństwie i stabilizacji. Annie zdawała sobie sprawę, że w tej dziedzinie nie dała dzieciom dobrego przykładu, ponieważ na jej życie składała się tylko praca i dom, w którym czekało na nią troje młodych ludzi. Rzadko, jeśli w ogóle, widywali ją z mężczyzną. Swoich nie-licznych kochanków trzymała na marginesie, jak najdalej od dzieci, żaden z nich nie rozbudził w niej zresztą poważniejszych uczuć. Ostatnim mężczyzną, na którym naprawdę bardzo jej zależało, był Seth. Wpadła na niego przed kilku laty - był żonaty, mieszkał w Connecticut i miał czworo dzieci. Próbował wytłumaczyć jej, jak bardzo dręczyła go świadomość, że nie stanął na wysokości zadania po śmierci Billa i Jane, lecz Annie uśmiechnęła się i odparła, że nie powinien mieć wyrzutów sumienia, bo jakoś dała sobie radę. Jednak spotkanie z Sethem przywołało wciąż żywe wspomnienia z tamtego okresu. Seth był równie przystojny jak wtedy i Annie zadzwoniła nawet do Whitney, żeby opowiedzieć jej o rozmowie z dawnym ukochanym. Ale teraz wszystko to wydawało jej się starożytną historią.

Liz zaczęła przeproszać Annie, że Jean-Louis nie przywiózł ze sobą porządnego ubrania, ponieważ przyjechał do pracy, ale ciotka zapewniła ją, że nie ma to najmniejszego znaczenia. Żaden z mężczyzn Liz nie miał garnituru. Niezależnie od tego, czy byli znanymi fotografami, czy sławnymi modelami, zawsze zjawiali się u niej w postrzępionych dżinsach i mocno podniszczonych koszulach lub swetrach, z długimi włosami i brodami. Wszystko wskazywało na to, że Liz ma słabość do mężczyzn o takim wyglądzie. Annie przywykła do tego na przestrzeni lat, chociaż wolałaby zobaczyć siostrzenicę u boku elegancko ubranego i porządnie ostrzyżonego młodego człowieka, przynajmniej raz.

W przeciwieństwie do swoich ukochanych, Liz niezmiennie zachwycała elegancją, wyczuciem i wyrafinowaniem. Często udzielała Annie rad co do aktualnych trendów mody i czasami nawet kupowała jej ubrania. Annie zawsze z zaciekawieniem czekała na przyjazd Liz, aby zobaczyć, co dziewczyna będzie miała na sobie; jej własny styl był prostszy i bardziej praktyczny. Teraz czuła się już za stara na ekstrawaganckie ciuchy, musiała zresztą nosić rzeczy, w których swobodnie mogłaby poruszać się na placu budowy, nie marznąc i nie potykając się co chwila na wysokich obcasach. Liz była wysoka, podobnie jak jej matka i ciotka, i z upodobaniem nosiła co najmniej dziesięcio-centymetrowe obcasy. W redakcjach magazynów mody takie buty uważane były za prawie sportowe.

- Do zobaczenia jutro! - powiedziała Liz i rozłączyła się w chwili, gdy Annie znalazła się na miejscu.

Wysiadła pod budynkiem na Piątej Alei i pojechała windą na najwyższe piętro, gdzie czekał już na nią Jim Watson, chyba trochę oszołomiony. Nagle ogarnęło go przerażenie, że apartament jest dla niego za duży i od razu powiedział Annie, że nie ma pojęcia, jak urządzić taką powierzchnię bez pomocy byłej żony. Annie zapewniła go, że wszystkim się zajmie i wyjęła plik szkiców z teczki. Jim przejrzał je i uśmiechnął się. Annie stworzyła wizję idealnego mieszkania dla kawalera, i to zanim on sam się zorientował, na czym mu zależy. Był zachwycony, a jego zachwyty przerodził się w najszczerzy entuzjazm, gdy Annie przeszła razem z nim przez wszystkie pokoje, szczegółowo opisując każdy z nich i nadając powstałym w jej wyobraźni pomysłom realny wymiar.

- Jesteś zdumiewająca! - zawołał z radością.

W przeciwieństwie do Harry'ego Ebersohla, Jim nie przejmował się kosztami, pragnął tylko mieć apartament,

który zrobiłby wrażenie na jego przyjaciółach oraz kobietach, z którymi chciał się umawiać. Annie podarowała mu coś znacznie lepszego - prawdziwy dom, miejsce, w którym może czuć się naprawdę dobrze i obiecała, że apartament będzie gotowy za dziewięć miesięcy. Stali obok siebie na tarasie z widokiem na Central Park, kiedy z nieba zaczęły powoli opadać pierwsze płatki śniegu. Jim Watson miał czterdzieści pięć lat i był jednym z najbogatszych ludzi w Nowym Jorku. Z zainteresowaniem patrzył na Annie, która opowiadała mu o jego mieszkaniu, najzupełniej nieświadoma znaczenia jego spojrzeń. Każda inna niezamężna kobieta w jej wieku stawałaby na głowie, żeby go oczarować, lecz Annie zawsze traktowała klientów w sposób całkowicie profesjonalny. Jim był dla niej tylko zleceniodawcą i ani przez chwilę nie myślała o tym, że ma jacht w St. Bart oraz prywatny samolot. Interesował ją nie mężczyzna, ale jego apartament, zachowywała się przyjaźnie, ale neutralnie. Jim podejrzewał, że ma męża albo bliskiego przyjaciela, nie śmiał jednak zapytać o to.

Godzinę później pożegnała się. Obiecała, że w ciągu dwóch tygodni przyśle mu projekty i życzyła miłego Święta Dziękczynienia. Dokładnie wiedziała, na czym zależy Jimowi i co ona zamierza dla niego zrobić. Jim powiedział, że jeszcze tego samego dnia wyjeżdża do Aspen, gdzie planuje spędzić święto z przyjaciółmi. Po jej wyjściu długą chwilę stał przy oknie, patrząc na śnieg, powoli pokrywający Central Park.

Kiedy Annie dotarła wreszcie do domu, mieszkanie było puste i ciche, zupełnie inne niż w czasach, gdy dzieci jeszcze z nią mieszkały. Na podłodze w salonie nie było rozrzuconych ubrań Kate, telewizor w pokoju Teda milczał, Liz nie biegała po korytarzu z lokówką w ręku, jak zwykle

spóźniona na jakieś spotkanie i zbyt zajęta, żeby coś zjeść. W lodówce nie było wiele do jedzenia, na blacie nie stały opakowania po wegetariańskich posiłkach Kate, telefon nie dzwonił, nie słychać było roześmianych głosów młodych ludzi. Dom był sprzątnięty i pusty. Annie jeszcze nie zdążyła przyzwyczać się do tego stanu rzeczy, chociaż Kate przeprowadziła się do akademika przed trzema laty. Podejrzewała, że nigdy nie uda jej się zapełnić tej pustki. Siostra podarowała jej najwspanialszy prezent, jaki można było sobie wyobrazić, ale czas powoli go jej odbierał. Annie wiedziała, że dorastanie dzieci to naturalna kolej rzeczy, tylko że wcale jej się to nie podobało i naprawdę szczęśliwa czuła się dopiero wtedy, kiedy Liz, Ted i Katie byli w domu.

Weszła do kuchni i zaczęła przygotowania na następny dzień. Wyjęła z kredensu *talerze ze złotymi brzegami* i zostawiła je na blacie, kiedy drzwi wejściowe huknęły donośnie i ktoś rzucił w holu na podłogę ciężar, pod którym deski żałośnie jęknęły. Annie wystawiła głowę z kuchni i zobaczyła Kate, plecak i wielką torbę z książkami. Dziewczyna ostrożnie oparła o ścianę ogromną teczkę i uśmiechnęła się do Annie. Ubrana była w czarną minispódniczkę, czarny sweter z kapturem, ozdobiony szokująco różową czaszką, srebrzyste martensy, niewątpliwie kupione na jakiejś wyprzedaży, oraz rajstopy w biało-czarne paski. Wyglądała jak punkowa królowa, a jej krótkie kruczoczarne włosy sterczały we wszystkie strony. Całość ratowała jedynie śliczna, delikatna twarz. Kate jak błyskawica przebiegła przez salon i zarzuciła ramiona na szyję Annie, która przytuliła ją mocno i parsknęła śmiechem. Dla takich chwil żyła.

- Cześć, Annie! - zawołała Kate.

Jeszcze raz cmoknęła ciotkę w policzek i z rozmachem

otworzyła lodówkę. Wyraz absolutnego szczęścia na twarzy Annie mówił wszystko.

- Jak się cieszę, że jesteś! - Annie się zaśmiała. - Czy w tym tygodniu jesteś wegetarianką?

- Nie, dałam sobie z tym spokój. Za bardzo brakowało mi mięsa!
Kate chwyciła banana, usiadła przy kuchennym stole i posłała ciotce pełen miłości uśmiech.

- Gdzie reszta? - zapytała, pośpiesznie obierając owoc ze skórki i wpychając sobie prawie połowę do ust, zupełnie jakby miała pięć lat, nie dwadzieścia jeden.

- Ted powinien zaraz tu być, a Liz przyjedzie jutro, razem z Jean-Louisem...

Kate z przejęciem pokiwała głową. Wyszła na korytarz, gdzie zostawiła plecak, wyjęła z niego płytę CD i włożyła do odtwarzacza, który milczał od jej ostatniej wizyty. Z głośników popłynęły utwory grupy The Killers, zdaniem Annie niczym nie różniące się od innych płyt Kate.

- Mam nowy tatuaż, chcesz zobaczyć? Annie jęknęła żałośnie.

- Czy mogłabym zabronić ci tego prawnie, chociaż masz już dwadzieścia jeden lat? - spytała, gdy Katie podciągnęła rękaw swetra, odsłaniając kolorowego Wielkiego Ptaka z *Ulicy Sezamkowej* na przedramieniu.

- Też powinnaś sobie taki zrobić! - zakpiła Kate, w pełni świadoma, jak bardzo ciotka nienawidzi tatuaży. - Sama go zaprojektowałam, wiesz? Przygotowałam całą serię dla salonu niedaleko akademika i w nagrodę zrobili mi ten za darmo.

- Zapłaciłabym całkiem sporo, żeby ci go nie zrobili! Jak będziesz się czuła z Wielkim Ptakiem na ramieniu, kiedy skończysz pięćdziesiątkę?

- Pomyślę o tym we właściwym czasie! - Kate rozej-

rzała się po kuchni, najwyraźniej bardzo szczęśliwa, że znowu jest w domu. - Nakryję do stołu!

Annie poszła po obrus do jadalni i prawie potknęła się o leżące na środku holu książki Katie. Była zachwycona. Dom bez dzieci był zbyt uporządkowany i bezosobowy. Annie kochała bałagan, hałas, muzykę, krótko ostrzyżone włosy i srebrzyste buciorzy Kate. Właśnie za tym wszystkim tęskniła...

Pół godziny później kończyły nakrywać do stołu, gdy w progu stanął Ted ubrany w pikowaną parkę, szary sweter z golfem na suwak, dzinsy i adidasy. Ciemne włosy miał krótkie i był gładko ogolony, Ted był wysokim, przystojnym młodym człowiekiem o jasnoszarych oczach, wyglądał porządnie i schludnie i w niczym nie przypominał Katie z jej ekstrawaganckimi, zwariowanymi strojami, rzędem kolczyków w uchu oraz świeżym tatuażem. Skrzywił się, kiedy pokazała mu Wielkiego Ptaka. Dziewczyny, z którymi umawiał się Ted były zwykle jasnowłose i niebieskookie jak jego matka i ciotka. Trudno było uwierzyć, że on i Kate wychowali się w tym samym domu.

Z entuzjazmem uściskał ciotkę i natychmiast włączył telewizor, żeby przypadkiem nie przegapić końcówki meczu hokeja. Pół godziny później zamówili pizzę na kolację i zjedli ją w kuchni, śmiejąc się i gadając. Ted opowiadał o zajęciach na wydziale prawa, a Katie pokazała bratu i ciotce kilka ciekawych prac, które przywiozła w teczce. Telewizor był włączony, odtwarzacz CD także, stół nakryty. Annie z czułością patrzyła na siedzących w jej kuchni młodych ludzi i czuła, że jej świat wreszcie wygląda tak jak powinien. O północy rzeczy Katie nadal leżały w holu i w końcu Annie sama zaniósła je do pokoju siostrzenicy. Dawniej ostro skarciłaby Kate za potworny bałagan, ale teraz nie powiedziała ani słowa. Była szczęśliwa, że dzieci wróciły do domu.

ROZDZIAŁ 3

Następnego dnia Annie wstała przed świtem. Na palcach przemknęła do kuchni, przygotowała nadzienie do indyka i wstawiła wielkiego ptaka do kuchenki. Zajrzała do jadalni, gdzie poprzedniego wieczoru nakryła razem z Kate do stołu, uznała, że wszystko wygląda doskonale i przed siódmą wróciła do łóżka. Postanowiła zdrzemnąć się jeszcze trochę, zanim dzieci wstaną, zwłaszcza że w świąteczne dni Ted i Katie lubili spać do późna.

Udało się jej przespać całe dwie godziny, zanim o dziewiątej obudził ją telefon od Whitney.

- Obudziłam cię? Ty to masz szczęście! Nasi chłopcy już od dwóch godzin doprowadzają mnie do szału! Zdażyli zjeść dwa śniadania, jedno zrobili sobie sami, a drugie podałam im ja...

Annie uśmiechnęła się i przeciągnęła pod kołdrą. Gdy dzieci były w domu, sypiała znacznie lepiej niż zazwyczaj. Od dawna nie starała się nawet wyobrazić sobie, jak wyglądałoby jej życie bez nich. Whitney powtarzała jej wprawdzie, że w innej sytuacji wyszłaby pewnie za mąż i urodziła własne dzieci, lecz Annie nie była tego taka pewna. Całkiem możliwe, że gdyby jej życie ułożyło się inaczej, skoncentrowałaby się na swojej karierze. Od cza-

sów Setha na jej ścieżce nie pojawił się żaden rycerz w lśniącej zbroi. Przeżyła kilka krótkich związków, ale nie była zakochana w żadnym z tych mężczyzn i po pewnym czasie wycofywała się ze znajomości. Miała zbyt wiele obowiązków, aby poświęcić swój czas partnerowi, zresztą obecność mężczyzn w jej życiu zawsze kłóciła się z obecnością dzieci.

- Wszyscy troje są w domu? - spytała Whitney.

- Nie, tylko Ted i Katie. Liz nocuje u swojego chłopaka.

- To poważna sprawa?

Whitney bardzo pragnęła mieć córkę i szczerze zazdrościła Annie dwóch dziewczynek. Jej chłopcy myśleli wyłącznie o sporcie, a Whitney dotkliwie odczuwała brak córeczki, którą mogłaby obsypywać pieczyntami. Mimo tego nie śmiała jeszcze raz zająć w ciążę, przerażona, że zamiast wyteśczonej dziewczynki mogłaby urodzić czwartego syna i mówiła, że takie stężenie testosteronu pod jednym dachem z pewnością by ją wykończyło. Trzej synowie i mąż w zupełności jej wystarczali.

- Wygląda jak wszyscy poprzedni - odparła Annie. - Ciągłe podróżuje między Nowym Jorkiem i Paryżem, a Liz haruje jak wół, więc rzadko go widuje. Skupiła się na karierze i...

- Ciekawe, po kim to odziedziczyła... - przerwała jej Whitney żartobliwym tonem. - Dałaś dzieciakom marny przykład! Najwyższy czas, żebyś znalazła sobie faceta, to od razu dałoby im do myślenia...

- Cierpliwie wypisuję swoje imię i numer komórki na ścianach publicznych toalet, ale jakoś nikt nie dzwoni...

- To naprawdę żalosne! Fred ma kumpla, z którym chciałabym cię poznać. To bardzo miły gość, chirurg. Może przyjechałabyś do nas na sylwestra, co? Już go zaprosiliśmy...

- Sylwester to marny wieczór na randki w ciemno, poza tym nie chcę zostawiać dzieci samych.

Annie powtarzała to od lat, zupełnie jak mantrę.

- Chyba żartujesz! - prychnęła Whitney. - Dam sobie rękę uciąć, że cała trójka umówiła się już z przyjaciółmi! Nie będą chcieli siedzieć z tobą w sylwestra, w każdym razie taką mam nadzieję...

- Nie znam ich planów - powiedziała wymijająco Annie. Nie miała najmniejszej ochoty spędzić sylwestra z kimś obcym, byłoby to zbyt przygnębiające. Na przestrzeni minionych lat kilka razy umawiała się na randki w ciemno, ale z tych znajomości nigdy nic nie wychodziło. Przyjaciele zwykle przedstawiali jej większych lub mniejszych nieudaczników.

- Byłabym bardzo zaskoczona, gdyby zostali z tobą - mruknęła Whitney. - Pamiętaj, że możesz przyjechać do nas.

Whitney i Fred co roku wydawali duże przyjęcie sylwestrowe, lecz Annie nigdy dobrze się u nich nie bawiła. Wszyscy ich przyjaciele byli żonaci, oczywiście z wyjątkiem dziwaków, z którymi Whitney ją umawiała.

Annie bardzo lubiła Whitney, ale towarzyskie życie żony lekarza w New Jersey nie należało do fascynujących. Na organizowanych przez przyjaciółkę imprezach Annie zwykle czuła się jak zoologiczny okaz, i to tylko dlatego, że w wieku czterdziestu dwóch lat nadal nie była zamężna. Ludzie najzwyczajniej w świecie nie rozumieli, jak szaleńczo zajęta była przez wszystkie te lata. Teraz, kiedy dzieci dorosły, zajęła się pracą i nie miała czasu ani chęci rozglądać się za mężczyznami.

- Spełniłaś obietnicę, którą dałaś siostrze, więc teraz daj sobie chociaż trochę luzu! Przyjedź na sylwestra.

- Zadzwoń jeszcze do ciebie - odrzekła Annie.

Miała nieprzyjemne wrażenie, że Whitney nie ustąpi tak łatwo. Jej przyjaciółka zawsze twardo obstawała przy swoim.

- Kto dziś do was przyjedzie? - zagadnęła, starając się zmienić temat i odwrócić uwagę Whitney od swego nieistniejącego życia osobistego.

- Siostra Freda, jej mąż i dzieci, no i jego rodzice, jak zwykle. Bliźniaki siostry Freda obracają nasz dom w ruinę, za każdym razem! Ciesz się, że twoje dzieci są już dorosłe i cywilizowane!

- Wiele bym dała, żeby wrócić do etapu, na którym teraz jesteś - zauważyła nostalgicznie Annie.

- Po prostu zdażyłaś już zapomnieć, jak to było! Boże, ratuj mnie przed nastoletnimi chłopcami!

Obie roześmiały się pogodnie.

- W przyszłym tygodniu wpadnę do miasta na lunch - obiecała Whitney. - I naprawdę zastanów się jeszcze nad sylwestrem! To jest świetny facet, wierz mi!

- Na pewno, ale ja nie mam czasu.

Ani ochoty na randki z nudnymi jak flaki w oleju kumplami Freda. Annie nie widziała żadnego powodu, aby przypuszczać, że akurat ten będzie inny. Jeżeli miałaby się zakochać, to w kimś wyjątkowym, bo po co marnować czas. Już dawno doszła do wniosku, że woli siedzieć w domu sama niż chodzić na randki z byle nudziarzem. Na dodatek w sylwestra wszyscy starali się być okropnie zabawni i pili zdecydowanie za dużo, włącznie z Fredem. Whitney uważała swojego męża za ósmy cud świata, co naturalnie było miłe i wzruszające, lecz Annie wolała wzorować się na swojej siostrze i jej mężu, którzy do końca byli w sobie wzajemnie bardzo zakochani. Nie chciała rezygnować z tego wzorca. Często rozmawiała z dziećmi o ich rodzicach, a w domu w wielu miejscach stały fotografie Jane

i Billa. Annie dokładała wszelkich starań, aby pamięć o zmarłych była zawsze żywa.

Wstała, żeby sprawdzić, co z indykiem. Kilka minut później do kuchni wszedł Ted, jeszcze w spodniach od piżamy i T-shircie. Wyglądał jak wyrośnięty chłopiec. Miał dwadzieścia cztery lata i był bardzo przystojny podobnie jak jego ojciec.

- Potrzebujesz pomocy? - zapytał, napełniając szklanę sokiem pomarańczowym i podając ciotce.

- Na razie nie. Później możesz pokroić indyka.

- Doskonale! Jak to miło wpaść do domu. Czasami mam serdecznie dosyć mieszkania z trzema facetami, słowo daję! Straszne z nich flejtuchy!

- Więc niczym specjalnym nie różnią się od twojej siostry. - Annie uśmiechnęła się, siadając przy kuchennym stole.

- Tak naprawdę są dużo gorsi od Kate! - roześmiał się Ted.

- To musi być straszne!

Na progu kuchni stanęła młodsza siostrzenica Annie. Jej postrzępione włosy stały na sztorc, a nocna koszulka ozdobiona była wzorem z czaszek.

Annie zrobiła im jajecznicę. Podziękowali za śniadanie i pochłonęli je w błyskawicznym tempie.

- Dobrze być w domu - oświadczyła z zadowoleniem Kate.

Annie z uśmiechem przechyliła się przez stół i pocałowała dziewczynę w policzek.

- Mnie też jest z wami dobrze. Kiedy was nie ma, czuję się tu jak w grobie...

- Powinnaś poznać jakiegoś faceta - zdecydowanym tonem zdiagnozowała sytuację Kate.

- Zupełnie jakbym słyszała Whitney. - Annie przewró-

ciła oczami. - A właśnie, miałam przekazać wam pozdrowienia od niej.

- Pozdrów ją od nas - powiedziała Kate.

Anie zauważyła, że na drugim ramieniu Kate wytatuowała sobie Dzwoneczka.

- Co to właściwie ma być? - Ted obrzucił siostrę dobrze jej znanym, pełnym dezaprobaty spojrzeniem. - Pean na cześć Disneya?

- Zazdrościsz mi tego tatuażu i tyle! - Kate wstawiła talerz do zmywarki. - Annie też powinna zrobić sobie jeden albo dwa! Zupełnie zmieniłoby to jej wizerunek.

- Co jest nie tak z moim wizerunkiem? - zdziwiła się Annie. - Poza tym taki tatuaż wystraszyłby mi klientów...

- Padliby z wrażenia i zachwytu, mówię ci! - zapewniła ją Kate. - Nie słuchaj tego tu Pana Czyścioszka, on w ogóle nie ma pojęcia, co to styl! Jeśli chodzi o modę, zatrzymał się na etapie lat pięćdziesiątych i ani drgnie!

- To chyba lepsze niż przegląd postaci z kreskówek na twoich ramionach. Co teraz każesz sobie wytatuować, Kopciuszka czy Królową Śnieżkę?

- Powinnam zafundować sobie orła na piersi... - Annie udała, że się zastanawia.

Kate posłała jej szeroki uśmiech.

- Jeśli chcesz, zaprojektuję ci taki tatuaż. Mogłabyś też strzelić sobie motyla na plecach! W zeszłym tygodniu zaprojektowałam pięknego motylka dla salonu tatuażu i wiem, że dwie osoby już go zamówiły.

- To ci dopiero ambicje zawodowe! - rzucił sucho Ted. -Projektantka tatuaży, proszę bardzo! Założę się, że mama i tata byliby zachwyceni!

- Co ty tam wiesz! - Kate skrzywiła się z rozdrażnieniem. - A może uznaliby, że studia na wydziale prawa to nudziarstwo? Mieli dużo więcej ikry niż ty, stary!

- Byliby dumni z was obojga - wtrąciła się Annie, polewając indyka sosem. - Chyba powinniśmy się już ubrać.

Dochodziła jedenasta.

- Nie ma pośpiechu - zauważyła Kate. - Liz spóźni się co najmniej godzinę i będzie udawała bardzo zdziwioną, jak zwykle.

- Ma dużo pracy. - Annie stanęła w obronie starszej siostrzenicy.

- Nie używa zegarka - rzekł Ted. - Kogo tym razem przyprowadzi?

- Fotografa, z którym ostatnio się umawia, Jean-Louisa.

- Ach, żabojada! Może obejrzy ze mną mecz...

- Prawdziwy szczęściarz z niego! - zakpiła z brata Kate. - Futbol to sport dla buraków, nieprawdaż?

Ted przez chwilę mierzył ją wściekłym spojrzeniem, lecz w końcu parsknął śmiechem. Katie wiedziała, jak najskuteczniej mu dogryźć, odkąd nauczyła się mówić i teraz też z przyjemnością praktykowała tę umiejętność.

Kilka minut później wszyscy troje rozeszli się do swoich pokoi, a o dwunastej znowu spotkali się w kuchni. Ted miał na sobie szare spodnie, rozpinany sweter i krawat, i zdaniem Annie był wzruszająco podobny do ojca. Katie wyglądała jak trochę bardziej uroczyście ubrana wersja samej siebie. Włożyła czarną skórzaną spódniczkę mini, obszyty futrem czarny sweter, który kupiła jej Annie, czarne rajstopy i buty na wysokim obcasie; wyzłowała włosy, aby sterczały bardziej niż zwykle i umalowała się, co robiła raczej rzadko. Była śliczna i wierna swojemu bardzo indywidualnemu stylowi. Annie zdecydowała się na mięciutką brązową krótką sukienkę z kaszmiru i szpilki.

Dochodziła już pierwsza, kiedy Liz wreszcie przysłała, ubrana w czarne skórzane spodnie, biały żakiet od Chanel i pantofle na niebotycznie wysokich obcasach. Jasne włosy

ściągnęła w gładki kok, a w uszy wpięła małe, błyszczące kolczyki z brylantami, które pożyczyła po ostatniej sesji zdjęciowej. Mężczyzna, który wszedł za nią do mieszkania, wyglądał jak bezdomny, który spędził na ulicy co najmniej parę tygodni. Miał na sobie podarte tenisówki, dziurawe džinsy oraz nie mniej dziurawą czarną bluzę z kapturem. Nosił brodę, a potargane włosy byle jak związał w kucyk. Wkroczył do kuchni z całkowicie spokojnym uśmiechem i wręczył Annie duży bukiet. Maniery miał nienaganne, natomiast pod względem wyglądu w ogóle nie pasował do Liz, pięknej i wyrafinowanej eleganckiej. Wyraźny francuski akcent Jean-Louisa dodawał mu uroku. Ucałował Annie i Kate w oba policzki i potrząsnął ręką Teda. Był miły i czarujący, więc wszyscy bardzo szybko zapomnieli, że wygląda jak rozbitek po długim pobycie na bezludnej wyspie. Był jednym z najpopularniejszych młodych francuskich fotografów, z którego usług bardzo chętnie korzystały wszystkie wielkie magazyny mody, także amerykańskie. Nie zwracał najmniejszej uwagi na swój wygląd, a Liz sprawiała wrażenie zupełnie szczęśliwej w jego towarzystwie. Annie wołałaby oczywiście, aby jej siostrzenica nie zdradzała wyraźnej słabości do mężczyzn, którzy wyglądali jak Jean-Louis, ale nie miała w tej kwestii nic do powiedzenia. Wszyscy stali w kuchni, czekając, aż Ted pokroi indyka. Kiedy zajęli miejsca przy stole w jadalni, Kate zapaliła świece, a Liz i Annie wniosły jedzenie. Była to prawdziwa uczta i zanim wreszcie wstali, prawie nie mogli się ruszać.

- To chyba najlepszy obiad z okazji Święta Dziękczynienia, jaki kiedykolwiek zrobiłaś - pochwalił Ted.

Annie uśmiechnęła się do niego. Indyk rzeczywiście był doskonały. W ciągu spędzonych z dziećmi lat udoskonalila swoje zdolności kulinarne, głównie metodą prób i błędów.

Ted odwrócił się do Jean-Louisa i zaproponował mu wspólne oglądanie meczu. Młody fotograf był tylko kilka lat starszy od Teda, ale dużo bardziej doświadczony. Przy obiedzie opowiadał im o swoim pięcioletnim synku. Nie ożenił się z matką chłopca, mieszkał z nią jednak dwa lata, a po rozstaniu pozostali przyjaciółmi. Mówił, że stara się jak najczęściej widywać z synem i planuje spędzić z nim Boże Narodzenie. Liz miała się spotkać z nim drugiego dnia świąt. Po Nowym Roku robiła w Paryżu dużą sesję zdjęciową z biżuterią w roli głównej i na świąteczny tydzień zamierzała zatrzymać się u Jean-Louisa. Annie z zaciekawieniem przyjęła wiadomość, że Jean-Louis ma synka i zastanawiała się, jak odbiera to Liz, lecz jej siostrzenica najwyraźniej nie widziała w tym żadnego problemu. Nie mogła oprzeć się wrażeniu, że Liz nie jest chyba wystarczająco dojrzała emocjonalnie, aby angażować się w związek z mężczyzną z dzieckiem, ale z drugiej strony dziewczyna była przecież dość dorosła, by zaryzykować. Annie nie była pewna, czy coś z tego wyjdzie, zwłaszcza że Liz raczej nie traktowała Jean-Louisa poważniej niż jego poprzedników i on także nie odnosił się do niej ze szczególnym oddaniem, chociaż flirtował z nią z nieukrywaną przyjemnością, a po obiedzie całował ją namiętnie w kuchni. Annie podejrzewała, że ich związek opiera się na seksie i przyjemności, jaką czerpali ze swego towarzystwa. Patrząc na Liz i Jean-Louisa, poczuła się naprawdę staro i przez głowę przemknęła jej myśl, że Whitney może miała rację - swoje życie emocjonalne odłożyła na półkę i prawie o nim zapomniała, ponieważ tak było łatwiej. Te gry i zabawy były udziałem młodości, z której Annie zrezygnowała, aby zostać zastępczą matką dzieci swojej siostry. Teraz także uważała, że dokonała właściwego wyboru i niczego nie żałowała.

Ted i Jean-Louis poszli oglądać telewizję w salonie. Młody Francuz z entuzjazmem zachwalał zalety europejskiej piłki nożnej, ale chętnie obserwował też amerykańską wersję tego sportu. Obaj co jakiś czas na zmianę pokrzykiwali i gwizdali przed telewizorem, podczas gdy trzy kobiety sprzątały po obiedzie. Gdy Liz powiedziała ciotce i siostrze, że Jean-Louis jest bardzo miły, Kate zgodziła się i pochwaliła jego styl ubierania się, natomiast Annie zauważyła, że jej zdaniem jest trochę zbyt niedbały, chociaż niewątpliwie zgodny z obowiązującą modą. Widywała przyjaciół Liz wystarczająco często, aby wiedzieć, co w tej chwili jest modne, i wygląd towarzyszących siostrzenicy młodych ludzi już dawno przestał ją zadziwiać, wołała jednak sportowy styl Teda.

Trzy kobiety stały w kuchni i rozmawiały, a gdy skończyły, skończył się też mecz. Jean-Louis oświadczył, że jeszcze nigdy nie jadł tak wspaniałego obiadu i podbił serce Katie, podziwiając jej tatuaże.

Wszyscy zgodzili się, że tegoroczne Święto Dziękczynienia było wyjątkowo udane. Jean-Louis wyraźnie cieszył się ciepłą atmosferą rodzinnego domu Liz i wzruszył Annie, gdy powiedział, że jej siostrzenica jest cudowną młodą kobietą. Nie ulegało wątpliwości, że Liz zajmuje ważne miejsce w jego życiu. Wszyscy byli nim oczarowani.

Kiedy Liz i Jean-Louis wyszli, Annie, Kate i Ted obejrzeli film na DVD i wreszcie koło północy poszli spać.

Kilka minut później Annie zajrzała do Kate, aby życzyć jej dobrej nocy i ze zdziwieniem zobaczyła ją jeszcze w ubraniu, leżącą na łóżku i rozmawiającą przez telefon. Dziewczyna robiła wrażenie ożywionej i szczęśliwej, i Annie wycofała się dyskretnie. Zapukała do Teda, który ucałował ją i podziękował za wspaniałe Święto Dziękczynienia. Nie ukrywał zadowolenia, że jest w domu. Gdy Annie

wróciła do Kate, ta nie rozmawiała już i miała bardzo tajemniczy wyraz twarzy.

- Nowy romans? - zagadnęła Annie.

Nie chciała się wtrącać, starała się jednak wiedzieć, co dzieje się w życiu dzieci. Kate odwróciła wzrok i lekko skinęła głową.

- Może...

- Znam go?

- Nie. To ktoś z mojej szkoły nic ważnego.

Mimo tego zapewnienia oczy Kate mówiły coś zupełnie innego. Zawsze była zamknięta w sobie i miała skłonność raczej do poważnych niż przelotnych związków. Przez całą szkołę średnią chodziła z jednym chłopakiem, rozstali się jednak, gdy on wyjechał do college'u na Zachodnim Wybrzeżu. W ciągu ostatnich trzech lat Kate nie traktowała żadnego młodego człowieka poważnie, lecz teraz Annie miała przeczucie, że sytuacja może ulec zmianie. Kiedy Katie pocałowała ciotkę na dobranoc, jej oczy były rozmarzone i pogodne.

- To było naprawdę szczęśliwe Święto Dziękczynienia -powiedziała Annie i ucałowała siostrzenicę.

Kate tylko uśmiechnęła się w odpowiedzi.

ROZDZIAŁ 4

Annie musiała od nowa przywyknąć do pustego domu, gdy jej siostrzenice i siostrzeniec wrócili do siebie po świątecznym weekendzie, ale działało się tak już od paru lat. Dom wydawał jej się teraz podobny do grobowca i jedyną pociechą była dla niej świadomość, że dzieci zjawiają się znowu na Boże Narodzenie, od którego dzielił ją tylko miesiąc. Dzieci Jane przez tyle lat stanowiły centrum oraz główny cel jej życia, że nie mogła się doczekać, kiedy znów będą razem. Przyznawała się do tego z wielkimi oporami, nawet w rozmowach z Whitney, ale tak właśnie było. W poniedziałkowy ranek z najprawdziwszą ulgą wróciła do pracy. Tego dnia czekały ją cztery spotkania z klientami oraz wizyty na dwóch budowach, w domu była więc dopiero po ósmej wieczorem. Śmiertelnie zmęczona, zajrzała tylko do planów i notatek zrobionych w czasie spotkań, wzięła kąpiel i poszła do łóżka. Nie miała nawet siły, aby tęsknić za dziećmi, machnęła ręką na kolację i prawie nie zauważyła ciemnych pokoi i panującej w mieszkaniu ciszy. Intensywna praca była narkotykiem, którym zawsze zwalczała samotność i ból.

Poniedziałek po Świącie Dziękczynienia był bardzo pracowitym dniem także dla Liz. Miała ważną sesję zdjęciową do marcowego wydania, na którą wcześniej ściągnęła interesujące sztuki biżuterii z całego świata. Tematem była „Wiosna”, więc wszystkie ozdoby, które zamierzała wykorzystać, miały motywy kwiatowe bądź roślinne. Liz współpracowała z jubilerami, którzy regularnie reklamowali swoje wyroby w „Vogue”, nawiązała też kontakty z nowymi projektantami. Drogocennych ozdób strzegło trzech uzbrojonych strażników, a do zdjęć pozowały cztery z najbardziej popularnych modelek na świecie. Jedna zgodziła się pozować nago, dosłownie zasypana klejnotami, a fotograf, którego zatrudnili, również należał do szczególnie rozchwytywanych.

Jean-Louis wpadł na plan, kiedy skończył własne zdjęcia. Liz i jej zespół pracowali do późna.

- Niezła scenografia - rzucił z podziwem, stając obok Liz.

Liz miała na sobie czarne legginsy i zwyczajny T-shirt, długie jasne włosy ściągnęła w koński ogon, była nieumalowana i nie włożyła sandałów na bardzo wysokim obcasie, które projektanci od Givenchy zrobili specjalnie dla niej. Wyglądała na zmęczoną i zestresowaną. Zdjęcia zaczęły się o ósmej rano, lecz Liz już o szóstej była w studio fotografa, aby omówić szczegóły. Zwykle zlecała dogranie takich spraw swoim asystentom, ale biżuteria, którą zamierzali wykorzystać, miała tak wielką wartość, że tym razem wołała dopilnować wszystkiego osobiście. Jean-Louis objął ją i pocałował. Byli ze sobą już od paru miesięcy, z częstymi przerwami, ponieważ mieszkali w innych miastach i krajach i ciągle podróżowali. Przynajmniej raz lub dwa w miesiącu starali się spotykać w Paryżu lub Nowym Jorku. Na razie ten układ nienajgorzej się spraw-

dzał, poza tym żadne z nich nie mogło poświęcić więcej czasu rozwijającemu się związkowi. Oboje robili karierę i mieli bardzo ambitne plany.

Wielkim marzeniem Liz było objęcie stanowiska redaktorki naczelnej „Vogue”, doskonale zdawała sobie jednak sprawę, że stanie się to realne dopiero za wiele lat. Najpierw musiała ugruntować swoją pozycję jako wybitna redaktorka. Artykuły, nad którymi obecnie pracowała, stanowiły klucz do sukcesu. Jean-Louis także z powodzeniem pisał się po szczeblach kariery, ale miał bardziej zrelaksowane podejście do pracy. Powtarzał jej, że ona traktuje życie zbyt poważnie, lecz Liz zawsze taka była. Po prostu pewnej wrześniowej niedzieli, kiedy miała dwanaście lat, życie stało się dla niej bardzo poważne i od tej pory przeżywała wszystko w niezwykle intensywny sposób. I nigdy się nie rozluźniała. Nie traktowała niczego jako oczywistości i do nikogo się nadmiernie nie przywiązywała.

Jedynymi osobami, bez których rzeczywiście nie mogłaby żyć, byli jej brat, siostra oraz ciotka. Mężczyźni, z którymi się wiązała, przychodzili i odchodzili. Jean-Louis już kilkakrotnie zarzucał jej, że jest chłodna i pełna dystansu. Nazywał ją „Lodową Księżniczką”. Liz uważała, że to nieprawda, lecz mężczyźni faktycznie traktowała w dość chłodny sposób. Nietrudno było zrozumieć, skąd się to wzięło. Powiedziała mu, że jako dziecko straciła rodziców, nie wdawała się jednak w detale. Nie mówiła mu o nękających ją później nocnych koszmarach, o latach terapii, dzięki której przetrwała rozpacz po ich stracie. To nie była jego sprawa. Liz oczekiwała od Jean-Louisa jedynie dobrej zabawy i podobało jej się, że pracują w tej samej dziedzinie. Mężczyźni, z którymi się spotykała, zawsze mieli jakiś związek z modą. Inni ludzie nie rozumieli szalonego świata, w którym żyła, ani tym bardziej jej namiętnego stosunku do

pracy. Jej ciotka Annie w identyczny sposób odnosiła się do tego, co robiła, i stała się wzorem dla dorastającej Liz. Annie poradziła dziewczynie, aby w żadnych okolicznościach nie rezygnowała ze swoich marzeń i robiła wszystko, co w jej mocy, by dobrze wykonywać swój zawód. Liz od początku starała się postępować zgodnie z tą zasadą i w rezultacie cieszyła się dużym szacunkiem w świecie mody. Jej pomysły były nowatorskie, świeże i śmiałe.

Dochodziła już północ, gdy zrobili ostatnie zdjęcie, powitane gromkimi okrzykami radości. Wszyscy cieszyli się, że długi dzień pracy wreszcie dobiegł końca, a zdjęcia naprawdę zapowiadały się fantastycznie.

Jean-Louis wcześniej pojechał do siebie, a Liz obiecała dołączyć do niego, minęła jednak jeszcze prawie godzina, zanim z dwoma asystentkami zapakowała biżuterię i oznaczyła pudła. Do mieszkania Jean-Louisa dotarła ostatecznie o drugiej w nocy. Czekał na nią, popijał wino i słuchał muzyki. Liz otworzyła drzwi zapasowym kluczem, który zawsze leżał za gaśnicą w korytarzu. Jean-Louis trzymał go tam, ponieważ wiecznie gubił klucze. Połowa modelek w Nowym Jorku wiedziała, gdzie go znaleźć, lecz teraz z klucza korzystała tylko Liz. Nie przeszkadzało jej, że spędzają ze sobą mało czasu; najbardziej zależało jej na tym, aby byli tylko ze sobą, aby żadne z nich nie sypiało z nikim innym i Jean-Louis przystał na ten warunek, chociaż nie czuł potrzeby składania długoterminowych zobowiązań. Zwykle, gdy miał ochotę na nową kobietę, po prostu odchodził, ale w tej chwili ani on, ani Liz nie pragnęli nikogo innego. Annie uważała, że młody Francuz nie jest odpowiednim partnerem dla jej siostrzenicy, lecz Lizzie była w pełni usatysfakcjonowana. Jean-Louis idealnie pasował do jej wspaniałego, szybko zmieniającego się świata, a jemu także było z nią dobrze.

Stał nago przy oknie, gdy weszła. Przywitał ją uśmiechem i podał kieliszek wina. Kiedy przytuliła się do niego, szybko uległ pożądaniu i zsunął z niej cienką warstwę ubrań. Delikatnie ułożył ją na kanapie i zaczął namiętnie pieścić. Gdy skończyli się kochać, oboje z trudem chwytali oddech, znużeni i nasyceni.

- Doprowadzasz mnie do szaleństwa... - westchnął z zadowoleniem. Liz przesunęła smukłym placem po jego brodzie i szyi, niespiesznie musnęła dłonią klatkę piersiową i twarde brzuch.

- Przestań... - uśmiechnął się, chwytając jej rękę. - Umrę, jeżeli będziemy kochać się jeszcze raz...

- Nie umrzesz - odszepnęła i pocałowała go w to najważniejsze ze wszystkich miejsce.

Oboje ciężko pracowali, wciąż im brakowało czasu i może właśnie dlatego seks miał dla nich tak wielkie znaczenie. Powietrze między nimi nadal przesiąknięte było atmosferą podniecenia, tajemnicy i głodnego pożądania, co podsycalo ogień namiętności. Jean-Louis nigdy nie powiedział Liz, że ją kocha, a ona nigdy się nie zastanawiała, czy on darzy ją głębszym uczuciem. Tak czy inaczej, nie była gotowa na miłość, ani teraz, ani nigdy wcześniej. Zależało jej na nim, lubiła go i cieszyły ją spotkania, miała jednak dwadzieścia osiem lat i dobrze wiedziała, że jeszcze nigdy nie była zakochana. Coś zawsze powstrzymywało ją przed głębszym zaangażowaniem. Lęk przed stratą. W takiej sytuacji jak obecna nie miała nic do stracenia - gdyby Jean-Louis ją zostawił, brakowałoby jej głównie i przede wszystkim wspaniałego seksu. Tęskniłaby za nim przez jakiś czas, jasne, ale nigdy więcej nie chciała przeżywać straszliwego bólu prawdziwej i nieodwracalnej straty, i robiła wszystko, aby tego uniknąć. Rodzaj związku, o jaki jej cho-

dziło, nazywała „intymnością bez cierpienia”, ale jej terapeutica twierdziła, że czegoś takiego po prostu nie ma. Bez bólu nie ma prawdziwej bliskości ani miłości, mówiła. Nie ma miłości bez ryzyka, powtarzała, a przecież Liz właśnie dlatego nigdy nie odważyła się pokochać żadnego mężczyzny. Wiązała się z kimś, lecz nie chciała, aby ten człowiek do niej należał, a kiedy związek przestawał się jej podobać lub stawał się zbyt bliski, co często było ze sobą związane, odchodziła. Jej emocjonalny chłód stanowił wyzwanie dla większości mężczyzn, nie wyłączając Jean-Louisa. Chcieli osiąść Liz i sprawić, aby się w nich zakochała, ale Liz im nie ulegała. Zastanawiała się, czy kiedyś w końcu jednak się zakocha, czy też ta część jej osobowości, otwarta i gotowa podjąć ryzyko, umarła wraz z jej rodzicami.

- Szaleję za tobą - powiedział Jean-Louis, kiedy znowu zaczęli się kochać w blasku świec.

- A ja za tobą - odparła cicho.

Jasne włosy opadły jej na twarz jak zasłona, pomiędzy gładkich pasem patrzyło na niego tylko jedno duże niebieskie oko. Była zadowolona, że nie mówił o miłości. Jean-Louis nie był w niej zresztą zakochany. Lubił ją i pożądał, i to całkowicie jej wystarczało. Przywarła wargami do jego ust. Później zasnęli na kanapie, mocno objęci. Kiedy świece zgasły, Liz oparła głowę na piersi Jean-Louisa i spokojnie westchnęła przez sen. Poświęteczny poniedziałek Teda zdecydowanie nie należał do najszcześniejszych. Był to jeden z tych dni, kiedy wszystko układa się źle. W domu zakrecono zawór z wodą z powodu usterki, nie zdążył więc wziąć prysznic. Współ-lokatorzy Teda zużyli całą kawę i nie pomyśleli o kupieniu nowego opakowania. Spóźnił się na dwa autobusy, potem

na metro i w rezultacie na zajęcia. Asystentka profesora oddała grupie testy sprzed tygodnia i Ted dostał bardzo marny stopień. Siedzący obok niego kolega cierpiał na niestrawność, więc zanim zajęcia dobiegły końca, Ted był w paskudnym nastroju, i przez złą ocenę, i zepsute powietrze, którym musiał oddychać.

Z ponurym wyrazem twarzy wychodził właśnie z sali, kiedy asystentka przywołała go ruchem ręki. Wykładowca, który prowadził ten przedmiot, wziął urlop naukowy na pisanie książki i to ona przejęła na rok jego obowiązki. Nazywała się Pattie Sears i była bardzo atrakcyjna. Miała długie kręcone włosy, nosiła džinsy, chodaki i dość obcisłe T-shirty, które uwydatniały jej biust. Ted zwrócił na to uwagę, gdy nudził się na zajęciach. Pattie Sears wyglądała najwyżej na trzydzieści parę lat, a jej seksapil był ciepły i naturalny.

- Przykro mi, że test tak marnie ci poszedł - powiedziała ze współczuciem. - Kontrakty to prawdziwe skur-wysyństwo...

Ted uśmiechnął się, nie kryjąc rozbawienia jej oceną.

- Sama oblałam tę część prawa przy pierwszym podejściu - ciągnęła. - Niektóre zasady wydają się zwyczajnie bezsensowne!

- Raczej tak - przytaknął Ted. - Uczyłem się do testu, ale najwyraźniej muszę przeczytać te rozdziały jeszcze raz.

Zawsze miał dobre stopnie, nie licząc, oczywiście, tego kolokwium. Był teraz na drugim roku studiów magisterskich wydziału prawa Uniwersytetu Nowojorskiego.

- Potrzebujesz pomocy? Czasami lepsze wyniki osiąga się dzięki powórzaniu materiału z kimś, kto może wskazać ci ważne punkty. Mogłabym przelecieć z tobą notatki i podręcznik, to żaden problem. Uprzedziła grupę, że w następnym tygodniu zrobi im

kolejny test, i Tedowi bardzo zależało, żeby nie dostać drugiej złej oceny.

- Nie chcę sprawiać kłopotów... - wymamrotał z zażenowaniem.

Pattie włożyła grubą kurtkę i wełnianą czapkę. Była bardzo sympatyczna i przyjaźnie nastawiona do ludzi. Ted bez trudu wyobraził sobie tę młodą kobietę rąbiącą drewno i rozpalającą ogień w kominku gdzieś w Vermont, albo gotującą pyszną zupę.

- Przeczytam wymagane rozdziały i jeżeli zorientuję się, że czegoś nie rozumiem, poproszę o pomoc po następnych zajęciach - powiedział.

- Może po prostu wpadniesz do mnie dziś wieczorem? - zaproponowała.

Patrzyła na niego ciepło, ze zrozumieniem. Ted się zawahał. Wiedział, że teraz odrzucenie propozycji zakrawałoby na grubą nieuprzejmość. Nie chciał, by pomyślała, że nie docenia jej gestu, wydawało mu się jednak trochę dziwne, że zaprasza go do domu. Wcześniej nigdy nie rozmawiali ze sobą poza zajęciami.

- Moje dzieciaki zwykle o ósmej już śpią, więc dziewiąta bardzo mi odpowiada. Powtórzmy cały materiał do kolokwium w godzinę i będziesz miał to z głowy. Podpowiem ci, które rzeczy są szczególnie ważne w kontraktach, to powinno znacznie ułatwić ci naukę.

- Dobrze... - odparł niepewnie.

Nie chciał zakłócać jej prywatnego życia, ale ona już podała mu kartkę z zapisanym adresem. Zorientował się, że mieszka w East Village, niedaleko uczelni, w dość zaniedbanej okolicy.

- Na pewno nie sprawię kłopotu? - spytał, czując się trochę jak dziecko.

Pattie wydała mu się bardzo macierzyńską osobą, chociaż najprawdopodobniej była niewiele starsza od niego.

- Postaram się, żeby nie trwało to długo - obiecał.

- Nie wygłupiaj się! Kiedy dzieci są już w łóżku, mam sporo czasu dla siebie!

Ted skinął głową i podziękował jeszcze raz. Od tej chwili dzień potoczył się trochę lepiej. Przyjął propozycję Pattie z wahaniem, ale także z ulgą, ponieważ wiedział, że z tego przedmiotu rzeczywiście potrzebuje pomocy. Poszedł na jeszcze jedno zajęcia, potem uczył się w bibliotece i wreszcie wstąpił na kolację do baru. Pod domem Pattie znalazł się pięć minut przed czasem, a ponieważ na dworze było bardzo zimno, wszedł do środka. Budynek śmierdzał moczem, kapustą i kotami. Szybko wbiegł na drugie piętro, przeskakując po dwa stopnie. Uświadomił sobie, że Pattie na pewno nie zarabia dużo i zaczął się zastanawiać, czy nie powinien zaoferować jej zapłaty za pomoc w przygotowaniu do testu, nie chciał jej jednak urazić.

Zadzwoił do drzwi i usłyszał głośny śmiech dzieci, które najwyraźniej nie poszły jeszcze spać. Pattie otworzyła mu, ubrana w różowy sweter z dekoltem w serek i džinsy. Była boso, a z rozpuszczonymi jasnymi włosami wyglądała jeszcze młodziej niż na zajęciach. Stojąca obok niej mała dziewczynka była do niej bardzo podobna, miała takie same jasne loki i duże błękitne oczy.

- To jest Jessica. - Pattie z uśmiechem przedstawiła Tedowi córeczkę. - Nie chce iść spać, bo po kolacji zjadła mnóstwo ciasteczek i teraz jest na cukrowym haju.

Jessica miała siedem lat i była najbardziej uroczym dzieckiem, jakie Ted kiedykolwiek widział. Rozmawiał z nią kilka minut, uśmiechając się do jej brata, Justina, który co chwila przebiegał obok nich „z ponaddzwiękową prędko-

ścią". Chłopiec miał na pizamie pelerynę Supermana, natomiast Jessika ubrana była w koszulę nocną z różowej, mocno spranej faneli.

- To moja ulubiona koszulka - wyjaśniła Tedowi, wchodząc za nim i matką do salonu.

Justin długim skokiem pokonał kanapę i z głośnym stukotem wylądował na podłodze.

- No, dobrze, dzieci, na was już czas! Ted i ja musimy się trochę pouczyć, dlatego w ogóle nie interesuje mnie, ile zjedliście ciastek, jasne?

Było już po dziewiątej. Salon wyglądał jak po przejściu trąby powietrznej, wszędzie leżały porozrzucone zabawki. Mieszkanie było nieduże, z dwoma sypialniami, salonem, kuchnią i łazienką. Pattie zdążyła powiedzieć Tedowi, że jest to budynek komunalny i czynsz kontroluje urząd miasta. Administracja uniwersytetu znalazła dla niej to mieszkanie, za co była naprawdę wdzięczna. Opiekunka do dzieci, z której usług Pattie korzystała po rozwodzie z mężem, mieszkała piętro niżej, więc młoda matka całkiem nieźle sobie radziła.

Obiecała Tedowi, że ułoży dzieci do snu i za pięć minut wróci, ale ostatecznie zajęło to pół godziny. W tym czasie Ted dokładnie przejrzał rozdziały o kontraktach w podręczniku i ułożył listę pytań do Pattie.

Kiedy wreszcie się zjawiała, włosy okalały jej twarz miękkimi lokami, a policzki były zaróżowione po zabawie z dziećmi.

- Czasami po prostu nie chcą iść spać - wyjaśniła. - Święto Dziękczynienia spędzili z ojcem. W jego domu nie ma żadnych zasad, którym musieliby się podporządkować, więc po ich powrocie zawsze przeżywamy kilka zwariowanych dni. A gdy już się uspokoją i otrzeźwieją, znowu jadą do niego! Rozwód to trudna sprawa dla dzieci.

Usiadła obok Teda i przebiegła wzrokiem jego pytania. Były inteligentne i sensowne. Jasno i wyczerpująco odpowiedziała na wszystkie, pokazała mu parę przykładów i przekartkowała książkę, aby zaznaczyć, czego koniecznie powinien nauczyć się na pamięć. Wytłumaczyła kilka ważnych dla niego kwestii i wróciła do niektórych punktów. Godzinę później Ted wyprostował się z westchnieniem prawdziwej ulgi.

- Teraz wszystko wydaje mi się całkiem proste - powiedział z podziwem. Pattie była dobrą nauczycielką, podobał mu się jej styl. Miała otwartą, serdeczną osobowość, była inteligentną osobą i przykładną matką, w każdym razie takie zrobiła na nim wrażenie. Kiedy tak siedziała z podwiniętymi nogami i uśmiechała się do niego, wyglądała jak Matka Ziemia. Miała piękne, zmysłowe ciało, poruszała się lekko i z gracją, pewnie dlatego, że, jak zwierzyła się Tedowi, od lat uprawiała jogę. Czasami udzielała też prywatnych lekcji jogi i w ogóle robiła wszystko, aby związać koniec z końcem. Jej były mąż był malarzem i nie stać go było nawet na alimenty, więc Pattie dźwigała niezły ciężar na swoich smukłych barkach. Ted szczerze podziwiał ją za otwartość i odwagę. Nie powiedziała ani jednego złego słowa o eks-mężu, wydawała się brać życie takim, jakim było, no i naprawdę bardzo mu pomogła. Wciąż myślał o tym, że chyba powinien zaproponować jej jakieś wynagrodzenie za tak potrzebną mu lekcję z prawa kontraktowego, nie wiedział jednak, jaką kwotę mógłby zaoferować i w jaki sposób to zrobić, aby nie sprawić jej przykrości.

Miał właśnie wstać i pożegnać się, kiedy Pattie zapytała, czy ma ochotę na kieliszek wina. Zawahał się znowu, niepewny, co robić. W jej obecności czuł się jak nastolatek, zbity z tropu i trochę zawstydzony, więc na wszelki wypadek

przyjął zaproszenie. Pattie napełniła dwa kieliszki niedrogim hiszpańskim czerwonym winem.

- Jest zupełnie niezłe, biorąc pod uwagę cenę - oświadczyła.

Ted kiwnął głową. Wino było całkiem dobre, a towarzystwo Pattie niezwykle przyjemne. Wyciągnął długie nogi pod stolikiem do kawy. Pattie otarła się o niego, stawiając swój kieliszek na blacie i posłała mu szeroki uśmiech.

- Jesteś chyba bardzo młodym studentem, prawda? - zauważyła ciepło. - Zrobiłeś licencjat zaraz po college'u?

Oboje wiedzieli, że zdarzało się to raczej rzadko. Większość studentów prawa pracowała przez parę lat przed rozpoczęciem studiów.

- Nie takim znowu młodym - odparł Ted. - Mam dwadzieścia cztery lata. Dwa lata pracowałem jako asystent w kancelarii prawniczej. Bardzo przypadło mi to do gustu i przekonało, że poważnie chcę zająć się prawem.

- Ja pracowałam podczas studiów dla rodzinnego doradcy prawnego i to przekonało mnie, że wolę uczyć. Nigdy nie chciałabym brać na siebie tego rodzaju odpowiedzialności, mieszać ludziom w życiu i podejmować za nich decyzje.

- Chcę zostać prokuratorem federalnym - powiedział Ted, pół żartem, pół serio.

- To bardzo ciężki zawód. Ja mam dopiero trzydzieści sześć lat, ale zależy mi tylko na tym, żeby być szczęśliwą i przestać się martwić, z czego zapłacę czynsz. - Pattie pociągnęła duży łyk wina.

Ich oczy spotkały się nad kieliszkiem i Ted nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że spojrzenie Pattie jest gorące jak rozpalony węgiel. Nie miał pojęcia, co takiego drzemie w jej oczach, podziałało to jednak na niego jak hipnoza. Wzrok Pattie mówił mu, że posiada jakąś odwieczną ta-

jemnicę i chce się nią z nim podzielić. Różnica wieku rozviała się jak mgła w ciepłych promieniach słońca.

Milczeli długą chwilę i Ted właśnie zamierzał jeszcze raz podziękować za pomoc, gdy nagle Partie bez słowa wychyliła się ku niemu, otoczyła jego szyję ramieniem i przyciągnęła go do siebie. Pocałowała go, a on poczuł, że jego wargi, ciało i dusza płoną żywym ogniem. Nigdy dotąd nie zdarzyło mu się coś takiego. Próbował się cofnąć, ale nie potrafił, zupełnie jakby był pod wpływem narkotyku. Tym narkotykiem była Partie i Ted nie mógł się nią nasycić. Kiedy w końcu odsunęli się od siebie, natychmiast zapragnął znowu się do niej zbliżyć. Wsunął rękę pod jej sweter i dotknął piersi. Wyglądało na to, że Pattie nie ma nic przeciwko temu, bo jej dłoń bez wahania spoczęła na jego kroczu. Przez głowę Teda przemknęła myśl, że chyba oszalał, lecz Pattie uśmiechnęła się do niego, przylgnęła piersiami do jego piersi i znowu go pocałowała. - Co z dziećmi? - spytał, sięgając do suwaka dzinsów Pattie i łakomie rozgniatając jej wargi pocałunkiem.

Niepokój o jej dzieci był ostatnim przejawem trzeźwego myślenia, na jaki się zdobył.

- Śpią - odszepnęła.

Ted uświadomił sobie, że z drugiego pokoju już od dłuższego czasu nie dobiegają żadne odgłosy. Dzieci wreszcie się zmęczyły, natomiast on i Pattie obudzili się do życia, oboje w tej samej chwili, zupełnie jakby jakieś elektryczne urządzenie przyciągnęło jedno do drugiego. Ted nie potrafił oderwać dłoni od rozpalonej skóry Partie, która teraz jednym ruchem rozpięła mu spodnie i zaczęła go pieścić gorącymi palcami.

- Chodźmy do łóżka! - wyszeptała nagłoco.

Ted bez wahania poszedł za nią do sypialni. Kiedy zamknęła drzwi i oboje zaczęli gorączkowo zdzierać z sie-

bie ubranie, pomyślał, że nie chciałby teraz być w żadnym innym miejscu. Chciał znaleźć się w niej, jak najszybciej, zaraz, już. Padli na łóżko i Pattie drażniła się z nim niezdolnie, zanim pozwoliła mu osiągnąć cel, a potem nagle odwróciła się i wzięła go całego w usta, pozwalając, aby ją pieścił. Gdy wreszcie zanurzył się w niej, miał wrażenie, że został wessany w inny świat i dosłownie przenicowany namiętnością. Skończyli już, ale jemu jeszcze gwałtownie kręciło się w głowie i nie mógł podnieść się z podłogi, na której ostatecznie wylądowali.

- O, mój Boże - jęknął.

Był tak podniecony, że prawie dostał mdłości, a jednak pragnął jej jeszcze bardziej niż przed chwilą. Pattie naprawdę była jak narkotyk.

- Co się stało? - spytał, nieprzytomnie patrząc na nią w ciemności.

Przenieśli się na łóżko. Atletyczne ciało Teda lśniło od potu, podobnie jak ciało Pattie, zmysłowo pełne i zaróżowione. Kojarzyła mu się z magicznym eliksirem, bez którego nie da się żyć.

- Nazywają to chyba miłością - odezwała się cicho w ciemności.

Starali się nie obudzić dzieci, więc teraz rozmawiali szeptem. Ted nie był pewny, czy Pattie posłużyła się właściwym określeniem. Nie znał jej dość dobrze, aby ją kochać, właściwie to w ogóle jej nie znał, ale przed chwilą przeżył najbardziej niesamowity stosunek seksualny w całym swoim życiu i wiedział, że nigdy nie zapomni tych doznań.

- Nie wiem, czy to miłość - rzekł szczerze. - Mogę tylko powiedzieć, że to najwspanialszy seks.

Przesunął dłonią po jej brzuchu, wcisnął palce między jej uda i dotknął miejsca, które przed chwilą przyjęło go tak gorąco i dało mu tyle radości.

- Dla ciebie to tylko seks? - W głosie Pattie zabrzmiała nuta rozczarowania.

Ted roześmiał się cicho.

- Raczej jakiś rodzaj nieprawdopodobnej eksplozji -spróbował, szukając odpowiednich słów. - Hiroszima fizycznej miłości, Wezuwiusz, czy coś takiego...

Przyszło mu do głowy, że pewnie tak czują się ludzie po psychodelicznych prochach, których on sam nigdy nie próbował.

- Pragnęłam cię od pierwszej chwili, gdy zjawiłeś się na moich zajęciach - wyszeptała.

Popatrzył na nią, skapaną we wpadających przez okno sypialni promieniach księżyca i nagle wydała mu się podobna do małej dziewczynki, otulonej gęstwiną miękkich jasnych loków, z wielkimi niebieskimi oczami. Wyglądała niewinnie i słodko, i absolutnie nie kojarzyła się z femme fatale, która parę chwil wcześniej doprowadziła go na szczyty zmysłowych odczuć. Najwyraźniej miała wiele twarzy i cech, co tylko jeszcze mocniej go zaintrygowało. Zdziwiło go jej wyznanie, że od razu zwróciła na niego uwagę na zajęciach.

- Nie przypuszczałam, że w ogóle mnie zauważyłaś.

W sali wykładowej siedziało zwykle koło dwustu osób, a Ted nigdy nie wrywał się do odpowiedzi i zwykle zajmował miejsce z tyłu.

- Od razu się zorientowałam, kim jesteś - powiedziała, całując go w szyję i lekko szczypiąc jego sutki.

Ta kombinacja pieszczot podnieciła go w parę sekund. Słodka mała dziewczynka znowu przeistaczała się w boginię seksu. Chwilę później znowu zmagali się na łóżku. Ted spróbował każdej pozycji, jaką podpowiadała mu Pattie, aż wreszcie nie mógł już znieść napięcia i oboje gwałtownie szczytowali w tym samym momencie.

Minęło sporo czasu, zanim Ted zdołał wydobyć głos z gardła.

- Co się dzieje, Pattie? - wykrztusił słabo. - Co ty ze mną robisz? Chyba rzuciłaś na mnie jakiś urok.

- Mówiłam ci już... - Jej śmiech zabrzmiał w ciszy jak maleńkie dzwoneczki. - To miłość...

- Cokolwiek to jest, chyba doprowadzi mnie do nagłej śmierci, jeżeli nie zrobimy sobie przerwy!

Jednak Pattie nieustępliwie znowu podnieciła go do nieprzytomności, drażniąc go subtelnymi pieszczotami i dręcząc, a potem zaspokajając.

Kochali się do świtu. Dopiero wtedy Ted zasnął z głową na piersi Pattie, która gładziła jego włosy tak delikatnie i czule, jakby był jej dzieckiem.

Starannie otuliła go kołdrą i leciutko musnęła pocałunkiem czubek głowy. Była to najbardziej niesamowita noc w życiu Teda.

ROZDZIAŁ 5

Kiedy Ted obudził się następnego dnia w południe, Pattie nie było w mieszkaniu. Zostawiła dla niego dzbanek kawy, parę bajgli i karteczkę. - „Do zobaczenia na zajęciach, kocham cię, P.” ... - przeczytał na głos. Z przerażeniem zdał sobie sprawę, że przespał cztery godziny zajęć i lekko się zataczając, poszedł do kuchni. Nie ogarniał tego, co przydarzyło mu się poprzedniej nocy. Pattie go urzekła, gdyby nie był rozsądnym człowiekiem, pomyślałby, że ma do czynienia z czarodziejką. Robiła wrażenie łagodnej, spokojnej kobiety, ale wystarczył jeden pocałunek, żeby przeistoczyła się w tygrysicę, a potem w wymagające czulej opieki dziecko. Ted powiedział sobie, że coś takiego nie może się więcej powtórzyć. Sypianie z nauczycielką było synonimem banału, lecz Ted nie mógł przestać myśleć o ich akrobatycznych wyczynach łózkowych i natychmiast poczuł ogarniające go podniecenie. Miał wrażenie, że popadł w stan chwilowego szaleństwa.

Wziął prysznic, ubrał się, wygładził narzutę na łóżku, chwycił kurtkę i zbiegł po śmierdzących schodach. Nic go nie obchodziło. Mało brakowało, a spóźniłby się na zajęcia z Pattie; wpadł do sali jako ostatni, pośpiesznie zajął miej-

sce i przez cały czas wpatrywał się w nią jak zaczarowany, myśląc o minionej nocy. Miała na sobie ten sam różowy sweter i kilka razy odwróciła się, aby obrzucić go spojrzeniem, które dotarło do najdalszych zakamarków jego duszy. Do końca wykładu miał erekcję i musiał poczekać, aż się trochę uspokoi, zanim wreszcie wstał i ruszył w kierunku drzwi. Pattie podeszła do niego z uśmiechem. Poza nimi w sali nie było już nikogo i przez jedną szaloną chwilę Ted pragnął kochać się z nią tu i teraz. Ujęła jego dłoń i włożyła ją sobie między nogi. Ted ścisnął ją palcami i nagle spojrział na nią, oszołomiony i zaskoczony własną reakcją. W ciągu jednej nocy przemieniła go w kogoś, kogo nie poznawał.

- Chyba jesteś czarownicą - szepnął. Pokręciła głową.

- Nie, po prostu jestem twoja - odparła. - Należę teraz do ciebie, Ted.

Powiedziała to tak po prostu i naturalnie, że wzruszyłaby go do łez, gdyby dobór jej słów nie wydał mu się tak dziwny. Nagle wszystko wokół niego stało się nowe i nieznane.

- Nie chcę, żeby ktoś do mnie należał, ty czy ktokolwiek inny - rzekł szczerze, usiłując zachować resztki zdrowego rozsądku. - Chcę tylko znowu się z tobą kochać.

Czuł się przy niej jak dziecko do chwili, kiedy w nią wchodził, bo wtedy stawał się mężczyzną o którego istnieniu wcześniej nawet mu się nie śniło. Wszystko to było częścią życia, które wykraczało daleko poza ramy dotychczasowych doświadczeń. Pół roku temu zerwał z dziewczyną, ponieważ nie chciał angażować się w zbyt poważny związek. Teraz znalazł się w nowym świecie, u boku kobiety dużo, dużo bardziej doświadczonej od niego. Było to szalenie ekscytujące uczucie. Pattie wyciągnęła rękę i lek-

ko potarła wybrzuszenie z przodu jego dżinsów. Objął ją i przywarł do niej z całej siły, trochę jak zagubione, przestraszone burzą dziecko.

- Kocham cię!

Powiedziała to tak zdecydowanym tonem, że nagle ogarnął go niepokój. Zaczął się zastanawiać, czy to rzeczywiście może być miłość, zaraz jednak pomyślał, że pewnie Patrie wie, co mówi.

- Nie znasz mnie, nic o mnie nie wiesz. Poznajmy się najpierw i razem odkryjmy, co do siebie czujemy...

Starał się ją przekonać, ale poza jej bliskością wszystko wydawało mu się pozbawione sensu.

- To miłość - szepnęła mu do ucha.

Ted był gotowy uwierzyć we wszystko, byle tylko znowu pójść z nią do łóżka.

- Chodźmy do domu - rzuciła, kiedy wychodzili z sali.

- A twoje dzieci?

Nie chciał, żeby dzieci się zorientowały, co robi z ich matką i świadomość ich obecności za ścianą bardzo go denerwowała. Poprzedniej nocy w końcu zapomniał, że tam są lecz wolał nie powtarzać tego przeżycia. Nie mógł pozbyć się myśli, że zachowuje się niewłaściwie.

- Zostają dziś u ojca - odpowiedziała z dziewczęcym uśmiechem. -

Odebrał ich ze szkoły, będą u niego przez całe dwa dni!

Była to cudowna wiadomość dla nich obojga. Wyszli na ulicę i gwałtownie przyśpieszyli kroku. Na drugie piętro budynku, w którym mieszkała Pattie, wbiegli prawie pędem. Kiedy otworzyła drzwi, Ted wepchnął ją do środka i przyparł do ściany. Wpadli do salonu i rzucili się na kanapę. Ta druga noc była jeszcze bardziej szalona, a następnego dnia żadne z nich nie poszło na uczelnię. Oboje zadzwonili na uniwersytet, powiedzieli, że są chorzy i ko-

chali się cały dzień i całą noc. Patrie zauważyła, że trzeba być w wieku Teda, aby uprawiać seks tak często, ale sama nie ustępowała mu nawet na krok. Ich ciała się wiły, łączyły i stapiały w jedno, i żadne z nich nie przejmowało się dzielącą ich różnicą wieku. Teraz Ted pragnął tylko Pattie. Nic więcej nie miało dla niego znaczenia.

Gdy dzieci Patrie wróciły od ojca, Ted pierwszy raz od trzech dni poszedł do siebie. Czas, który spędził z Pattie był jak potężna fala przyływu i teraz czuł się jak wyrzucony na brzeg rozbitek. Kiedy dotarł do domu, w lustrze zobaczył twarz człowieka jakby po co najmniej trzytygodniowym alkoholowym ciągu. Był wdzięczny losowi, że jego współlokatorzy wyszli na uczelnię.

Opuścił całe trzy dni zajęć. Pattie obiecała, że da mu najwyższą notę z prowadzonego przez nią przedmiotu, niezależnie od wyniku kolokwium, ale Ted dobrze wiedział, że nie jest to w porządku. Musiał wrócić do szkoły. Pattie poszła do pracy tego popołudnia i zadzwoniła do niego wieczorem. Ted leżał na łóżku z zamkniętymi oczami.

- Nie mogę tego znieść. - Jej głos był zachrypnięty, pełen znużenia i tęsknoty. - Muszę się z tobą zobaczyć!

Uśmiechnął się, wyobrażając sobie jej twarz.

- Całkiem możliwe, że będziemy musieli chodzić wszędzie razem, jak syjamskie bliźnięta - powiedział.

Dzień wcześniej dosłownie zaniósł ją do kuchni, nawet na moment z niej nie wychodząc. Nakarmił ją winogronami i truskawkami, posadził na blacie i dopiero wtedy doszedł. Nie było chyba rzeczy, której nie spróbowaliby w ciągu ostatnich trzech dni. Dzięki Pattie seksualna edukacja Teda była teraz bardzo bogata, chociaż z drugiej strony może dopiero się zaczynała, kto wie...

- Mogę do ciebie przyjechać? - spytała z rozpaczą.

- Gdzie są dzieci? - Ted zawsze martwił się o maluchy Patrie.

Nie chciał, aby ich gorący romans w jakikolwiek sposób zakłócił życie Jessiki i Justina.

- Mogę zostawić je na jakieś dwie godziny u pani Pacheco z pierwszego piętra... Co robisz?

- Leżę na łóżku. Moi współlokatorzy pewnie niedługo wrócą, ale możesz wpaść, jeśli masz ochotę...

Miał własny pokój, chociaż ściany w mieszkaniu były cienkie jak papier. W ogóle nie przyszło mu do głowy, że jego przyjaciele mogą być zaskoczeni wiekiem Pattie, bo sam już pierwszej nocy przestał o tym myśleć. Seks skutecznie zniwelował wszystkie dzielące ich różnice. Zjawiała się po pół godzinie. Zostawiła dzieci u opiekunki i złapała taksówkę. Współlokatorów Teda jeszcze nie było, więc kochali się jak szalem przez dwie godziny. Ani na sekundę nie opuścili łóżka i nie zamienili ze sobą ani słowa. W ogóle rozmawiali tylko wtedy, gdy byli zbyt wykończeni, aby się kochać, ale Pattie twierdziła, że są bratnimi duszami, a Ted jej wierzył. Jak inaczej można było wytłumaczyć całą tę sytuację? Nie widział innego wyjaśnienia.

- Do zobaczenia jutro - powiedziała rozmarzonym głosem, kiedy pocałował ją na pożegnanie.

Był tak zmęczony, że pięć minut po jej wyjściu spał już jak zabity. Tego wieczoru nie uczył się, chociaż wcześniej obiecał sobie, że nadrobi powstałe zaległości. Miał teraz mnóstwo materiału do ogarnięcia i powtórzenia.

Przez następne dwa dni Tedowi udało się ostro popracować. I on, i Pattie fatalne znosili rozłąkę, ale ona też miała testy do poprawienia. Chciała znowu przyjechać do niego na dwie godziny, lecz się nie zgodził.

Doskonale wiedział, że nie zdołają oderwać się od siebie, a za parę tygodni cze-

kała go przecież zimowa sesja. Obiecał Pattie, że w piątek zabierze ją na kolację do Vaverley Inn i oboje nie mogli się już doczekać końca tygodnia. Ted chciał wreszcie spędzić z nią normalny wieczór, porozmawiać i lepiej ją poznać, a nie tylko kochać się w każdym miejscu i zakamarku jej mieszkania. Chciał zacząć budować prawdziwy związek i spróbować odkryć, co ich łączy, dowiedzieć się, czy jest to tylko zwierzęcy instynkt, nad którym nie mają żadnej kontroli, czy też może miłość, jak uważała Pattie. Pragnął zachować się jak dorosły cywilizowany człowiek, nie jak seksualny maniak, którego wszystkie myśli krążą wyłącznie wokół łóżka. Pattie była bardzo wzruszona zaproszeniem na kolację, a dzieci znowu miały spędzić weekend u ojca. Ponieważ sąd przyznał Pattie i jej mężowi równe prawa do opieki, dzieci co kilka dni wędrowały z jednego domu do drugiego, co dawało Tedowi i Pattie całkiem sporo czasu i chwilę oddechu między spotkaniami. Kolacja w Vaverly Inn zaczęła się doskonale, przy pięknie nakrytym stole i świetnym jedzeniu. Ted zamówił wino. Trochę się popisywał, chcąc zademonstrować, jakim jest światowcem, lecz Pattie w ogóle nie zwróciła na to uwagi. Cały wieczór nie odrywała od niego oczu i przed deserem oboje oddaliby wszystko, byle wreszcie wrócić do domu.

- Może nie jesteśmy jeszcze gotowi na spotkania poza domem - powiedział Ted w drodze powrotnej.

Pomysł był dobry, ale wciąż trudno im było zachować między sobą odpowiedni dystans na tyle długo, aby zjeść gdzieś normalny posiłek czy wybrać się na spacer i lepiej się poznać. Ted zatrzasnął drzwi mieszkania Pattie i... Nie zrobili już ani kroku dalej. Odwrócił Pattie do siebie, ostrożnie położył ją na podłodze i podciągnął jej spódnicę. Błagała, żeby w nią wszedł, więc wziął ją od razu, a potem zaniósł do sypialni, zostawiając rozrzucone na podłodze

ubrania. Przez dwa następne dni znowu nigdzie nie wychodzili. Ted opuścił mieszkanie pięć minut przed przybyciem byłego męża Pattie z dziećmi i wrócił do siebie, wyczerpany, szczęśliwy i już stęskniony. Annie dzwoniła do Teda kilka razy w czasie weekendu, ale w komórce zawsze odzywał się sygnał poczty głosowej. W końcu zatelefonowała do Liz i Kate, które spędzały wolny czas z przyjaciółmi.

- Kontaktowałyście się ostatnio z bratem? - zadała im obu to samo pytanie.

Ted zwykle odzywał się do niej co parę dni, lecz w tym tygodniu milczał, co wydało jej się trochę dziwne.

- Mam nadzieję, że wszystko u niego w porządku - powiedziała, kiedy przyznały, że nie rozmawiały z nim od tygodnia.

Może był chory? Może, ale nigdy dotąd nie był aż tak zajęty, żeby do niej nie zadzwonić, a od niedzieli po Święcie Dziękczynienia nie telefonował ani razu. Wszystkie trzy, ona, Liz i Kate, były teraz nieprzytomnie zagonione, ponieważ przed Bożym Narodzeniem zawsze miały najwięcej pracy.

- Na pewno nic mu nie jest - zapewniła ją Liz. - Założę się, że ma teraz mnóstwo kolokwiów i po prostu ledwo dyszy. Niedawno skarżył się, że ciągle musi coś powtarzać, no, ale wydział prawa to nie byle szkółka...

- Może ma nową dziewczynę - zasugerowała Annie. Lizzie się roześmiała.

- Nie sądzę! Po zerwaniu z Meg bardzo uważał, żeby nie zaangażować się w jakiś poważniejszy związek. Myślę, że chodzi tylko o szkołę...

- Pewnie masz rację - zgodziła się Annie. Rozmawiały jeszcze parę minut i Liz powiedziała, że

Jean-Louis wraca w najbliższy weekend do Paryża. Zamie-

rzała lecieć do niego dzień po Bożym Narodzeniu, spędzić tydzień w Paryżu i zabrać się do pracy. Próbowwała zaangażować Jean-Louisa do zdjęć, ponieważ miała ochotę z nim pracować.

- Czyżbyś miała poważne zamiary wobec Jean-Louisa? - spytała Annie na wpół żartobliwie.

Liz parsknęła śmiechem.

- Nie wydaje mi się, żeby można to było tak nazwać! Żadne z nas nie spotyka się z nikim innym, ale nie snujemy żadnych planów na przyszłość ani nic w tym rodzaju. Jesteśmy na to jeszcze za młodzi!

Annie nie była przekonana, czy Liz ma słuszość. Niektóre dwudziestoosmioletnie kobiety były gotowe na trwałe związki, inne nie. Lizzie należała do tej drugiej grupy, a Jean-Louis najwyraźniej także nie myślał o stabilizacji. Zdaniem Annie oboje zbyt dobrze się bawili.

Jean-Louis miał dwadzieścia dziewięć lat i miał pięcioletniego syna.

Annie z pewnym niepokojem uświadomiła sobie, że kiedy chłopiec przyszedł na świat, Jean-Louis był w wieku Teda. W jej oczach Ted nadal był dzieckiem, podobnie jak Kate, która niedawno skończyła dwadzieścia jeden lat. Nie wyobrażała też sobie, by Liz mogła na dobre związać się z Jean-Louisem. Młody Francuz nie był odpowiednim mężczyzną dla Liz, Annie nie miała co do tego najmniejszych wątpliwości. Absolutnie niczym nie różnił się od poprzednich partnerów Liz. Annie marzyła, aby jej najstarsza siostrzenica spotkała kiedyś poważnego mężczyznę, który da jej poczucie bezpieczeństwa, a Jean-Louis zupełnie nie pasował do tej roli. Annie z niepokojem myślała o tym, że Liz mogłaby zostać sama, tak jak ona. Dla Liz chciała od życia czegoś więcej. Dobrze, że Ted i Kate byli jeszcze za młodzi, by myśleć o stabilizacji. Uważała, że nie przekroczyli jeszcze granicy dzieciństwa, ale Liz była już dorosła.

Dodzwoniła się do Teda w niedzielę wieczorem, kiedy wrócił do siebie, i odetchnęła z ulgą, słysząc jego głos.

- Dobrze się czujesz? - spytała. - Jesteś chyba trochę zachrypnięty.

- Nic mi nie jest. - Ted uśmiechnął się lekko.

Mimo woli zaczął się zastanawiać, jak Annie zareagowałyby na Pattie, ale nie był jeszcze gotowy, by podzielić się z nią zmianą, jaka zaszła w jego życiu.

- Jestem tylko zmęczony - dodał. - Cały tydzień bardzo ciężko pracowałem.

W pewnym sensie była to prawda.

- Dobrze, że niedługo zaczyna się przerwa świąteczna - pocieszyła go Annie.

Ted przypomniał sobie nagle, że rozmawiał z Pattie o wspólnym wyjeździe na narty zaraz po świętach. Pattie *powiedziała mu*, że musi ustalić z byłym mężem, czy weźmie wtedy dzieci do siebie, ale Ted nie mógł się już doczekać, kiedy razem znajdą się na stoku, oczywiście zakładając, że w ogóle wyjdą z łóżka.

Annie zaprosiła Teda na obiad któregoś dnia, jeszcze przed Bożym Narodzeniem, i zaproponowała następny weekend, lecz siostrzeniec unikał konkretnej odpowiedzi. Odniosła wrażenie, że o czymś jej nie powiedział i znowu przyszła jej do głowy myśl, że Ted być może ma nową dziewczynę. Uśmiechnęła się do siebie i zaczęła się zastanawiać, czy jest to jedna z jego koleżanek ze studiów.

Tymczasem Ted nie miał cienia wątpliwości, że Annie nigdy by nie zgadła, że związał się z trzydziestosześcioletnią asystentką z wydziału prawa, rozwódką z dwojgiem dzieci. Był też pewny, że nieprędko zdecyduje się wyznać ciotce, co wydarzyło się w jego życiu. Najpierw sam musiał przywyknąć do tej niezwyklej sytuacji.

ROZDZIAŁ 6

Dni tuż przed świętami były, jak zwykle, kompletnie szalone. Annie nadzorowała pięć placów budowy jednocześnie, w tym dwa z datami oddania do użytku zaraz po Nowym Roku. Codziennie je odwiedzała. W przedświątecznym tygodniu dwa razy spadł śnieg i poruszanie się po mieście było utrudnione, tymczasem Annie musiała kupić prezenty dla swoich dzieci, asystentów oraz Whitney i jej chłopców. Dwóch nowych klientów nalegało na spotkanie, a dla jednego z nich musiała przygotować wstępne plany budowy. Pozwoliła się ogarnąć typowemu i nieuniknionemu przedświątecznemu chaosowi, i jak co roku martwiła się, że nie zdąży ze wszystkim. Na dodatek jej ulubieni klienci, Ebersohlowie, oświadczyli, że postanowili się rozwieść i zamierzają sprzedać nowy dom. Annie miała już pewne doświadczenie z podobnymi przypadkami, ponieważ przebudowa lub budowa domu często wydobywała z ludzi najgorsze instynkty. Był to przecież bolesny proces i doskonałe tło dla niekończących się kłótni. Alicia Ebersohl zatelefonowała do Annie z płaczem, aby uprzedzić ją, że Harry wystąpił o rozwód. Dom na Sześćdziesiątej Dziewiątej był w stanie kompletnej ruiny, co mogło poważnie utrudnić jego sprzedaż, ale cóż... Annie była rozczarowa-

na, że jej projekt pozostanie niezrealizowany, lecz przede wszystkim szczerze współczuła Alicji i Harry'emu.

Liz również była bardzo zajęta. Do świąt miała złożyć materiały do marcowego wydania magazynu i zacząć przygotowywać teksty oraz zdjęcia do kwietniowego. Starła się dopiąć wszystko na ostatni guzik, bo przecież w dzień po Bożym Narodzeniu wyjeżdżała do Paryża. Tęskniła za Jean-Louisem. Od ostatniego pobytu w Nowym Jorku zachowywał się wyjątkowo czule i dzwonił do niej kilka razy dziennie. Wciąż powtarzał, że nie może się już doczekać jej przyjazdu i sama Liz także była bardzo podekscytowana. Jean-Louis obiecał, że przyjedzie po nią na lotnisko razem z synkiem. Lizzie kupiła dla chłopca piękną starą kolejkę na baterie, a dla Jean-Louisa bardzo ładny zegarek.

Ted każdą wolną chwilę spędzał teraz z Pattie. Plany *wyjazdu* na narty nie *wypaliły*, ponieważ eksmąż Pattie wyjeżdżał na święta i nie mógł wziąć dzieci do siebie. Ted zamierzał poświęcić im trochę czasu, upierał się jednak, że nie powinien zostawać na noc w mieszkaniu Pattie, kiedy byli tam Jessica i Justin. Pattie zgadzała się z nim, chociaż wymagało to dużych wyrzeczeń od nich obojga.

Ted przystąpił do semestralnych egzaminów i zaliczył je, lecz jego oceny wypadły gorzej niż zwykle. Był mocno zażenowany, kiedy dowiedział się, że Pattie wystawiła mu najwyższy stopień ze swojego przedmiotu, ponieważ czuł, że na niego nie zasłużył.

- Dostałem najlepsze zaliczenie dlatego, że na tyle umiem, czy dlatego, że mamy romans? - zapytał szczerze.

- Nie mamy romansu - odparła spokojnie. - Ja jestem w tobie zakochana. Jednak skoro pytasz, to tak, naprawdę dużo umiesz.

- Jakoś nie bardzo w to wierzę! - pokręcił głową. Pattie zawsze poprawiała go, kiedy mówił o ich roman-

sie albo uprawianiu seksu i podkreślała, że są w sobie zakochani. Ted nie wyznał jej dotąd miłości i wiedział, że kiedy to zrobi, kobieta, do której zaadresuje te słowa zostanie w jego życiu na zawsze. Właśnie dlatego na razie uważał, że mają romans. Ostatnio Pattie się rozplakała, kiedy jej to powiedział i wyglądała na głęboko zranioną, lecz Ted nie chciał wprowadzić jej w błąd, a nie był pewny, czy czuje do niej miłość, czy tylko pożądanie.

Od Święta Dziękczynienia praktycznie nie rozmawiał z Annie i swoimi siostrami. Nie miał czasu na telefony -prawie zawsze przebywał z Pattie, spał albo był na zajęciach. Pattie dopytywała się, kiedy pozna jego rodzinę, więc łagodnie, lecz zdecydowanie powiedział jej, że na takie spotkanie jest jeszcze za wcześnie. Zależało mu na niej, ale na razie sam nie wiedział, co ich łączy. Nie wątpił, że jego ciotka i siostry byłyby mocno wstrząśnięte, gdyby poinformował je, że spotyka się z kobietą starszą od niego o dwanaście lat i matką dwojga dzieci. Nie czuł się na siłach, aby odpierać ich argumenty i przekonywać je do własnego punktu widzenia. Jego zachowanie w tej sprawie nie podobało się Pattie.

Oświadczyła, że nie chce być tajemnicą w jego życiu i tuż przed świętami przypomniała mu, że nie zasługuje na takie traktowanie. I wpadła we wściekłość, gdy powiedział, że nie może zobaczyć się z nią w dzień Bożego Narodzenia... Zamierzał spędzić Gwiazdkę w domu, razem z Annie i siostrami, i nie wyobrażał sobie, by mógł zaprosić Pattie z dziećmi do siebie. Annie dostałaby ataku serca, zresztą Ted najzwyczajniej w świecie nie chciał psuć jej świąt.

- I co ja mam ze sobą zrobić? - poskarżyła się jękliwie Pattie, gdy Ted wpadł do niej w Wigilię.

Ostatnią godzinę przepłakała, zawiedziona, że Ted musi wrócić do domu.

- Jak to sobie właściwie wyobrażasz? - ciągnęła. - Mam siedzieć tu sama, z dziećmi?

- Co byś robiła, gdybyśmy się nie spotkali? Co robiłaś w zeszłym roku?

- Hank wziął dzieci do siebie, a ja płakałam, dopóki nie usnęłam...

Ted przygryzł wargę ze zdenerwowania, nadal nie miał jednak zamiaru spędzić u niej Bożego Narodzenia. Poza tym w tym roku były mąż Patrie nie zabrał dzieci, więc nie musiała obawiać się samotności.

- Postaram się wpaść w dzień po Bożym Narodzeniu albo może nawet wieczorem!

- A dzisiaj wieczorem? - Otarła oczy

- Nie mogę. Mówiłem ci, że zawsze razem jemy kolację, a później idziemy na pasterkę...

- Jakie to wzruszające! Szkoda, że ta chrześcijańska atmosfera pozwala ci zostawić ukochaną kobietę samą!

- Będziesz z Jessiką i Justinem - przypomniał jej łagodnie. - Naprawdę nie mogę nic na to poradzić... Moja ciotka nie zrozumiałaby, gdybym dziś wieczorem wyszedł z domu. Wspólna kolacja i nabożeństwo to nasza świąteczna tradycja.

Pattie zachowywała się tak, jakby celowo ją krzywdził.

- Zupełnie jakbyś miał dwanaście lat! - poskarżyła się gorzko.

Zrobiła bardzo rozczarowaną minę, kiedy dał jej piękny biały kaszmirowy sweter, za który zapłacił majątek. Nie powiedziała tego wprost, lecz wyraźnie dała mu do zrozumienia, że liczyła na coś w rodzaju pierścionka, może nie zaręczynowego, ale prawie... Od paru dni bez przerwy robiła tego rodzaju zawoalowane sugestie, jednak Ted uważał, że na pierścionek i obietnice jest jeszcze za wcześnie. Spotykali się dopiero cztery tygodnie i chociaż Pattie upar-

cie twierdziła, że są zakochani, dla Teda wszystko to nadal było zupełnie nowe. Miał zaledwie dwadzieścia cztery lata i był to jego drugi poważny związek.

W końcu osiągnęli kompromis - Ted miał wpaść na krótko wieczorem w dzień Bożego Narodzenia, ostrzegł jednak Pattie, że nie będzie mógł zostać na noc, i to niezależnie od tego, czy dzieci będą w domu, czy nie. Pattie proponowała, że zapłaci pani Pacheco, żeby Justin i Jessica mogli przenocować u niej, ale Ted powtórzył, że musi wrócić do Annie, która na pewno zaczęłaby się zastanawiać, co się z nim dzieje, gdyby tak nagle zniknął.

- Może powinieneś już dorosnąć - zauważyła Pattie niemiłym tonem. -

Pieprzysz się jak mężczyzna, więc zachowuj się jak mężczyzna!

Ted poczuł się urażony jej słowami, a ona popatrzyła na niego spod ściągniętych brwi, kiedy pocałował ją na pożegnanie i wyszedł.

Powiedziała, że prezent da mu przy następnym spotkaniu. Ted złapał taksówkę, żeby szybciej wrócić do Annie. W mieszkaniu zastał już Kate, która zmierzyła go czujnym spojrzeniem,

- Co cię tak wkurzyło, bracie? - spytała. - Nie wyglądasz mi na dobrego gwiazdkowego duszka, o, nie! Co kupiłeś dla Annie?

- Kaszmirowy szal i kask z wybitym na podszewce imieniem i nazwiskiem. Myślę, że będzie jej się podobał...

Celowo nie odpowiedział na pierwsze pytanie siostry. Był zły na Pattie, zdenerwowała go jej zjadliwa uwaga. Nie chciała zrozumieć, że on naprawdę nie może spędzić z nią świąt. Był rozdrażniony, bo rozstał się z nią dość chłodno, ale to ona przy pożegnaniu z niezadowoleniem odeła wargi i nie oddała pocałunku.

- I wcale nie jestem wkurzony - rzekł w końcu. - Po prostu tuż przed wyjściem posprzeczałem się z jednym

z moich współlokatorów, to wszystko. Straszny dupek z tego gościa!
Kate pominęła to wyjaśnienie milczeniem, miała jednak dziwne
wrażenie, że Tedowi leży na sercu coś innego.

- Kask na pewno przypadnie Annie do gustu, zresztą szal to też doskonały
pomysł! - Uśmiechnęła się do brata.

- A ty co dla niej kupiłaś?

Nagle poczuli się trochę jak dzieci. Jeszcze tak niedawno w wielkiej
tajemnicy pakowali swoje podarunki dla Annie i chowali je na dnie szafy

- Nic - odparła Kate.

- Nic? - Ted popatrzył na nią ze zdziwieniem.

Był bardzo zaskoczony, ponieważ Kate, mimo niewielkiego
kieszonkowego, zawsze kupowała im wszystkim wspaniałe i niezwykle
pomysłowe prezenty.

- Nic *jej nie* kupiłam, ale coś sama dla niej zrobiłam - wyjaśniła.

Ted uśmiechnął się, wracając myślami do czasów, kiedy zrobił dla Annie
stolik w warsztacie stolarskim, a Lizzie wydziergała dla ciotki na drutach
sweter z gigantycznie długimi rękawami. Niczym niezrażona Annie
włożyła ten sweter w dzień Bożego Narodzenia i nosiła go przy jeszcze
kilku innych okazjach. Z wielkim samozaparciem nosiła też naszyjniki z
makaronu, które dla niej robili, i wszystkie inne wytwory ich
rękodzielniczych pasji.

Kate przyniosła swoją teczkę i ostrożnie wyjęła z niej trzy duże
akwarelowe portrety. Ted na moment wstrzymał oddech ze zdumienia.

Czasami zapominał, jak bardzo utalentowana jest jego młodsza siostra,
która niewątpliwie odziedziczyła zdolności artystyczne po matce.

Namalowane przez Kate w prezencie dla Annie portrety ich trojga były po
prostu świetne, zachwycające doskonale uchwyconym podobieństwem,
dotyczyło to także autoportretu.

- Są niesamowite! - powiedział, przyglądając się im z bliska. -
Fantastyczne!

Kate namalowała je z pamięci, nie ze zdjęć, i Ted nie miał cienia wątpliwości, że Annie potraktuje je jak największy skarb.

- Mam nadzieję, że jej się spodobają... - Dziewczyna uśmiechnęła się skromnie i starannie odłożyła portrety z powrotem do teczki.

Zamierzała zapakować je i wieczorem wręczyć Annie.

- Co się z tobą ostatnio działo? - zagadnęła, gdy oboje padli na kanapę. Annie ustawiła w kącie pokoju choinkę i przystroiła ją wszystkimi ich ulubionymi ozdobami. Poświęciła na to cały dzień i wieczór w poprzednim tygodniu.

- Nic szczególnego - odparł Ted. - Zdawałem egzaminy i pisałem eseje na zaliczenie...

Kate czuła, że brat kłamie. Kobieca intuicja podpowiadała jej, że chodzi o kobietę i nie mogła się doczekać, kiedy podzieli się swoimi podejrzeniami z Liz i Annie. Wcześniej wszystkie trzy ustaliły, że od Święta Dziękczynienia Ted nie dzwonił do żadnej z nich.

- A co u ciebie? - spytał, próbując odwrócić uwagę Kate. - Nowe kolczyki, nowe tatuaże, nowi faceci?

- Może... - uśmiechnęła się zagadkowo. Ona też miała swoje sekrety.

- Naprawdę? - Ted zerknął na nią z zaciekawieniem. - Której kategorii dotyczy to „może”?

- Może wszystkich trzech! - roześmiała się Kate. Oglądali serial *Cud na Trzydziestej Czwartej ulicy*, kiedy

Annie dotarła do domu, dźwigając teczkę i dwie wielkie torby z rzeczami, których rano zapomniała zamówić. W Wigilię zawsze jedli prostą kolację, a na Boże Narodzenie Annie piekła indyka, podobnie jak na Święto Dziękczynienia.

Raz próbowała odejść od tradycji i zrobiła gęś, która okazała się tak niesmaczna, że od tamtej pory trzymała się indyka.

Ted poderwał się z kanapy i zaniósł torby z zakupami do kuchni, a Kate podeszła, żeby ucałować ciotkę. Annie była zdyszana i wyraźnie zmęczona. Godzinę wcześniej odwiedziła jeszcze jeden z placów budowy, ponieważ musiała rozwiązać problem między firmą budowlaną a klientami. Pod pachą nadal trzymała rulon z planami, który teraz rzuciła na biurko, aby zdjąć kurtkę.

- Wesółych Świąt, kochani! - zawołała, włączając świąteczną muzykę. Katie entuzjastycznie pochwaliła drzewko, a Ted nalał im po szklance ponczu, co także należało do rodzinnej tradycji. Annie zwykle dolewała sobie kropelkę dzinu, natomiast Kate i Ted woleli sam poncz, taki jak w dzieciństwie. Ożywioną rozmowę przerwała im dopiero Liz, która zjawiała się z trzema torbami, pełnymi prezentów. Liz zawsze kupowała najbardziej ekstrawaganckie podarunki, które wszystkich wprawiały w absolutny zachwyty. Gdy złożyli sobie życzenia i zaśpiewali parę kołęd, we czworo zabrali się do przygotowania kolacji. Była to cudowna wigilia. Liz obiecała, że zostanie w domu aż do wyjazdu do Paryża i Annie bardzo cieszyła się, że ma ich wszystkich u siebie.

Gawędzili przy stole prawie do jedenastej, a potem zaczęli szykować się do wyjścia na pasterkę. Kate zauważyła, że Ted telefonował do kogoś, gdy mijala otwarte drzwi do jego pokoju. W jego głosie brzmiała nuta zdenerwowania; kiedy przyłączył się do ciotki i sióstr w holu, twarz miał ściągniętą niepokojem. Kate również odbyła rozmowę telefoniczną, była ona jednak przyjacielska i krótka. Obiecała, że zadzwoni następnego dnia rano. Wigilijny wieczór był czasem poświęconym rodzinie i niezwykle ważnym dla nich czworga.

Pojechali taksówką do kościoła Św. Patryka, gdzie co

roku uczestniczyli w odprawianej o północy mszy. Komunię przyjmowała tylko Annie. Potem Liz, Ted i Katie patrzyli, jak ciotka zapala dwie świece, klęka przy jednym z bocznych ołtarzy i pochyla głowę w modlitwie. Kiedy podnosiła się z kolan, po jej policzkach spływały łzy. Kate zawsze reagowała na to głębokim wzruszeniem. Nigdy nie pytała, dla kogo Annie zapala świece, ponieważ doskonale wiedziała, że ciotka modli się za jej rodziców. Bill i Jane żyli w jej pamięci, a ich dzieci wyrosły na wspaniałych młodych ludzi, w dużej mierze dzięki jej staraniom. Ted uściskał Annie, kiedy wróciła do ławki, a Kate wzięła ją za rękę. Liz, która jak zwykle imponowała wyrafinowaną elegancją, ubrana w piękny czarny płaszcz, wysokie buty z czarnej skóry i ogromny kapelusz, obsyty futrem białego lisa, była, zdaniem Annie bardzo podobna do swojej matki. Ubierała się bardziej szykownie niż Jane w tym samym wieku, ale rysy twarzy miała prawie identyczne. Kiedy Annie czasami patrzyła na Liz, serce ścisnęło jej się z bólu i tęsknoty za siostrą.

Na zakończenie mszy odśpiewali *Cichą noc*, wyszli na Piątą Aleję i złapali taksówkę. W domu Annie zrobiła dzieciom gorącą czekoladę z piankami i w końcu wszyscy poszli spać. Gdy cała trójka zasnęła, Annie napełniła jeszcze trzy pończochy drobnymi, starannie przemyślanymi prezentami i dołączyła do nich zabawne liściki od Świętego Mikołaja, przypominając, aby sprząkali swoje pokoje i porządnie się myli. W liście do Kate dopisała uwagę, że w przyszłym roku pończocha zostanie napełniona węglem, jeżeli jej właścicielka zrobi sobie choćby jeden nowy tatuaż. Wreszcie i ona zapadła w sen w cichym, spokojnym mieszkaniu, dziękując Bogu, że ci, których kochała najbardziej na świecie są w domu. Były to jej ukochane święta - nic nie mogło równać się z towarzyszącemu im uczuciu radości i wewnętrznego ciepła.

ROZDZIAŁ 7

W świąteczny ranek Annie wstała wczesnie, aby wstawić indyka do piekarnika i jak co roku zadzwoniła do swojej przyjaciółki Whitney. Złożyły sobie życzenia i pogawędziły chwilę. Whitney znowu zaprosiła Annie na sylwestra, lecz ta odparła, że nie wybierze się do New Jersey, jeżeli któreś z dzieci miałyby zostać w domu samo. Nie przeszkadzało jej, że spędzi sylwestra bez specjalnych atrakcji - ta noc nigdy nie miała dla niej szczególnego znaczenia, poza tym nie znosiła towarzystwa podpitych ludzi i wśród obcych czuła się bardziej samotna niż w Nowym Jorku.

- Zobaczymy, jak to będzie - powiedziała. - Muszę się dowiedzieć, jakie plany mają dzieci. Lizzie leci jutro do Paryża, ale pozostała dwójka zostaje i nigdzie się nie wybiera, o ile mi wiadomo.

- Przyjedź, jeżeli będziesz mogła - rzekła ciepło Whitney. - Będzie nam bardzo miło, naprawdę! I jeszcze raz życzę ci wesołych świąt, skarbie, tobie i dzieciom!

- Nie zapomnij przekazać moich życzeń Fredowi i chłopcom - poprosiła Annie.

Zapaliła lampki na choince, żeby wszyscy od samego rana cieszyli się świąteczną atmosferą. Po paru minutach

ze swojego pokoju wyszła zaspana Kate w wyszywanej cekinami koszulce i z nastroszonymi wyżełowanymi włosami. Annie zauważyła, że dziewczyna zaczęła nosić malutki brylancik w nosie. Nie skomentowała jeszcze tej nowości, wiedziała jednak, że nigdy nie przyzwyczai się do licznych kolczyków i tatuaży siostrzenicy.

- Święty zostawił mi ciekawy liścik. - Kate ziewnęła i uśmiechnęła się do ciotki.

- Naprawdę? - udała zdumienie Annie. - Co w nim było?

Zawsze udawała, że nic nie wie o prezentach i listach od Świętego Mikołaja, szczególnie w czasach, gdy dzieci jeszcze wierzyły w jego odwiedzinę. Bardzo starała się podtrzymać radosną, magiczną atmosferę świąt, przekonana, że każde dziecko zasługuje na miłe niespodzianki.

- Napisał, że podoba mu się mój nowy tatuaż z Dzwoneczkiem i że sam też sobie taki zafunduje. I że ma wielki wizerunek Rudolfa na tyłku.

Obiecał, że w przyszłym roku zostawi mi zdjęcie tego tatuażu!

- Święty Mikołaj nic takiego nie napisał! - Annie rzuciła dziewczynie pełne udanej dezaprobaty spojrzenie. - Czytałam ten list, kiedy wstałam!

- Ależ napisał! - zawołała Kate i pobiegła do siebie.

Wróciła z liścikiem, który sama napisała i ozdobiła zabawnym rysunkiem, przedstawiającym Świętego Mikołaja z olbrzymim Rudolfem wytatuowanym na obnażonych pośladkach. Annie wybuchnęła głośnym śmiechem i przykleiła kartkę nad kominkiem. W tej chwili do pokoju weszła Liz w górze od męskiej piżamy, wyglądało to niezwykle seksownie w zestawieniu z jej bardzo długimi nogami. Annie miała na sobie starą flanelową koszulę nocną i różowy kaszmirowy szlafrok. Parę minut później do trzech kobiet dołączył Ted w T-shircie i bokserkach. W świą-

teczny poranek całej czwórce zależało przede wszystkim na wygodzie, nie na elegancji.

Zaraz potem zajęli się rozpakowywaniem podarunków przy wesoło migoczącej choince. Prezenty Kate zrobiły prawdziwą furorę, zwłaszcza że dla brata i siostry dziewczyna namalowała dwa portrety Annie. Parę tygodni przed świętami dokończyła też namalowane ze zdjęć portrety rodziców, ale na razie powiesiła je na ścianie w swoim pokoju w akademiku. Nie chciała rozbudzać głęboko skrywanych uczuć, pokazując portrety ciotce i rodzeństwu. Annie była zachwycona portretami Liz i Teda, a Kate obiecała, że odda je do oprawy. Annie zamierzała zdjąć wiszący nad kominkiem w salonie duży olejny obraz i na jego miejscu powiesić malarskie prace Kate. Ucałowała Kate ze łzami w oczach. Ted i Liz także nie mogli się nacieszyć portretami Annie.

Kupione przez Teda prezenty również okazały się strzałem w dziesiątkę. Annie od razu włożyła na głowę swój ochronny kask. Liz podarowała Annie i Kate piękne złote bransoletki, a Tedowi elegancki zegarek od Cartiera na sportowym gumowym pasku.

Później zjedli razem śniadanie w kuchni. Liz, szczuplejsza niż kiedykolwiek, jak zwykle poprosiła tylko o pół grejpfruta, Katie zjadła miseczkę płatków z orzechami, Ted usmażył jajka sadzone na bekonie dla siebie i Annie. Zapach bekonu był odurzający, a indyk w piecyku powoli przybierał cudownie złocisty kolor.

Annie patrzyła na rozgadanych i roześmianych młodych ludzi, i myślała, że jakimś cudem, bo przecież był to najprawdziwszy cud, udało jej się wychować troje dzieci, nie swoich, chociaż w gruncie rzeczy nie miała zielonego pojęcia, jak to zrobić. Liz, Ted i Katie kochali się nawzajem i wciąż od nowa wzbogacali jej życie. Czowała się ogromnie

szczęśliwa, gdy wstawiała po śniadaniu talerze do zmywarki i w głębi serca jeszcze raz podziękowała siostrze za dzieci, które po niej odziedziczyła. To dzięki nim jej dni pełne były miłości i radości.

Po śniadaniu rozeszli się do swoich pokoi, ponieważ wszyscy mieli przyjaciół, do których chcieli zatelefonować. Ted zamknął za sobą drzwi, kiedy wybierał numer Pattie. Po paru sygnałach podniosła słuchawkę, chociaż nadal była wyraźnie zdenerwowana.

- Powinieneś być tutaj ze mną i moimi dziećmi - powiedziała w odpowiedzi na jego świąteczne życzenia i wybuchnęła płaczem.

- Muszę być dzisiaj z moją rodziną - powtórzył znowu. Wszystko wskazywało na to, że Pattie nie rozumie, o co mu chodzi albo nie chce zrozumieć. Ted nie wyobrażał sobie, aby mógł spędzić ten dzień poza domem, zresztą trwający cztery tygodnie romans nie upoważniał Pattie do stawiania takich żądań. Był zaniepokojony jej zachowaniem, ale zaproponował, że wpadnie późnym popołudniem. Miał prezenty dla dzieci. Obiecał Pattie, że zadzwoni, kiedy będzie mógł wyjść z domu.

- Życzę ci miłego dnia! - rzuciła, nie kryjąc urazy i zawodu.

Nie widział powodu, aby znowu ją przeproszać. Musiała przyjąć do wiadomości, że jego rodzina jest dla niego bardzo ważna.

- Kocham cię, Ted - powiedziała na koniec takim tonem, jakby straciła najlepszego przyjaciela.

- Do zobaczenia po południu - odparł.

Nadal nie był gotowy do składania miłosnych wyznań, a już na pewno nie w formie przeprosin za to, że chciał spędzić Boże Narodzenie z siostrami i ciotką. Pattie zirytowała go swoją zaborczością, ale nie wzbudziła w nim po-

czucia winy. Kiedy wyszedł z pokoju, był już trochę spokojniejszy, bo tym razem Pattie jednak zdecydowała się zamienić z nim parę słów.

- Miłosne kłopoty? - Liz lekko uniosła brwi.

Ted potrząsnął głową zdziwiony że siostra tak łatwo go rozszyfrowała.

Wcale nie miał ochoty zwierzać się ze swoich problemów.

- Dlaczego tak uważasz?

- Zwykle nie zamykasz drzwi, kiedy do kogoś dzwonisz, chyba że akurat klócisz się z dziewczyną. Nowa ukochana?

- Nie, po prostu dziewczyna, z którą spotkałem się kilka razy.

Wyobrażał sobie, jaką Liz zrobiłaby minę na wiadomość, że jej młodszy brat romansuje z trzydziestosześcioletnią kobietą z dwójką dzieci.

- Może wpadnę do niej po południu - dodał.

Liz skinęła głową. Nie wydawało jej się to dziwne, ona też musiała wrócić do siebie i spakować trochę rzeczy na podróż.

Annie zajrzała do pokoju Katie, żeby jeszcze raz podziękować jej za piękne portrety. Kątem oka zauważyła leżącą na biurku Kate książkę o kulturze i zwyczajach krajów muzułmańskich. Nie była to literatura, po jaką normalnie sięgała Kate, która w ogóle nie przepadała za czytaniem i wybierała raczej biografie współczesnych malarzy oraz gwiazd rocka. Nigdy wcześniej nie zdradzała zainteresowania ani innymi religiami, ani własną.

- To chyba jest ciekawe... - Annie wzięła książkę do ręki. - Zapisalaś się na zajęcia o religiach Wschodu? Wszyscy powinniśmy ją przeczytać, może taka lektura pomoże nam zrozumieć przynajmniej część szerzących się w tej chwili na świecie konfliktów.

- Pożyczyłam tę książkę od kolegi - powiedziała Kate i odwróciła się. Annie wróciła do salonu. Wszyscy przebrali się już przed lunchem, a Ted włożył garnitur, jak zwykle przy uroczystych rodzinnych okazjach. Kiedy byli młodszy, Annie zawsze nalegała, aby starali się elegancko ubierać w święta. Liz miała na sobie prostą wełnianą małą czarną, bardzo króciutką, ale mimo tego elegancką. Annie zdecydowała się na swoją ulubioną czerwoną gwiazdkową sukienkę, a Katie pojawiła się po chwili w czerwonej skórzanej spódnicy, czarnych samonośnych pończochach, czerwonych martensach, puchatym białym swetrze i z małymi choinkowymi bombkami w uszach zamiast kolczyków. Miała własny styl i dopiero co dowiodła swoim najbliższymi, że jest naprawdę bardzo utalentowaną artystką. Annie była też pod wrażeniem książki, którą znalazła w sypialni Katie. Podobało jej się, że Kate interesuje się obcą kulturą. Młoda dziewczyna od najwcześniejszych lat myślała samodzielnie i nie zapożyczała żadnych idei, jeżeli wcześniej sama ich nie sprawdziła. Miała bardzo niezależny charakter. Annie nie chciała, żeby dzieci jej siostry żyły w wąskim, ograniczonym świecie i cieszyła się, że każde z nich jest zupełnie inne. Ted był najbardziej konserwatywny z całej trójki, Katie najbardziej nowoczesna. Annie nie wątpiła, że Jane i Bill byliby z nich dumni. Przy stole wszyscy rozmawiali z ożywieniem. Annie należała im szampana. Byli już dorośli i rzadko pili za dużo, chociaż Tedowi podczas pierwszych dwóch lat studiów zdarzały się przypadki nadużycia alkoholu. Liz szczerze cieszyła się na pobyt w Paryżu i możliwość spędzenia czasu z Jean-Louisem. Zdjęcia, których organizacji miała dopilnować w pierwszym tygodniu stycznia, były ważne - do ich zrobienia zatrudniono sławnego fran-

cuskiego fotografa - z całej Europy ściągnięto cenną biżuterię, a jeden z naszyjników pożyczyła sama królowa Anglii. Liz planowała umieścić fotografię tej ozdoby na okładce magazynu i teraz opowiadała o tym rodzinie. Tylko Ted był trochę bardziej milczący niż zazwyczaj; Annie wyczuwała, że coś go dręczy, wiedziała jednak, że nie powinna proponować, aby podzielił się z nimi swoim zmartwieniem.

Po obiedzie Ted przez pół godziny oglądał mecz piłki nożnej w telewizji, a potem wstał i oświadczył, że wychodzi na krótko, żeby spotkać się z przyjaciółmi. Czekał chwilę, niepewny, czy Annie i dziewczęta zaprotestują a kiedy tego nie zrobiły, poszedł do swojego pokoju i zabrał zapakowane prezenty dla dzieci Pattie. Kupił im gry, ponieważ nie wiedział, co właściwie lubią dzieci w ich wieku. Pattie dostała od niego podarunek wcześniej.

Włożył płaszcz i schylił się, aby pocałować Annie zajętą rozmową z Kate i Liz. Prezenty zostawił przy drzwiach wejściowych.

- Za jakieś dwie godziny będę z powrotem - obiecał. Chwycił klucze, torby z podarunkami i szybko wyszedł.

- Co go gryzie? - spytała Annie.

- Nie mam pojęcia - odparła Kate.

Ted nic jej nie powiedział, słyszała tylko, jak spierał się z kimś przez telefon.

- Moim zdaniem, chodzi o dziewczynę - powiedziała spokojnie Annie. - Dziwi mnie tylko, że jest taki milczący...

- Nigdy nie był gadatliwy - zauważyła Liz. Wszystkie zgodziły się jednak, że tym razem Ted jest wyjątkowo małomówny.

- Jeżeli nie przestanie się z nią widywać, w końcu ją poznamy - oświadczyła Kate. - Może wygląda jakoś dziwnie, albo coś takiego...

- Tak, na przykład ma mnóstwo kolczyków i tatuaży -zakpiła łagodnie Liz.

Roześmiały się. Nie wiedziały co doskwiera Tedowi, ale słusznie założyły, że powie im o tym, kiedy uzna za stosowne. Na razie zależało mu, żeby utrzymać nową znajomość w tajemnicy, a Annie zbyt szanowała swoje dzieci, żeby próbować wydobyć z niego prawdę.

Ted szybko wbiegł po schodach. Obiecał Patrie, że będzie koło piątej, tymczasem dochodziła już szósta. Nie udało mu się wyrwać wcześniej, nic nie mógł na to poradzić. Nie chciał zostawiać Annie i sióstr w dzień Bożego Narodzenia. Tradycje rodzinne były ważne nie tylko dla nich, ale i dla niego.

Nacisnął dzwonek. Partie nie otwierała tak długo, że w końcu zaczął się niepokoić, czy w ogóle go wpuści. Nagle poczuł się jak skarcony za złe zachowanie mały chłopiec i wcale mu się to nie podobało. Zawsze był odpowiedzialny i dość rozsądny. Annie rzadko się na niego gniewała, a jeśli już wpadła w złość, trwało to krótko i było całkowicie zrozumiałe. Wybuchwała gniewem i zaraz było po wszystkim, nie przedłużała takich sytuacji, nie chowała urazy i nie wracała do tego, co się stało. Pattie postanowiła chyba ukarać go za to, że spędził święta z rodziną i kiedy wreszcie otworzyła, na jej twarzy malował się wyraz cierpienia. Ted nie zdążył jeszcze zdjąć płaszcza, gdy rozplakała się i zarzuciła mu ręce na szyję. Długą chwilę stał oszołomiony, nie wiedząc, co robić.

- Jak mogłeś zostawić mnie dzisiaj samą? - wyszlochała oskarżycielsko. Ted rozejrzał się dookoła. Dzieci nie było.

- Gdzie są Jessica i Justin? - spytał ze zdziwieniem.

- Wysłałam ich do kina z panią Pacheco. Zależało mi, żebyśmy byli sami...

- Przyniosłem dla nich małe prezenty. - Położył ładnie zapakowane pudełka na stole. - I wcale nie zostawiłem cię samej, Pattie! Byłaś ze swoimi dziećmi, a ja z moją rodziną, nie mogłem tak po prostu wyjść w środku obiadu.

Mówił spokojnie i rozsądnie, ale jej histeryczne żądania mocno go zaniepokoiły. Ich związek nie był jeszcze na tyle poważny, aby którakolwiek ze stron mogła stawiać wymagania.

- Więc wolałeś wyjść ode mnie - wyszeptała.

- Nie zostawiłem cię na ulicy, prawda? - rzekł zdecydowanym tonem. - Poza tym spotykamy się dopiero od czterech tygodni...

- Jestem w tobie zakochana.

Tedowi łatwiej byłoby uwierzyć w jej uczucie, gdyby nie wyznała mu go już pierwszego wieczoru. Jego zdaniem, miłość rodziła się i dojrzewała stopniowo, nie była czymś, co wybuchało niczym bomba przy pierwszym spotkaniu. Coraz mocniej przywiązywał się do Pattie, to prawda, nadal nie był jednak pewny, czy w grę wchodzi miłość, czy tylko wspaniały seks.

Ucieszyło go, że włożyła sweter od niego, chociaż nie sprawiała wrażenia zachwyconej tym podarunkiem i nie ukrywała, że wolałaby dostać coś innego. Najwyraźniej nie przyszło jej nawet do głowy, że Ted jest dwudziestoczteroletnim studentem, dla którego kaszmirowy sweter był naprawdę poważnym wydatkiem. Annie była bardzo zadowolona z kaszmirowego szala, który kupił dla niej w tym samym sklepie, ale Pattie jasno dała mu do zrozumienia, że liczyła na pierścionek. Jej tok myślenia wydawał się Tedowi co najmniej dziwny - poważne obietnice po

czterech tygodniach znajomości, nawet takiej jak ich, były zupełnie nie na miejscu. Pattie zanadto się śpieszyła i chyba nawet mężczyzna w jej wieku nie zniósłby tak szybkiego tempa.

Popatrzył na nią z czułością, kiedy wręczyła mu prezent, lecz gdy zdjął barwny papier, zrobiło mu się nieswojo. Otworzył pudełeczko i z trudem stłumił okrzyk zdziwienia. W środku znajdował się piękny stary męski zegarek, zupełnie nie w jego stylu, do niego znacznie lepiej pasował sportowy zegarek od Liz.

- Podoba ci się? - spytała z nadzieją w głosie. - Należał do mojego ojca.

- Jest piękny. - Zamknął pudełko, nie zakładając zegarka na rękę. - Ale ja nie mogę go przyjąć. To bardzo drogi prezent, ale najważniejsze jest to, że był własnością twojego ojca. Nie możesz tak po prostu dać go komuś takiemu jak ja...

- Dlaczego? O co ci chodzi?

- Słabo mnie znasz, prawda? A jeżeli się rozstaniemy? Nie chciałabyś chyba, żebym zabrał ze sobą zegarek twojego ojca, powinnaś zachować go dla Justina.

Ted wiedział, że na niego czeka zegarek jego ojca. Nigdy go jeszcze nie nosił, czekał na niego w sejfie.

- Więc nie rozstawaj się ze mną - poprosiła żałośnie. - Chcę, żebyś miał ten zegarek.

- Nie teraz - odparł łagodnie.

Zamknął jej usta pocałunkiem i chwilę później zdarzyło się to, co zdarzyć się musiało. Ubrania leżały porzucane na podłodze, a napięcia minionych dwóch dni znalazły ujście w namiętności, która oszołomiła ich oboje. Kochali się bez tchu, najpierw na kanapie, potem na łóżku, pełni nienasyconego, wiecznie płonącego pożądania. Ted pragnął Pattie coraz bardziej i mocniej, natomiast ona pieściła

go gorączkowo, rozpaczliwie, jakby chciała pochłonąć go całego i stać się jego częścią.

Była już dziesiąta wieczorem, kiedy pani Pacheco zadzwoniła i spytała, czy może przyprowadzić dzieci do domu, ponieważ idzie spać. Pattie i Ted nie mieli pojęcia, która jest godzina. Ubrali się pośpiesznie i kiedy kilka minut później Jessica oraz Justin zadzwonili do drzwi, Ted dał im prezenty. Gry bardzo im się spodobały, a Pattie znowu wydawała się szczęśliwa i spokojna. Ostatnie godziny przekonały ją, że Ted dalej jest od niej uzależniony. Wcześniej przeraziła się, że go straciła i w rezultacie karała go za to, że poszedł do domu.

- Muszę iść - szepnął do niej.

Potrząsnęła głową. Chciała, żeby został, ale dzieci wróciły i Ted nie chciał, żeby odkryły, co robi z ich matką. Złożył im życzenia, pocałował Pattie, włożył płaszcz i zbiegł po schodach. Miał wielką ochotę wrócić do domu. Nie wiedział dlaczego, lecz ten wieczór szczerze go zasmucił.

Pierwszy raz uświadomił sobie w całej pełni, że Pattie za wszelką cenę próbuje go zatrzymać. Fakt, że chciała podarować mu zegarek ojca pogarszał sytuację. Prezent nie tyle go wzruszył, ile przestraszył.

Zostawił złoty zegarek na toaletce w jej pokoju. Nie byli małżeństwem ani narzeczonymi, Ted nie wiedział nawet, czy rzeczywiście jest w niej zakochany. Bardzo ją lubił i było im cudownie w łóżku, nie chciał jednak zostać jej więźniem, a czasami wydawało mu się, że Pattie do tego dąży. Odetchnął głęboko, wyszedł na ulicę i zatrzymał taksówkę. Pattie była tego wieczoru wyjątkowo seksowna, ale on pierwszy raz od początku ich znajomości pożegnał się z nią z prawdziwą ulgą. Nie bardzo wiedział, dlaczego czuje coś takiego, miał jednak wrażenie, że dusi się w jej towarzystwie.

Annie i jego siostry spały już, kiedy cicho zamknął

drzwi domu. Miały za sobą długi dzień. Po wyjściu Teda obejrzały film, a potem Annie i Katie grały w scrabble, podczas gdy Liz kończyła się pakować. Wreszcie wszystkie poszły spać.

Annie zostawiła zapalone lampki na choince, więc usiadł na kanapie i utkwił wzrok w drzewku, myśląc o Pattie. Dostarczała mu niezwykle podniecających i intensywnych wrażeń, ale biały płomień jej namiętności czasami go parzył. Dopiero teraz czuł, jak dobrze jest być w domu, w mieszkaniu, gdzie dorastał, z najbliższymi. Pattie była jak postać z szalonego świata fantazji, dzieło wyobraźni, którym nie potrafił się nasycić, natomiast rodzinny dom należał do rzeczywistości. Długo siedział w salonie, czując się trochę jak dziecko. Z uśmiechem patrzył na choinkę i był szczęśliwy, że jest u siebie.

ROZDZIAŁ 8

Następnego dnia Ted obudził się dopiero tuż przed południem. Lizzie o dziesiątej pojechała na lotnisko, skąd o trzynastej odlatywała do Paryża. Annie siedziała przy biurku, pracując nad planami apartamentu Jima Watsona, kiedy Kate zajrzała do niej i spytała, czy może wieczorem zaprosić kogoś na pizzę do domu. Zawsze ustalała z ciotką takie wizyty, a Annie z radością przyjmowała wszystkich jej przyjaciół.

- Oczywiście! - Annie podniosła głowę znad planów i uśmiechnęła się. - Nie musisz pytać, ale bardzo dziękuję, że mnie uprzedzasz. Czy to nowy chłopak, o którym dotąd mi nie opowiedziałaś?

- Nie, to tylko kolega...

Jednak Annie wiedziała swoje, ostatecznie nie na darmo przez tyle lat zastępowała Katie rodziców.

- Może pójdziemy do kina, a może zostaniemy w domu - dodała dziewczyna.

- Róbcie, co chcecie. Mam sporo pracy, więc mogę nie wychodzić z pokoju.

- Nie musisz się ukrywać! - Kate posłała jej serdeczny

uśmiech. - Nie mam już piętnastu lat i nie wstydzę się ciebie!

- Miło mi to słyszeć. Pamiętam, że przez pewien czas byłam dla ciebie źródłem zażenowania.

- Ale od tamtego czasu zmieniałaś się na lepsze - zażartowała Kate.

- Jak mu na imię?

- Paul. Chodzi do mojej szkoły i jest naprawdę utalentowany. Chce zająć się grafiką, ale jest też bardzo obiecującym malarzem. Jego rodzicom zależy, żeby nauczył się czegoś praktycznego, na przykład projektowania.

- Ile ma lat?

- Dwadzieścia trzy.

Annie skinęła głową z aprobatą. Nowy chłopak Katie był w całkiem rozsądnym wieku.

- Z przyjemnością go poznam. Lubię, kiedy twoi przyjaciele przychodzą do nas.

Katie wróciła do swojego pokoju i zatelefonowała do Paula, który obiecał, że przyjedzie koło siedemnastej.

Ted wszedł do kuchni wykończony i niewyspany. Seksualne przygody z Pattie mocno go zmęczyły. Pattie zadzwoniła przed chwilą i zaprosiła go na lunch z dziećmi. W parku leżał jeszcze śnieg, zaproponowała więc, żeby po południu stoczyli bitwę na śnieżki albo poszli na łyżwy. Ted od razu zapalił się do tego pomysłu.

Wyszedł z domu godzinę później, nie mówiąc ciotce ani siostrze, dokąd idzie. Rzucił tylko, że ma spotkać się z przyjaciółmi i nie wie, kiedy wróci. Annie nie była zaskoczona ani zaniepokojona. Ted miał dwadzieścia cztery lata i nie mogła kontrolować wszystkich jego poczynań, poza tym nie chciała, żeby czuł się w jakikolwiek sposób ograniczony czy związany.

Katie także wyszła, ale na krótko. Chciała obejrzeć po

święteczne przeceny w swoich ulubionych sklepach i wróciła do domu tuż przed piątą. Annie przez całe popołudnie pracowała przy desce. Dzwonek zadzwonił parę minut po powrocie Kate i dziewczyna pobięła wpuścić gościa. Annie słyszała, jak rozmawiali i śmiali się w salonie. Kate puściła muzykę, płytę zespołu Clash, który Annie dosyć lubiła. Po godzinie Annie przeszła przez pokój, żeby zrobić sobie w kuchni filiżankę herbaty. Zamierzała przywitać się z przyjacielem Katie i uśmiechnęła się do przystojnego młodego człowieka, który podniósł się z kanapy na jej widok i uściśnął jej rękę. Był znacznie bardziej uprzejmy i obyty niż inni znajomi Kate. Przedstawił się i dodatkowo zaskoczył Annie strojem - rozpinany sweter oraz koszula z krawatem - co wśród kolegów Kate było czymś niesłychanym. Miał kruczoczarne włosy, skórę koloru miodu i brązowe oczy. Annie uświadomiła sobie, że chłopak prawdopodobnie pochodzi z Bliskiego Wschodu albo Indii i nagle przypomniała sobie książkę o kulturze muzułmańskiej, którą widziała w pokoju Katie. Nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna pożyczyła ją właśnie od niego.

Paul wydał się Annie bardzo dojrzały jak na swój wiek i naprawdę zupełnie inny niż wytatuowani i zakolczy-kowani przyjaciele siostrzenicy ze szkoły, którzy nosili opadające dzinsy, podarte T-shirty i z reguły nieuczesane włosy.

Zaproponowała mu kieliszek wina, on jednak z uśmiechem odparł, że wolałby napić się herbaty. Pod tym względem też bardzo różnił się od innych znajomych Kate, przy każdej wizycie pochłaniających ogromne ilości piwa.

Wszyscy troje przeszli do kuchni. Kate wzięła colę, a Paul zabawił Annie rozmową, czekając, aż zaparzy się herbata. Wyjaśnił, że jego rodzice pochodzą z Iranu. Mieszkali kie-

dyś w Teheranie, ale przenieśli się do Nowego Jorku, kiedy on miał czternaście lat. Chłopak nadal miał bliskich krewnych w Iranie, lecz po wyjeździe ani razu nie odwiedził rodzinnego kraju. Uważał się za obywatela Stanów Zjednoczonych, podobnie jak jego rodzice, mówił po angielsku bez cienia obcego akcentu i robił naprawdę bardzo pozytywne wrażenie. Oczy Katie lśniły, gdy na niego patrzyła, i serce Annie kilka razy zabiło niespokojnie.

Byli młodzi i wspaniali, Paulowi nie można było niczego zarzucić, lecz Annie zdawała sobie sprawę, że kultury, w jakich ich wychowano, są diametralnie różne. Katie wyglądała na zakochaną i Annie zastanawiała się, co myślą rodzice Paula o wybitnie niezależnej dziewczynie z tatuażami i kolczykami. Kate była jeszcze za młoda, aby poważnie traktować jakąkolwiek znajomość, ale jeżeli obdarzyła Paula prawdziwym uczuciem, i to z wzajemnością, Annie chciała się koniecznie dowiedzieć, jak traktują tę sytuację jego rodzice, Kate i Paul pochodzili przecież z dwóch całkowicie odmiennych światów. Katie wyglądała na dużo bardziej „niegrzeczną” niż była w rzeczywistości. Annie już dawno przywykła do jej upodobań w dziedzinie mody i wiedziała, że siostrzenica ma złote serce, lecz jej powierzchowność mogła szokować obcych, szczególnie rodziców młodego człowieka tak dobrze wychowanego i przynajmniej pozornie konserwatywnego jak Paul.

Annie mogła tylko mieć nadzieję, że Kate czeka szczęśliwy romans, ale nie trwały związek, który stanowiłby dla nich wszystkich zbyt wielkie wyzwanie, jednak wyraz oczu dziewczyny świadczył o czymś innym. Annie nigdy dotąd nie widziała, aby Kate patrzyła na jakiegoś chłopca w taki sposób, zresztą Paul był mężczyzną, nie chłopcem. Annie doskonale rozumiała, dlaczego siostrzenica była nim tak zafascynowana, lecz to nie oznaczało, że poważny

związek między nimi będzie prosty. Tak wielkie kontrasty jeśli chodzi o pochodzenie i wychowanie musiały jeszcze bardziej utrudnić i tak już niełatwą sytuację.

Wciąż myśląc o Kate, wróciła do gabinetu i usiadła przy biurku. Nie wiedziała, co robić. Pierwszy raz *widziała* ją zakochaną i bardzo się niepokoiła. Oboje młodzi byli wspaniałymi ludźmi i nie chciała, aby cierpieli.

Kate i Paul obejrżeli film na DVD w salonie i zamówili pizzę. Tego dnia Annie już go nie widziała. Zamknęła drzwi, żeby zapewnić im spokój, ale martwiła się przez całą noc i rano zadzwoniła do Whitney.

- Czego się tak boisz, przecież Kate nie zamierza wyjść za niego za mąż, przynajmniej na razie - skarciła ją Whitney.

Rozmowa z Whitney o dzieciach zawsze sprowadzała Annie na ziemię. Przyjaciółka była niezwykle praktyczna i rozsądna.

- A jeśli zechce wyjść za niego za mąż? - spytała. - To muzułmanin, a Kate jest życiową buntowniczką, absolutnie wyzwoloną amerykańską dziewczyną. Jestem pewna, że jego rodzice też są zaniepokojeni, oczywiście jeżeli już ją poznali. Małżeństwo to trudna sprawa, nawet bez różnic kulturowych i religijnych!

- Och, na miłość boską, nie bądź taka staroświecka! Ludzie ciągle zawierają małżeństwa, nie zważając na różnice, poza tym, kto tu mówi o ślubie! - Whitney roześmiała się głośno.

Annie już widziała Kate i Paula jako małżeństwo. Ostatecznie był to pierwszy poważny związek siostrzenicy...

- Po pierwsze, chłopak sprawia wrażenie całkowicie zamerykanizowanego, prawda? - ciągnęła Whitney. - Po drugie, twoja Katie wcale nie wybiera się za mąż! To jeszcze dzieciaki, które chodzą do szkoły, umawiają się na

randki i nie myślą o małżeństwie. Katie ma dwadzieścia jeden lat, on niewiele więcej i sama mówisz, że jest inteligentny! Jest też przystojny, porządnie się ubiera i ma dobre maniery, tak? Wiele wskazuje, że to świetny chłopak. A jeśli masz ochotę się pośmiać, to wyobraź sobie reakcję jego rodziców, gdy zobaczą tatuaże na jej ramionach, nie wspominając już o dziesięciu kolczykach w uszach. Pewnie dostaną ataku serca, biedacy! Jakoś nie wydaje mi się, żeby rzucili się do telefonu i zaczęli natychmiast omawiać z tobą szczegóły kontraktu małżeńskiego! Wrzuć trochę na luz, co ty na to?

- Reakcją jego rodziców też się matwię, to chyba oczywiste - westchnęła Annie. - Co będzie, jeżeli ocenią Katie tylko na podstawie wyglądu, który szczerze przyznaję, mnie też czasami przeraża? Słabo mi się robi, kiedy patrzę na te jej tatuaże! Mówię ci jednak, że ona traktuje Paula bardzo poważnie, czuję to. Znam ją i widzę, co się z nią dzieje. Czyta książki o jego kulturze, i bardzo dobrze, dlaczego nie, ale może ona naprawdę myśli o małżeństwie.

Annie sama czuła, że wybiega zbyt daleko naprzód, ale nie mogła przestać myśleć o przyszłości i potencjalnych trudnościach, związanych z integracją ich dwóch odmiennych światów.

- W porządku, posłuchaj uważnie - odparła spokojnie Whitney. - Kiedy miałam czternaście lat, chciałam zostać zakonnice, a mój brat się zastanawiał, czy nie przejść na judaizm, bo wtedy mógłby mieć bar micwę i huczną imprezę z tej okazji. Żadne z nas nie zrealizowało tych pomysłów. Na tej podstawie śmiem twierdzić, że Katie raczej nie przeniesie się na stałe do Iranu, poza tym chłopak jest Amerykaninem i najprawdopodobniej wcale nie nosi się z zamiarem powrotu do rodzinnego kraju. Jego ojczyzną jest teraz Ameryka, nie Iran, na miłość boską!

- Mówi, że nadal ma tam rodzinę. Wuję, ciotkę i mnóstwo kuzynów... A jeśli mimo wszystko wróci tam i Kate pojedzie razem z nim?

Za żadne skarby świata nie chciała stracie Katie, która przecież ani na chwilę nie przestała być jej ukochanym małym dzieckiem.

- Ja mam kuzynkę na Islandii - odparowała Whitney. -I wcale nie zamierzam się tam przeprowadzać! Annie, musisz trochę odpuścić, wierz mi! Świetnie wychowałeś swoje dzieciaki, twoja siostra byłaby z ciebie naprawdę dumna, ale teraz to są dorośli ludzie! Powinni żyć na własny rachunek i popełniać własne błędy! Całkiem niewykluczone, że któreś z nich poślubi kogoś, kto zupełnie nie przypadnie ci do gustu, ale nie sądzę, aby w tej chwili byli gotowi stanąć na ślubnym kobiercu, nawet Liz, która przecież jest już wystarczająco dorosła, by myśleć o małżeństwie. I nawet jeżeli spieprzą sprawę i popełnią straszny błąd, co może zdarzyć się każdemu, niezależnie od pochodzenia i religii, będziesz mogła tylko obserwować sytuację i nie wtrącać się, bo to ich życie! Problem polega na tym, że nie masz własnego życia, moja droga. Nie możesz bez końca rozpaczliwie trzymać się dzieci i pilnować, żeby przypadkiem nie popełnili jakiejś pomyłki. Dzieci dorastają, idą w świat i muszą radzić sobie same, tak to już jest. To okropne i wiem, że pewnie zwariuję, kiedy jeden z moich synów przywiezie do domu jakąś słodką idiotkę albo wyrachowaną sukę, ale to będzie ich życie, nie moje. Musisz zacząć żyć własnym życiem, skarbie. Oddałeś dzieciom całe szesnaście lat, spełniłaś daną Jane obietnicę, co tam, zrobiłaś dużo, dużo więcej, lecz teraz już dosyć. Wstawaj z ławki rezerwowych i bierz się do roboty! Żądam, żebyś natychmiast znalazła sobie faceta!

- Nie chcę faceta, jest mi dobrze tak, jak jest. Zależy mi

na szczęście dzieci i nie będę siedziała z zasznurowanymi ustami, kiedy Liz, Ted albo Kate będą marnować sobie życie.

- Nie możesz ich powstrzymać - przerwała jej twardo Whitney

- Dlaczego? - spytała Annie, chociaż w głębi duszy doskonale wiedziała, że jej przyjaciółka ma rację.

- Bo nie masz takiego prawa, rodzice nie mogą robić takich rzeczy! To niezdrowe, i dla ciebie, i dla nich! Są dorośli i nie zmienisz tego, nawet jeżeli bardzo ci się to nie podoba! Ty popełniłaś własne błędy, więc pozwól im na to samo!

- Jakie błędy popełniłam? - w głosie Annie zabrzmiało zdziwienie.

- Zrezygnowałaś z życia dla swoich dzieciaków - odparła łagodnie Whitney.

Annie nie odpowiedziała. Whitney mówiła prawdę - rzeczywiście zrezygnowała z życia, ale wtedy nie mogła przecież postąpić inaczej, a teraz niczego nie żałowała. Ostatnie szesnaście lat było najwspanialszym okresem w jej życiu i najtrudniej było pogodzić się ze świadomością, że ten czas należy już do przeszłości. Wykonała swoje zadanie. Teraz musiała otworzyć klatkę i pozwolić dzieciom odlecieć. Nawet jeżeli Kate miałyby zamieszkać w kraju odległym pod względem geograficznym i kulturowym, nikt nie może jej powstrzymać, nie ma do tego prawa. Nawet ona.

- Nie wiem, czy zdołam założyć ręce i przyglądać się temu wszystkiemu z boku - wyznała szczerze.

- Nie masz wyboru. Zrobiłaś już, co do ciebie należało. Twoje dzieci pójdą teraz własną drogą i nic na to nie poradzisz.

Annie pomyślała, że nie wie, jak zdoła przełknąć tę

gorzką pigułkę. Wystarczająco trudne było życie w opustoszałym gnieździe, a co dopiero mówić o bezczynnym obserwowaniu, jak dzieci podejmują decyzje, które mogą u nieszczęśliwiec w przyszłości.

- Do tej pory miałaś szczęście i odwaliałaś kawał naprawdę dobrej roboty - ciągnęła Whitney. - Nie sądzę, aby dzieciaki zmarnowały ten potencjał, ale nawet jeżeli, to już ich sprawa. Ty możesz tylko pomóc im pozbierać się po ewentualnych potknięciach, oczywiście jeśli ci na to pozwolą. A Katie może równie dobrze wyjść za najzupełniej nieodpowiedniego faceta z Paryża, Londynu czy New Jersey.

- Nie mam pojęcia, jak zdołam znieść tę bezradność. To, co robią teraz, może zaważyć na całej ich przyszłości! Gdy byli mali, wszystko wydawało się takie proste...

- Nieprawda! Żyłaś w ciągłym strachu, że źle wychowujesz nieswoje dzieci, ale zdążyłaś już o tym zapomnieć!

- Może i tak... - Annie ze smutkiem wzruszyła ramionami. - Paul to miły chłopiec, polubiłam go, nie chcę tylko, żeby Kate przeprowadziła się do Teheranu, nie chcę jej stracić.

- Miej do niej trochę zaufania, przecież ona też tego nie chce! Jest bardzo mocno związana z wami wszystkimi, więc ostatecznie na pewno zamieszka w Nowym Jorku. Paul także mieszka tutaj, prawda? Przestań wyobrażać sobie, że Kate wychodzi za niego i przenosi się na drugi koniec świata, bo doprowadzisz się do szaleństwa!

Whitney ze wszystkich sił usiłowała ją uspokoić i jej argumenty w pełni docierały do Annie. Rozumiała przecież, że pewnego dnia będzie musiała przyjąć swoją bezradność do wiadomości i być może ten moment właśnie przyszedł.

Siedziała na łóżku i myślała o tym, co ją czeka, gdy do pokoju weszła Katie. Paul już wyszedł. Dziewczyna miała

rozmarzony wyraz twarzy i nieśmiało uśmiechała się do ciotki. Serce Annie ścisnęło się ze wzruszenia - nigdy jeszcze nie widziała kogoś aż tak zakochanego. Wiedziała, że takie uczucie oznacza ryzyko ogromnego zawodu, jeżeli sprawy nie ułożą się tak, jak powinny. Kate miała dwadzieścia jeden lat, a w tym wieku chyba żaden romans nie trwa wiecznie. Annie najchętniej owinęłaby siostrzenicę miękkim, grubym kokonem i trzymała ją w nim do końca życia.

- Paul to bardzo sympatyczny młody człowiek - odezwała się ostrożnie, niepewna, co jeszcze powiedzieć osobie, która wygląda, jakby unosiła się wysoko nad ziemią. - Jest doskonale wychowany, inteligentny przystojny i chyba naprawdę miły.

- Jest wspaniały! - oznajmiła Katie takim tonem, jakby uważała, że musi bronić ukochanego.

- Na pewno - przytaknęła spokojnie Annie, wbrew sobie zapuszczając się na niebezpieczne wody. - Jego korzenie tkwią jednak w innej kulturze, a to jest kwestia, nad którą powinnaś się zastanowić.

W odpowiedzi Kate obrzuciła ją wrogim spojrzeniem. Annie obawiała się takiej właśnie reakcji ze strony dziewczyny. Nie chciała jej tracić z powodu tego czy jakiegokolwiek innego chłopaka. Nic nie było tego warte.

- Jakie to ma znaczenie? - ostro zapytała Katie. - Paul jest Amerykaninem, mieszka w Nowym Jorku i nie zamierza wracać do Iranu, chyba że z wizytą. Jego życie toczy się tutaj, tak jak moje!

- To dobrze, ale Paul może jednak myśleć o życiu w trochę innych kategoriach. Ani jego rodzice, ani krewni, którzy nadal mieszkają w Iranie, nie są Amerykanami. Wiem, że teraz wydaje ci się to kompletnie nieistotne, lecz takie różnice mają znaczenie. Jak wychowywalibyście dzieci,

gdybyś za niego wyszła? Czego oczekiwaliby od ciebie Paul i jego rodzina? Zawsze czułabyś się wśród nich obco, kochanie. Jeżeli traktujesz tę znajomość poważnie, musisz wziąć to wszystko pod uwagę. Pochodzicie z zupełnie odmiennych kultur i dlatego trochę się o ciebie martwię.

Annie starała się być całkowicie szczerą i jasno formułować swoje zastrzeżenia.

- Nie mogę uwierzyć, że jesteś taką bigotką! O co ci właściwie chodzi? O to, że Paul ma ciemniejszą skórę niż ja? A kto zwraca uwagę na takie bzdety, do diabła?!

- Nikt, oczywiście, i ja również nie! Mam jednak świadomość, że jego sposób patrzenia na życie jest inny, może zbyt znacząco inny. Jego rodzice mogą być podobnego zdania na twój temat...

- Jesteś zwyczajnie śmieszna. - Kate popatrzyła na Annie z typowo młodzieńczą pogardą. - Nie masz mężczyzny i nigdy go nie miałaś! Żyjesz jak jakaś cholerna zakonnica! Co ty możesz wiedzieć o miłości i budowaniu wspólnego życia?!

- Niewiele... - Oczy Annie zaszkliły się od łez. - Zależy mi tylko, żebyś wiedziała, co cię może czekać. Pochodzenie, rodzinne zwyczaje i tradycje mają duże znaczenie między dwojgiem ludzi, w każdym związku, nawet jeżeli łączy ich wielka miłość. Chcę dla ciebie jak najlepiej.

Nie zareagowała na słowa Kate. Nie powiedziała jej, że żyła jak zakonnica, ponieważ w wieku dwudziestu sześciu lat zajęła się wychowaniem trójki dzieci, a mężczyzna, w którym była zakochana, rzucił ją, przestraszony ciężarem, jaki na siebie wzięła. Nie powiedziała, że nie miała czasu związać się z nikim innym, bo codzienna opieka nad dziećmi po prostu jej na to nie pozwoliła. Zamiast tego skupiła rozmowę na Katie i Paulu, bo to o nich jej teraz chodziło.

- Zrobię to, co uznam za stosowne! - oznajmiła Kate ze złością. Annie kiwnęła głową przywołując ostrzeżenia, jakich przed godziną udzieliła jej Whitney - jej dzieci żyły teraz własnym życiem i miały prawo do błędów, a ona musiała im na to pozwolić. Starła się, ale nie było to łatwe. Kto mógł zresztą wiedzieć, czy związek Katie z Paulem był błędem? Może wcale nie...

- Kocham cię, skarbie - powiedziała cicho.

Katie wypadła z pokoju, z rozmachem trzaskając drzwiami.

W nocy Annie nie mogła zasnąć. Leżała wpatrzona w sufit, myślała o rozmowie z Kate i zadawała sobie pytanie, czy nie popełniła błędu. Może nie miała prawa mówić

o tym... Paul sprawiał wrażenie przyzwoitego człowieka i chyba to powinno jej wystarczyć. Może różnice kulturowe naprawdę nie miały żadnego znaczenia... Czy mogła mówić Katie, kogo ma kochać i jak żyć? Może Kate będzie szczęśliwa z Paulem, któż by to mógł przewidzieć... Pod pewnymi względami Katie miała rację. Annie naprawdę żyła jak zakonnica. Jej życie osobiste zakończyło się przed szesnastu laty. Teraz miała czterdzieści dwa lata i chyba było już za późno, aby się o nie zatroszczyć. Życie z mężczyzną oddała za życie z dziećmi swojej siostry i nie żałowała tej zamiany. Nie miała doświadczenia, nie miała związków, z których mogłaby czerpać potrzebną wiedzę, a o kulturze irańskiej wiedziała tylko tyle, ile czytała w gazetach i czasopiśmie. Nie wybrałaby takiego życia dla Katie, lecz ona sama miała pełne i niepodważalne prawo dokonać wyboru.

Myślała również o Tedzie i tajemniczej kobiecie, która najwyraźniej prawie bez reszty skupiła na sobie jego uwagę. W czasie świąt Ted był roztargniony, wieczorem w dzień

Bożego Narodzenia zniknął i wrócił bardzo późno. Annie nigdy dotąd go takim nie widziała. Jeśli chodzi o Liz, to Annie była głęboko przekonana, że dziewczyna marnuje czas w towarzystwie mężczyzn takich jak Jean-Louis. Liz bawiła się i robiła karierę, ale wszyscy jej dotychczasowi partnerzy byli zbyt zajęci sobą, żeby naprawdę zająć się nią. Och, trudno było patrzeć, jak trójka dzieci powoli wkracza w dorosłość.

Następnego dnia Annie od rana bolała głowa. Kiedy wyszła ze swojego pokoju, Teda i Katie już nie było i żadne nie zostawiło wiadomości, jakie mają plany. Annie zdawała sobie sprawę, że nie może oczekiwać od nich wyjaśnień, gdzie są i co robią. Napiła się herbaty i poszła na spacer. Gdy Whitney zadzwoniła na jej komórkę, Annie opowiedziała o kłótni z Katie. - Kate musi bronić tego związku, nawet jeżeli w duszy przyznaje ci rację - powiedziała Whitney. - Nikt nie chce przyznać, że nie jest pewny, czy dobrze postępuje, dlatego łatwiej jej atakować ciebie. Cóż, nie ukrywałaś przed nią co cię niepokoi, a to dobrze. Teraz wycofaj się i czekaj, co ona zrobi. No i sama trochę się zabaw! To jak, przyjedziesz na sylwestra? Może byłoby dobrze, gdybyś przynajmniej na jeden wieczór wymknęła się z domu, co?

- Nie chcę zostawiać ich samych w sylwestra...

- Co takiego?! Żartujesz sobie?! Przecież już o tym rozmawialiśmy, na miłość boską! To oni cię zostawią są dorośli i mają własne plany, a ja chcę przedstawić cię przyjacielowi Freda, bo to świetny facet, naprawdę! Annie przypomniała sobie nagle wczorajsze słowa Katie, że żyje jak zakonnica. Miała dopiero czterdzieści dwa lata, nie dziewięćdziesiąt pięć, więc może jej siostrzenica i Whitney wcale się tak bardzo nie myliły. Powinna przynajmniej spróbować. Nie chciała umierać w samotności,

a jeżeli miała przed sobą jeszcze czterdzieści albo pięćdziesiąt lat, to miło byłoby przeżyć je w towarzystwie.

- Dobrze, przyjadę - powiedziała takim tonem, jakby wyrażała zgodę, aby chirurg wyciągnął jej wątrobę przez nos.

- Świetnie! - ucieszyła się Whitney. - Przenocujesz chyba u nas, bo nie powinnaś sama wracać po ciemku. Pomyśl, może masz przed sobą początek gorącego romansu i zupełnie nowego życia! Kumpel Freda na pewno ci się spodoba!

Annie od paru lat nie umawiała się na randki w ciemno, zdążyła więc już zapomnieć, że zazwyczaj kończą się one wielkim rozczarowaniem. Na razie była po prostu zadowolona, że będzie miała co robić w sylwestra, a jeśli chodzi o dzieci, to Whitney miała rację - z pewnością już dawno oboje umówili się z przyjaciółmi.

Teda i Katie zobaczyła dopiero następnego dnia i od razu powiedziała im, że zamierza spędzić sylwestra u Whitney i Freda. Gdyby zaprotestowali, odwołałaby swój udział w sylwestrowej imprezie, lecz oni oświadczyli, że mają własne plany, potwierdzając tym samym przewidywania Whitney. Annie nie próbowała więcej rozmawiać z Katie o Paulu. Powiedziała wystarczająco dużo i kiedy w ostatnie grudniowe popołudnie wyruszała do New Jersey, Katie nadal była na nią wściekła.

ROZDZIAŁ 9

Annie dotarła do domu Whitney i Freda o osiemnastej. Ruch na drodze był niewielki, więc jechało jej się bardzo dobrze. Kiedy przyjechała, trzech synowie Whitney grali w koszykówkę na podwórku. Mieli czternaście, szesnaście i siedemnaście lat, i wszyscy odziedziczyli po Fredzie rude włosy i piegi, a także wielkie upodobanie do sportu. Najstarszy zaczynał wkrótce naukę w college'u. Chciał dostać się na uniwersytet Duke'a i podjąć studia medyczne, podobnie jak ojciec.

Fred był chirurgiem ortopedą i świetnie zarabiał. Nie był mężczyzną, którego wybrałaby Annie, ale Whitney była z nim szczęśliwa. Miał rozdmuchane ego i zawsze przechwalał się swoimi osiągnięciami, był jednak dobrym ojcem i mężem, i odpowiedzialnym człowiekiem, za co Annie szczerze go szanowała.

Przyjaciółki uściskały się serdecznie i Whitney wzięła rzeczy Annie, żeby je zanieść do jej pokoju. Annie zajrzała do jadalni i zobaczyła pięknie nakryty srebrnymi sztucami i kryształami stół, ozdobiony bukietami białych kwiatów i srebrzystymi serpentynami. Przyjęcie zapowiadało się na bardziej wystawne niż sądziła.

- Ile osób zaprosiliście? - spytała, odrobinę zaniepokojona.

Wiedziała, że większość znajomych Freda i Whitney stanowiły małżeństwa mieszkające w Far Hills, przeważnie również lekarze. Czowała się wśród nich trochę obco, na razie starała się jednak o tym nie myśleć.

- Dwadzieścia cztery - odparła Whitney, wprowadzając ją do pięknego gościnnego pokoju. - Jak zachowywała się Kate, kiedy wyjeżdżałaś?

- Była nadal wkurzona. Powiedziała, że ma plany na sylwestra. Nie pytałam, z kim się umówiła, ale na pewno spędzi wieczór z Paulem.

- Nic jej nie grozi - powiedziała Whitney. - A ty naprawdę powinnaś wreszcie się zrelaksować! Goście przyjdą za godzinę, do kolacji usiądziemy o dwudziestej albo dwudziestej trzydziści.

Annie nie miała więc dużo czasu i zaraz po wyjściu Whitney zanurzyła się w wannie z ciepłą wodą. Obiecała sobie, że postara się wczuć w atmosferę wieczoru.

Wysuszyła włosy suszarką i spięła je we francuski kok, umalowała się, włożyła czarną sukienkę oraz sandały na wysokich obcasach, ozdobione piórami, które Lizzie przywiozła jej z Paryża. W uszy wpięła kolczyki z brylantami; sama je sobie kupiła. Przed wyjściem z pokoju spojrzała w lustro i doszła do wniosku, że jej elegancka najstarsza siostrzenica byłaby z niej zadowolona. Do sukni idealnie pasowała mała torebka z czarnej satyny. Annie wyglądała wyjątkowo sztywnie, kiedy zeszła do salonu, w którym czekali już pierwsi goście. Była to para, którą Annie знаła - chirurg ortopeda z żoną. Mieli dzieci mniej więcej w tym samym wieku co synowie Whitney i Freda, i zawsze, jak pamiętała Annie, pili nieco za dużo.

Oboje zmierz yli uważnym wzrokiem wchodzącą do sa-

lonu Annie. W spojrzeniu żony lekarza dało się wyczytać protekcyjną sympatię, jaką niektóre zameżne kobiety obdarzają kobiety samotne, zupełnie jakby litowały się nad nimi. Annie, która w żadnym razie nie zamieniłaby się na życie z tą kobietą rozmawiała z nią z ożywieniem, czekając na przybycie reszty gości. O dwudziestej wszyscy byli już na miejscu. W małych miejscowościach ludzie raczej się nie spóźniali, zupełnie inaczej niż w dużych miastach, gdzie komunikację utrudniały korki.

Annie nie zdążyła się jeszcze zorientować, który z mężczyzn został zaproszony ze względu na nią. Wszyscy panowie w salonie byli zdecydowanie pękaci, a panie miały lekką nadwagę. Whitney także mogłaby zrzucić parę kilogramów, ale ponieważ była prawie tak wysoka jak Annie, nadal miała dość zgrabną sylwetkę. Annie od dawna podejrzewała, że tyciu winne są nadmierne ilości wina, pochłanianego przez te kobiety. Sama miała najlepszą figurę z nich wszystkich. Z prawdziwym zainteresowaniem spostrzegła, że panie ją ignorują, natomiast panowie toczą w grupkach rozmowy o biznesie lub medycynie. Mężczyźni zachowywali się tak, jakby kobiety nie istniały a kobiety nie zwracały na to najmniejszej uwagi, przynajmniej pozornie, i rozmawiały między sobą o zakupach, tenisie lub dzieciach.

- Widziałas go? - spytała Whitney, kiedy przystanęła na chwilę obok Annie.

Zaraz potem odeszła, aby zająć się gośćmi. Przedstawiła Annie kilku osobom, samym parom. W końcu Annie zorientowała się, że ona i jej partner, który do tej pory się nie ujawnił, będą jedynymi wolnymi osobami w tym towarzystwie. Od Whitney wiedziała tylko, że przyjaciel Freda ma pięćdziesiąt dwa lata, jest chirurgiem, jeździ porsche i jakiś czas temu się rozwiódł. Uśmiechnęła się na myśl, że na

podstawie tego opisu mogłaby zidentyfikować go tylko wtedy gdyby zobaczyła, jak wysiada z samochodu.

Kobiety w salonie miały na sobie koktajlowe lub wieczorowe suknie, mężczyźni smokingi, lecz nikt nie wyglądał naprawdę elegancko. Pięć minut przed rozpoczęciem kolacji Whitney podeszła do Annie z mężczyzną w wieku Freda i przedstawiła go. Bob Graham, człowiek, którego za wszelką cenę chciała poznać z Annie, nie sprawiał szczególnie dobrego wrażenia. Wyglądał jak wielu innych facetów, z którymi Annie umawiała się na randki w ciemno. Oszacował ją chłodnym spojrzeniem, zupełnie jakby miał przed sobą kawałek mięsa, od razu poinformował ją, że jest chirurgiem i spec'alizuje się w transplantacjach serca oraz płuc, i wyraźnie czekał na wyrazy uznania. Trzymał się prosto, ale miał wystający brzuch i kilka podbródków, a rok przed rozwodem poddał się operacji transplantacji włosów, o czym również powiadomił Annie, która zdecydowanie wolałaby, żeby był łyсы, zaraz jednak skarciła się surowo za brak życzliwości i postanowiła dać biedakowi szansę. Kto wie, może był to najsympatyczniejszy człowiek na świecie. Mogła przecież przymknąć oko na te jego nieszczęsne włosy prawda? Może naprawdę był wspaniały, fascynujący, zabawny albo wybitnie inteligentny, wszystko to było możliwe, dlaczego nie... Zauważyła, że nowy znajomy wpatruje się w jej brylantowe kolczyki.

- Jesteś rozwiedziona? - zapytał, przyjmując chyba, że w tym wieku inna możliwość nie wchodzi w grę.

- Nie, nigdy nie byłam mężatką - odparła z uśmiechem.

Sama już nie wiedziała, czy ta odpowiedź uznana zostanie za dowód życiowego niedołęstwa czy raczej lekkiego podejścia do najbardziej istotnych spraw.

- Ładne kolczyki - zauważył. - Twój były chłopak musiał być bardzo hojny...

Całkowicie zaskoczona tym komentarzem Annie pomyślała, że nigdy nie miała przyjaciela, który kupiłby jej cokolwiek poza posiłkiem w restauracji albo szalem.

- Sama je kupiłam - wyjaśniła spokojnie.

W tej samej chwili Whitney zaczęła zaganiać gości do jadalni. Chirurg od transplantacji usiadł obok Annie. Przez pierwszą część kolacji zupełnie ją ignorował, dyskutując z dwoma mężczyznami siedzącymi po przeciwnej stronie stołu o niedawnej operacji, którą przeprowadził, oraz o szpitalnej polityce. Sąsiad Annie z lewej strony odwrócił się do niej plecami i z ożywieniem rozmawiał z sąsiadką po prawej. Byli już przy deserze, kiedy chirurg znowu skupił uwagę na Annie, zupełnie jakby właśnie w tej chwili przypomniał sobie o jej istnieniu. Annie spodziewała się, że zapyta ją czym się zajmuje, skoro ona sama przez cały wieczór słuchała jego zawodowych opowieści.

- Buduję dom na Kajmanach - odezwał się, całkowicie bez kontekstu. - Mam już ranczo w Montanie, ale potrzebowałem jakiegoś miejsca w podatkowym rajku... Trzymam tam teraz mój jacht. Byłaś kiedyś w St. Bart?

- Nie. - Uśmiechnęła się pogodnie. - Słyszałam, że jest tam przepięknie...

- Niedawno sprzedałem dom w St. Bart, w ciągu dwóch lat od kupna zarobiłem na nim mnóstwo forsy...

Annie nie była pewna, jakiej reakcji spodziewa się po niej rozmówca, z wielkim zainteresowaniem zauważyła jednak, że chirurg niczego nie próbował się o niej dowiedzieć. Rozmowa toczyła się wyłącznie o nim.

- Dopiero co wróciłem z dziećmi z safari w Kenii - ciągnął. -

Pojechaliśmy tam na święta. W zeszłym roku byliśmy w Zimbabwie, ale Kenia bardziej mi się podoba.

Annie doszła do wniosku, że jest nie tyle stroną w rozmowie, ile milczącym świadkiem monologu. Przyjaciel

Freda nie zadawał jej żadnych pytań, nie był ciekaw jej opinii, doświadczeń życiowych czy zawodowych.

- Zrobiłem dużo fantastycznych zdjęć...

Nie był też zainteresowany wydarzeniami na świecie, mówił tylko o tym, co jego bezpośrednio dotyczyło. Annie słuchała z zapartym tchem.

Whitney uśmiechnęła się do niej zachęcająco. Wyglądała, jakby za dużo wypijała, podobnie jak wszyscy goście. Kolacja była wyśmienita, dania dostarczyła najlepsza firma cateringowa w Far Hills, ale pozostały niedocenione, bo głównym tematem rozmów były wina. Fred podał najlepsze alkohole, jakie miał w piwnicy i nie zamierzał ukrywać, że uważa się za wielkiego znawcę win. Dokładnie tak samo zachowywał się Bob. Opowiedział Annie o zapasach win, jakie ma w domu, i o swoich zabiegach, których celem było kupowanie świetnych francuskich win. Później szczegółowo opisał swój jacht. Oświadczył, że ma na nim prawdziwe dzieła sztuki i dodał, że dużo dobrych obrazów i rzeźb oddał byłej żonie. Annie uprzejmie milczała. Kiedy wstawali od stołu, mężczyzna z lewej przeprosił ją, że okazał się tak nierozmowny, natomiast Bob bez słowa oddalił się w stronę Freda oraz kilku innych kolegów lekarzy.

Annie nie mogła oprzeć się wrażeniu, że stała się niewidzialna. Kobiety bały się jej, ponieważ była szczuplejsza, lepiej ubrana i ładniejsza od nich, a mężczyźni zainteresowani byli wyłącznie swoimi sprawami. Bob Graham równie dobrze mógłby przez cały wieczór mówić do lustra. Annie podejrzewała, że zwykle umawiał się z młodszymi kobietami, którym imponowały jego pieniądze, jacht oraz porsche. Jej trudniej było zaimponować, zresztą teraz chciała już tylko jak najszybciej wrócić do domu, a utknęła tu na całą noc. Szczerze żałowała, że dała się namówić na tę imprezę u Whitney i Freda, bo samotny wieczór w domu

byłby znacznie przyjemniejszy, musiała jednak robić dobrą minę do złej gry głównie ze względu na przyjaciółkę.

- Świetny facet, co? - szepnęła Whitney do Annie, mijając ją w drodze do grupki kobiet, z którymi codziennie grała w tenisa.

Annie przyjaźniła się z Whitney od wielu lat i bardzo lubiła z nią rozmawiać, ale dopiero teraz, w tym otoczeniu, uświadomiła sobie, jak niewiele mają ze sobą wspólnego i jak bardzo różni się jej życie od życia przyjaciółki. Whitney wyszła za Freda przed dwudziestu laty, zaraz po ukończeniu college'u i nigdy nie pracowała. Kiedy Annie odziedziczyła dzieci Jane, Whitney miała już dwóch synów i wiele razy służyła jej dobrymi radami oraz wsparciem. Łączyła je dość odległa przeszłość i w zasadzie nic poza tym. Annie nie znosiła znajomych Whitney i Freda. Zawsze o tym zapominała i docierało to do niej z całą mocą dopiero w czasie wizyt w New Jersey, których na szczęście nie składała często. Zwykle spotykały się w mieście, kiedy Whitney przyjeżdżała do Nowego Jorku na zakupy. W takich sytuacjach wszystko było w porządku, ale tutaj, w naturalnym środowisku Whitney, wśród tych zadowolonych z siebie, nadętych ludzi Annie czuła się po prostu fatalnie. Miała ochotę krzyczeć i uciec z pokoju. Jak na razie najlepszą częścią wieczoru było jedzenie.

Wszyscy pili do północy, a gdy Fred odliczył ostatnie sekundy mijającego roku, zaczęli wznosić radosne okrzyki i dmuchać w dostarczone przez panią domu małe trąbki. Później całowali się, składali sobie noworoczne życzenia i po dwudziestu minutach zegnali się już z gospodarzami.

Whitney była kompletnie pijana, a Fred poszedł spać, nie mówiąc nawet „dobranoc” żadnej z nich.

- Bob mówił, że strasznie mu się podobałaś! - wybełkotała Whitney.

Anie skrzywiła się z niesmakiem. Chciała, żeby przyjaciółka była inna, ale Whitney niczym nie różniła się od swoich znajomych, a randka w ciemno okazała się kolejnym niewypałem. Po ostatniej Annie zdążyła zapomnieć, jak trudnym przeżyciem bywają takie spotkania. Zawsze uroczyście obiecywała sobie, że nigdy więcej nie umówi się z nieznajomym, ale tym razem Whitney bardzo nalegała, natomiast Annie, zraniona słowami Katie, dała się skusić.

Kiedy Whitney poszła do kuchni, żeby zapłacić pracownikom firmy cateringowej, Annie wymknęła się do swojego pokoju, przebrała w piżamę, zmyła makijaż, otuliła kołdrą i zgasiła światło. W tej chwili pragnęła nie mężczyzny, lecz powrotu do okresu, gdy dzieci jej siostry były młodsze. Co roku świetnie się wtedy bawili, popijając piwo imbirowe, oglądając filmy albo grając w karty do północy, a potem zasypiając w jej łóżku. Takich sylwestrów jej brakowało, za takimi „imprezami” tęskniła. Dobrze wiedziała, że tutaj, z Whitney oraz jej przyjaciółmi, czuła się dużo samotniej niż nawet zupełnie sama w domu. Ted spędził ostatni dzień starego roku z Pattie. Przygotowali u niej kolację, a potem Pattie zawiozła dzieci do ich ojca, który poprzedniego dnia wrócił do Nowego Jorku. Pili szampana i kochali się na przemian namiętnie i czule. O północy włączyli telewizję, obejrzeli koniec roku na Times Square i znowu się kochali. Był to zabawny, miły wieczór, pełen pasji i pożądania, które Ted odkrył razem z Pattie w ostatnich tygodniach. Pattie zaskoczyła go, proponując, aby wprowadził się do niej.

- Co pomyślałyby twoje dzieci? - zapytał ze zdziwieniem.

Nigdy nie mieszkał z kobietą, oczywiście nie licząc ciotki i sióstr, i nie był pewny, czy jest gotowy na taki krok. Najbardziej obawiał się jednak reakcji Justina i Jessiki.

- Że jesteśmy w sobie zakochani - odparła Pattie.

Ted wiedział, że łącząłoby się to także z poważną odpowiedzialnością.

Co by było, gdyby ich miłość wygasła? Jaki wpływ wywarłoby to na dzieci? Jessica i Justin przeżyli już rozwód rodziców i Ted nie chciał narażać ich na kolejne trudne doświadczenia. Powiedział o tym Pattie, ale ona nie rozumiała jego niepokoju.

- Dlaczego cokolwiek miałyby nam nie wyjść? - spytała.

- Potrzeba nam trochę więcej czasu.

Uśmiechała się w odpowiedzi tak, jakby rozwikłała wszystkie tajemnice świata. Tej nocy tysiąc razy wyznała Tedowi miłość, a on kochał się z nią raz po raz. Był to najbardziej ekscytujący sylwester w jego życiu. Oboje upili się szampanem i w końcu zasnęli, mocno wtuleni w siebie.

Paul i Katie spędzili sylwestra w mieszkaniu Annie. Kilka dni przed Bożym Narodzeniem Kate została na noc u Paula, którego współlokator miał dziewczynę z własnym mieszkaniem i często u niej nocował, ale tym razem Paul został u Katie. Przygotowali kolację w komfortowej kuchni, obejrzeli dwa filmy, całowali się i kochali w jej łóżku. Paul był czuły, zakochany, delikatny i pełen szacunku, i Katie utwierdziła się w przekonaniu, że wszystko, co Annie mówiła o różnicach kulturowych, z pewnością nie odnosiło się do jej ukochanego. Był takim samym Amerykaninem jak ona, niezależnie od tego, gdzie się urodził. Był też najlepszym, najłagodniejszym człowiekiem na świecie i Katie zakochała się głęboko i bez reszty, pierwszy raz w życiu.

Paul bał się, że Annie może wrócić do domu w środku

nocy i Katie musiała go ciągle uspokajać. Mimo tego nalegał, żeby zamknęła drzwi do swojego pokoju, ponieważ nie chciał, żeby ktoś ich zaskoczył.

Kate spokojnie leżała w jego ramionach. Do późna rozmawiali o wszystkich interesujących ich rzeczach, o swoich nadziejach, obawach i marzeniach. Faul powiedział, że chciałby kiedyś zabrać ją do Teheranu, na spotkanie ze swoimi bliskimi. Bardzo zależało mu, żeby odwiedzić kraj swojego dzieciństwa. Miał wiele pięknych wspomnień z Iranu, chciał jednak mieszkać w Stanach. Katie odparła, że chętnie z nim pojedzie; pragnęła wszystko o nim wiedzieć i poznać miejsce, gdzie spędził pierwsze lata życia.

Przedstawił już Kate rodzicom, którzy przywitali ją niezwykle uprzejmie, chociaż z początku odrobinę chłodno, ale Paul wytłumaczył, że liczyli, iż wcześniej czy później ożeni się z muzułmanką. Zapewnił jednak, że pokochają ją całym sercem, gdy tylko lepiej ją poznają. Katie mówiła mu w zasadzie to samo - że Annie musi przywyknąć do ich związku, a zwłaszcza do tego, że ona nie jest już małą dziewczynką ale dorosłą osobą.

Tej nocy Katie w ogóle nie myślała o ciotce. Jej serce i umysł pełne były Paula oraz marzeń o życiu, które mieli dzielić. Miała przed sobą nowy rok, nowy świat, nowe życie z ukochanym. Różnice, które budziły obawy ich rodzin, nie istniały dla dwojga młodych, skupionych wyłącznie na własnym, wspólnym świecie.

ROZDZIAŁ 10

Następnego dnia Annie nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie wyjedzie z Far Hills. Nie chciała być nieuprzejma, czekała więc, aż Whitney i Fred obudzą się i zejną na dół. Sama była gotowa już przed dziewiątą, ale gospodarze opuścili swoją sypialnię dopiero o dziesiątej. Annie dołączyła do nich w kuchni i razem wypili filiżankę kawy. Wszystko wskazywało na to, że oboje mieli potwornego kaca, w przeciwieństwie do Annie, która poprzedniego wieczoru piła bardzo mało i teraz czuła się świetnie.

- I co myślisz o Bobie? - spytała Whitney z nadzieją w głosie, korzystając z tego, że Fred zajął się przeglądaniem gazety.

Tak czy inaczej, Fred sprawiał wrażenie absolutnie niezainteresowanego nieszczęsną randką w ciemno. Już wcześniej dał zresztą do zrozumienia, że jest to sprawa Whitney, nie jego.

- To interesujący mężczyzna - odparła dyplomatycznie Annie.

Nie chciała ranić uczuć przyjaciółki i nie powiedziała jej prosto w oczy, że Bob jest egomaniakiem, nadętym dupkiem i przerażającym nudziarzem.

- Opowiedział mi o safari w Kenii, gdzie był w czasie

świąt, o swoim ranczu w Montanie, jachcie, domu, który buduje na Kajmanach i drugim, który dopiero co sprzedał w St. Bart. W ogóle ma dużo do powiedzenia... Oczywiście wyłącznie o sobie.

Uo Whitney zaczęło powoli docierać, jak wyglądała zaaranżowana przez nią randka. Ostrożnie zerknęła na Annie, świadoma, że ta bardzo stara się być uprzejma. Fred podniósł się i przeszedł do drugiego pokoju. Doszedł do wniosku, że nie powinien wtrącać się w babskie sprawy.

- Jest trochę zarozumiała, przyznaję, ale to naprawdę świetny facet - zaczęła Whitney. - W czasie sprawy rozwodowej przepisał majątek na żonę...

Annie nie była pewna, czy z tego powodu rzeczywiście należy uznać Boba za świetnego faceta. No, chyba, że komuś od początku zależało tylko na rozwodzie i pieniądzach. Dla osoby, która ceni ciekawą rozmowę i bliskość drugiego człowieka, towarzystwo Freda było raczej nie do przyjęcia.

- Miło, że tak się zachował - powiedziała wymijająco, pociągając łyk kawy.

- Zostawiła go dla trenera golfa z klubu. Oczywiście Bob przyjął to jako straszny cios i teraz od dłuższego czasu umawia się z dużo młodszymi od niego kobietami, a tym chodzi tylko o pieniądze, rzecz jasna. Dlatego uważam, że Bob potrzebuje normalnej, poważnej kobiety.

- To jego ocena sytuacji czy twoja? - spytała Annie, chociaż w gruncie rzeczy nic ją to nie obchodziło. - Najprawdopodobniej dobrze się bawi z tymi dziewczynami!

- Ale to naprawdę koszmarnie karierowiczki, poznałam kilka z nich! Bob zasługuje na kogoś lepszego!

Annie miała wielką ochotę uświadomić Whitney, że bardzo się myli. Bob zasługiwał na takie kobiety, jakie sobie wybierał, a skoro uparcie pokazywał wszystkim swój port-

fel, sam skazywał się na los ofiary dziewczyn, które uganiały się za pieniędzmi. Może chciał po prostu kupić sobie partnerkę, lecz Annie nie była zainteresowana taką transakcją. Bob wydał jej się odrażający.

- Przykro mi... - Whitney z twarzy Annie bez trudu wyczytała jej opinię o Bobie. - Cóż, pewnie nie jest to mężczyzna w twoim stylu. Miałam nadzieję, że ci się spodoba, zwłaszcza że to jedyny samotny facet, jakiego znam. Wszyscy inni są żonaci...

Annie pomyślała, że i tak nie chciałyby bliżej poznać żadnego ze znajomych Whitney i Freda. Nigdy dotąd nie widziała grupy tak wyjątkowo nieatrakcyjnych mężczyzn, a ich żony też nie były lepsze. Przez cały wieczór wszyscy rozmawiali wyłącznie o pieniądzach, na miłość boską...

- Mówiłaś mu, że jesteś architektem? - zapytała Whitney. Annie parsknęła śmiechem.

- Nie pytał, czym się zajmuję. Przez cały czas gadał o swoich domach oraz innych osiągnięciach, a ja mu nie przerywałam. Nie był zainteresowany mną, i z wzajemnością. Nie przejmuj się, wiem, jak trudno jest skojarzyć ludzi! Moim zdaniem, wzajemna fascynacja albo rodzi się natychmiast, albo w ogóle... Nigdy jeszcze nie byłam na randce w ciemno, która okazałaby się udana!

Zdawała sobie sprawę, że Whitney miała dobre intencje, nawet jeżeli kompletnie myliła się w ocenie charakteru Boba.

- Może powinnaś spróbować poznać kogoś przez Internet - podsunęła Whitney.

Naprawdę chciała pomóc Annie. Martwiła się, że zostanie zupełnie sama, zwłaszcza teraz, gdy jej dzieci już wyprowadziły się z domu. Uważała, że przyjaciółka za wszelką cenę powinna wypełnić czymś pustkę w życiu.

- Nie szukam faceta na chwilę ani męża. - Annie pokrę-

ciła głową. - Jest mi dobrze tak, jak jest, nie mam zresztą czasu na randki. W tej chwili obsługuję dziesięć poważnych zleceń i naprawdę nie skarżę się na samotność.

Whitney ciężko westchnęła. Wiedziała, że Annie nigdy nie narzekała na samotność i być może nawet nie zauważała, że jest sama, ale ten stan trwał zdecydowanie za długo.

- Przez szesnaście lat byłaś zajęta od świtu do nocy -przypomniała przyjaciółce. - Teraz wreszcie musisz pomyśleć o swojej przyszłości. Nie będziesz wiecznie młoda i piękna, a chyba nie chcesz zostać sama jak palec.

Zdaniem Annie samotność wcale nie była zła, szczególnie jeśli alternatywą miał być Bob Graham.

- W samotności nie ma nic przerażającego. - Uśmiechnęła się lekko. - Nie jestem nieszczęśliwa. Oczywiście bardzo brakuje mi dzieci, ale ciebie też to kiedyś czeka. Wszystkie dorastają i wcześniej czy później wyprowadzają się z domu.

- Boję się tego - przyznała Whitney

Fred wrócił do kuchni i usłyszał ich ostatnią wymianę zdań.

- Ja nie! - oznajmił z szerokim uśmiechem. - Kiedy tylko wyniosą się z domu, zaczniemy podróżować i robić wszystko to, czego nie mogliśmy robić przez ostatnie dwadzieścia lat. Wreszcie będziemy mogli wyjechać, nie zamartwiając się, że dzieciaki skasują samochód, zatrują się alkoholem, grając w piwnego ping ponga, albo spalą dom. Nie mogę się już tego doczekać, słowo daję!

- Kobiety widzą to chyba trochę inaczej - powiedziała Annie. - Ciężko przeżywamy takie sytuacje i odczuwamy je jako stratę. Przez wszystkie te lata zajmowanie się dziećmi było najbardziej satysfakcjonującą rzeczą w moim życiu, a teraz nagle stałam się zbędna... Dzięki Bogu, że nie zrezygnowałam z pracy, bo byłabym kompletnie zagubiona!

Whitney świetnie rozumiała punkt widzenia Annie i właśnie dlatego uparcie starała się znaleźć jej mężczyznę.

Annie wstała i poszła po swoją torbę. Pożegnała się z Fredem, podziękowała Whitney za miły wieczór i z westchnieniem ulgi wsiadła do samochodu. Chciała jak najszybciej znaleźć się w domu. Wymyślała sobie od idiotek, że w ogóle tu przyjechała i że przypuszczała, iż ta randka w ciemno będzie inna. Znowu uroczyście obiecała sobie, że nigdy więcej nie podejmie takiego ryzyka, podejrzewała jednak, że za parę lat zapomni o nieprzyjemnym doświadczeniu i pozwoli komuś namówić się na kolejną randkę z nieznanym.

W czasie, gdy Annie wyjeżdżała z New Jersey, Katie i Paul robili sobie śniadanie w jej kuchni. Wstali wcześniej i ubrali się, ponieważ Paul chciał wyjść przed powrotem ciotki Katie. Nie miał pojęcia, w jaki sposób Annie może zareagować na fakt, że spędził noc z jej siostrzenicą i wyczuwał zastrzeżenia, jakie najprawdopodobniej wobec niego miała. Oboje byli rozczarowani, ale nie zaskoczeni, że ich rodziny widzą ich związek jako ryzykowny.

- Twoja ciotka uważa, że wywodzimy się z dwóch kompletnie różnych światów - powiedział ze smutkiem.

Wyczytał to z oczu Annie, chociaż naturalnie była dla niego bardzo miła.

- Przyzwyczaj się, że jesteśmy razem - odparła spokojnie Katie. -

Prawdziwy problem polega na tym, że Annie wciąż widzi we mnie dziecko i bardzo się o mnie martwi. Była młoda, kiedy nasi rodzice zginęli, ale zajęła się nami jak najczulsza matka. Wydaje mi się, że teraz trudno jej zrezygnować z tej roli i przyjąć do wiadomości, że jesteśmy dorośli.

- To chyba bardzo dobra kobieta. - Paul pochylił się

i pocałował Katie. - Kocham cię... Ty też jesteś dobrą kobietą! - dodał z uśmiechem.

Umówili się, że Paul wróci po południu. Nie chciał, żeby Katie miała przez niego kłopoty i wykazał się świetnym wyczuciem - wyszedł z mieszkania dziesięć minut przed powrotem Annie. Katie zdążyła pozmywać naczynia i odstawić je na miejsce, i właśnie słała swoje łóżko, kiedy Annie weszła i złożyła jej życzenia szczęśliwego nowego roku.

- Co robiłaś wczoraj wieczorem? - zapytała siostrzenicę. Zastanawiała się, czy Katie pozwoli Paulowi zostać na

noc, zorientowała się jednak, że do tego nie doszło. Pokój dziewczyny był starannie sprzątnięty i nigdzie nie było widać śladów obecności Paula.

- Poszliśmy zabawić się z przyjaciółmi, nic specjalnego. - Katie wygładziła narzutę i przeszła z Annie do salonu. - Wcześniej wróciłam do domu. A ty? Dobrze się bawiłaś?

Ponieważ Katie najwyraźniej nie była już na nią wściekła, Annie roześmiała się i opowiedziała jej o swojej randce w ciemno.

- Myślę, że była to najgorsza randka w moim życiu! Wolę już być zakonnicą niż umawiać się z takimi facetami!

Kate skrzywiła się ze skruchą, zażenowana uwagą ciotki.

- Przykro mi, że powiedziałam coś takiego... Byłam zdenerwowana...

Nie podobało jej się, że Annie dała wyraz swoim wątpliwościom co do Paula. Była nim zachwycona, podbił jej serce łagodnością i tolerancją, i chciała, żeby Annie potraktowała ich związek z entuzjazmem i bez żadnych zastrzeżeń. Dopiero po kłótni z ciotką zdała sobie sprawę, że chyba wymagała od niej za dużo i to niezależnie od tego, kim byłby jej nowy chłopak. Annie zawsze była bardzo opiekuńcza, może trochę za bardzo.

- Nie szkodzi, miałaś rację. Rzeczywiście żyję jak zakonnica. A gdzie jest Paul?

- Przyjdzie później - odparła swobodnie Katie, jakby jego obecność w domu była czymś najzupełniej normalnym.

- Doskonale! - Ucieszyła się szczerze Annie. - Jeżeli chcesz, może zostać na kolacji.

Polubiła Paula i chciała lepiej go poznać, ponieważ najwyraźniej stał się niezwykle ważną osobą w życiu Kate. Wiedziała jednak również, że korzenie tradycji tkwią głęboko, nawet u przedstawicieli młodego pokolenia.

- Co z twoim bratem? - zagadnęła.

- Nie wiem... - Katie lekko wzruszyła ramionami. - Zniknął bez śladu.

Wczorajszy wieczór spędził pewnie z przyjaciółmi i założę się, że teraz jeszcze śpi u któregoś z nich!

Katie wróciła do swojego pokoju, zadzwoniła do Paula i powiedziała mu, że może przyjechać, kiedy zechce. Gdy usłyszał, że Annie zaprosiła go na kolację, w jego głosie zabrzmiała nuta ulgi.

- Nie domyśliła się, że spędziłem u ciebie noc? - spytał nerwowo.

- Nie, bo posprzątałam po śniadaniu i w pokoju. Annie zjawiła się trochę po twoim wyjściu.

- Zjem lunch z rodzicami i przyjadę - obiecał.

Katie wyciągnęła się na łóżku i włączyła muzykę. Myślała o Paulu.

Jeszcze nigdy nie była tak szczęśliwa.

Ted i Pattie obudzili się o czternastej, kiedy były mąż Pattie zatelefonował z wiadomością, że zaraz przywiezie dzieci. Ted od razu uprzedził Pattie, że zamierza wrócić do domu. Był zdania, że dzieci nie powinny widywać go zbyt często u matki, ponieważ mogłyby zacząć podejrzewać, że

spędza u niej noc. Zależało mu na zachowaniu pozorów przyzwoitości.

- Muszę wracać - powiedział, włączając prysznic. Pattie stała w progu łazienki, przyglądając mu się i podziwiając jego ciało.

- Dlaczego? - zrzuciła szlafrok i dołączyła do niego w kabinie. - Dlaczego musisz wracać do domu? Nie możesz po prostu zostać tu z nami?

- Chcę spędzić trochę czasu z moją siostrą i ciotką - odparł uśmiechnięty.

Czasami wydawało mu się, że Pattie próbuje przejąć kontrolę nad jego życiem. Chciała, żeby był z nią prawie bez przerwy.

- Nie wolałbyś być tutaj? - zamruczała, przywierając do niego całym ciałem.

Strumienie wody spływały im po twarzach. Pattie ujęła go w dłonie i znowu obudziła do życia. Miała nad nim niezwykłą władzę, przypominało to czary.

- Czasami wolałbym być tutaj... - Pocałował ją i zaczął pieścić jej piersi. Sięgnęła po jego drugą rękę i wcisnęła ją sobie między uda.

- Ale kiedy indziej chcę być z nimi - wyszeptał z ustami w jej włosach, chociaż obraz Annie i Kate z każdą sekundą stawał się coraz bardziej mglisty.

Pattie potrafiła koncentrować wszystkie jego myśli i doznania wyłącznie na sobie. Teraz objęła go nogami i już po chwili namiętnie kochali się pod prysznicem. Efekt był natychmiastowy i wybuchowy, a gdy skończyli, z trudem oderwał się od kochanki, wciąż podniecony po jej pieszczotach.

- Jeżeli nie przestaniesz, nigdy stąd nie wyjdę - ostrzegł ją. Roześmiała się gardłowo.

- Właśnie o to mi chodzi...

Odsunął się na odległość ramion i spojrzał na nią uważnie, ubierając w słowa coś, nad czym często się zastanawiał.

- Po co ci taki dzieciak jak ja?

- Szaleję za tobą. - Pattie wyglądała teraz jak młoda dziewczyna, którą łatwo zranić. - Nigdy jeszcze nie byłam tak zakochana.

- Dlaczego? Nie jestem dość dorosły, aby być ojcem twoich dzieci. Nie dojrzałem jeszcze do roli męża. Dyplom dopiero przede mną. Mam wrażenie, że zmieniłem się i spoważniałem od chwili, gdy cię poznałem, ale czeka mnie jeszcze długa droga.

- Więc zabierz mnie ze sobą w tę drogę! Będziemy dorastać razem!

- Ty już dorosłaś - przypomniał jej. - Jesteś matką, byłaś żoną, ale ze mnie jeszcze straszliwy gówniarz...

- Nie przeszkadza mi to, chcę tylko, żebyś był mój! Nigdy nie pozwolę ci odejść!

Ted się przeraził.

- Nie mów tak - powiedział cicho, wycierając się i wychodząc z kabiny. Kiedy Pattie przybierała taki ton, czuł się jak w pułapce. Nie chciał być jej zakładnikiem i choćby niewola miała być nie wiadomo jak ekscytująca, pragnął należeć do niej z własnej woli. Czasami zachowywała się jak desperatka, co zupełnie wytrącało go z równowagi. Ich związek był dużo bardziej intensywny i pełen napięcia niż wcześniejsze znajomości Teda.

- Przecież to prawda. - Popatrzyła na niego ze smutkiem. - Umarłabym, gdybyś mnie zostawił.

- Nie, wcale byś nie umarła! - rzucił surowo. - Masz dzieci, nie wolno ci tak myśleć!

- Więc mnie nie zostawiaj!

- Nie zamierzam cię zostawić, ale nie opowiadaj takich

rzeczy - rzekł łagodniejszym tonem. - Przerażasz mnie, naprawdę!
Pattie skinęła głową i pocałowała go w usta.

Wyszedł parę minut przed powrotem dzieci i złapał taksówkę. Nim wsiadł, odwrócił się i pomachał patrzącej na niego z okna Pattie. A ona nie odrywała wzroku od samochodu, dopóki nie zniknął za rogiem ulicy. W Paryżu Jean-Louis i Liz planowali wziąć do siebie na cały dzień małego Damiena. Poprzedniego wieczoru byli na kolacji z przyjaciółmi Jean-Louisa, Lizzie świetnie się bawiła. Jean-Louis miał cudowne małe mieszkanie na lewym brzegu, z tarasu był widok na Sekwanę. Liz uwielbiała patrzeć stamtąd na przepływające rzeką statki i część miasta po drugiej stronie rzeki. Kiedy przyjeżdżała tu do pracy, zatrzymywała się w hotelach, najczęściej w Four Seasons lub w Bristolu, ale nocowanie u Jean-Louisa było dużo przyjemniejsze i bardziej romantyczne.

Teraz nie mogła się doczekać, kiedy pozna Damiena. Jean-Louis zamierzał zabrać chłopca do parku i obiecał mu przejażdżkę na karuzeli. W zabawnej miniaturowej łazience z okrągłymi okienkami szykowała się właśnie do wyjścia i otworzyła szafkę, żeby wyjąć nową rolkę papieru toaletowego, gdy ze zdumieniem zobaczyła kilka wciśniętych na półkę damskich majtek i czarny koronkowy biustonosz. Żadna z tych rzeczy nie należała do niej. Niepewna, czy patrzy na pamiątki przeszłości, czy też na jak najbardziej współczesne dowody winy, wyjęła bieliznę i rzuciła ją na łóżko, z którego Jean-Louis oglądał mecz piłki nożnej między Paryżem i St. Germain.

- Znalazłam to w łazience - powiedziała niedbale.

Jean-Louis na ułamek sekundy oderwał wzrok od ekranu i właśnie w tym momencie paryski zespół strzelił gola.

Słyszając entuzjastyczny wrzask tłumu, pośpiesznie przeniósł spojrzenie na telewizor, zdążył jednak zobaczyć koronkową bieliznę.

- Odkryłaś mój wielki sekret - rzekł z uśmiechem. - Noszę to wszystko, kiedy cię tu nie ma...

- Bardzo śmieszne! - Liz czuła lekkie drżenie w brzuchu. Nie była zazdrosna, ale oboje zgodzili się, że są tylko ze sobą i chciała mieć pewność, czy nic się nie zmieniło.

- Należą do kogoś, kogo znasz? - spytała lekko.

- Pewnie do Françoise. Założę się, że zapomniała je zabrać, kiedy się wyprowadzała i leżały tam od lat. Nigdy nie zaglądam do szafek w łazience. Wyrzuć je, dobrze? Skoro nie przypominała sobie o nich przez cztery lata, to raczej nie są jej potrzebne!

Françoise była matką syna Jean-Louisa, więc Liz uznała jego wyjaśnienie za całkowicie rozsądne, uśmiechnęła się i wrzuciła bieliznę do kosza na śmieci pod biurkiem. Chociaż niewiele na to wskazywało, Jean-Louis zatrudniał kobietę, która raz na tydzień sprzątała jego mieszkanie, mimo jej starań równie nieuporządkowane, jak garderoba właściciela.

- Skończył nam się papier toaletowy, tak przy okazji - poinformowała go Liz.

Chociaż starała się tego nie okazywać, czuła wielką ulgę. Nie znosiła scen zazdrości i cieszyła się, że Jean-Louis jej nie zdradza. Nie przeżywali romansu stulecia, to fakt, ale dobrze się czuli w tym związku.

- Jest w moim biurku, w dolnej szufladzie...

Dość niezwykle miejsce przechowywania papieru toaletowego było typowe dla Jean-Louisa, którego umiejętności organizowania życia domowego były raczej żadne.

- Wiem, że to dziwnie wygląda, ale inaczej nigdy nie mogę go znaleźć - dodał.

Liz włożyła dżinsy, sweter i buty na wysokim obcasie.

Była smukła i wiotka jak gałązka. Wokół szyi owinęła długi szal w malinowym odcieniu, na ramiona narzuciła futro z czarnych lisów, kupione w Mediolanie. Był to bardzo elegancki strój jak na spacer w parku i karuzelę. Jean-Louis uśmiechnął się do niej ze szczerym podziwem, wyłączył telewizor i podniósł się z łóżka. Był zadowolony - jego zespół wygrał. Planował zabrać Liz na lunch do Brasserie Lipp, a potem wpaść z nią po syna. Liz była bardzo ciekawa, jaki jest Damien, miała też ochotę poznać jego matkę, znaną modelkę, z którą Jean-Louis spędził dwa lata. Rozstali się przed czterema laty, gdy Damien miał rok. Matka małego miała po Jean-Louisie kilku chłopaków, ale pozostała z nim w dobrych stosunkach.

Liz zjadła sałatkę w sławnej starej restauracji na Boulevard St. Germain, a Jean-Louis zamówił solidne niemieckie drugie danie. O trzeciej po południ byli w mieszkaniu Françoise przy rue Jacob. Matka Damiena miała dwadzieścia pięć lat, ale wyglądała na piętnaście. Była jeszcze wyższa od Liz, miała olbrzymie zielone oczy, wspaniałą cerę i długą rudą grzywę. Włosy Damiena były tego samego koloru, a poza tym chłopiec wyglądał jak miniaturowy Jean-Louis. Radośnie uśmiechnął się do ojca i obrzucił Liz odrobinę niepewnym spojrzeniem. Jean-Louis przedstawił ją jako swoją przyjaciółkę. Françoise przyglądała jej się z takim samym wyrazem zaciekawienia jak jej synek. Ucisnęła dłoń Liz i zaprosiła ich do pokoju.

Mieszkanie urządzone było w marokańskim stylu - skórzane pufy na podłodze, niskie stoliki i przykryte barwnymi szalami kanapy, które najlepsze dni miały już za sobą. Nie ulegało wątpliwości, że Françoise także nie bardzo potrafi zadbać o porządek w domu. Wszędzie leżały magazyny mody, zdjęcia z sesji, częściowo opróżnione butelki wina, a także buty.

Damien sprawiał wrażenie zadowolonego z życia, spokojnego dziecka. Mocno uściskał ojca i pocałował matkę na pożegnanie. Obie kobiety patrzyły na siebie z zaciekawieniem, ale mówiły niewiele. Lizzie miała uczucie, że Françoise nie jest zachwycona jej widokiem, nie wyglądała też jednak na szczególnie zirytowaną. Jean-Louis twierdził, że kiedy byli razem, żyli w otwartym związku i nie starali się dochowywać sobie wierności. Wciąż powtarzał, że Liz jest jedyną kobietą, której obiecał wierność i nie ukrywał, że uważa to za wielkie ustępstwo ze swojej strony. Wcześniej monogamiczny charakter związku nie miał dla niego najmniejszego znaczenia. Wierzył, że trzeba żyć chwilą i chwytac nadarzające się okazje. Często pokpiwał z amerykańskiego purytyzmu Lizzie, ale ona twardo obstawała przy swoich zasadach. Nie życzyła sobie, aby jej chłopak sypiał z innymi. Nigdy dotąd nie miała powodów do podejrzeń, że Jean-Louis ją oszukuje; kiedy dzwoniła do niego z Nowego Jorku, nawet w środku nocy, zawsze był sam. Teraz z zaciekawieniem przyglądała się, jak zachowuje się wobec Françoise. Miała wrażenie, że łączy ich sympatia i nic ponadto. Jean-Louis już na samym początku powiedział jej, że on i Françoise są przyjaciółmi, a ona mu zaufała.

Pojechali do Lasku Bulońskiego i mimo przejmującego zimna dość długo grali z Damienem w piłkę. Chłopiec był bardzo miły. Liz starała się rozmawiać z nim po francusku i jak najlepiej go poznać. Całą trójką poszli na karuzelę, a potem wpadli do La Durée na Polach Elizejskich na gorącą czekoladę i ciasteczka. Damien był w siódmym niebie i nawet Liz skusiła się na makaroniki i filiżankę herbaty. Gdy wrócili do mieszkania Jean-Louisa, Liz dała Damiano-wi kolejkę, którą przywiozła mu z Nowego Jorku. Mały przyjął prezent z wielkim entuzjazmem, a kiedy zmęczył

się zabawą, Jean-Louis włączył mu kreskówkę na DVD i przeniósł się z Lizzie do salonu. Mieli za sobą cudowny dzień. Liz od dawna chciała poznać Damiena. Teraz pierwszy raz miała trochę wolnego czasu w Paryżu - zwykle była zajęta organizowaniem sesji zdjęciowych i gorączkowym przemieszczaniem się z miejsca na miejsce.

- Chciałbym, żeby Damien częściej u mnie bywał - powiedział z żalem Jean-Louis. - To wspaniały dzieciak, ale mnie prawie nigdy nie ma w domu. Françoise też dużo podróżuje. Jej matka przyjeżdża z Nicei, żeby zająć się małym, lecz teraz, gdy Damien ma zacząć chodzić do szkoły, Françoise chce wysłać go na stałe do Nicei. Trudno byłoby mu pomieszkiwać to u niej, to u mnie, a matka Françoise naprawdę doskonale się nim opiekuje. Françoise była chyba za młoda, kiedy Damien przyszedł na świat. Gdy zaszła w ciążę, wydawało nam się, że bardzo chcemy mieć dziecko, ale chyba trzeba było trochę poczekać. - Uśmiechnął się do Liz. - Z drugiej strony, gdybyśmy poczekali, nie byłoby Damiena... Cóż, przeznaczenie podejmuje za nas decyzje i raczej się nie myli.

Liz była zaskoczona, że Jean-Louis pozostawił sprawę tak ważną jak urodzenie dziecka w rękach przeznaczenia. Nigdy dotąd nie czuła, że byłaby gotowa zostać matką i nadal nie wyobrażała sobie, aby w najbliższych latach miała podjąć taką decyzję. Była zbyt zajęta karierą podobnie jak Françoise i Jean-Louis, lecz oni jakoś się tym nie przejmowali.

- Nie wydaje ci się, że Damien będzie za wami bardzo tęsknił, jeśli wyślecie go do babci? - spytała,

Było jej szczerze żal chłopca, stale przerzucanego jak piłka między dwojgiem wyjątkowo niezależnych ludzi, którzy zdecydowali się na niego, kiedy byli za młodzi, i mieszkającą w innym mieście babką.

- Tak będzie dużo lepiej dla niego. Matka Françoise prowadzi normalne, spokojne życie, poza tym niedaleko Nicei, w Aix i Marsylii, mieszkają jej dwie starsze córki, więc Damien będzie mógł częściej spotykać się z ciotkami, wujami i kuzynami w jego wieku. Nam ciągle brak czasu, żeby organizować dla niego spotkania z innymi dziećmi, oczywiście poza przedszkolem. Ciebie też nie wychowywali rodzice i raczej ci to nie zaszkodziło.

Jean-Louis podchodził do życia w bardzo praktyczny sposób, nie potrafił jednak zrozumieć, jaki wpływ wywarła na Lizzie śmierć rodziców, niezależnie od tego, jak wspaniale opiekowała się nią i jej rodzeństwem Annie. Było to zupełnie co innego niż dorastanie u boku mamy i taty, i Liz nigdy nie przeboleła tej straty. Teraz nie mogła oprzeć się wrażeniu, że dziecko, którego rodzice dobrowolnie odsuwają od siebie, siłą rzeczy odbierze taką sytuację jeszcze gorzej. I w jaki sposób wytłumaczy sobie później, dlaczego to zrobili?

- My znaleźliśmy się w sytuacji bez wyjścia, bo nasi rodzice zginęli, lecz Damien może poczuć się naprawdę porzucony przez was oboje. Przez wiele lat nie mogłam odzyskać równowagi i chyba winiłam rodziców za to, że odeszli, chociaż bardzo kochałam i Kocham moją ciotkę, która zawsze opiekowała się nami jak najlepsza matka. Mimo to cały czas wiedziałam, że Annie jednak nie jest moją matką...

- Jakoś mu to później wytłumaczymy! - Jean-Louis uśmiechnął się i zapalił papierosa. - Françoise nie jest jeszcze gotowa pożegnać się z karierą, zresztą w tym zawodzie pozostało jej najwyżej kilka lat aktywności i koniecznie powinna wykorzystać tę szansę, a ja też nie mogę przecież zrezygnować z pracy. Jestem pewny, że Damien zrozumie naszą decyzję.

Liz nie była przekonana, czy Damien rzeczywiście rozumie rodziców, którzy myśleli tylko o sobie i pod pewnymi względami traktowali go jak zabawkę. Sama była głęboko wdzięczna Annie za to, że wyrzekła się tylu rzeczy dla nich trojga. Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak wyglądałoby jej życie, gdyby teraz musiała zająć się wychowaniem trojga dzieci, a przecież Annie miała wtedy zaledwie dwadzieścia sześć lat. Liz przypuszczała, że nie potrafiłaby podjąć takiej decyzji, ani teraz, ani za kilka lat, i właśnie dlatego całym sercem podziwiała Annie.

- Ja też nie zrezygnowałabym z pracy - przyznała ucziwie. - Ale na pewno nie zdecydowałabym się na dziecko... W żadnym razie nie chciałabym spieprzyć komuś życia!

- Nie robimy mu nic złego - zapewnił ją Jean-Louis, całkowicie ślepy na to, że i on, i Françoise czegoś synka pozbawiają.

W tym momencie do pokoju wszedł Damien. Film skończył się i chłopiec był głodny. Jean-Louis położył mu na talerzu kilka plastrów sera i pasztetu, otworzył też paczkę ciasteczek, które po południu kupili w La Durée. Damien wydawał się całkowicie zadowolony z tego posiłku, pewnie dlatego, że matka karmiła go głównie pizzą i kanapkami. Ojciec miał zawsze lepsze rzeczy do jedzenia. Mimo tego wszystkiego mały nie wyglądał na nieszczęśliwego czy niedożywionego i był naprawdę bardzo grzeczny. Wcześniej nauczył się przystosowywać do otaczających go dorosłych i nie robić im kłopotu. Wiedział, że jeśli zacznie sprawiać problemy, odeślą go do babci. Liz uważała, że Damien ma trudne życie. Annie nie tylko zrezygnowała dla nich z własnego życia, ale jeszcze zawsze powtarzała, że ich obecność daje jej mnóstwo szczęścia i radości. Patrząc na Jean-Louisa i Françoise Lizzie, miała świadomość,

mość, że owszem, ciężko pracują, ale Damien też płaci wysoką cenę za ich karierę. Ona nigdy nie musiała tego robić, miała idealne dzieciństwo, biorąc pod uwagę okoliczności, a mimo to wciąż obawiała się trwałych związków. Nigdy nie powiedziała żadnemu mężczyźnie, że go kocha, ponieważ bała się, że jeśli wyzna miłość, jej ukochany umrze albo zniknie. Nadal nie była pewna, co czuje do Jean-Louisa. Była do niego przywiązana i lubiła jego towarzystwo, lecz, jej zdaniem, miłość była głębszym uczuciem. Nie pragnęła silniejszego związku, nie wyobrażała sobie nawet, aby mogła mieć z nim dziecko. Jean-Louis często napomykał, że kiedyś chciałby mieć jeszcze jedno, ale Liz nie zamierzała podejmować takiego ryzyka.

Pograła trochę w karty z Damienem, pobawili się kolejką, a potem Jean-Louis włączył mu następny film. W końcu *uroczy mały* chłopczyk z dużymi zielonymi oczami i rudymi włosami zasnął na łóżku ojca, który wziął go na ręce i zaniósł do wąskiego łóżka, stojącego w ciasnym pokoiku. Następnego dnia mieli go odwiedzić do Françoise.

Liz i Jean-Louis spędzili spokojny wieczór. Rozmawiali głównie o modzie oraz redaktorach magazynów i fotografach, których oboje znali, o rozmaitych rozgrywkach personalnych w „Vogue” i o swoich karierach. Czuli się ze sobą zupełnie swobodnie. Mieli te same zainteresowania, obracali się wśród tych samych ludzi i pracowali w tym samym otoczeniu. Kiedy wreszcie poszli do łóżka, Liz przytuliła się do Jean-Louisa. Nie chciała więcej od życia, bardzo lubiła zabawne mieszkanie kochanka w Paryżu i jego apartament w Nowym Jorku. Tej nocy się nie kochali, ponieważ Liz obawiała się, że Damien mógłby ich zaskoczyć, a w mieszkaniu była tylko jedna łazienka. Jean-Louis zapewniał ją, że mały nic nie usłyszy i że nigdy nie budzi się w nocy, lecz Liz nie chciała ryzykować. Czowała się odpowie-

działna za chłopca, przynajmniej dopóki przebywali pod jednym dachem. Rano wszyscy obudzili się prawie o tej samej godzinie i Damien zajrzał do sypialni ojca w tym samym ubraniu, które miał na sobie poprzedniego dnia, bo wieczorem Jean-Louis nie chciał go budzić. Mały wskoczył na łóżko i zapytał, co będą robić tego dnia, a Jean-Louis odparł, że po śniadaniu odwiozą go do matki, ponieważ on i Liz mają dużo zajęć, a następnego dnia muszą już być w pracy

- Wieczorem przyjeżdża babcia - oznajmił pogodnie Damien. - Mama jedzie jutro do pracy do Londynu i wróci dopiero za pięć dni...

Znał plany matki i wyglądał na bardzo zadowolonego z przyjazdu babki.

- Kiedy jestem z babcią, codziennie jemy lody - dodał. Serce Liz ścisnęło się z żalu. Codzienna porcja lodów nie

wydawała jej się właściwą rekompensatą za ciągle nieobecności rodziców oraz ich ewidentny egoizm. Miała nadzieję, że babka chłopca umie jakoś wynagrodzić to chłopcu.

Zrobiła tosty z dżemem dla wszystkich i jajko na miękko dla Damiena, a Jean-Louis przygotował kawę z mlekiem w miseczkach, tak jak podawano ją w tradycyjnych kawiarniach. Kawa była pyszna i bardzo smakowała i Liz, i Damienowi, który miał białe wąsy, gdy odstawił miseczkę.

O jedenastej byli już w mieszkaniu Françoise przy rue Jacob i Damien z radością przywitał się z matką, chociaż patrzył na ojca z wyraźnym smutkiem. Jean-Louis wyjaśnił mu, że będzie w Paryżu całe dwa tygodnie i zamierza wkrótce znowu się z nim spotkać, a chłopiec zareagował szerokim uśmiechem na tę obietnicę. Było oczywiste, że bardzo kocha ojca.

W mieszkaniu zastali bardzo młodego mężczyznę, który według Liz wyglądał najwyżej na dwadzieścia lat. Miała

wrażenie, że zna jego twarz i po paru minutach przypomniała sobie, gdzie go widziała. Był to młody Brytyjczyk, model, z którego usług redakcja „Vogue” często ostatnio korzystała. Bardzo miło zachowywał się wobec Damiena. Rozmawiał z nim jak jego rówieśnik i Damien najwyraźniej dobrze go znał. Mężczyzna nazywał się Matthew Hamish. Jean-Louis także go znał i wydawał się trochę zirytowany jego obecnością, co mocno zdziwiło Liz. Kiedy pożegnali się i wyszli, rzucił kilka uwag na temat Brytyjczyka, które obudziły w Liz podejrzenia, że jest zazdrosny i postanowiła zapytać go o to wprost.

- Skądże! - oburzył się. - Françoise może sobie spać z kim chce, to nie moja sprawa!

Nie był pewny, czy jego była partnerka faktycznie sypia z Matthew, lecz kiedy weszli, młody Anglik leżał na kanapie tylko w dżinsach i wyglądał, jakby przed sekundą wyszedł spod prysznicą.

- Wydaje mi się tylko, że w życiu Damiena nie powinni ciągle pojawiać się ludzie, którzy niebawem znikają ponieważ nie są ważni dla Françoise - dodał. - To nierozsądne!

- Skąd wiesz, że Matthew nie jest dla niej ważny? - spytała Liz, nie ukrywając zaciekawienia.

Jej zdaniem, Jean-Louis naprawdę był zazdrosny. Françoise zachowywała się wobec niej znacznie uprzejmiej niż on wobec Matthew. Prawie nie odzywał się do młodego modela, natomiast Françoise dość serdecznie podziękowała jej za opiekę nad Damienem i rozmawiała z nią dużo cieplej niż podczas pierwszego spotkania.

- Po prostu nie jest w jej typie - odparł krótko Jean-Louis i zmienił temat. Liz widziała jednak, że nadal jest zdenerwowany. Rozluźnił się, dopiero gdy wrócili do mieszkania. Oboje musieli odbyć kilka rozmów telefonicznych w sprawie zaczyna-

jących się następnego ranka sesji zdjęciowych i Liz szczerze żałowała, że nie będą razem pracować. Jej sesja skoncentrowana była na biżuterii, którą od miesięcy ściągала z całego świata, natomiast Jean-Louis miał przygotować okładkę do kwietniowego wydania francuskiego „Vogue”. W porze kolacji zeszli do pobliskiego bistro na zupę i sałatkę, a po powrocie kochali się długo i namiętnie. Rozdrażnienie Jean-Paula z powodu Françoise i brytyjskiego modela rozwiało się bez śladu i Lizzie uświadomiła sobie, że jej kochanek najzwyczajniej w świecie cierpiał z powodu naruszenia jego „terytorium”. Pomyślała, że nikt przecież nie przepada za spotkaniami z obecnymi partnerami swoich byłych kochanków, nawet jeżeli uczucie wygasło wieki temu. Zrozumiała też, że dobre stosunki łączące rodziców Damiena, oczywiście utrzymywane głównie ze względu na synka, były bardzo francuskie. Tak czy inaczej, Jean-Louis znowu był w świetnym nastroju, gdy zasnęli mocno przytuleni do siebie. Budzik nastawili na piątą rano, ponieważ o szóstej każde z nich musiało być na planie zdjęciowym. Zapadając w sen, Liz myślała o Damieniu. Nie wiedziała dlaczego, ale po prostu nie mogła zepchnąć obrazu chłopca w głąb podświadomości. Było jej go bardzo żal. Damien zasługiwał na o wiele lepsze, normalniejsze życie. Przyłapała się nawet na myśli, że ze względu na małego chciałaby, aby jej związek z Jean-Louisem trwał dłużej niż jej wcześniejsze znajomości. Kto wie, może nie było to wykluczone... Jak dotąd ich wspólne dni w Paryżu były naprawdę wspaniałe.

ROZDZIAŁ 11

Liz należała do tych skrupulatnych wydawców, którzy starają się przewidzieć każdy możliwy problem. Nienawidziła niespodzianek, szczególnie przykrych, i robiła wszystko, co w jej mocy, aby ich uniknąć, jednak mimo bardzo dokładnych przygotowań, następnego dnia musiała poradzić sobie z co najmniej tuzinem trudności. Robili zdjęcia na dworze, na Place Vendôme, i pierwszą rzeczą, która nie wypaliła, okazała się pogoda. O siódmej rano zaczęło padać, rozpięli więc olbrzymi namiot nad modelkami i przefiltrowali do środka sztuczne światło słoneczne. Cała akcja zajęła im więcej czasu niż przewidywali, ale się udało. Potem ustawili grzejniki, żeby zwalczyć przenikliwy ziąb, lecz jedna z modelek oświadczyła, że od samego rana czuje się fatalnie i nie chce pracować. Stroje w tej sesji były sprawą drugorzędną. Liz razem ze stylistką wybrała kilka prostych czarnych i białych sukni amerykańskiego projektanta, ale dwie z nich utknęły na francuskiej odprawie celnej, najprawdopodobniej na długo, więc musieli poradzić sobie bez nich. Zamiast sukni stylistką zaproponowała piękną białą bluzkę koszulową, która świetnie wypadła w obiektywie. Motywem prze-

wodnim wszystkich zdjęć miała być zgromadzona przez Lizzie biżuteria i to był największy problem. Jubilerzy, których ozdoby wybrała, przysłali zamówione arcydzieła, z wyjątkiem jednego, najbardziej znanego, który zastąpił część swoich prac innymi, zdaniem Liz zdecydowanie gorszymi. Zadzwoiła do niego i usłyszała, że jest mu bardzo przykro, lecz sprzedał naszyjniki, które chciała wypożyczyć i nie zdążył jej o tym powiadomić, a ponieważ mieszkał i pracował w Rzymie, Liz nie mogła wybrać innych. Natychmiast pognęła do dwóch jubilerów, z którymi współpracowała w Paryżu, nie znalazła jednak nic, co przypadłoby jej do gustu i teraz brakowało jej trzech lub czterech rzeczy. Nie znosiła takich sytuacji, ale czasami nie dało się ich uniknąć.

- Boże, powinnam była przeczytać mój dzisiejszy horoskop! - poskarżyła się naczelnej stylistce.

Nie miała pojęcia, co robić. Zmieniła układ zestawów biżuterii do kilku zdjęć, lecz mimo tych zabiegów nadal brakowało jej paru ozdób, a sesja była wyjątkowo ważna. Liz zdawała sobie sprawę, że szefowa nowojorskiej redakcji „Vogue” nie zapłonie współczuciem z racji tego, że modelka zachorowała, dwie suknie zatrzymano na odprawie celnej, a cztery ozdoby, które miały znaleźć się na zdjęciach, zostały wcześniej sprzedane. Usiadła na krześle przy wyjściu z namiotu i na moment zamknęła oczy, próbując coś wymyślić. Słyszała z umiejętności znajdowania rozwiązań w ostatniej chwili, ale tym razem czuła się bezradna. Gdy parę minut później podeszła do niej młoda asystentka z działu stylizacji, Liz ruchem ręki kazała jej odejść. Nie chciała, żeby ktokolwiek jej przeszkadzał. W czasie przerwy na lunch zadzwonił do niej Jean-Louis. Powiedziała mu, że ma poważne kłopoty i w odpowiedzi usłyszała, że jemu zdjęcia idą jak po maśle, co tylko jeszcze

bardziej ją zirytowało. Wyłączyła właśnie swoją komórkę, kiedy młoda asystentka znowu do niej podeszła.

- Przepraszam, wiem, że jesteś zajęta, ale przyjechał Alessandro di Giorgio...

- Cholera jasna! - syknęła Liz przez zaciśnięte zęby.

Alessandro di Giorgio był jednym z najślawniejszych jubilerów, których ozdoby wykorzystywali przy tej sesji; Liz była gotowa przysiąc, że postanowił upewnić się, czy prace z jego warsztatu aby na pewno odgrywają tak istotną rolę, jaką powinny odegrać. Niektórzy z nich zachowywali się niczym nadopiekuńcze matki, lecz Liz nie potrzebowała teraz dodatkowych komplikacji w postaci kogoś, kto będzie ją instruował, jak robić zdjęcia albo przekonywał o zaletach swoich dzieł.

- Możesz powiedzieć mu, że nie ma mnie na planie? - Nie znała di Giorgia osobiście, kontaktowała się z nim tylko przez pocztę elektroniczną, a wszystkie firmowane przez niego ozdoby przywieźli z Rzymu uzbrojeni strażnicy.

- On chyba wie, że tu jesteś... - wyznała dziewczyna przeproszającym szeptem.

Była świeżo po szkole, absolutnie przerażona i głęboko przejęta pierwszą pracą. Słyszała, że Liz ma opinię perfekcjonistki i trzęsła się ze strachu, że wyładuje na niej zdenerwowanie z powodu trudności na planie. W tym biznesie, zawsze pełnym napięć, najmocniej obrywali ci, którzy znajdowali się na samym dole drabiny, czyli w tym wypadku właśnie ona. Liz spojrzała na nią z rozdrażnieniem.

- Nie mam teraz czasu z nim rozmawiać - powiedziała w miarę spokojnie.

- Próbuję wymyślić, w jaki sposób zastąpić trzy sztuki biżuterii, których mi brakuje, a właściwie cztery...

- O to właśnie mu chodzi! Mówi, że musiał przyjechać

do Paryża na spotkanie z ważnym klientem i ma przy sobie kilka ozdób, których nie widziałaś. Zatrzymał się, ponieważ przejeżdżał tędy, a ja powiedziałam mu, co się stało... Pyta, czy zechciałabyś zobaczyć te rzeczy...

Twarz Liz w jednej chwili rozjaśnił promienny uśmiech.

- Więc Bóg jednak istnieje! Gdzie on jest, ten di Giorgio?

Dziewczyna wskazała wysokiego jasnowłosego mężczyznę w granatowym garniturze i z dużą teczką w ręku, w asyście dwóch ochroniarzy. Patrzył na Liz z ostrożnym uśmiechem. Kiedy podszedł bliżej, poznała go, bo widziała jego zdjęcia w Internecie. Był bardzo elegancko ubrany.

- Panna Marshall? - spytał.

Ochroniarze odsunęli się tylko trochę, aby w razie zagrożenia natychmiast przystąpić do akcji.

- Podobno ma pani problem - ciągnął Włoch. - Dziś po południu mam spotkanie z klientką, ale przejeżdżając tędy, zobaczyłem rozstawiony namiot oraz reflektory, więc postanowiłem zajrzeć na plan. Moja klientka pewnie byłaby niezadowolona, że dostanie do obejrzenia mniej biżuterii, ale czego oczy nie widzą... Poza tym, może pani odesłać mi te rzeczy później, a ja jej powiem, że opóźnienie wynikło z jakichś komplikacji w moim atelier.

- Dam głowę, że istnieje jakiś święty patron od wydawców, którzy wpakowali się w kłopoty! - zawołała Liz z wdzięcznością.

Była wielką fanką projektów di Giorgia.

- Wolałbym nie pokazywać pani biżuterii tutaj - wyjaśnił. - Na pewno pani rozumie, dlaczego... Jeśli ma pani chwilę, moglibyśmy podjechać do Ritza, mam tam apartament.

Hotel znajdował się dosłownie dwadzieścia metrów dalej. Di Giorgio świetnie mówił po angielsku, jedynie z lekkim włoskim akcentem.

Liz czuła się jak żebraczka, wchodząc do Ritza u boku Włocha w idealnie skrojonym garniturze. Miała na sobie legginsy adidasy, luźną bluzę z kapturem i przeciwdeszczowy płaszcz, a na głowie burzę potarganych włosów, bo kiedy tuż po piątej rano szykowała się do wyjścia, nie chciało jej się nawet uczesać. Wypiła tylko zaparzoną przez Jean-Louisa kawę i wybiegła z mieszkania, więc teraz wyglądała jak straszdyło.

Z podziwem zauważyła, że Alessandro di Giorgio ma apartament od strony Place Vendôme. Umawiał się tu na spotkania z prywatnymi klientami. Teraz bez wahania otworzył teczkę i wyjął kilkanaście sztuk biżuterii, wysadzanych brylantami, rubinami, szmaragdami i szafirami. Na ich widok Liz wstrzymała oddech z zachwytem. Zdawała sobie sprawę, że w tej sytuacji ozdoby z warsztatu di *Giorgia* będą najliczniejszą grupą z prezentowanych na zdjęciach, ale nie miała wyboru. Poza tym klejnoty, które miała przed sobą, były najpiękniejszymi, jakie kiedykolwiek widziała...

- Mogę zapytać, kim jest pana klientka? - zapytała, nie kryjąc podziwu.

- Żoną emira - odparł dyskretnie. - Czy mogę jakoś pani pomóc?

- Mój Boże, to prawdziwy cud... - Liz popatrzyła na niego w oszołomieniu.

- Proszę wziąć to, co może się pani przydać. Jakoś wytłumaczę się przed żoną emira.

Liz wiedziała, że zdjęcia w „Vogue” będą świetną reklamą dla projektów di *Giorgia*, sławnego w Europie, lecz trochę mniej znanego w Stanach.

Alessandro należał do trzeciego pokolenia jubilerów tego nazwiska.

Firmę założył jego dziadek, a jego ojciec nadal projektował biżuterię.

Alessandro miał trzydzieści osiem lat i od piętnastu praco-

wał razem z ojcem. Liz zapoznała się z historią firmy przed zdjęciami. Podobało jej się, że wiele projektowanych przez firmę di Giorgia rzeczy to unikalne egzemplarze i że ich prace cieszą się tak wielkim uznaniem w Europie. Mieli sklepy w Rzymie, Londynie i Mediolanie, lecz nie w Paryżu. Alessandro osobiście przyjeżdżał tu na spotkania z ważniejszymi klientami i Liz była szczęściarą, że jego wizyta zbiegła się w czasie z jej sesją zdjęciową.

Wybrała cztery największe sztuki. Alessandro z aprobatą skinął głową, widząc, w jakim kierunku podąża jej wyobraźnia, i sam zaproponował piątą ozdobę, która, jego zdaniem, mogła się przydać. Liz przyznała mu rację. Jubiler zapakował biżuterię do szkatulek i wyznaczył jednego z ochroniarzy, aby towarzyszył jemu i Liz w drodze powrotnej na plan. Parę minut później Liz opuściła hotel, niosąc w niepozornej reklamowej torbie Ritza wszystko, czego potrzebowała. Kiedy dotarli na miejsce, długą chwilę stała w milczeniu, wpatrzona w di Giorgia, zupełnie nie wiedząc, co powiedzieć. Uratował jej tyłek, ale uczynienie tego rodzaju wyznania człowiekowi tak dobrze wychowanemu i obytemu w świecie byłoby w najlepszym razie niedelikatne.

- Uratował mnie pan, naprawdę... Uśmiechnął się lekko, widząc jej wzruszenie.

- Zwrócę panu wszystko dziś wieczorem albo najdalej jutro z samego rana...

- Nie ma pośpiechu - odparł spokojnie. - Będę w Paryżu jeszcze trzy dni, mam spotkać się z kilkoma klientami.

- Przyjeżdża pan czasami do Nowego Jorku? - zapytała.

Czuła, że naprawdę powinna jakoś odwdzińczyć mu się za okazaną pomoc.

- Niezbyt często. Działamy głównie w Europie, ale oczy-

wiecie zdarza się, że muszę odwiedzić Stany. Bardzo lubię Nowy Jork. Teraz, gdy swobodnie z nią rozmawiał, wyglądał młodziej. Był tak poważny i elegancki, że w pierwszej chwili wzięła go za znacznie starszego, teraz uświadomiła sobie, że dzieli ich tylko dziesięć lat.

- Kiedy następnym razem będzie pan w Nowym Jorku, zapraszam na lunch albo kolację. Jestem panu winna prawdziwą ucztę, pierwородnego syna, cokolwiek.

- Cała przyjemność po mojej stronie, miło mi, że mogłem przyjść pani z pomocą - odparł oficjalnie. - Mam nadzieję, że sesja dobrze pójdzie, panno Marshall.

- Oczywiście, dzięki panu! - Uśmiechnęła się do niego promiennie. Mimo potarganych włosów i mało szykownego stroju, Alessandro bez trudu dostrzegł w Liz piękną młodą kobietę.

- *Arrwederci* - powiedział.

Wsiadł do mercedesa z uzbrojonym strażnikiem, drugiego zostawiając na planie. Liz miała teraz kilka z jego najcenniejszych ozdób.

Pół godziny później wrócili do pracy. Liz czuła, że wyrosły jej skrzydła, a fotograf zachwycił się ozdobami, które mu pokazała. Były dużo piękniejsze od tych, jakie mieli dostać od innego jubilera.

Kiedy o szóstej na planie zjawił się Jean-Louis, Liz jeszcze pracowała. Była zmęczona i zestresowana porannymi katastrofami, ale bardzo zadowolona ze zdjęć.

- Prawie koniec? - szepnął Jean-Louis, stając za jej plecami.

Odwróciła się, zaskoczona i uśmiechnięta.

- Jeszcze godzinę...

Przemarzała do szpiku kości, lecz wcale jej to nie prze-

szkadzało. Mimo okropnej pogody sesja wypadła po prostu świetnie.

- Czym zastąpiłaś te sztuki biżuterii, których nie dostałaś?

- Anioł spłynął z nieba na rozpostartych skrzydłach, otworzył teczkę i zaproponował mi znacznie ciekawsze ozdoby! - Uśmiechnęła się, nadal zachwycona.

- To znaczy? - Spojrzał na nią ze zdziwieniem. Wiedział, że Liz nie ma sobie równych, jeśli chodzi

o błyskawiczne rozwiązywanie problemów, ale ta sytuacja była niezwykle trudna.

- Było dokładnie tak, jak mówię - jeden z jubilerów, z którymi współpracujemy, przypadkiem przyjechał akurat do Paryża z teczką pełną nieprawdopodobnie pięknej biżuterii dla bogatej arabskiej klientki i pożyczył mi pięć sztuk. To najbardziej oryginalne ozdoby, jakie kiedykolwiek widziałam, dużo ciekawsze od tych, które mieliśmy, no i większe!

- Jesteś czarodziejką! - Jean-Louis uściskał ją serdecznie. - I na dodatek masz niezwykle szczęście! Umówiłem się z przyjacielem w Ritzu, więc zajrzyj do baru, kiedy skończysz, żebyśmy mogli razem pojechać do domu.

Poszedł do hotelu, a Liz znowu zabrała się do pracy. Minęły jeszcze dwie godziny, nim skończyli zdjęcia z udziałem wszystkich ozdób di Giorgia. Liz zapakowała je, oddała ochroniarzowi, który spędził na planie całe popołudnie i pośpiesznie napisała karteczkę do jubilera, jeszcze raz dziękując mu za pomoc i obiecując, że postara się jak najszybciej wysłać mu fotografie.

Jean-Louisa zastała w hotelowym barze, popijającego Kir Royale w towarzystwie kumpla ze szkoły, który wyglądał tak samo mało elegancko jak on. Szczerze mówiąc, można by ich wziąć za bliźniaków. Jean-Louis wyjaśnił Liz, że

jego przyjaciel jest malarzem i ma studio na Montmartre, które kiedyś należało do samego Toulouse-Lautreca. Liz musiała przyznać w duchu, że tego dnia sprawiała wrażenie równie zaniedbanej jak oni. Nie mogła się już doczekać, kiedy wróci do domu, ogrzeje się i weźmie długą, gorącą kąpiel.

Ostatecznie wrócili dopiero koło dziesiątej, a następnego dnia Lizzie znowu musiała wstać o piątej. Robili zdjęcia na Place de la Concorde, natomiast dzień później zaplanowali sesję przy Łuku Triumfalnym. Czekał ją ciężki tydzień. Jean-Louis miał wolny dzień i zamierzał spędzić go z przyjaciółmi.

Kiedy zanurzyła się w wannie i przymknęła oczy, wróciła myślami do już zrobionych zdjęć, biżuterii, modelek i strojów. Była zadowolona ze swojej pracy. Myślała już

o problemach, które mogły pojawić się następnego dnia, gdy wreszcie zasnęła w łóżku Jean-Louisa. Francuz popatrzył na nią z uśmiechem i zgasił światło. Nigdy dotąd nie znał nikogo, kto pracowałby tak ciężko jak Liz i z całą pewnością sam nie chciałby tak harować. Niewiele osób potrafiłoby wytrzymać takie tempo.

Dla Annie pierwsze dni w pracy po świątecznej przerwie także okazały się niełatwe. Wydawało jej się, że na wszystkich placach budowy nagle zapanował chaos - najważniejsza firma budowlana zerwała umowę i wiele projektów miało spore opóźnienia. Annie była tak zabiegana, że przez cały tydzień nie miała czasu zrobić sobie przerwy na lunch. Dopiero w czwartek po południu wróciła do biura o przyzwoitej porze. Miała kilka planów, w których musiała nanieść zmiany, chciała uporządkować dokumenty

i odpowiedzieć na kilkanaście telefonów oraz e-maili. Poprosiła asystentkę o filiżankę czarnej kawy i zabrała się do

pracy. W pierwszej kolejności postanowiła otworzyć leżące na biurku listy. Drugi, po który sięgnęła, miał pieczętkę szkoły Kate i przestraszyła się, że może zapomniała zapłacić czesnego. Jej księgowy zwykle załatwiał wszystkie sprawy w terminie, ale czek mógł się zagubić. Przebiegła pismo wzrokiem i serce przestało jej na chwilę bić. Miała przed sobą potwierdzenie faktu, że Kate zrezygnowała z zajęć w najbliższym semestrze. Miała za sobą tak trudny tydzień, że od razu wpadła we wściekłość. Co ta Kate wyprawia, do diabła?! Zapomniała o wszystkich sprawach, którymi powinna się zająć i wybrała numer komórki siostrzenicy.

- Chcę zobaczyć się z tobą dziś wieczorem w domu! - warknęła w najzupełniej nietypowy dla siebie sposób.

Bardzo rzadko traciła cierpliwość wobec dzieci, wołała dokładnie i spokojnie wyjaśniać im, o co jej chodzi, ale postępowanie Kate nosiło wszelkie znamiona braku zdrowego rozsądku. Nie zamierzała pozwolić jej zrezygnować ze szkoły, poza tym dziewczyna nawet nie raczyła zapytać o pozwolenie. Cóż, miała dwadzieścia jeden lat i nie musiała liczyć się ze zdaniem ciotki...

- Co się stało? - zdziwiła się Kate.

- Porozmawiamy wieczorem - odparła krótko Annie. - Nie przez telefon. Będę w domu o ósmej, nie zapomnij przyjechać!

Przerwała połączenie, nie czekając na odpowiedź Katie. Trzęsła się ze złości, dosłownie. Wychowywała całą trójkę przez szesnaście lat, nauczyła ich wszystkiego, czego mogła ich nauczyć i zapewniła im wszystko, co chcieliby im zapewnić rodzice nie po to przecież, aby skończyli jako zera bez dyplomu. Katie była utalentowaną artystką i Annie zależało, aby zrobiła dyplom prestiżowej szkoły.

W rekordowym tempie przejrzała resztę poczty, załatwi-

ła zaległe sprawy i zabrała wymagające zmian projekty do domu. W mieszkaniu paliło się światło, a Kate słuchała muzyki w swoim pokoju. Usłyszała trzask zamykanych drzwi i wyszła do holu. Jedno spojrzenie na twarz ciotki wystarczyło, by się zorientowała, w jakim jest nastroju. Annie powiesiła płaszcz w szafie, poszła do salonu, usiadła i popatrzyła na Katie z gniewnym rozczarowaniem. Złość dziewczyna przełknęłaby bez trudu, lecz nieukrywany zawód w oczach Annie poruszył ją do głębi.

- Co ty sobie właściwie wyobrażasz?! - Annie od razu przystąpiła do ataku. - Dostałam zawiadomienie ze szkoły! Nawet nie raczyłaś zapytać mnie o zdanie! To pewnie dowód szacunku, co?! I co zamierzasz teraz robić, bez dyplomu i zaliczonych wszystkich zajęć?! Zgłosisz się do pracy w McDonalddie?!

Katie powtarzała sobie w myśli, że musi zachować spokój. Chciała dowieść Annie, że jest osobą dorosłą, nie dzieckiem i ma prawo samodzielne podejmować decyzje.

- Dostałam na ten semestr propozycję pracy, która bardzo mi się spodobała. Myślałam, że może pozwolą mi zrobić to w ramach specjalnych projektów albo zajęć dodatkowych, ale się nie zgodzili. Dlatego wzięłam urlop na jeden semestr... To nic strasznego, potem wrócę do szkoły!

- Co to za praca? - zapytała Annie, nadal zdenerwowana, że Katie załatwiła to w taki sposób.

W czasie przerwy świątecznej ani słowem nie wspomniała, że chce przerwać naukę czy wziąć urlop. Mogła przecież przynajmniej spróbować omówić z nią tę kwestię...

- To bardzo dobra praca - rzuciła Katie, zirytowana pytaniem. - Zależy mi na niej!

- Poproszę o konkrety! - W głosie Annie zabrzmiała twarda, surowa nuta. Rzadko wpadała w złość, ale tym razem jej cierpliwość

została wystawiona na ciężką próbę. A przecież chciała dla Katie wszystkiego, co najlepsze.

- Zamierzam robić projekty wzorów dla salonu tatuażu - odparła cicho dziewczyna.

Annie zmierzyła ją przerażonym wzrokiem.

- Oszalałaś?! Rezygnujesz z semestru nauki w jednej z najlepszych, najbardziej prestiżowych szkół artystycznych w tym kraju po to, aby pracować w salonie tatuażu?! Chyba żartujesz!

- Nie żartuję, wiem, że będę mogła zrobić tam dużo ciekawych, rozwojowych rzeczy! Znam co najmniej kilku sławnych artystów, którzy zaczęli karierę w salonach tatuażu!

- Gdybym cię tak nie kochała, chyba bym cię udusiła! Nie możesz tego zrobić, Katie! Czy jest już za późno, żeby zapisać się na zajęcia w tym semestrze?

- Nie wiem i wcale mnie to nie interesuje! We wtorek zaczęłam pracę i jestem zachwycona! Oddałam już pokój w akademiku.

- W takim razie będziesz mieszkać w domu - oświadczyła Annie lodowatym tonem.

Była tak wściekła, że prawie nie mogła mówić.

- Taki miałam zamiar. - Kate uprzejmie skinęła głową. -Po tym semestrze wracam do szkoły, już mówiłam, a na razie będę pracować. To bardzo twórcze zajęcia...

- Będziesz tak łaskawa i powiesz mi, co tak twórczego jest w tatuowaniu kotwic i orłów na tyłkach klientów?! Nigdy w życiu nie słyszałam takich bredni!

Katie zawsze była inna, bardziej niezależna, odważniejsza, o barwniejszej osobowości, gotowa wypróbować nowe pomysły, lecz ten, zdaniem Annie, był jednym z najgorszych, jakie zrodziły się w jej głowie. Starła się dzielnie wspierać kreatywność siostrzenicy, ale tym razem dziewczyna posunęła się za daleko.

- Czy Paul ma coś wspólnego z twoją decyzją? - spytała podejrzliwie. Kate gwałtownie potrząsnęła głową. Oczy miała pełne łez.

- Nie! On też jest na mnie wściekły... Uważa, że to głupie zajęcie, na dodatek zupełnie nieodpowiednie dla kobiety.

- I ma rację!

Annie nawet nie wyobrażała sobie, jak mogłaby powiedzieć komuś, że jej siostrzenica pracuje w salonie tatuażu ani co pomyśleliby o tym rodzice Kate. Najzwyczajniej w świecie nie mieściło się jej to w głowie.

- Bardzo mnie rozczarowałaś - powiedziała, gdy trochę się uspokoiła. - Oczekuję, że skończysz szkołę, nie ze względu na mnie, ale dla siebie. Dyplom będzie ci potrzebny, żeby na poważnie zająć się sztuką czy choćby tylko dostać dobrą pracę!

- Wiem o tym - odparła Kate, ocierając mokre policzki. Szczerze bolała nad tym, że zawiodła ukochaną ciotkę, której szacunek miał dla niej tak wielkie znaczenie.

- Chciałam zrobić coś innego i twórczego - dodała. - Zresztą zawsze uwielbiałam tatuaże...

- To dla mnie nie nowina! - Annie pochyliła się i objęła dziewczynę. - Jednak bardzo zależy mi na tym, żebyś skończyła szkołę, a salon tatuażu to naprawdę mało przyjemne miejsce. Ludzie, którzy się tym zajmują są zwykle okropni i jacyś dziwacznicy.

- Skąd wiesz? Tak czy inaczej, wcale mnie to nie obchodzi! Chcę tylko rysować projekty wzorów, tatuaże będzie robić ktoś inny!

Kate nie powiedziała ciotce, że już zaczęli ją uczyć, jak posługiwać się igłą.

- Czy Ted i Lizzie wiedzą o tym wszystkim? - Annie

nie była pewna, czy ma do czynienia ze spiskiem, czy tylko z jednym ze zwariowanych pomysłów Kate. Dziewczyna pokręciła głową.

- Oni też nie będą zadowoleni! - westchnęła Annie. Kate buntowniczo wysunęła brodę do przodu, zupełnie jak wtedy, gdy miała pięć lat. Annie od początku miała z nią najwięcej kłopotów, ponieważ dziewczyna nigdy nie bała się twardo bronić swoich decyzji ani przyjmować konsekwencji swoich poczynań.

- Muszę robić to, co sprawia mi przyjemność i co mi odpowiada - oznajmiła teraz. - Nie to, co podoba się wam wszystkim! Chcę nauczyć się robić piękne tatuaże, bo jest to forma grafiki, nawet jeżeli ty tak nie uważasz! Później wrócę do szkoły!

- Trzymam cię za słowo - powiedziała surowo Annie, zaraz jednak wyciągnęła rękę i otarła łzy z policzków Kate. - Och, naprawdę bym wolała, żebyś była trochę mniej niezależna i przynajmniej raz na jakiś czas mnie posłuchała!

- Słucham cię, ale muszę też robić rzeczy, które wydają mi się słuszne... Mam dwadzieścia jeden lat, nie jestem już dzieckiem.

- Dla mnie zawsze będziesz dzieckiem - odparła szczerze Annie. Miesiąc wcześniej rozmawiała na ten temat z Whitney. Przyjaciółka powiedziała jej wtedy, że musi wypuścić dzieci spod skrzydeł, pozwolić im popełniać błędy i żyć własnym życiem. Nie mogła przecież ciągle ich osłaniać...

- Gdzie jest ten salon? - spytała.

Okazało się, że Kate miała pracować w okropnej okolicy i Annie znowu się przeraziła. Co będzie, jeżeli dziewczynie przydarzy się coś złego? Jeżeli zarazi się AIDS przez ukłucie używaną igłą?

- Daj sobie z tym spokój, błagam! - spróbowała po raz ostatni. - To naprawdę jeden z twoich najgorszych pomysłów, skarbie!

- Nie zrezygnuję - odparła Kate. - Jestem dorosła i mam prawo podejmować decyzje.

- Owszem - przyznała Annie ze smutkiem. - Jednak nie wszystkie decyzje, które podejmujemy, są dobre i słuszne.

- Zobaczmy! - Kate była gotowa bronić swojej niezależności wszelkimi dostępnymi środkami i metodami.

Nie powiedziała ciotce, że zamierza też podróżować i wiosną chce wybrać się z Paulem do Teheranu, w odwiedziny do jego krewnych. Uznała, że ta wiadomość może poczekać.

Rozmawiały jeszcze chwilę, a potem Kate poszła do siebie. Chciała zrobić porządek w swoim pokoju, ponieważ w najbliższy weekend musiała przewieźć rzeczy z akademika.

Annie wzięła dwie aspiryny, bo od popołudnia bolała ją głowa, i wyciągnęła się na łóżku. Miała ochotę zatelefonować do Lizzie, ale nie chciała jej niepokoić, zresztą w Paryżu była teraz trzecia nad ranem. Zadzwoiła do Teda, lecz w słuchawce odezwał się sygnał poczty głosowej, Zostawiła mu wiadomość, prosząc, aby jak najszybciej się z nią skontaktował. Wciąż nie mogła uwierzyć, że Katie będzie pracowała w salonie tatuażu, na samą myśl o tym robiło jej się niedobrze. Mogła tylko mieć nadzieję, że siostrzenica odzyska zdrowy rozsądek, dotrzyma danego słowa i wróci do szkoły. Najgorsza była dla niej świadomość, że chociaż całym sercem kocha Kate, w żaden sposób nie może wpłynąć na zmianę jej decyzji. Z dnia na dzień stała się niepotrzebna.

ROZDZIAŁ 12

Następny dzień przyniósł Annie jeszcze więcej zdenerwowania. Odbyła ostrą rozmowę z szefami dwóch firm budowlanych i trudne spotkanie z jednym z bardziej wymagających klientów. Pogoda była okropna, co znacznie spowalniało prace na budowie, a fakt, że Katie wypisała się ze szkoły, ani nie omawiając z nią tego, ani nie prosząc ją o radę, na dobre zepsuł Annie humor. Im dłużej zastanawiała się nad pomysłem Katie, tym gorszy jej się wydawał. Na domiar złego nie miała żadnego kontaktu z Tedem. Bardzo potrzebowała ramienia, na którym mogłaby się wyplakać, liczyła też, że Ted lub Lizzie wpłyną na młodszą siostrę, ale Liz nadal ciężko pracowała w Paryżu, a Ted milczał jak zakłęty.

Późnym popołudniem doszła do wniosku, że dłużej tego nie zniesie i po wizycie na budowie, gdzie wszystko układało się źle, zatrzymała taksówkę i podała kierowcy adres salonu tatuażu. Znajdował się gdzieś na Dziewiątej Alei, w okolicy, którą kiedyś nazywano Kuchnią Piekieł, lecz w ostatnich latach uporządkowano i odnowiono. Jednak nie było to miejsce, w którym Annie chętnie widziałaby młodą dziewczynę. Kiedy dojechali, jęknęła głośno.

Budynek oświetlony był neonem salonu, a przy wejściu kręciła się grupa nieciekawie wyglądających osób, zajętych paleniem. Annie nigdy w życiu nie widziała aż tak brzydkich ludzi.

- Zły adres? - zagadnął kierowca, kiedy z tylnego siedzenia dobiegł go jęk rozpacz.

- Nie, niestety dobry... - odparła, wręczając mu kwotę za przejazd i spory napiwek.

- Chce pani zrobić sobie tatuaż? - zdumiał się taksówkarz.

Annie nie zrobiła na nim wrażenia osoby, która nosiłaby tatuaże. Ubrana w czarne spodnie, czarny kaszmirowy sweter i czarny wełniany płaszcz wyglądała bardzo elegancko.

- Nie, nic z tych rzeczy, chcę tylko popatrzeć. - Nie miała ochoty przyznać się, że w salonie pracuje jej siostrzenica, ponieważ było to przygnębiające i żenujące.

- Na pani miejscu trzymałby się od tego z daleka - poradził jej kierowca. - Od tych igieł na pewno można zarazić się AIDS!

- Wiem... - podziękowała mu jeszcze raz i wysiadła. Pchnęła drzwi salonu i ostrożnie rozejrzała się dookoła.

Pracownicy nosili mnóstwo kolczyków i tatuaży, większość z nich miała ręce i przedramiona pokryte kolorowymi wzorami. Katie mogła sobie mówić, że jest to forma sztuki, lecz Annie wcale tak nie uważała.

Jakaś kobieta podeszła do niej i spytała, czy może pomóc, więc Annie powiedziała, że chciałyby zobaczyć się z Kate Marshall. Z gładko uczesanyimi, zadbanymi jasnymi włosami, w modnych butach na wysokim obcasie i w szykownym czarnym płaszczu Annie wyglądała jak przybysz z innej planety. Z trudem zapanowała nad instynktowną chęcią ucieczki i parę minut później zobaczyła Kate, idącą w jej stronę od tylnej części salonu, w której znajdowały się

gabinety. Dziewczyna miała na sobie minispódniczkę, czerwony golf oraz wysokie sznurowane martensy i nawet w tym stroju wyglądała zdecydowanie zbyt elegancko jak na takie miejsce.

- Co ty tu robisz? - wyszeptała na widok ciotki, nie kryjąc zdenerwowania.

- Chciałam zobaczyć, gdzie pracujesz...

Obie kobiety popatrzyły sobie głęboko w oczy i po chwili to Kate pierwsza odwróciła wzrok. Zdawała sobie sprawę, że nie zdoła przekonać Annie do swego pomysłu, ale uważała też, że nie powinna go bronić. Podjęła decyzję i nie zamierzała się z niej wycofywać.

- Wszystko w porządku? - zapytała łagodnie Annie. Katie skinęła głową i się uśmiechnęła. Sprawiała teraz wrażenie bardziej zadowolonej niż jeszcze przed chwilą.

- Świetnie się bawię - oświadczyła. - Uczą mnie wielu rzeczy. Chcę poznać technikę robienia tatuażu, żeby wiedzieć, jak wzory układają się i zachowują na skórze.

Annie miała wielką ochotę zapytać siostrzenicę, do czego w przyszłości przyda jej się ta wiedza, lecz w ostatniej chwili ugryzła się w język. Została w salonie tylko kilka minut i Katie nie przedstawiła jej swoim współpracownikom. Dziewczyna nie życzyła sobie, żeby wzięli ją za dziecko, którego pilnuje ciotka. Była wyraźnie skrepowana tą wizytą, więc Annie szybko wyszła.

Kiedy odjeżdżała taksówką chciało jej się płakać. Nie mogła zapomnieć stojących pod salonem ludzi, którzy wszędzie mieli kolczyki, zapinki i agrafki. Jej zdaniem wyglądali naprawdę niebezpiecznie. Z ciężkim westchnieniem podała kierowcy adres ostatniej budowy, którą musiała odwiedzić przed powrotem do biura.

Realizacja tego projektu sprawiała jej ostatnio duże trudności, dlatego zdenerwowała się, widząc, że jeden z robot-

ników zostawił na placu wąż, z którego przez dłuższy czas musiała wyciekać woda, bo powstało najprawdziwsze lodowisko. W oczywisty sposób groziło to nieszczęściem, więc Annie zwróciła na to uwagę brygadziście i kierownikowi robót, i zawróciła w kierunku ulicy, wciąż myśląc o Katie oraz jej nowej pracy. Robiło się późno. Była tak pochłonięta swoim zmartwieniem, że nie zauważyła ostatniego fragmentu oblodzonej ziemi i nagle jej buty na wysokich obcasach pojechały po lodzie. Krzyknęła głośno i runęła na lód, opierając cały ciężar ciała na jednej nodze. Jeden z robotników dostrzegł wypadek, pośpieszył Annie na pomoc, podniósł ją i otrzepał. Annie się wyprostowała i gwałtownie skrzywiła z bólu. Zrobiło jej się niedobrze i przez chwilę myślała, że zemdleje. Ktoś przyniósł składane krzesło i pomógł jej usiąść, bo ból w kostce był nie do zniesienia.

- Nic się pani nie stało? - zapytał z zaniepokojeniem wezwany na miejsce wypadku brygadzysta.

Annie dosłownie przed chwilą ostrzegła go, że na placu może stać się coś złego, nie przypuszczała jednak, że sama stanie się ofiarą. Wizyta w salonie tatuażu kompletnie ją rozstroiła, dlatego w pośpiechu nie zwróciła uwagi, gdzie stąpa. Na dodatek akurat tego dnia rano postanowiła włożyć buty na wysokim obcasie, czego na pewno by nie zrobiła, gdyby przewidziała, że będzie musiała pojechać na budowę.

Obok Annie zgromadziło się już kilku mężczyzn. Spróbowała wstać, ale znowu opadła na krzesło. Była na siebie wściekła. Przez dwadzieścia lat chodziła i biegała po placach budowy, i nigdy nic jej się nie stało. Buty na obcasie okazały się prawdziwym przekleństwem.

- Możliwe, że złamałam nogę.

- Powinna pani pojechać do szpitala - poradził bryga-

dzista. - Może to tylko zwichnięcie, trzeba zrobić prześwietlenie.

Annie pomyślała, że jeszcze tylko tego jej brakowało. Miała na głowie mnóstwo zmartwień i pracy, i nie chciała przemieszczać się o kulach, wlokąc za sobą nogę w gipsie.

- Pojadę do domu i zrobię sobie okład z lodu... - westchnęła.

Próbowała skakać, ale w końcu dwóch mężczyzn musiało pomóc jej wsiąść do taksówki, trzeci niósł jej teczkę i torebkę.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się z trudem. - Przepraszam za ten kłopot.

- Nie ma za co - odparł brygadzysta, którego dręczyło poczucie winy. -

Proszę prześwietlić kostkę, niech pani tego nie lekceważy!

Kiwnęła głową, udając, że się z nim zgadza, ale gdy już usadowiła się w taksówce, podała kierowcy adres swojego biura. Miała nadzieję, że gdy wróci do domu i zdejmie buty, noga przestanie jej dokuczać, chociaż na razie piekielnie bolała.

Pod biurem nie mogła wysiąść z samochodu. Taksówkarz odwrócił się, słysząc, jak pasażerka bezradnie szarpie się z drzwiami.

- Nieźle się pani urządziła! - rzucił współczująco. - Co się stało?

- Pośliznęłam się na lodzie i upadłam - powiedziała, usiłując oprzeć się na drzwiach.

W końcu zdołała postawić kontuzjowaną nogę na chodniku, zaraz jednak głośno krzyknęła z bólu.

- Szczęście, że nie uderzyła się pani w głowę - zauważył kierowca, widząc, że Annie raczej nie ruszy się z miejsca. - Może pozwoli pani, żebym zawiózł ją do szpitala, co? Noga może być złamana!

Annie w duchu przyznała mu rację. Wściekła na siebie i swojego pecha, poprosiła, żeby taksówkarz zawiózł ją na pogotowie. Czuła się jak ostatnia idiotka, lecz zdawała sobie sprawę, że bez interwencji lekarza z pewnością sobie nie poradzi. Potrzebowała kul, jeśli nawet nie gipsowego opatrunku.

Na miejscu kierowca wszedł do szpitala, żeby sprowadzić kogoś do pomocy i po chwili wrócił z kobietą w niebieskim fartuchu i spodniach, która pchała przed sobą fotel na kółkach. Annie podziękowała taksówkarzowi, który życzył jej zdrowia, wręczyła mu dziesięć dolarów, przysiadła na brzegu fotela i tak dojechała na izbę przyjęć. Nie była w stanie chodzić, nie mogła się dłużej oszukiwać.

- Co my tu mamy? - zagadnęła miło dyżurująca pielęgniarka.

- Chyba *złamałam* nogę w kostce - wyjaśniła Annie, blada jak ściana i wyraźnie cierpiąca. ~ Przewróciłam się na lodzie...

Mdliło ją z bólu i chciało jej się płakać, bardziej z powodu Kate niż nogi. Salon tatuażu zrobił na niej okropne wrażenie i była gotowa zrobić wszystko, byle tylko dziewczyna nie pracowała tam ani chwili dłużej, wiedziała jednak, że jest całkowicie bezsilna. Myślała o tym cały czas, podając rejestratorce pogotowia swoją kartę ubezpieczenia zdrowotnego i wypełniając formularz. Pielęgniarka założyła jej na przegub dłoni plastikową bransoletkę z imieniem, nazwiskiem oraz datą urodzenia, podała foliową torebkę z kostkami lodu i kazała czekać.

- Jak długo? - spytała Annie, rozglądając się po zatłoczonej poczekalni.

Nie była pewna, czy do gabinetu lekarskiego wchodzi się w kolejności zgłoszenia, czy w porządku alfabetycznym, ale czuła, że może to potrwać parę godzin. W koryta-

rze siedziało co najmniej pięćdziesiąt osób, rannych, kontuzjowanych albo chorych.

- Ze dwie godziny - przyznała uczciwie pielęgniarka. -Może trochę mniej, może więcej, zależy od tego, jak poważne są przypadki przed panią.

- Może powinnam jednak pojechać do domu - mruknęła Annie ze zniechęceniem.

Miała za sobą fatalny dzień, więcej, dwa fatalne dni, a teraz jeszcze coś takiego.

- Lepiej nie, bo noga naprawdę może być złamana - poradziła jej kobieta.

- Nie chce pani chyba wrócić tu

O czwartej nad ranem, krzycząc z bólu, prawda? Skoro już pani jest, proszę prześwietlić kostkę i sprawdzić, co się dzieje!

Rada niewątpliwie była rozsądna, więc Annie zdecydowała się poczekać, zwłaszcza że w domu i tak nie miałyby nic do roboty. Nie zdołała przecież dokuśtykać do biura

1 zabrać plany, nad którymi chciała popracować. Wciąż miała mdłości, liczyła jednak, że uda jej się nie wymiotować. Była zaskoczona, że tak drobna w sumie rzecz przyprawiła ją o tyle cierpienia. Podniosła nogę, wyprostowała ją i ułożyła na przymocowanym do fotela stelażu. Chwilę siedziała z zamkniętymi oczami, starając się opanować ból, gdy nagle kobieta na krześle obok zaniósła się potwornym kaszlem. Sprawiała wrażenie naprawdę chorej, więc Annie dyskretnie odjechała trochę dalej. Nie chciała złapać jeszcze jakiejś infekcji. Znalazła spokojny kąt, gdzie nikt nie siedział i uzbroidła się w cierpliwość.

Sanitariusze wnieśli na sztywnych noszach człowieka z podejrzeniem złamania kręgosłupa, z wypadku samochodowego, zaraz potem inna ekipa przywiozła mężczyznę z zawałem. Annie uświadomiła sobie, że jeśli w pierwszej kolejności przyjmowani są pacjenci w cięższym stanie,

najprawdopodobniej będzie tu długo czekać. Była już siedemnasta trzydzieści. Rozejrzała się po poczekalni - nie mogła oprzeć się wrażeniu, że miejsce wygląda trochę jak hala na lotnisku.

Znowu zamknęła oczy, próbując głęboko oddychać. Po krótkiej chwili ktoś potrącił jej fotel i zaczął ją gorąco przeproszać. Podniosła powieki. Był to wysoki, ciemnowłosy mężczyzna z ręką na nadmuchiwanym temblaku, który wydał jej się dziwnie znajomy. But z chorej nogi wetknęła pod fotel, bo stopa mocno spuchła i zsiniała. Nie miała pojęcia, czy to potwierdza teorię o złamaniu, czy ją podważa. Na parę minut zapadła w niespokojną drzemkę, lecz ból nie pozwalał jej zasnąć. W końcu otworzyła oczy. Mężczyzna z ręką na temblaku siedział obok niej z ponurą miną. Temblak miał na lewej ręce, a prawą wybierał numery w telefonie komórkowym i odwoływał umówione spotkania. Było oczywiste, że jest mocno zapracowanym człowiekiem. Miał na sobie szorty, T-shirt oraz adidas i Annie usłyszała, jak mówi do kogoś, że doznał kontuzji podczas gry w squasha. Był przystojny i wyglądał na wysportowanego. Co parę sekund krzywił się z bólu. Długo siedzieli obok siebie w milczeniu. Annie była zbyt obolała, aby prowadzić uprzejmą rozmowę, chciało jej się płakać.

O dziewiętnastej zaczęły się wiadomości telewizyjne. Prowadzący już na samym początku oznajmił, że nie mogą się połączyć z reporterem Tomem Jeffersonem, ponieważ doznał on poważnej kontuzji w czasie meczu squasha i przebywa teraz w szpitalu. Annie bez zbytniego zainteresowania patrzyła na ekran, lecz nagle uświadomiła sobie, kim jest jej sąsiad i odwróciła się do niego ze zdziwionym wyrazem twarzy.

- To pan? - spytała.

Z zażenowaniem kiwnął głową.

- Miał pan cholernego pecha z tą ręką - powiedziała. Uśmiechnął się.
- Pani też! Noga musi mocno boleć, odkąd tu usiadłem, obserwuję, jak puchnie.

Kostka z każdą minutą stawała się coraz bardziej sina i pękata. Annie przytaknęła z westchnieniem, wyprostowała się i spróbowała poruszyć palcami stopy, ale ból natychmiast ją pokonał. Widziała, że Tom Jefferson stara się w ten sam sposób ocenić rozmiary swojej kontuzji.

- Możliwe, że przesiedzimy tu całą noc - odezwała się, gdy wiadomości dobiegły końca.

Problemy w Korei i na Bliskim Wschodzie uznała teraz za znacznie mniej ważne od swojej nieszczęsnej kostki.

- Nie może pan skorzystać ze statusu gwiazdy telewizyjnej? - zapytała z uśmiechem.

- Nic sędzę. Trzy zawały, złamanie kręgosłupa i rana postrzałowa nie dają mi żadnych szans, bałbym się nawet zapytać.

Annie pokiwała głową. Dziennikarz miał rację, ale przede wszystkim zaimponował jej dyskrecją. Oboje byli całkowicie skupieni na swoim cierpieniu i w jakiś sposób przypominali rozbitków, wyrzuconych przez fale na bezludną wyspę. Wszystko wskazywało na to, że nikt nie wie, gdzie się znajdują i nikogo to nie obchodzi.

Po pewnym czasie Annie wysłała Kate SMS, że będzie w domu późno, nie wyjaśniła jednak, z jakiego powodu. Nie chciała niepokoić siostrzenicy, siedziała więc sama w poczekalni pogotowia obok obcego człowieka ze złamaną ręką.

- Kiedyś postrzelili mnie w to ramię - przerwał milczenie Tom Jefferson. - Robiłem wtedy reportaż w Ugandzie. Wiem, że brzmi to śmiesznie, ale teraz bardziej mnie boli.

Nie ulegało wątpliwości, że jest mocno przygnębiony.

- Popisuje się pan? - spytała żartobliwie. - Ja w dzieciństwie złamałam sobie żebro, kiedy spadłam z łóżka, ale teraz też bardziej mnie boli! Tak czy inaczej, pan wygrywa!

Zauważyła, że Tom ma miły uśmiech, co oczywiście nie powinno ją dziwić.

- Przepraszam, naprawdę nie zamierzałem się popisywać - powiedział. - Jak to się stało? - Wskazał jej spuchniętą nogę.

~ Pośliznęłam się na lodzie na placu budowy. Dosłownie minutę wcześniej ostrzegłam ekipę, że powinni coś z tym zrobić, posypać lód piaskiem albo coś takiego.

- Jest pani robotnikiem budowlanym? - rzucił z nieco kpiącym uśmiechem.

Czas szybciej płynął im na rozmowie. Nie mieli nic do roboty, mogli tylko siedzieć i czekać.

- Mniej więcej - odparła. - Mam nawet własny kask. Oczywiście nie włożyła go przed wejściem na budowę.

Taksówkarz miał rację - powinna uważać się za szczęściarę, że nie uderzyła się w głowę.

- Jestem architektem - wyjaśniła.

Ta informacja zrobiła wrażenie na dziennikarzu. Sądził, że Annie zajmuje się modą albo pracuje w jakimś wydawnictwie. Była dobrze ubrana, elokwentna i inteligentna.

- To pewnie ciekawa praca. - Wyraźnie próbował oderwać uwagę ich obojga od bólu.

- Czasami, pod warunkiem, że nie skręcam sobie karku na budowie.

- A często się to pani zdarza? - zażartował.

- Dziś pierwszy raz.

- Ja też pierwszy raz mam taką akurat kontuzję. Przez ostatnie dziesięć lat praktycznie bez przerwy robię materiały o Bliskim Wschodzie i nie jest to bezpieczne zajęcie. Dwa lata byłem szefem redakcji w Libanie, przeżyłem

parę bombardowań, a tu nagle łamię rękę podczas meczu squasha...

Żalotne, słowo daję!

Czuł się jak idiota. Zerknął na Annie, która siedziała przygarbiona, przyglądając się swojej wyprostowanej nodze. Kostka była fioletowa jak śliwka i przypominała balon.

- Jest pani głodna?

- Nie, mam okropne mdłości - odpowiedziała szczerze.

Nie знаła go i wiedziała, że pewnie się więcej nie spotkają, nie musiała więc robić dobrej miny do złej gry. Tom Jefferson musiał widzieć łzy na jej policzkach i niewątpliwie myślał, że płacze z bólu, ale ją dręczył niepokój o Katie. Nie umiała wyrzucić z pamięci obrazu salonu tatuażu i wiedziała, że nie potrafi skłonić Kate do zmiany decyzji.

- Mam ochotę zamówić pizzę - wyznał Tom, zawstydzony, że w takich okolicznościach chce mu się jeść. - Umieram z głodu.

Był solidnie zbudowanym mężczyzną i niewątpliwie miał zdrowy apetyt.

- Proszę bardzo, najprawdopodobniej jeszcze długo tu posiedzimy! - powiedziała.

Uśmiechnął się w odpowiedzi. Zamówił pizzę przez komórkę i wysłał kilka SMS-ów. Annie zaczęła się zastanawiać, czy ma dziewczynę lub żonę, i czy ktoś przyjedzie dotrzymać mu towarzystwa. Wyglądał na jakieś czterdzieści pięć lat, ciemne włosy dopiero lekko siwiały na skroniach.

Pizza dotarła godzinę później. Annie zauważyła, że Tom zamówił wszystkie dodatki poza filecikami anchois. Zaproponował jej kawałek, ale nie mogła jeść. Mimo bolącego ramienia pochłonął prawie wszystko. Kiedy podniósł się z krzesła, żeby wyrzucić pudełko, Annie zobaczyła, że jest jeszcze wyższy niż sądziła. Z uznaniem pomyślała, że trafił jej się naprawdę miły sąsiad, sympatyczny i nie narzu-

cający się. Nie domagał się specjalnych względów, cierpliwie czekał na swoją kolej. Zapytał, czy nie przynieść jej wody albo kawy z automatu, ale odmówiła.

- Zdałem sobie właśnie sprawę, że pani wie, jak się nazywam, lecz ja nie znam pani nazwiska - odezwał się, znowu siadając obok niej.

- Annie Ferguson... Annie. Spędziliśmy razem tyle czasu, że możemy mówić sobie po imieniu! Czy imię nosisz też po sławnym prezydencie? Jesteś może spokrewniony?

Roześmiał się.

- Nie, moja mama była wielką entuzjastką historii! Uczyła tego przedmiotu w szkole średniej. Może uznała, że taki wybór imienia dla syna będzie zabawny, ale przede wszystkim podziwiała tamtego Jeffersona. Całe życie ludzie podśmiewają się ze mnie z tego powodu. Rozmawiali jeszcze chwilę i w końcu oboje na krótko zapadli w drzemkę. Było już po dwudziestej pierwszej, Annie czekała na badanie całe cztery godziny.

Nogę szarpał pulsujący ból, gdy wreszcie godzinę później pielęgniarka wywołała jej nazwisko i poprosiła do gabinetu. Annie pożegnała się z Tomem Jeffersonem, podziękowała mu za towarzystwo i życzyła szczęścia.

- Mam nadzieję, że ręka nie jest złamana - powiedziała, żeby dodać mu odwagi.

Przesiedziała obok niego ponad cztery godziny i dzięki temu nie czuła się osamotniona.

- Ja też życzę ci wszystkiego najlepszego - rzekł. -I uważaj na placach budowy!

Pomachał jej, kiedy pielęgniarka ruszyła w stronę otwartych drzwi, pchając przed sobą fotel.

Annie spędziła w gabinecie następne dwie godziny, czekając na wyniki prześwietlenia i tomografii komputerowej, ponieważ lekarz chciał sprawdzić, czy w okolicy uszko-

dzanego miejsca nie utkwily odlamki kości. Okazało się, że jest to tylko paskudne zwichnięcie, nie złamanie. Założyli Annie usztywniającą szynę, dali kule i polecili opierać ciężar ciała na drugiej nodze, zupełnie jakby miała inne wyjście. Usłyszała też, że za tydzień powinna zgłosić się na kontrolę do ortopedy, że do formy wróci za cztery do sześciu tygodni, i że w tym czasie musi nosić buty na płaskim obcasie.

Była już północ, kiedy pielęgniarka wywiozła Annie na ulicę i zatrzymała dla niej taksówkę. W drodze Annie ogarnęła poczekalnię wzrokiem, lecz Toma Jeffersona już nie było. Zastanawiała się, czy jego ręka też była tylko zwichnięta, czy złamana, zaraz jednak skupiła uwagę na trudnym zadaniu, jakim okazało się dotarcie do domu. Miała za sobą połowę długiej, wypełnionej bólem nocy.

Weszła do budynku, w którym mieszkała, podpierając się kulami. Jeszcze nie opanowała tej sztuki i czuła się trochę jak pijana, bo w szpitalu dali jej mocny środek przeciwbólowy. Cicho otworzyła drzwi. W mieszkaniu paliło się światło, Kate wróciła z pracy i oglądała z Paulem film. Annie pomyślała, że jedyną dobrą stroną decyzji dziewczyny jest jej przeprowadzka do domu, gdzie będzie mogła mieć ją na oku. Katie spojrzała na wchodzącą do salonu ciotkę i wydała okrzyk zdziwienia.

- Co ci się stało?! - zawołała, zrywając się z kanapy i śpiesząc z pomocą białej jak kreda Annie.

Paul także pośpiesznie podniósł się z miejsca.

- Och, coś potwornie głupiego... Przewróciłam się na budowie. Miałam na nogach te buty i pośliznęłam się na lodzie, jak ostatnia idiotka.

- Biedactwo!

Katie pobiegła po lód, a Paul pomógł Annie wstać i za-

prowadził ją do kuchni. Szła chwiejnie i wyglądała na kompletnie wykończoną. Oboje młodzi byli bardzo zmartwieni.

- Myślałam, że umówiłaś się z kimś na kolację - powiedziała Katie. - Dlaczego do mnie nie zadzwoniłaś? Pojechałabym z tobą do szpitala! O której to się stało?

- Zaraz po naszym rozstaniu, najwyżej pół godziny później.

Annie nie powiedziała siostrzenicy, że była zamyślona, ponieważ martwiła się o nią.

- Od siedemnastej trzydzieści czekałam w szpitalu na prześwietlenie - dodała.

Nie wspomniała o telewizyjnym reporterze, którego poznała. Wydawało jej się to zupełnie nieistotne, chociaż rozmowa z Tomem Jeffersonem pomogła jej spędzić czas w oczekiwaniu na badanie.

- Masz ochotę coś zjeść? - spytała Kate. Annie potrząsnęła głową.

- Chcę tylko jak najszybciej się położyć, jestem kompletnie nieprzytomna po środku przeciwbólowym. Mam nadzieję, że jutro poczuję się lepiej.

Musiała nauczyć się radzić sobie z kulami i skakać na jednej nodze.

Następne tygodnie miały być dla niej naprawdę dość trudne.

Wspierając się na kulach, dotarła do sypialni w asyście Kate i Paula.

Chłopak wrócił do salonu, a Kate pomogła jej przebrać się w nocną koszulę. Dziewczyna się obawiała, że ciotka może przewrócić się w łazience i powiedziała jej, żeby zawołała, gdyby potrzebowała pomocy.

- Nic mi nie będzie - uspokoiła ją Annie.

Przeżyła okropny wieczór oraz ciężkie dwa dni, w czasie których myśl o przyszłości Kate nie opuszczała jej nawet na chwilę. Ted nadal się z nią nie skontaktował, po-

dobnie jak Lizzie. Wsunęła się pod kołdrę, starając się zapomnieć o wszystkich troskach. Połknęła jeszcze jedną tabletkę przeciwbólową, zgodnie z radą lekarza, i zanim położyła głowę na poduszce, już spała. Katie pocałowała ją, otuliła kołdrą i wróciła do Paula. Tego wieczoru zajęci byli układaniem bardzo ważnych planów.

ROZDZIAŁ 13

Proces ubierania się okazał się trudniejszy niż Annie przypuszczała. Zachowanie równowagi pod prysznicem było prawdziwym wyzwaniem, ponieważ próbowała cały czas stać na jednej nodze. Zanim weszła do kuchni, była wyczerpana, miała jednak za dużo pracy, aby zostać w domu. Kate pomogła jej wsiąść do taksówki i Annie dotarła do biura o dziesiątej, co prawie nigdy jej się nie zdarzało. Musiała też kilka razy powtarzać sobie, że przynajmniej przez kilka dni nie będzie w stanie odwiedzić żadnej budowy.

Ted w końcu zadzwonił do niej rano i przeprosił za długie milczenie, tłumacząc się nawałem pracy. Katie w nocy wysłała mu wiadomość o kontuzji Annie, więc od razu zapytał, jak się czuje.

- Nic mi nie jest. Noga piekielnie boli, ale na szczęście to tylko zwichnięcie. Dzwoniłam do ciebie w sprawie Katie... Wiesz, że rzuciła szkołę i pracuje w salonie tatuażu?

Znowu bardzo się zdenerwowała. W porównaniu z poczynaniami Katie jej kostka nie miała żadnego znaczenia.

- Żartujesz?! - wykrzyknął Ted.

- Niestety nie. Wzięła urlop na jeden semestr, pracuje w salonie tatuażu przy Dziewiątej Alei i uważa, że zajmuje się sztuką graficzną.

- To obrzydliwe! Ta mała gówniara nic mi nie powiedziała! Chcesz, żebym z nią porozmawiał?

Ted był nie mniej zdenerwowany niż Annie. Fakt, że Kate zdecydowała się przerwać naukę, miał dla nich obojga ogromne znaczenie.

- Tak, ale nie sądzę, żeby to coś zmieniło. Wątpię, żeby cię posłuchała, jest zdeterminowana.

- Moim zdaniem to idiotyczny pomysł i zamierzam jej o tym powiedzieć! Czasami Kate słuchała rodzeństwa chętniej niż ciotki, lecz Annie zdawała sobie sprawę, że jeśli dziewczyna raz podejmie decyzję, trudno potem skłonić ją do zmiany. Ted też o tym wiedział. Kate i Annie były pod tym względem podobne - obie charakteryzował piekielny upór.

- A co u ciebie? - spytała łagodnie Annie. - Wszystko w porządku? Ostatnio tak rzadko się odzywasz, że zaczęłam się trochę martwić.

- Niepotrzebnie - odparł odrobinę szorstko.

Kiedy tylko dzieci Pattie przenosiły się do ojca, Ted wprowadzał się do niej. Miał wrażenie, że ciągle brakuje mu czasu. Bez przerwy albo biegał między swoim i jej mieszkaniem, albo kochał się z nią. Od paru tygodni w ogóle nie spotykał się z przyjaciółmi. Oczywiście nie zamierzał zwierzać się Annie, nie wyobrażał sobie, aby mógł jej powiedzieć, że ma romans z kobietą dwanaście lat starszą od niego. Czuł, że Annie nigdy by tego nie zrozumiała, czasami nie był zresztą pewny, czy sam to rozumie. Jego związek z Pattie żył własnym życiem i pędził przez kolejne dni niczym ekspresowy pociąg, na którego trasę Ted nie miał żadnego wpływu.

- Wpadnij któregoś dnia na kolację - zaproponowała Annie. - Tęsknię za tobą.

Ted westchnął. Nie miał teraz na nic czasu, jego dni i noce były we władaniu Pattie.

- Dobrze chociaż, że teraz Kate będzie w domu i pomoże ci - powiedział. Dręczyły go wyrzuty sumienia, że nie dzwoni do Annie częściej i nie wpada do domu, ale Pattie chciała, żeby ciągle był przy niej.

- Wolałabym, żeby jednak wróciła do szkoły - zauważyła smutno Annie.
- Ja też! Zadzwoń do niej i dam ci znać, jak mi poszło - obiecał.

Annie załatwiła parę spraw, kuśtykając po pokoju i próbując przенosić na biurko teczki i dokumenty, co przy podpieraniu się kulami było praktycznie niewykonalne. Poruszanie się okazało się bardziej skomplikowane niż myślała, poza tym noga wciąż mocno bolała.

Kiedy w końcu usadowiła się za biurkiem, zabrzączał telefon. Asystentka poinformowała ją, że dzwoni niejaki Thomas Jefferson. Zaskoczona Annie poprosiła ją o przełączenie rozmowy i od razu zapytała Toma, jak jego ręka.

- Złamana - odparł ze zniechęceniem. - A twoja noga?

- Tylko paskudnie zwichnięta, ale chodzenie o kulach jest cholernie trudne.

Po zaledwie godzinie pracy była ledwo żywa ze zmęczenia, a kostka pulsowała bólem.

- Wiem, w szkole zwichnąłem kiedyś kostkę w czasie meczu koszykówki.

- Roześmiał się i szybko zmienił temat. - Bardzo miło mi się z tobą wczoraj rozmawiało, mimo trudnych okoliczności. Zastanawiałem się, czy miałabyś ochotę zjeść ze mną lunch albo wybrać się do Lourdes...

Annie parsknęła śmiechem.

- Z przyjemnością, oczywiście jeśli chodzi o lunch, nie

Lourdes, chociaż to też nienajgorszy pomysł! Zawsze chciałam odwiedzić to sanktuarium.

- Ja również - odparł Tom.

Annie założyła, że nie jest żonaty ale nie chciała pytać. Była pewna, że Tom zaprasza ją na lunch dla dwojga inwalidów, nie na randkę, więc dopytywanie się o jego stan cywilny wydawało jej się głupie. Ich pierwsze spotkanie nie miało w sobie ani cienia romantyzmu, było jednak dość zabawne.

- Może jutro? - zaproponował. - Dasz radę wyjść na ulicę o kulach?

- Poradzę sobie, nie mam innego wyjścia. Nie mogę przez parę tygodni nie odwiedzać placów budowy, które nadzoruję!

- Ale może wolałabyś odpocząć dzień czy dwa... Zapytał, czy odpowiada jej mała francuska restauracja.

Znała ją i lubiła. Umówili się następnego dnia w południe. Annie ucieszyła się na to spotkanie i miała nadzieję, że jakoś zdoła na nie dotrzeć.

- Pokroję ci mięso - zaproponowała. Tom roześmiał się głośno.

- A ja zaniosę cię do taksówki! - zrewanżował się.

Annie pomyślała, że jej nowy znajomy wydaje się naprawdę interesujący. Był inteligentny, miły i bardzo przystojny.

Po rozmowie z Tomem z determinacją zabrała się do pracy. Musiała odwołać kilka spotkań, na dwie budowy wysłała asystentkę. Katie zadzwoniła, aby spytać, jak się czuje i była pełna współczucia.

Ostatecznie Annie poddała się i koło szesnastej wróciła do domu z dwiema torbami pełnymi planów i dokumentów. Wieczorem obejrzała Toma w wiadomościach, a potem wzięła tabletkę przeciwbólową i się zdrzemnęła. Tom wyglądał zupełnie normalnie, oczy-

wiecie jeśli nie liczyć ręki w gipsie. Rękaw koszuli miał podwinięty i nie mógł włożyć marynarki, ale był w świetnym nastroju.

Kiedy następnego dnia Annie weszła do restauracji, Tom czekał już na nią przy stoliku. Trochę lepiej radziła już sobie z kulami, ale podszedł do drzwi, żeby jej pomóc.

- Wyglądamy, jakbyśmy cudem wyszli z katastrofy kolejowej - rzekł, idąc obok niej do stolika. - Dziękuję, że pozwoliłaś zaprosić się na lunch... Naprawdę świetnie mi się z tobą rozmawiało!

Usiedli i zamówili mrożoną herbatę. Annie powiedziała, że jeżeli napije się wina, kule na pewno zapłaczą jej się pod nogami, a Tom, że nigdy nie pije alkoholu w porze lunchu.

Gdy złożyli zamówienie, Tom uśmiechnął się do Annie i od razu przeszedł do rzeczy.

- Nie zapytałem cię o to w szpitalu, ale mam nadzieję, że nie jesteś mężatką.

Odpowiedziała uśmiechem. Nikt nie przyjechał do szpitala po żadne z nich, oboje nabrali więc przekonania, że są wolni, lecz Tom wolał się upewnić.

- Nie, nie jestem mężatką.

- Ja pięć lat temu rozwiodłem się po trwającym osiem lat małżeństwie.

Mój zawód nie sprzyja szczęśliwym związkom. Dużo podróżowałem, czasami długo nie było mnie w domu. W końcu oboje doszliśmy do wniosku, że nic z tego nie będzie i niedługo po rozwodzie moja była żona drugi raz wyszła za mąż i teraz ma dwoje dzieci, o czym zawsze marzyła.

Jesteśmy w dobrych stosunkach. Nie mam do niej najmniejszego żalu.

Nie chciałem mieć dzieci, bo rola wiecznie nieobecnego ojca wydawała mi się zdecydowanie bezsensowna. Jesteś rozwiedziona?

Był wyraźnie zaskoczony, kiedy potrząsnęła głową.

- Nigdy nie wyszłam za mąż - odparła spokojnie.

Był tak bezpośredni i szczery, że wcale nie czuła się skrepowana.

- Więc ty także nie masz dzieci.

Chciał jak najwięcej się o niej dowiedzieć, lecz kiedy najpierw znowu pokręciła głową a potem wykonała potakujący gest, popatrzył na nią niepewnie.

- Nie mam i mam - wyznała z uśmiechem. - Moja siostra i jej mąż zginęli w katastrofie samolotowej szesnaście lat temu i wtedy odziedziczyłam ich troje dzieci. Mieli pięć, osiem i dwanaście lat. Teraz są już dorośli, w każdym razie tak twierdzą choć ja czasami mam co do tego poważne wątpliwości. Liz ma dwadzieścia osiem lat i pracuje jako wydawca w „Voguc”, Ted ma dwadzieścia cztery i studiuje prawo na New York University, a Kate jest uzdolnioną malarką, ma dwadzieścia jeden lat i uczy się w Akademii Sztuk Pięknych Pratt. No, właściwie studiowała tam do ubiegłego tygodnia, bo właśnie postanowiła wziąć urlop na jeden semestr i okropnie mnie tym zdenerwowała. I to już cała moja historia. Uśmiechnęła się do niego, a on popatrzył na nią z najszczerzym podziwem.

- Nie, to ich historia - rzekł cicho. - Jaka jest twoja?

- Oni są moją historią. Przejęcie opieki nad trójką dzieci to zajęcie na cały etat. Kiedy ze mną zamieszkali, miałam dwadzieścia sześć lat i byłam świeżo po szkole architektonicznej. Długo uczyłam się, jak pogodzić wszystkie obowiązki, ale w końcu jakoś mi się to udało.

- A teraz?

Tom był naprawdę zaciekawiony. Gdy poznali się, nawet nie przyszło mu do głowy, że Annie może mieć tak skomplikowane życie.

- Cóż, kiedy już opanowałam większość niezbędnych

umiejętności, dzieciaki dorosły. Katie wróciła teraz do domu, ale przez ostatnie trzy lata mieszkała w akademiku. Źle znoszę ten okres życia, nie ma co ukrywać! Mogę tylko przyglądać się, jak sobie radzą i robią wszystkie te zwariowane rzeczy, z którymi dzieci zwykle eksperymentują, czyli na przykład odwieszają studia na kołek. I przede wszystkim strasznie za nimi tęsknię.

- Nie dziwię się, przecież poświęciłaś im tyle lat. Czy to dlatego nie wyszłaś za mąż?

- Pewnie tak... Nie wiem. Nigdy nie miałam czasu dla siebie. Byłam zbyt zajęta, za wszelką cenę chciałam dotrzymać danego siostrze słowa, że jeśli coś jej się stanie, wezmę dzieci do siebie. Spełniłam obietnicę i było wspaniale, ani przez chwilę nie żałowałam, że to zrobiłam. Lizzie, Ted i Kate okazali się najwspanialszym darem, jaki mogło dać mi życie.

- Niezwykła historia - powiedział z podziwem. - Teraz wygląda na to, że cierpisz na syndrom pustego gniazda, chociaż to nie twoje dzieci z niego wyfrunęły. To niesprawiedliwe. Chciałabyś mieć jeszcze własne dzieci? Nie krył zaciekawienia. Annie była pełna niespodzianek i sprawiała wrażenie zadowolonej z życia. Stanowiła całkowite przeciwieństwo zdesperowanych, nieszczęśliwych kobiet, które uważały, że ominęło je coś ważnego i w ostatniej chwili starały się spełnić swoje marzenia. Doszedł do wniosku, że bardzo podoba mu się emanująca z Annie aura spokoju i satysfakcji. Nie szukała wybawcy ani ratownika, jej obecność była ciepła i kojąca.

- Nie wiem. - Lekko wzruszyła ramionami. - Nie miałam dotąd czasu, żeby się nad tym zastanowić. Pewnie byłoby miło, gdyby moje życie ułożyło się w bardziej normalny sposób, ale jest tak, jak jest. Tak czy inaczej, mam troje dzieci i wszystkie związane z tym stanem rzeczy troski.

- Nie poznałaś nikogo, z kim chciałabyś związać się na stałe?
- Nie... Na to także zabrakło mi czasu. - Nie sprawiała wrażenia osoby, która miałaby o coś żal do losu.
- Niesamowite. - Tom z niedowierzaniem pokręcił głową. - Czuję się trochę tak, jakbym umówił się na lunch z Matką Teresą.
- Uśmiechnął się szeroko, bo Annie była dużo ładniejsza od Matki Teresy.
- Też coś, po prostu jestem kobietą, która ma troje dzieci i karierę, czyli mnóstwo zajęć! Nie mam pojęcia, jak większość kobiet radzi sobie z tak wybuchową mieszanką, do której specjalny dodatek stanowi jeszcze mąż.
- Nie radzą sobie i właśnie dlatego aż tyle małżeństw kończy się rozwodem. Ty i ja zawarliśmy ślub z wykonywanym zawodem, przy czym ty masz jeszcze na głowie dzieci siostry!
- To chyba trafne podsumowanie - zgodziła się. - Muszę się tylko nauczyć, że przyszedł czas wypuścić dzieci na wolność, a nie jest to tak proste, jak mogłoby się wydawać.
- Pierwszy raz od szesnastu lat miała wrażenie, że jej życie jest puste jak opuszczona przez ślimaka skorupa.
- Słyszałem, że to trudna sprawa - powiedział Tom. Był całkowicie zafascynowany Annie. Rozmawiali o jego pracy i podróżach, o okresie, który spędził na Bliskim Wschodzie i o architekturze, którą obydwójce uwielbiali. Wymieniali poglądy na temat sztuki i polityki, i pod koniec lunchu uświadomili sobie, że doskonale się bawili.
- Zaczynam myśleć, że ta złamana ręka to najprawdziwszy dar od losu. - Tom zmierzył Annie roześmianym spojrzeniem. - Gdyby nie ona, pewnie nigdy bym cię nie spotkał. Sądzisz, że moglibyśmy jeszcze kiedyś zjeść razem lunch?

Annie skinęła głową.

- Byłoby mi bardzo miło - odparła po prostu.

- Zadzwoń do ciebie - obiecał.

Nie potraktowała jego słów poważnie. Przez te wszystkie lata wielu mężczyzn składało jej podobne obietnice, lecz później nigdy ich nie spełniali. Zresztą może Tom miał dziewczynę? Nie pytała go przecież o to. Nie był żonaty, ale to jeszcze nie znaczyło, że jest wolny. Wszystko było możliwe, nie liczyła więc, że jeszcze się do niej odezwie, chociaż bardzo jej się podobał. Był znanym dziennikarzem i jego życie mogło być pełniejsze i bardziej skomplikowane niż przyznawał. Zdążyła się zorientować, że mężczyźni często zatajają ważne informac"e na swój temat, trochę z próżności, a trochę ze strachu, że zostaną źle ocenieni. Po lunchu Tom pomógł jej wsiąść do taksówki. Kiedy wróciła do biura, odebrała telefon od Teda. Powiedział, że rozmawiał z Kate, która uparła się, że wróci do szkoły dopiero od następnego semestru. Najwidoczniej bardzo zależało jej na pracy w salonie tatuażu. Ted był na nią wściekły i nie ukrywał tego, ale Kate pozostała niewzruszona. Podjęła decyzję i nie zamierzała jej zmienić.

Dwa dni później z Paryża wróciła Liz. Ona także próbowała rozmawiać z Kate i ona też nic nie wskórała. Chciała spędzić trochę czasu z młodszą siostrą, ale była zbyt zajęta. Trzy dni po powrocie z Francji musiała lecieć do Los Angeles, żeby zebrać materiały do artykułu o biżuterii dawnych gwiazd filmowych, niedługo czekała ją też następna sesja zdjęciowa, więc ledwo zdążyła się rozpakować i znowu spakować. Jean-Louis miał przylecieć do Nowego Jorku w dniu jej wyjazdu. Wcześniej spędził dwa dni w Paryżu z Damienem, a teraz zamierzał czekać w Nowym Jorku na powrót Lizzie z Kalifornii.

Liz powiedziała Annie, że spędziła wspaniałe chwile

z Jean-Louisem w Paryżu, i że jego synek jest najmilszym dzieckiem pod słońcem. Serce wciąż ścisnęło jej się z żalu na myśl, że rodzice chcą na stałe wysłać chłopca do babci, ponieważ takie rozwiązanie było łatwiejsze dla nich, lecz niekoniecznie lepsze dla niego. Lizzie nie bardzo wiedziała, w jaki sposób dać Jean-Louisowi do zrozumienia, że mały powinien spędzać więcej czasu z rodzicami. Gdyby Damien był jej dzieckiem, nigdy by się z nim nie rozstała i pewnie właśnie dlatego nie miała jeszcze dzieci. Stale brakowało jej czasu, a była dość inteligentna, by przewidzieć wynikające z tego komplikacje.

Przed wylotem do Los Angeles wstąpiła do domu i przeraziła się na widok kuśtykającej o kulach ciotki, chociaż Annie radziła już sobie dużo lepiej niż na początku. Dziewczyna obiecała jej, że po powrocie jeszcze raz spróbuje przemówić Kate do rozumu.

W czasie weekendu Paul pomógł Katie wyprowadzić się z akademika. Przewieźli wszystkie rzeczy i złożyli je w pokoju Kate, a potem pobiegli na spotkanie z przyjaciółmi i do kina. Paul ciągle towarzyszył teraz Kate, co także martwiło Annie. Był bardzo sympatyczny, jednak Annie nie mogła przestać myśleć o tym, jak ten przynajmniej na oko poważny związek może wpłynąć na ich dalsze życie.

Wszyscy byli zajęci i zaabsorbowani swoimi sprawami. Annie codziennie do późna przesiadywała nad projektami, Katie była w pracy albo z Paulem, Ted stał się niewidzialny, a Liz nadal pisała artykuły w Kalifornii. W niedzielę Annie uznała, że musi złapać oddech i wybrała się na swój ulubiony targ w parku Tompkins Square w East Village, gdzie często z wielkim upodobaniem kupowała świeże owoce i warzywa, domowe dżemy i nietypowe produkty w puszkach. Trudno jej było robić zakupy, ale jakoś sobie poradziła, trzymając w jednej ręce torbę. Rozmawiała właś-

nie o przetworach z menonitką w koronkowym czepku, kiedy przypadkiem podniosła wzrok i ujrzała stojącego po drugiej stronie straganu Teda.

Drgnęła, całkowicie zaskoczona jego widokiem. Ted był z jakąś kobietą i dwójką dzieci. Kobieta niosła duży kosz i napełniała go domowymi konfiturami, a dzieci trzymały Teda za ręce i zachowywały się tak, jakby był ich ojcem. Annie szybko zdała sobie sprawę, że nie jest to przypadkowa znajomość. Nie miała cienia wątpliwości, że Ted jest głęboko zaangażowany w związek z tą kobietą, najwyraźniej sporo od niego starszą. W ostrym słonecznym świetle Pattie wyglądała na więcej niż trzydzieści sześć lat.

Annie popatrzyła prosto w oczy Tedowi, który sprawiał wrażenie bardzo zakłopotanego i przestraszonego. Nie miał wyjścia, przedstawił więc ciotce Pattie i jej dzieci. Annie była wstrząśnięta - kobieta, z którą Ted się spotykał, była tylko kilka lat młodsza od niej, ale to ona była w lepszej formie i wyglądała młodziej.

Uprzejmie przywitała się z Pattie i dziećmi, lecz z Tedem zamieniła zaledwie parę słów. Było dla niej oczywiste, że właśnie odkryła jego tajemnicę, z której wcale nie jest dumny. Bał się reakcji Annie.

Uśmiechnęła się do niego łagodnie, pocałowała go w policzek i spokojnie odeszła, podpierając się kulami.

- Zadzwoń do mnie w tym tygodniu - powiedziała na pożegnanie.

Ted doskonale wiedział, o co jej chodziło. Chciała, żeby wyjaśnił, co się z nim dzieje, nie zamierzała udawać, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

Kiedy odwrócił się do Pattie, ta skrzywiła się boleśnie. Ted był blady jak ściana.

- Boisz się? - zapytała niepewnie. - Przecież ona nie może ci nic zrobić, jesteś dorosły!

Szok i dezaprobata Annie były oczywiste, chociaż naturalnie zachowała się bardzo uprzejmie.

- Dla niej jestem dzieckiem - odparł Ted.

- Nie musisz się przed nią tłumaczyć! Nie jest twoją matką, zresztą nawet gdyby nią była, nie wolno ci zapominać, że jesteś mężczyzną, nie chłopcem! Powinieneś tylko powiedzieć jej, że jesteśmy w sobie zakochani i że chcesz ze mną być!

Pattie znowu stawiała żądania, choć Ted wcale nie dokonał jeszcze wyboru. Wpadł w pułapkę, która przynajmniej z początku przypominała usłane puchem, mięciutkie gniazdo, nie miał jednak pojęcia, jak długo będzie chciał w nim przebywać. Pattie formułowała wygodne dla niej wnioski, lecz Ted nie był jeszcze pewny niczego poza tym, że przebywanie z nią sprawia mu w tej chwili przyjemność. We własnych oczach, nie tylko w oczach Annie, był jeszcze dzieckiem i tak też się czuł. I nie chciał, aby Pattie dyktowała mu, co ma robić. Zresztą ani ona, ani Annie.

Co miał powiedzieć Annie? Tylko tyle, że związał się z Pattie i trwa w tym związku od Święta Dziękczynienia, nic więcej. Nie wiedział, czy to ją przestraszy, czy raczej uspokoi, nie był jednak gotowy powiedzieć jej, że podjął konkretną decyzję. Decyzję podjęła Pattie, natomiast on na razie po prostu dobrze się bawił.

Gdy wracali z koszem pełnym owoców i warzyw, Ted prawie się nie odzywał. W domu postawił kosz w kuchni i usiadł przy stole. Pattie była bardzo zaniepokojona jego milczeniem.

- Co będzie, jeżeli ona nie zaakceptuje naszego związku, Ted? - zapytała bez ogródek.

Obydwoje wiedzieli, że mówi o Annie.

- Co zrobisz, jeżeli powie ci, żebyś ze mną zerwał? -dodała po chwili.

- Nie wiem. Annie na pewno się tak nie zachowa, jest rozsądną osobą i kocha mnie, nie wiem jednak, czy to zrozumie. Związek dwudziestoczwolteroltniego mężczyzny i trzy-dziososześcieoltniej kobiety jest dość trudny do wyjaśnienia.

Ted podchodził do tej kwestii w bardzo realistyczny sposób. Jego współlokatorzy poznali Pattie i dali mu do zrozumienia, że chyba zwariował. Była to dla niego skomplikowana sytuacja, chociaż seks z Pattie niewątpliwie był niesamowity.

- Wcale nie jest trudny do wyjaśnienia! - zaprotestowała gorąco. - Kochamy się, to jedyne wyjaśnienie, jakiego ktokolwiek może potrzebować, nawet twoja ciotka!

- Może ja potrzebuję szerszego wyjaśnienia - odezwał się Ted, bardziej szorstko niż zamierzał.

Nie znosił, kiedy Pattie popychała go w kierunku, który sama wyznaczała, i nic nie mógł na to poradzić.

- Muszę wiedzieć, dlaczego nasz związek miałby szanse - podjął. - Nie skończyłem jeszcze szkoły, a ty masz dwoje dzieci. Jesteśmy na zupełnie różnych etapach i zdaję sobie sprawę, że takie różnice czasami trudno przezwyciężyć.

Starął się być wobec niej uczciwy, ale ona nie chciała słuchać. Miała własną wersję tej historii, zupełnie inną od jego wersji. Jej zdaniem połączyła ich prawdziwa miłość, tymczasem Ted uważał, że podstawą ich romansu był wspaniały seks.

Obrzuciła go pełnym przerażenia spojrzeniem.

- Nieprawda, między nami nie ma żadnych trudnych do przezwyciężenia różnic! - powiedziała.

- Jesteś starsza ode mnie - rzekł ostro. - Może ty radzisz sobie z tym problemem lepiej niż ja, ale mnie czasami to zwyczajnie przerasta!

Szczerść Teda zwykle nie podobała się Patrie, nigdy nie miała ochoty wysłuchać jego opinii.

- Czego się tak boisz? - spytała płaczącym tonem.

- Ze sami zapędziliśmy się w kozi róg, z którego nigdy się nie wydostaniemy, nawet gdybyśmy chcieli!

- A ty chcesz wydostać się z naszego związku? -W oczach Pattie pojawił się złowrogi błysk.

Mówiła szeptem, żeby dzieci nie usłyszały, Jessica i Justin oglądali w sąsiednim pokoju telewizję.

- Chcesz uciec, Ted? - ciągnęła gniewnie. - To chcesz mi powiedzieć? Pozwól, że coś ci wyjaśnię, dobrze? Całe życie czekałam na takiego mężczyznę jak ty i teraz nie dam się oszukać ani okpić! Jeżeli mnie zostawisz, zabiję się, rozumiesz? Wolę umrzeć niż żyć bez ciebie, więc jeśli umrę, ty będziesz temu winien!

Jej słowa sprawiły mu prawie fizyczny ból. Zamknął oczy i odwrócił się, jakby miał nadzieję, że w ten sposób wymaże je z pamięci.

- Pattie, przestań... - zaczął ochryplym głosem.

- Nie przestanę, zapamiętaj to sobie!

Była to raczej groźba niż błaganie, obietnica zniszczenia jego życia, jej życia oraz życia dzieci. Byli ze sobą od sześciu tygodni, lecz Pattie uwięziła go w śmiertelnej pułapce. Groziła mu własną śmiercią, więc jeśli cokolwiek dla niego znaczyła, nie mógł lekceważyć jej słów. Nie mógł dzień w dzień uprawiać z nią seksu, a później ją porzucić, bo może naprawdę popełniłaby samobójstwo. Nie zamierzał ryzykować. Drżąc na całym ciele, poszedł do salonu i usiadł na kanapie obok dzieci. Przekaz Pattie dotarł do celu i jego sens okazał się potężniejszy niż szacunek Teda do ciotki. Pattie wygrała tę rundę. Nie pierwszą i nie ostatnią.

Po powrocie z targu Annie długo myślała o Tedzie. Nie wiedziała, kim była tamta kobieta ani jaką rolę odgrywała w jego życiu. Dostrzegła jego zaangażowanie, ale w oczach nie wyczytała miłości, tylko przerażenie. Czowała, że musi się dowiedzieć, czego Ted się boi i co zamierza z tym zrobić.

Dzieci, które darzyła tak wielkim uczuciem, wchodziły w ryzykowne i trudne sytuacje, a ona była bezsilna, mogła tylko przyglądać się ich poczynaniom z nadzieją że w końcu nauczą się unikać oczywistych błędów, tak jak powiedziała jej Whitney.

Wróciła do salonu i usiadła na kanapie. Na dobrą sprawę nie miała nikogo, z kim mogłaby porozmawiać o kłopotach. Jeszcze nigdy w życiu nie czuła się tak smutna i niepotrzebna.

ROZDZIAŁ 14

Tym razem Annie nie musiała telefonować do Teda. Następnego dnia rano zadzwonił do niej sam i zapytał, czy mogą umówić się na lunch. Poprzedni wieczór i noc spędził u Pattie, skąd nie chciał dzwonić do ciotki. Dzieci nocowały u ojca i Pattie najpierw znowu zagroziła Tedowi samobójstwem, a potem kochała się z nim jak nigdy dotąd. Seks stawał się coraz lepszy, lecz w pieszczotach Pattie było coś tak intensywnego i gorączkowego, że Ted czasami czuł prawdziwy lęk. Pattie przywiązała go do siebie i uzależniła od seksu, ale jej samobójcze groźby wreszcie otworzył mu oczy. Nie chciał mieć na sumieniu jej samobójstwa, a miał powody obawiać się, że Pattie nie żartuje.

Annie czekała w ulubionej restauracji Teda i na jego widok serce ścisnęło jej się ze współczucia. Nie musiał nic mówić. Od razu się zorientowała, że wpadł w kłopoty, z którymi najzwyczajniej w świecie nie potrafi sobie poradzić i zrozumiała, że słusznie się o niego martwiła.

Przez kilka minut rozmawiali o jego studiach i zwichniętej kostce Annie, potem jednak Annie przeszła do rzeczy.

- Jak bardzo zaangażowałeś się w związek z tą kobietą? - zapytała. - I czego ona od ciebie oczekuje? Musi być blisko czterdziestki, a ty jesteś bardzo młody.

Ted spodziewał się, że usłyszy coś takiego,

- Ma trzydzieści sześć lat. W romans z nią wdałem się zaraz po Święcie Dziękczynienia. Prowadzi na naszym roku zajęcia z kontraktów i kiedy dostałem marną ocenę z testu, zaproponowała, żebym wpadł do niej i powtórzył z nią materiał. Tego samego wieczoru poszedłem z nią do łóżka i utkwilem tam na dobre.

Ted jak zwykle był absolutnie uczciwy Ani słowem nie wspomniał o miłości, co dało Annie wiele do myślenia.

- Dostałem jednak najlepszą ocenę z prawa kontraktowego - dorzucił z kpiącym uśmiechem.

Próbował przedstawić swoją sytuację w lekki sposób i nie powiedział Annie, że teraz z trudem radzi sobie z innymi przedmiotami, ponieważ nie jest w stanie pogodzić wymagań Pattie ze studiami.

- To poważny związek? - Annie badawczo popatrzyła mu w oczy. - Jesteś w niej zakochany?

Z jej obserwacji wynikało, że Ted jest przede wszystkim potężnie wystraszony.

- Nie wiem - odparł szczerze.

Opowiedział Annie o groźbie, którą poprzedniego wieczoru posłużyła się Pattie. Nie zamierzał zwierzać się z tego ciotce, ale zachowanie Pattie naprawdę nim wstrząsnęło, poza tym ufał Annie, która nigdy go nie zawiodła i zawsze udzielała mu mądrych rad. Pattie nadal była nową jakością w jego życiu i wydawała się trochę niezrównoważona.

- Straszne, że powiedziała ci coś takiego! - oburzyła się Annie. - Nie może trzymać cię przy sobie zastraszaniem i poczuciem winy! To szantaż, nie miłość!

- Pattie nie chce mnie stracić, wydaje mi się, że bardzo dużo przeszła. -

Ted próbował być wyrozumiały. - Ostatecznie ma za sobą rozwód.

- Dużo osób ma za sobą rozwód, mój drogi, a jednak

nie straszą nowych partnerów samobójstwem, jeśli im się nie układa! To chore!

- Wiem...

Ted wyglądał na mocno zestresowanego, więc Annie nie chciała krytykować go za to, że niepotrzebnie wpakował się w problemy.

- Jak mogłabym ci pomóc? - zapytała spokojnie. - Może powinieneś trochę się od niej odsunąć, żeby sytuacja jeszcze się nie pogorszyła.

Uważaj, żeby nie stała się jeszcze bardziej uzależniona od ciebie... Czy jej dzieci wiedzą, co się między wami dzieje?

Ted potrząsnął głową.

- To mądre i dobre dzieci. Lubię je. Kiedy jestem z Pattie, zwykle spędzają czas z ojcem, który naprawdę stara się zapewnić im odpowiednią opiekę. Chcę być z Pattie, boję się tylko, żeby nasz związek nie był zbyt intensywny.

- Niewykluczone, że ona nie umie nie manipulować partnerem. Ja też bardzo boję się takich ludzi. Postaraj się chociaż trochę zdystansować, powiedz jej, że potrzebujesz więcej czasu dla siebie.

- Pattie przestaje zachowywać się w rozsądny sposób, kiedy jej o tym mówię!

Annie nie wiedziała, co poradzić siostrzeńcowi. Nigdy dotąd nie miała do czynienia z osobą tak niezrównoważoną jak Pattie i czuła ogromny smutek, że Ted aż tak poważnie zaangażował się w ten związek. Miała wrażenie, że Pattie rozmyślnie wmanewrowała Teda w taką sytuację. Chłopak był jeszcze naiwny i łatwowierny, jego kochanka doskonale o tym wiedziała.

Przez cały czas rozmawiali o związku Teda. Chłopak wrócił do swojego mieszkania z uczuciem, że może jednak jakoś wyplącze się z kłopotów. Annie i tym razem go nie zawiodła.

Zadzwoił do Pattie i powiedział jej, że zostaje na noc u siebie, ponieważ ma parę spraw do załatwienia i musi napisać kilka prac. Annie natchnęła go świeżą dawką odwagi i energii.

- Oszukujesz mnie, tak? - Pattie zareagowała oskarżycielskim tonem.

- Oczywiście, że nie! - zaprzeczył Ted. - Muszę po prostu zrobić różne rzeczy, nie mogę wiecznie odkładać wszystkiego na później!

- To sprawa twojej ciotki, jestem pewna! Co takiego zrobiła? Przekupiła cię, żebyś trzymał się ode mnie z daleka?

W głosie Pattie brzmiała histeryczna nuta. Ted zrozumiał, że dobrowolnie stał się jej niewolnikiem, a teraz, w obliczu gróźb i oskarżeń, nie miał siły wyrwać się z pułapki.

- Moja ciotka nigdy by czegoś takiego nie zrobiła - rzekł spokojnie. - To wspaniała kobieta. Nasz związek ją niepokoi, to prawda, lecz Annie szanuje moje prawo do podejmowania decyzji. Nie jest wariatką, w żadnej sytuacji nie uciekłyby się do przekupstwa!

- Sugerujesz, że ja jestem wariatką? - wybuchnęła Pattie. - Wcale nie!

Oszalałam tylko na twoim punkcie i nie życzę sobie, żeby ktoś wtrącał się w nasze wspólne życie!

- I nikt się nie wtrąca... Wyluzuj trochę, dobrze? Przyjadę jutro! Możemy pójść z dziećmi do parku, co ty na to?

- Dzieci spędzą weekend u ojca.

Ted dobrze wiedział, co to oznaczało. Pattie miała nadzieję na dwa dni wypełnione akrobacjami seksualnymi godnymi zawodów olimpijskich.

Nagle dotarło do niego, że jest piekielnie zmęczony, ale jej słowa natychmiast wprawiły go w stan podniecenia. Nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jego własne ciało zdradza go i pragnie Pattie o wiele bardziej, niż jego umysł, i że on sam nie ma już w tej kwe-

stii nic do powiedzenia. Jego penis uzależnił się od Patricie i słuchał tylko jej rozkazów.

- Zadzwoń do ciebie jutro - obiecał.

Wyciągnął się na łóżku i utkwiał wzrok w suficie. Nie miał zielonego pojęcia, co powinien zrobić, a nawet, na czym mu właściwie zależy. Należał teraz do Pattie, był przez nią opętany. Wszystko, co powiedziała mu Annie, było rozsądne i słuszne, ale władzę nad nim miała wyłącznie Pattie. Wyglądało na to, że ani on, ani Annie nie mogą nic zrobić. Grę prowadziła Pattie, nie oni.

Tydzień po pierwszym lunchu Tom Jefferson zadzwonił do Annie do biura. Powiedział, że ma w pobliżu spotkanie i zastanawia się, czy nie zgodziłaby się pójść z nim na lunch, a ona uznała to za świetny pomysł. Umówili się w Cafe Cluny, jednej z ulubionych restauracji Annie.

Tom czekał na nią przed wejściem i razem weszli do środka. Był w znakomitym nastroju. Annie nadal poruszała się o kulach, on dalej miał rękę w gipsie, ale żadne z nich nie było już obolałe. Opowiedział Annie o sprawie, nad którą właśnie pracował. Brał pod uwagę możliwość, że w najbliższym czasie będzie musiał polecieć do Kalifornii i przeprowadzić wywiad z gubernatorem stanu. Annie uwielbiała słuchać o jego pracy i dawnych wojennych przeżyciach. Kiedy opowiadał jej o swoich doświadczeniach na Bliskim Wschodzie, zwierzyła mu się, że Kate chodzi z chłopcem z Iranu i jest w nim zakochana.

Tom dostrzegł czuły wyraz twarzy Annie, gdy wspomniała o Katie i uświadomił sobie, że Liz, Ted i Kate wzbogacają jej życie o wymiar, który jest mu kompletnie nieznany, ponieważ sam nie ma dzieci. Czuł, że Annie ogromnie kocha całą trójkę, ale zdawał sobie sprawę, że każde z tych młodych ludzi ma własne życie i opinie.

- To miły chłopak - powiedziała o Paulu. - Jest dobrze wychowany inteligentny, wrażliwy, pełen szacunku dla istotnych wartości. Taki zięć to marzenie każdej matki, ale mnie trochę niepokoi fakt, że Katie związała się z człowiekiem, którego pochodzenie i kultura tak bardzo odbiegają od jej własnych, nawet jeżeli on uważa się za Amerykanina i mieszka tu od czternastego roku życia. Wcześniej czy później może się okazać, że mają zupełnie inne pomysły na życie. Kate jest bardzo wyzwoloną młodą osobą, Paul wydaje mi się dużo bardziej konserwatywny. Gdyby ich związek okazał się trwały, mogłoby zacząć im to przeszkadzać, a mam wrażenie, że obydwójce całkiem poważnie myślą o wspólnej przyszłości...

- Co na to jego rodzice? - spytał Tom.

- Nie wiem, nie miałam okazji ich poznać. Kate to dziewczyna w stylu New Age, z tatuażami i kolczykami, teraz pracuje zresztą w salonie tatuażu. Jeżeli jego rodzice potrafią to przełknąć, to niewątpliwie są bardziej liberalni niż ja! O mało nie dostałam zawału, kiedy Kate powiedziała mi o swojej pracy. Traktuje to jako coś w rodzaju praktyki w technikach graficznych!

Tom parsknął śmiechem, rozbawiony słowami Annie. Potrafił wyobrazić sobie, jak wygląda Katie.

- Czy Kate i Paul wspominają o małżeństwie?

- Nie, chyba są jeszcze na to za młodzi. - Annie uśmiechnęła się do niego.

- Kate ma dopiero dwadzieścia jeden lat, on jest dwa lata starszy. Myślę, że obydwójce przeżywają pierwszą miłość. Trudno traktować ich całkowicie poważnie, przyznaję, ale ja jednak trochę się martwię. Cóż, pewnie martwiłabym się niezależnie od tego, jakiego chłopaka wybrałaby sobie Katie! Nie chcę, żeby ktoś złamał jej serce albo wpakował ją w sytuację, której później by żałowała.

- Nie zapominaj o Romeo i Julii! Młodzi ludzie posu-

wają się czasem do rozmaitych szaleństw, warto o tym pamiętać, ale skoro to miły chłopak, jak mówisz, pewnie nic im nie grozi. Poza tym, całkiem możliwe, że twoja siostrzenica jest rozsądniejsza niż myślisz! Annie opowiedziała mu też o Tedzie i starszej kobiecie, z którą go spotkała.

- Takie osoby mogą być naprawdę niebezpieczne - przyznał poważnie Tom. - Wygląda na to, że ona ma obsesję na punkcie Teda.

Annie również była tego zdania. Nie mogła przestać myśleć o szczerzej rozmowie, jaką odbyła z Tedem i ta sytuacja budziła w niej głęboki niepokój.

- Nie pozwalają ci się nudzić, prawda?

- Bardziej teraz, niż kiedy byli mali... Wtedy poświęcałam im więcej czasu, bo mieli mecze piłki nożnej albo lekcje baletu, ale teraz dużo bardziej się o nich martwię. Decyzje, które muszą podejmować, są znacznie poważniejsze, a ryzyko większe. Na dodatek nie zawsze dostrzegają różne zagrożenia. Moja starsza siostrzenica to osobna historia - dziewczyna unika poważnych związków i jest pracoholiczką. W miarę jak dzieci dorastają, czuję się coraz bardziej bezradna.

- Rozumiem, ale to jednak ich problemy i decyzje, nie twoje - przypomniał jej łagodnie.

- Łatwo powiedzieć - westchnęła.

- Może staliby się bardziej niezależni, gdybyś ty spróbowała w większym stopniu żyć własnym życiem - zasugerował ostrożnie. - Nie możesz ich zawsze chronić, i to kosztem swoich spraw. Stałaś przy nich całe szesnaście lat, to naprawdę dużo!

Annie przyznawała mu rację, nie wyobrażała sobie jednak, w jaki sposób mogłaby teraz zdystansować się od dzieci. Następne pytanie Toma całkowicie zbiło ją z tropu.

- Myślisz, że w twoim życiu jest miejsce dla mężczyzny? Wydaje mi się, że bardzo długo czekałaś na szansę ułożenia sobie przyszłości. Może sądzisz, że nie zasługujesz na własne szczęście, ale to nieprawda. Spełniłaś obietnicę, którą dałaś swojej siostrze, i nie możesz ciągle rezygnować ze wszystkiego ze względu na dzieci.

Annie skinęła głową. Tom mówił prawdę, nie wiedziała tylko, jak to zrobić i kiedy.

- Myślę, że tak - odparła. - Problem w tym, że od dawna nie starałam się zappełnić życia nikim i niczym poza dziećmi.

Dzieci zaspokajały wszystkie jej emocjonalne potrzeby i pochłaniały czas, energię oraz uwagę. Tom, który był pod ogromnym wrażeniem odwagi oraz osiągnięć Annie, coraz wyraźniej dostrzegał, że aby ją zdobyć, będzie musiał pokonać cały tor przeszkód, uważał jednak, że jest tego warta.

- Może pójdziesz ze mną na kolację w przyszłym tygodniu? - spytał.

- Z chęcią... Może wpadłbyś do mnie w przyszłą niedzielę wieczorem i poznał dzieci?

Bardzo chciała, żeby poznał jej rodzinę i zorientował się, jakie jest jej życie. Pomysł spodobał się Tomowi, który doszedł do wniosku, że dobrze będzie połączyć spotkanie z dziećmi Annie i ich wspólne wieczorne wyjście.

- Zadzwoń do ciebie w niedzielę i wtedy mi powiesz, jakie masz plany - rzekł.

Z uśmiechem kiwnęła głową. Aż do wyjścia z restauracji rozmawiali na mniej poważne tematy. Tom obiecał, że gdyby musiał wyjechać do Kalifornii, wcześniej do niej zatelefonuje. Nadal dużo podróżował, chociaż za granicą bywał trochę rzadziej niż w przeszłości.

Lunch z Tomem sprawił Annie dużą przyjemność i wracając do biura, z radością myślała o następnym spotkaniu

w niedzielę. Wieczorem uprzedziła Katie, aby w niedzielę została na kolacji w domu i powiedziała jej, że może zaprosić Paula. Nagrała też wiadomość dla Teda, nie wspominając oczywiście o Tomie i nie dołączając zaproszenia dla Partie. Miała nadzieję, że Liz do niedzieli wróci z Los Angeles i z radosnym podnieceniem myślała o wizycie Toma.

Przed snem dość długo zastanawiała się nad jego pytaniem. Lubiła go i chętnie z nim rozmawiała - nigdy nie brakowało im interesujących dla nich obojga tematów. Nie była jednak do końca pewna, czy w jej życiu rzeczywiście jest miejsce dla mężczyzny. Po tylu latach samotności nie wiedziała nawet, czy ma jeszcze ochotę stworzyć poważny związek. Życie singielki było w gruncie rzeczy łatwiejsze. Trudno było podjąć decyzję o tak istotnej zmianie, gdy się miało czterdzieści dwa lata. Czy była gotowa podjąć ryzyko? Cóż, na razie nie potrafiła zorientować się, czego chce, chociaż Tom był bardzo atrakcyjny. A czy wolałaby raz na zawsze zrezygnować z myśli o życiu w związku? Tego też nie była pewna.

Liz była zadowolona z wyprawy do Kalifornii. Poznała ciekawych ludzi, widziała wspaniałe, imponujące klejnoty i zgromadziła mnóstwo informacji o gwiazdach, do których te ozdoby kiedyś należały. Pod koniec drugiego dnia zdjęć i przeprowadzania wywiadów w prywatnych rezydencjach zdążyła się spakować i w ostatniej chwili wsiadła do samolotu. Nie miała nawet czasu zadzwonić do Jean-Louisa i powiedzieć mu, kiedy wraca. Była kompletnie wyczerpana, ponieważ nie zdążyła jeszcze przestawić się z europejskiego czasu i miała szczerą nadzieję, że po powrocie do Nowego Jorku trochę odsapnie. Całe szczęście, że wracała dwa dni wcześniej niż początkowo planowała... Padła na fotel w samolocie i zasnęła, zanim wystartowali.

Obudziła się dopiero tuż przed lądowaniem na lotnisku JFK w Nowym Jorku. Miała ze sobą tylko bagaż podręczny, więc bardzo szybko opuściła halę przylotów i złapała taksówkę. W pierwszej chwili podała kierowcy swój adres, lecz po krótkim zastanowieniu zdecydowała się jechać do Jean-Louisa. Nie chciała do niego telefonować, ponieważ była dopiero szósta rano, wiedziała jednak, gdzie jest klucz i mogła niepostrzeżenie wśliznąć się do łóżka. W ubiegłym roku wiele razy robiła tak, gdy wcześniej wracała z wyjazdów.

O szóstej trzydzieści była już pod domem Jean-Louisa. Wyjęła klucz z gaśnicy w holu, otworzyła drzwi i na palcach weszła do ciemnego mieszkania. Jean-Louis zainstalował żaluzje, takie jak we Francji, ponieważ słusznie uważał, że lepiej śpi się w pokoju z zasłoniętymi oknami. Kiedy Lizzie sypiała u niego, *czasami* budziła się dopiero koło czternastej, zwłaszcza jeśli była bardzo zmęczona. W ciemności zwykle spała spokojnie, głęboko i długo.

Świetnie знаła układ mieszkania, zresztą wydobywające się spod drzwi łazienki pasemko światła pomogło jej znaleźć łóżko. Rzuciła ubranie na podłogę, wsunęła się pod kołdrę, delikatnie objęła Jean-Louisa i wtedy ciszę rozdarł przeraźliwy krzyk. Liz nie miała pojęcia, kogo dotknęła, ale z całą pewnością nie był to Jean-Louis. Gwałtownie usiadła na łóżku i zobaczyła go po drugiej stronie łóżka, w chwili, gdy zapalił lampę.

Popatrzyli na siebie, a potem Lizzie przeniosła wzrok na przestrzeń między nimi. Ujrzała Françoise, była żoną Jean-Louisa i matką Damiena. Wszyscy troje byli nadzy jak ich Pan Bóg stworzył i bardzo zaskoczeni. Liz wyskoczyła z łóżka, świadoma, że w ciemności próbowała objąć Françoise.

- Co tu się dzieje, do diabła?! - wykrztusiła.

Była tak oszołomiona, że nawet nie sięgnęła po ubranie.

- Myślałam, że jesteście tylko przyjaciółmi! - dodała.
- Mamy dziecko - wyjaśnił Jean-Louis z prawdziwie galijską pewnością siebie.

Françoise leżała między nimi i gapiła się w sufit. Sprawiała wrażenie bardzo zadomowionej w łóżku kochanka i w ogóle nie reagowała na gorącą dyskusję, jaką nad jej głową prowadzili Liz i Jean-Louis. Zachowywała się tak, jakby wszystko to nie miało z nią nic wspólnego.

- Co to ma do rzeczy?! - krzyknęła Lizzie. - Co ona tutaj robi?!

Françoise oparła się na łokciu i zmierzyła ich oboje obojętnym spojrzeniem. Nie wyglądała nawet na lekko skrepowaną.

- Pracowała w tym tygodniu w Nowym Jorku i wpadła, żeby się przywitać... - mętnie tłumaczył się Jean-Louis.

Zdawał sobie sprawę, że nic, co mógłby powiedzieć, nie wybieli jego roli w tej sprawie.

- Mam wrażenie, że było to coś więcej niż tylko przywitanie! - Liz gniewnie zmrużyła oczy i sięgnęła po swoje rzeczy. - A zapewniałeś mnie, że jesteś mi wierny, dupku!

Zanim zdążyła się do końca ubrać, Françoise podniosła się z łóżka i nago przedfilowała obok niej do łazienki.

- Jestem ci wierny! - upierał się Jean-Louis. - Kocham cię, Liz...

Françoise i ja jesteśmy tylko bliskimi przyjaciółmi...

- Gówno prawda, powiedz to komu innemu! Zdradziłeś mnie, i tyle!

Teraz nie miała cienia wątpliwości, że bielizna, którą znalazła w szafce w paryskim mieszkaniu kochanka wcale nie leżała tam przez cztery lata.

Przez głowę przemknęła jej myśl, że chciałyby wiedzieć, od jak dawna Jean-Louis sypia z Françoise i czy w ogóle przestał z nią sypiać. Fran-

çoise zachowywała się całkowicie swobodnie w jego łóżku i mieszkaniu.

- Nie bądź taką purytanką! - powiedział, podchodząc do niej ostrożnie. -
Takie rzeczy się *zdarzają*, *ale* nie ma to najmniejszego znaczenia.
Spróbował ją objąć, lecz nie pozwoliła mu na to.

- W moich oczach ma to ogromne znaczenie!

Czuła się jak ostatnia idiotka. Okazała się głupia i naiwna. Mężczyźni tacy jak Jean-Louis nigdy nie byli wierni. Uświadomiła sobie, że pewnie oszukiwał ją przez cały ostatni rok, a jego pojęcie wierności nie było nic warte.

- Powinnam była domyślić się wcześniej - wycedziła przez zaciśnięte zęby.

Françoise wróciła do pokoju i zapaliła papierosa. Była kompletnie bierna i wydawało się, że gwałtowna scena dzieje się poza granicami jej percepcji. Lizzie przypomniała sobie, że Françoise także ma chłopaka. Najwyraźniej całe to towarzystwo wzajemnej adoracji pieprzyło wszystko, co się rusza.

Liz uwierzyła, że Jean-Louis jest inny i tym samym wykazała się piramidalną głupotą. Tak czarujący mężczyźni nigdy nie dochowywali nikomu wierności, nie mieli tego w genach. Wiedziała o tym, ale zawsze usiłowała sobie wmawiać, że tym razem będzie inaczej. Jean-Louis niczym nie różnił się od mężczyzn, z którymi umawiała się wcześniej, wszyscy byli do siebie podobni niczym klony. A ona? Ona zawsze wybierała takich, którzy nie potrafili żyć w normalnym, monogamicznym związku. Idealnie pasowało to do jej lęku przed głębokimi uczuciami i stanowiło znakomitą wymówkę, żeby w razie czego łatwo i szybko zakończyć każdy romans. Zbyt często bywała stroną w podobnych scenach.

- Nie masz żadnej moralności? - Obrzuciła Jean-Louisa pełnym obrzydzenia spojrzeniem. - Bo ja mam, poza tym jestem zbyt inteligentna, żeby dalej ci wierzyć!

Dobrze wiedziała, że go nie kocha, ale szczerze go lubiła i miała do niego zaufanie, co okazało się ogromnym błędem. Świat mody był pełny takich mężczyzn jak Jean-Louis, mężczyzn, którzy do końca życia zachowywali się jak nastoletni chłopcy i nie przestrzegali żadnych zasad. Zależało im tylko na dobrej zabawie, lecz w trakcie zabawy ktoś zawsze był skrzywdzony. Miała tego serdecznie dosyć. Ubrała się i z pogardą popatrzyła na byłego kochanka.

- Jesteś idiotą i daleko ci do prawdziwego mężczyzny - powiedziała chłodno. - Jeszcze gorsze jest to, że żaden z ciebie ojciec. Wymyślasz żalostne wymówki, dlaczego nie możesz być z synem i ciągle podrzucasz go komuś innemu! Zasługiwałam na kogoś lepszego, podobnie jak twój Damien! Może ocknęlibyście się wreszcie, ty i Françoise, zamiast bezustannie fundować sobie przyjemności?

Jean-Louis bez słowa patrzył, jak Liz odwraca się na pięcie i idzie do drzwi.

Zbiegając po schodach, ze zdumieniem zdała sobie sprawę, że nie czuje ani odrobiny smutku. Wreszcie odetchnęła z ulgą. Skończyła z facetami pokroju Jean-Louisa. Ona dorosła, a on na zawsze pozostanie lekkomyślnym chłopczykiem.

Wsiadła do taksówki i uroczyście przyrzekła sobie, że nigdy więcej nie zwiąże się z kimś takim. Wolą być sama niż marnować czas. Opuściła okno i poczuła strumień przyjemnie chłodnego powietrza, owiewający jej płonące policzki. Wreszcie czuła się wolna. Nie była ani zła, ani smutna. Była gotowa rozpocząć nowy etap życia.

ROZDZIAŁ 15

Trochę później Liz zadzwoniła do Annie i powiedziała jej, co się stało. Annie poczuła smutek, ale już kilka razy słyszała podobne historie z ust starszej siostrzenicy. W związkach Liz coś zawsze układało się nie tak i dzięki temu mogła się z nich wycofywać. Annie zdawała sobie sprawę, że do tej pory Liz wybierała tego rodzaju mężczyzn, aby nie wiązać się na trwałe, lecz tym razem w jej głosie brzmiała inna nuta. Powiedziała ciotce, że woli być sama niż żyć z kimś takim jak Jean-Louis, niedojrzałym, zapatrzonym w siebie i nieuczciwym, i wyglądało na to, że mówi poważnie. Annie miała nadzieję, że Liz nie zapomni o tych deklaracjach. Zastanawiała się, czy następnym razem dziewczyna zaryzykuje i zwiąże się z normalnym, dorosłym mężczyzną. Z jej braku emocji wynikało jasno, że nie kochała Jean-Louisa. Liz była u siebie, owinięta różowym szlafrokiem. Zaraz po przyjeździe do domu wzięła prysznic. Jean-Louis nie zatelefonował, co wcale jej nie zdziwiło, a przy okazji odkryła, że ani trochę jej to nie obchodzi. Po prawie godzinnej rozmowie z Liz Annie wstała i poszła zrobić sobie herbatę. Katie jeszcze spała. Annie za-

prosiła Liz na kolację i dziewczyna bardzo się ucieszyła. Bardzo lubiła niedzielne kolacje u ciotki i uważała, że zbyt rzadko wszyscy się u niej spotykają.

Tom zadzwonił do Annie późnym popołudniem, kiedy wrócił z meczu piłki nożnej, podekscytowany zwycięstwem Jetsów.

- Nadal jesteśmy umówieni na kolację? - spytał swobodnie. - Nie chciałbym ci przeszkadzać

- Nie będziesz mi w niczym przeszkadzał. Chciałabym, żebyś poznał moje dzieci.

- Brzmi to bardzo kusząco. Moim zdaniem, jesteście fascynującą rodziną!

- Zaczekaj, aż zobaczysz całą naszą bandę! Tak naprawdę jesteśmy zupełnie przeciętni!

- Jakoś trudno mi w to uwierzyć! Ty na pewno jesteś wyjątkową osobą, Annie.

- Jeżeli to komplement, to bardzo dziękuję.

Jej zdaniem Tom także był wyjątkowy. Interesujący i inteligentny, sprawiał wrażenie otwartego na świat i ludzi. Miał fascynującą pracę. Nie był zarozumiały i zadawał celne pytania. Na razie byli tylko przyjaciółmi, Tom był jednak pierwszym mężczyzną który w ostatnich szesnastu latach wydał jej się wart zachodu, a poza tym podobał jej się fizycznie.

Tom myślał o niej w podobnych kategoriach. Była prawdziwą perłą wśród wielu bardzo nudnych kobiet, które poznał po rozwodzie. W przeciwieństwie do większości mężczyzn w jego wieku, Tom zupełnie nie interesował się dwudziestoletnimi dziewczynami. Zapraszając go na kolację, Annie mimo woli pomyślała, czy przypadkiem nie zainteresuje się Lizzie. Jej starsza siostrzenica była przecież piękną dziewczyną. Annie miała filozoficzny stosunek do życia i była gotowa pozwolić przeznaczeniu decydować,

jak dalej ułożyć się jej życie. Tom nie należał do niej, nie miała zresztą skłonności do zawłaszczania ludzi. Był człowiekiem, którego przypadkiem spotkała w szpitalu, nikim więcej.

Dopiero tuż przed kolacją przypomniała sobie, że nie uprzedziła dzieci o wizycie Toma. Była osiemnasta, a Tom miał przyjść za godzinę. Annie przygotowała spaghetti z pulpecikami i wielką misę zielonej sałaty. Na deser chciała podać ciasteczka i lody, jak zwykle w niedzielę, kiedy dzieci naprawdę były jeszcze dziećmi.

Liz siedziała na kanapie obok Katie i próbowała przekonać ją, by rzuciła pracę w salonie tatuażu i wróciła na studia, a Paul przeglądał jakiś magazyn. Lizzie sięgała w rozmowie po te same argumenty, które Paul sam wcześniej przytaczał, oczywiście bezskutecznie. Kiedy Annie swobodnym tonem oznajmiła, że na kolacji będzie jej znajomy, wszyscy, łącznie z Paulem, zwrócili ku niej głowy.

- Jaki znajomy? - spytała Liz ze zdumieniem.

- Ktoś, kogo niedawno poznałam. - Usiadła w fotelu i uśmiechnęła się spokojnie.

Ted jeszcze nie przyszedł, ale obiecał, że na pewno będzie.

- Na randce w ciemno, czy coś w tym rodzaju? - dopytywała się Liz.

- Nie. Złamał rękę tego samego dnia, kiedy ja zwichnęłam nogę.

Spędziliśmy cztery godziny w poczekalni pogotowia, potem dwa razy byliśmy razem na lunchu.

Annie wyglądała tak, jakby mówiła im, że postanowiła zrobić hamburgery zamiast pulpecików, jakby cała ta sytuacja nie miała najmniejszego znaczenia. Powtarzała to sobie od chwili, gdy poznała Toma.

- Zaraz, zaraz, chwileczkę... - Liz popatrzyła na ciotkę z wyrazem całkowitego oszołomienia na twarzy. - Dwa

razy byłaś z tym facetem na lunchu, spędziłaś z nim cztery godziny w szpitalu i nic nam nie powiedziałaś?

- Dlaczego miałabym wam o tym mówić, na miłość boską? Nie umawiam się z nim przecież na randki! Zaprosił mnie na kolację, ale ja

zapropnowałam, żeby wpadł tutaj, ponieważ chciałam, żeby was poznał!

- Ostatni raz byłaś na randce w epoce kamiennej i zachowujesz się, jakby to nic nie znaczyło?! - wykrzyknęła Liz.

- Bo to nic nie znaczy! Jesteśmy przyjaciółmi, i tyle!

- Kim on jest? - *zapytała* Kate, nie mniej zaskoczona niż Liz.

- Pracuje w telewizji. Jest rozwiedziony, nie ma dzieci i wygląda na bardzo sympatycznego człowieka. Nic w tym wielkiego...

- Wręcz przeciwnie! - zaprotestowały chórem Katie i Liz. Z ożywieniem omawiały sytuację, przy milczącym, lecz

pełnym zainteresowania współudziale Paula, kiedy do salonu wszedł Ted. Powiedział Patrie, że musi jechać na kolację do domu i wyszedł, chociaż ona prawie wpadła w histerię. Nie zamierzał pozwolić, aby odseparowała go od ciotki i sióstr. Dobrze wiedział, że później słono za to zapłaci, ale kolacja z najbliższymi była tego warta, starał się zresztą postępować zgodnie z radami Annie i wywalczyć sobie trochę więcej przestrzeni. Patrie wcale się to nie podobało.

- Co takiego się stało, czemu jesteście takie poruszone? - odezwał się, wieszając kurtkę na oparciu krzesła w holu.

- Annie zaprosiła na dzisiejszą kolację mężczyznę - wyjaśniła Liz. - Poznali się, kiedy zwichnęła kostkę, a potem dwa razy byli na lunchu! Ted i Paul wymienili porozumiewawcze spojrzenia.

- Bardzo ciekawe - mruknął Ted i popatrzył na Annie. - To coś poważnego?

Zdecydowanie potrząsnęła głową.

- Prawie go nie znam, widziałam go dopiero trzy razy! Założę się, że będzie chciał umówić się z Liz, chociaż jest dla niej za stary.

Starła się nie patrzeć na Teda, nie chciała, żeby posądził ją o aluzje.

Powiedziała Liz i Kate o Pattie. Obie siostry bardzo się zaniepokoiły, Liz napomknęła nawet, że jej zdaniem Pattie jest nienormalna. Kate żartem zauważyła, że najlepsza ocena na zaliczenie z prowadzonego przez Pattie przedmiotu była warta takiego poświęcenia, lecz Annie natychmiast zaprotestowała.

- W jakim jest wieku? - zagadnął Ted.

- Jest kilka lat starszy ode mnie. - Annie słyszała, jak Tom podawał swoją datę urodzenia pielęgniarce w szpitalu. - Ma czterdzieści pięć lat.

- Powiem ci, jeżeli uznam, że można go zaakceptować! - zaśmiał się Ted.

Mimo pytań i żartów wszyscy byli w przyjemny sposób zaskoczeni. Nie mogli sobie nawet przypomnieć, kiedy Annie ostatni raz zaprosiła jakiegoś mężczyznę na kolację. Może nigdy... Tak czy inaczej, z jej słów wyraźnie wynikało, że traktuje Toma Jeffersona raczej jak dobrego znajomego niż materiał na ukochanego. Zanim zdążyli dokładniej omówić sytuację, rozległ się dzwonek i Annie poszła otworzyć drzwi.

Tom miał na sobie dżinsy, sweter i kowbojki, i zachowywał się

najzupełniej swobodnie. Kątem oka dostrzegła, że dziewczęta

przyglądają mu się uważnie. Ted natychmiast zaczął rozmawiać z

Tomem o meczu piłki nożnej. Jetsi już w pierwszej ćwiartce zdobyli trzy

gole z rzędu, co zakrawało na najprawdziwszy cud. Paul włączył się do

rozmowy, chociaż nie był takim entuzjastą futbolu jak Ted, a Lizzie i

Kate poszły z Annie do kuchni i powiedziały

jej, że Tom jest bardzo przystojny, i że chyba znają go z widzenia.

- Tom prowadzi wieczorne wiadomości i przygotowuje reportaże - wyjaśniła Annie, zaglądając do spaghetti i mieszając sałatę z sosem.

Nakryła stół w kuchni, ponieważ był wystarczająco duży dla sześciu osób, a okazja nie wymagała specjalnej elegancji.

- Co takiego?! - Liz szeroko otworzyła oczy ze zdziwienia. - Więc to ten Tom Jefferson?! Wygrałaś los na loterii. Świetny facet!

- Dopiero go poznałam i na razie niemal nic o nim nie wiem, podobnie jak wy. Siadajmy do stołu, dobrze?

Pod koniec kolacji wszyscy zachowywali się jak starzy przyjaciele. Tom długo rozmawiał z Paulem o Iranie; okazało się, że wie o tym kraju więcej niż Paul, który wyjechał stamtąd jako nastolatek. Później Tom i Ted wdali się w dyskusję na temat futbolu i studiów prawniczych, natomiast Liz z wielkim ożywieniem omówiła z Tomem najnowsze trendy w modzie. Tom wypytywał też Kate o tatuaże i próbował dowiedzieć się, dlaczego uważa je za ważną formę grafiki. Jediną osobą, z którą prawie nie rozmawiał, była Annie, lecz po kolacji, kiedy wyprawiła dzieci do salonu, został z nią w kuchni i pomógł posprzątać ze stołu.

- Masz wspaniałe dzieciaki - rzekł, patrząc na nią ciepło. - Odwaliłaś kawał dobrej roboty, bez dwóch zdań!

- Nie, oni zawsze tacy byli... Ja starałam się tylko nauczyć ich, żeby zawsze byli wierni sobie.

- I udało ci się. Kate naprawdę potrafi przedstawić tatuaż w zupełnie nowym dla mnie świetle, wiesz?

Annie przewróciła oczami, a Tom roześmiał się głośno. Gdy skończyła wstawiać naczynia do zmywarki, odwróciła się do niego z serdecznym uśmiechem.

- Dziękuję, że zjadłeś z nami kolację - powiedziała. - Jestem z nich bardzo dumna.

- Masz po temu mnóstwo powodów - oświadczył z uznaniem.

Podziękowała mu za pomoc i razem poszli do salonu. Młodzi ludzie zgłosili gotowość gry w szarady, czego nie robili od lat. Tom wziął udział w grze i okazał się bardzo dobry. Było już po jedenastej, kiedy zaczął się żegnać. Annie wyszła z nim do holu, gdzie jeszcze raz podziękował jej za uroczy wieczór i przypomniał o obiecanej kolacji tylko we dwoje.

- Zgodziłaś się, pamiętasz? Zaśmiała się cicho.

- Bardzo chętnie pójdę z tobą na kolację.

Tom idealnie pasował do jej rodziny. Nie wiedziała jeszcze, czy ma traktować go jak przyjaciela, czy kogoś więcej, ale wszyscy świetnie czuli się w jego towarzystwie i on chyba także dobrze się bawił.

- Zadzwoń jutro i ustalimy dzień. - Lekko pocałował ją w policzek na pożegnanie.

Kiedy Annie wróciła do salonu, podpierając się kulami, młodzi ludzie przywitali ją uśmiechem i żartobliwymi uwagami.

- Jako oficjalna głowa rodziny wyrażam całkowitą aprobatę! - oświadczył Ted. - To wspaniały facet, wie o futbolu wszystko, co można wiedzieć!

- I o Bliskim Wschodzie - dodał Paul.

- Wie też całkiem sporo o modzie - uzupełniła z uśmiechem Liz.

- I doskonale rozumie społeczne przesłanie sztuki tatuażu! - zakończyła Kate.

- Widzę, że zahipnotyzował was wszystkich! - Annie się uśmiechnęła. - Ale mnie także bardzo się podoba.

- Możesz natychmiast za niego wyjść - rzekł Ted. - Masz moją zgodę!
- Spokojnie! - Annie uniosła rękę. - To tylko przyjaciel.
- Bzdury! - przerwała jej Kate. - Patrzy na ciebie takim wzrokiem, jakby miał wielką ochotę cię pocałować!
- Nieprawda, po prostu od razu was polubił.
- I z wzajemnością! - Liz pokiwała głową.

Wieczór był tak miły, że zupełnie zapomniała o paskudnej scenie z udziałem Jean-Louisa i Françoise. Wszyscy z przyjemnością rozmawiali i grali, zadowoleni, że są razem.

Ted wyjął starą planszę do gry w monopol i czwórka młodych ludzi do drugiej w nocy w świetnych humorach walczyła o zwycięstwo. Annie położyła się dużo wcześniej, lecz jeszcze jakiś czas nie mogła zasnąć. Kolacja okazała się wielkim sukcesem. Paul był bardzo miłym gościem, Annie naprawdę go lubiła. A Tom? Tom zachowywał się tak, jakby należał do rodziny. Annie czuła, że na pewno zostaną przyjaciółmi, niezależnie od wszystkiego.

Paul i Ted wyszli po drugiej. Liz postanowiła zostać na noc w domu i obie siostry gadały w pokoju Kate do trzeciej. Liz opowiedziała Kate, co zrobił Jean-Louis. Nie była zdenerwowana, chociaż przyznała, że bardzo ją rozczarował. Złożyła uroczystą obietnicę, że już nigdy więcej nie popełni takiego błędu i Kate miała nadzieję, że Liz dotrzyma słowa.

Ted i Paul zatrzymali taksówkę i Paul podwiózł Teda do jego mieszkania. Ted uznał, że jest już za późno, aby dzwonić do Pattie, ale i tak nie chciał do niej jechać. Wieczór spędzony z rodziną oraz Paulem i Tomem sprawił mu ogromną przyjemność, miał też ochotę przespać się we własnym łóżku. Kiedy Pattie zadzwoniła następnego dnia rano, Ted mocno spał i dobudził się dopiero po paru minutach.

- Gdzie byłeś wczoraj wieczorem? - zapytała rozgorączkowanym głosem.
- Martwiłam się o ciebie!
- Byłem z moją ciotką, siostrami i chłopakiem mojej młodszej siostry - odparł zaspany. - Graliśmy w szarady i monopol, i nawet nie zauważyłem, kiedy zrobiło się bardzo późno.
- Mogłeś zatelefonować!
- Nie chciałem cię budzić.

Poza tym świetnie się bawił i nie miał najmniejszej chęci z nią rozmawiać.

- Muszę z tobą natychmiast porozmawiać - powiedziała cicho.
- Coś się stało?

Nie chciała powiedzieć mu nic więcej przez telefon, obiecał więc, że wpadnie za jakąś godzinę. Wyglądało na to, że wszystko jest w porządku, dzieciom nie działo się nic złego. Ted zjadł śniadanie z jednym ze swoich współlokatorów i ostatecznie zjawił się u Pattie dwie godziny później. Od razu zwrócił uwagę, że jest blada i zdenerwowana. Wyglądała na chorą.

- O co chodzi? - rzucił.

Spodziewał się, że zrobi mu piekło z powodu ubiegłego wieczoru. Miała obsesję na punkcie jego rodziny i nie chciała, żeby spędzał czas w domu. Kiedy usłyszał, co miała mu do powiedzenia, poczuł się tak, jakby ktoś wymierzył mu mocny cios w splot słoneczny.

- Jestem w ciąży...

Długą chwilę wpatrywał się w nią bez słowa, całkowicie oszołomiony.

- O, mój Boże - wykrztusił wreszcie z trudem.

Chciał zapytać ją, jak to się stało, ale przecież wiedział. *Za* każdym razem starał się zakładać prezerwatywę, ale czasami Pattie nie pozwalała na to. Mówiła, że kondomy

podrażniają jej słuzówkę i że bez nich ma intensywniejsze odczucia.
Boże, jaki był głupi!

- Cholera jasna, co my teraz zrobimy?! - wybuchnął. Zdawał sobie sprawę, co muszą zrobić, lecz nigdy dotąd nie był w takiej sytuacji. Zawsze bardzo uważał, a jego była dziewczyna zachowywała się wyjątkowo odpowiedzialnie i regularnie zażywała pigułki antykoncepcyjne. Pattie na samym początku ich znajomości powiedziała mu, że ona nie stosuje pigułek, a on wbrew zdrowemu rozsądkowi miał jednak nadzieję, że kobieta w tym wieku nie zajdzie w ciążę równie łatwo jak dwudziestolatka. Najwyraźniej bardzo się pomylił.

- O co ci chodzi? - zdziwiła się. - Będziemy mieli dziecko, to chyba jasne! Nie zamierzam usuwać ciąży, w moim wieku to za duże ryzyko! Całkiem możliwe, że to nasza jedyna szansa. Przecież to nasze maleństwo, nasza krew, owoc naszej miłości!

Pattie mówiła takim tonem, jakby to było najzupełniej oczywiste i wyraźnie oczekiwała, że Ted się z nią zgodzi. W jej głosie brzmiała agresja.

- Nic z tych rzeczy! - zaprotestował ze złością. - To owoc naszej głupoty i nierozwagi! Byłem nieodpowiedzialny i ty także! Kierowaliśmy się żądzą nie miłością!

- Chcesz powiedzieć, że mnie nie kochasz? - Przywarła do niego ze łzami w oczach. - Jak możesz tak mnie traktować? Noszę twoje dziecko...

- Może nie jest jeszcze za późno na pigułkę poronną, co? - powiedział z nadzieją. - Słyszałem, że to naprawdę działa!

O pigułce opowiadał mu jego współlokator. Chłopak zarzekał się, że on i jego dziewczyna stosowali ją kilkakrotnie. Trzeba było połknąć ją w ciągu siedemdziesięciu dwóch godzin po seksie bez zabezpieczenia.

- Miesiączka spóźnia mi się już całe trzy tygodnie - wyznała Pattie.

Znaczyło to, że była w czwartym tygodniu ciąży

- Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym wcześniej? - Zaczynał myśleć, że Pattie zrobiła to rozmyślnie.

- Myślałam, że będziesz szczęśliwy, - Zalała się łzami. - Przecież i tak kiedyś chcielibyśmy mieć dziecko. Co za różnica, czy będziemy mieli je teraz, czy trochę później.

- Żartujesz sobie?! Jeszcze nie skończyłem studiów, nie mam ani pieniędzy, ani pracy! Utrzymuję się z resztek kwoty z polisy ubezpieczeniowej po rodzicach, a przy większych wydatkach pomaga mi ciocia! Minie jeszcze kilka lat, zanim zacznę przyzwoicie zarabiać, a tobie pensja ledwo starczy na dwoje dzieci! Jak będzie wyglądało nasze życie z dzieckiem? Co pomyślą Jessica i Justin? Nie mogę jednocześnie kończyć studiów i pracować na utrzymanie twoje i dziecka! Nie jesteśmy małżeństwem, to był wypadek, błąd, wszystko jedno, jak to nazwiemy! To nie dziecko, tylko prawdziwa katastrofa! Musisz usunąć ciążę albo oddać dziecko do adopcji! - Przysunął twarz do twarzy Pattie. - Nie mamy innego wyjścia!

- To nie jest żadne rozwiązanie! - wrzasnęła. - Możemy się pobrać, możesz pójść do pracy! Nie zrezygnuję z naszego dziecka, a jeśli będziesz próbował mnie do tego zmusić, zabiję się, ostrzegam!

- Przestań mi grozić! - ryknął Ted, dając upust wściekłości i frustracji. Pattie postanowiła zrujnować mu życie. Jeden głupi błąd miał zniszczyć wszystko, o co walczył i co z takim trudem budował. To było niesprawiedliwe...

- Urodzę to dziecko - powiedziała cicho, nagle zupełnie spokojna i opanowana. - Rób sobie, co chcesz, ale ja i tak je urodzę.

Kiwnął głową. Przyjął do wiadomości, że Pattie nie zmieni zdania.

- Muszę pomyśleć - rzekł równie spokojnie i wyszedł.

Zatrzasnął za sobą drzwi i zbiegł po schodach, oddychając głęboko zimnym powietrzem.

Na górze, w mieszkaniu, Pattie usiadła na kanapie i uśmiechnęła się do siebie.

ROZDZIAŁ 16

Przez następnych parę dni Ted nie odzywał się do nikogo, nie dzwonił do Pattie i ani razu się u niej nie pokazał. Nie odbierał jej telefonów i nie reagował na SMS-y.

Nie zatelefonował też, żeby podziękować Annie za kolację, co było zupełnie nie w jego stylu i bardzo ją niepokoiło. Annie wiedziała, że Ted jest w trudnej sytuacji, ponieważ wdał się w romans z nieźrównoważoną kobietą, nie miała jednak pojęcia o ciąży Pattie. Nie chciała go stresować, więc czekała na jego ruch. W końcu, po trzech dniach, Ted zadzwonił do Liz, która przestraszyła się, słysząc jego głos i od razu odgadła, że coś jest nie w porządku.

- Możemy umówić się na lunch? - zapytał.

Przez cały ten czas nie wychodził z mieszkania, dużo pił i teraz był potwornie zachrypnięty.

- Jasne! - odparła bez wahania.

Przyjechał do niej w południe i poszli do baru sałatkowego w pobliżu jej redakcji. Liz nerwowo skubała zieloną sałatę bez sosu, natomiast Ted w ogóle nic nie jadł. Powiedział jej o Pattie i o jej ciąży, i wyznał, że zupełnie nie wie, co robić.

- Nie chce poddać się aborcji ani oddać dziecka do adop-

cji i mówi, że jeżeli usłyszy ode mnie jakąkolwiek nieprzychylną uwagę, zabije siebie i dziecko. Nie chcę być ojcem, Lizzie, sam jestem jeszcze dzieckiem, a w każdym razie tak się czuję! Byłem cholernym idiotą że wpakowałem się w takie kłopoty!

Liz uśmiechnęła się lekko.

- Masz rację, „idiotą” to słowo-klucz do całej tej sytuacji... Nie możesz w jakiś sposób skłonić ją, żeby jeszcze raz rozsądnie wszystko przemyślała? Ted ponuro potrząsnął głową.

- Straszyla mnie samobójstwem jeszcze zanim zaszła w ciążę...

- Ona powinna się leczyć, Teddy! Przecież to zwyczajny szantaż! Nie możesz jej zmusić, żeby nie urodziła dziecka, to oczywiste, i pewnie będziesz musiał łożyć na jego utrzymanie, ale ona także nie może groźbą nakłonić cię, żebyś z nią był i uczestniczył w jej życiu, jeśli ty sobie tego wyraźnie nie życzysz!

- Nie mogę tak po prostu odejść, to także i moje dziecko. Jeżeli Pattie nie pozbedzie się ciąży, będę musiał razem z nią dźwigać ten ciężar...

- To niesprawiedliwe! - W głosie Lizzie brzmiało szczere oburzenie.

- Jestem im obojgu coś winien, czy mi się to podoba, czy nie...

- Kochasz ją? - Liz uważnie obserwowała brata, starając się wyczytać prawdę z jego twarzy.

- Nie wiem... Ona doprowadza mnie do szaleństwa, działa na mnie jak narkotyk, kiedy się do niej zbliżam, moje ciało natychmiast reaguje. Nie wiem, czy to miłość.

- Moim zdaniem wygląda to na uzależnienie seksualne! Pewnie celowo przywiązała cię do siebie i postępowała tak, żebyś nie potrafił podjąć decyzji o zerwaniu!

- Tak czy inaczej, płacę teraz za to wysoką cenę. Dziecko to odpowiedzialność do końca życia. Nie mogę pozwolić, żeby Pattie popełniła samobójstwo!

- Nie sądzę, żeby naprawdę zamierzała się zabić. Ludzie, którzy straszą samobójstwem, zwykle nigdy nie realizują swoich gróźb. Zależy jej wyłącznie na tym, żeby cię zatrzymać!

- Nie mam wyboru - powiedział Ted ze smutkiem.

- Co powiesz Annie? - odezwała się Liz po chwili milczenia.

- W tej chwili jeszcze nic. Zwariowałyby, gdyby dowiedziały się prawdy.

- Może nie... Annie potrafi zachować zimną krew w trudnych sytuacjach, poza tym wcześniej czy później i tak się dowie! Dziecka nie da się bez końca ukrywać!

- Po tym semestrze będę musiał zrezygnować ze studiów...

Liz nie kryła przerażenia. Wiedziała, jak ważne były dla Teda studia i jak ciężko pracował, żeby mieć dobre wyniki.

- Na razie nic nie rób - poradziła. - Nie wiadomo, czy ona nie poroni, bo przecież w tym wieku ryzyko jest naprawdę spore.

- Mam nadzieję, że los się do mnie uśmiechnie! - Ted czuł się winny, że mówi coś takiego, ale z całą pewnością nie chciał mieć dziecka. - Odkąd powiedziała mi o ciąży, jeszcze z nią nie rozmawiałem.

- Wie, że złapała cię za gardło. - Lizzie pokiwała głową. Pattie zastosowała stary jak świat podstęp, aby schwytać mężczyznę. Lizzie myślała o tym z żalem i niechęcią- bardzo żałowała, że nie może ofiarować bratu innej pomocy poza wsparciem moralnym. Reszta była w rękach Pattie i oczywiście Boga.

Wieczorem Ted zadzwonił do Pattie, pierwszy raz od

trzech dni. Rozplakała się na dźwięk jego głosu, a kiedy próbował ją pocieszyć, zaczęła błagać, żeby do niej przyjechał. Ted czuł, że nie może odmówić, więc ubrał się i pojechał. Patrie przywitała go bardzo spokojnie. Poprosiła, by położył się koło niej na łóżku i tylko ją przytulił, ale zaraz zaczęła go namiętnie pieścić. Ted nie miał ochoty się z nią kochać, ponieważ jego uczucia wobec stworzonej przez Pattie sytuacji zupełnie temu nie sprzyjały, lecz ona przewyciężyła wszystkie jego opory. Kochali się czule i gorąco, a potem Pattie objęła go i zaczęła mówić o ich dziecku. Tedowi chciało się płakać.

Trochę później kochali się znowu i Ted następnego ranka wyszedł od niej z uczuciem przegranej. Pattie zwyciężyła, ona i dziecko. Tuż przed wyjściem zapytała, czy się z nią ożeni, a gdy odparł, że nie chce, rozpoczęła długi wykład na temat tego, że świat nadal źle traktuje nieślubne dzieci, i że ona, jako przyzwoita kobieta, urodziła Jessikę i Justina w małżeństwie. Ted mógł tylko odpowiedzieć, że zastanowi się nad tym, ponieważ bał się, że znowu zacznie go szantażować samobójstwem. Nie miał siły z nią walczyć, szczególnie że tego dnia zaczynał zajęcia. Szedł na uczelnię z pochyloną głową zbyt przygnębiony, aby w ogóle myśleć. Nie miałby nic przeciwko temu, aby zabił go piorun, wręcz przeciwnie, przyjąłby to jako najmniej bolesne i w gruncie rzeczy szczęśliwe rozwiązanie.

W przerwach między zajęciami odbierał telefony od Pattie, która pragnęła, aby stale dodawał jej odwagi. Gdy w końcu usiadł w bibliotece przed komputerem i zabrał się do przygotowywania materiałów na następne dni, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że ktoś jednym ruchem wyrwał mu wnętrzności i wyrzucił całe jego życie do miski klozetowej. Zanim skończył pracę, Pattie przysłała mu e-mail z zaproszeniem na kolację, a on naturalnie obiecał, że przyjdzie.

Pod koniec tygodnia Annie wciąż nie miała żadnych wiadomości ani od Teda, ani od Toma Jeffersona. Tom obiecał zadzwonić w sprawie kolacji, lecz od niedzielnego wieczoru, który spędził z jej rodziną, w ogóle się nie odezwał. Annie przyszło nawet do głowy, że może wcale nie czuł się dobrze w ich towarzystwie. Jego milczenie było bardzo wymowne, więc w żadnym razie nie chciała prześladować go telefonami.

Zadzwonił dopiero tydzień później, z Hongkongu, i przeprosił ją że nie skontaktował się wcześniej.

- Nie miałem dostępu do telefonu ani Internetu - wyjaśnił. - Spędziłem dziesięć dni w południowej prowincji Chin i dopiero dzisiaj dotarłem do Hongkongu... Miałem zrobić ważny reportaż, ale okazało się, że z materiału nici.

Annie nie potrafiła ukryć radości i ulgi.

- Już myślałam, że cię wystraszyliśmy.

- Nie żartuj sobie! Wysłali mnie następnego dnia z samego rana i nie zdążyłem do ciebie zatelefonować. Czasami moje życie przypomina zwariowaną karuzelę...

Właśnie dlatego małżeństwo Toma skończyło się rozwodem. Jego była żona chciała mieć męża w domu, a on nie mógł spełnić jej żądań. Pragnął, żeby Annie od samego początku wiedziała, na czym polega jego praca.

- Nie przejmuj się, moje życie też czasami jest szalone, chociaż oczywiście nie muszę wyjeżdżać do Chin ani Hongkongu - odparła. -

Kiedy wracasz?

- Mam nadzieję, że jutro albo pojutrze. Co powiesz na kolację w sobotę?

- Z przyjemnością!

Opowiedziała mu, że od niedzieli nie rozmawiała też z Tedem i że bardzo martwi się o siostrzeńca.

- Może ma kłopoty osobiste - zasugerował Tom.

- Podejrzewam, że masz rację... Niepokoi mnie ta kobieta, z którą się związał.

Świadomość, że może podzielić się kłopotami z Tomem stanowiła dla niej prawdziwą pociechę.

- Nic na to nie poradzisz - przypomniał jej. - Ted musi sam znaleźć wyjście z tej sytuacji!

- Wiem, ale on jest taki naiwny i prostoduszny... Nie ufam jej! Ma dużo większe doświadczenie, jest prawie w moim wieku.

- To będzie dobra lekcja dla niego - powiedział spokojnie Tom.

- Jeżeli ją przeżyje...

- Przeżyje, zobaczysz. Wszyscy płacimy za swoje błędy i czegoś się na ich podstawie uczymy, chociaż czasami cena jest bardzo wysoka. Na przykład ja dobrze wiedziałem, że żenię się z niewłaściwą kobietą, ale zrobiłem to. Dobrze, że przynajmniej tobie los oszczędził takich doświadczeń!

- Też popełniłam sporo pomyłek - przyznała Annie. Może życie w zakonnym stylu było jedną z nich, kto wie... Jednak kiedy wychowywała troje dzieci, nie potrzebowała dodatkowych komplikacji w życiu osobistym, a teraz też tak naprawdę nie czuła się osamotniona.

- Moim zdaniem doskonale wychowałam dzieci - rzekł Tom. - Twoja siostra byłaby z ciebie dumna.

Annie zakreśliły się w oczach łzy wzruszenia.

Tom opowiedział jej jeszcze o Chinach i reportażu, do którego gromadził materiały. Chinami rządził nowy premier i Tom pojechał przeprowadzić z nim wywiad o polityce zagranicznej oraz handlowych zobowiązaniach kraju. Annie pomyślała, że Tom prowadzi bardzo dorosłe życie i bezustannie trzyma rękę na pulsie najważniejszych światowych wydarzeń, podczas gdy ona pilnuje terminów

wykonania robót i nadzoruje przesuwanie ścian zgodnie z życzeniami klientów. Jej świat był znacznie mniejszy i ciasniejszy niż rzeczywistość, w której poruszał się Tom, kochała jednak swoją pracę i zawsze czerpała z niej ogromną satysfakcję. W głębi duszy zawsze miała nadzieję, że Kate zainteresuje się architekturą i pójdzie w jej ślady, a może nawet kiedyś przejmie po niej firmę, lecz artystyczne talenty Kate znalazły inne ujście. Tom obiecał, że zadzwoni do niej zaraz po powrocie do Nowego Jorku i jeszcze raz zaprosił ją na kolację w sobotni wieczór. Powiedział, że w drodze do domu zastanowi się, gdzie chciałby ją zabrać i zarezerwuje stolik. Annie bardzo podobało się, że może we wszystkim zdać się na niego i nie musi niczego organizować. Była to dla niej kompletna nowość.

Po rozmowie z Tomem nastrój Annie uległ znacznej poprawie. W końcu dodzwoniła się też do Teda, który powiedział, że miał mnóstwo zajęć i dlatego się nie odzywał, ale głos miał tak przygnębiony, że Annie nie uwierzyła w jego zapewnienia, iż wszystko jest w porządku.

Zatelefonowała do Liz, lecz ta zaprzeczyła, jakoby wiedziała, co dzieje się z Tedem. Dziewczyna z bólem serca okłamała ciotkę, uważała jednak, że Ted sam powinien powiedzieć jej o ciąży Pattie.

Ted bał się rozmowy z Annie na ten temat, zresztą Pattie była dopiero w czwartym tygodniu ciąży i nie chciało mu się nawet o tym myśleć. Pattie uparcie drażyła kwestię ślubu, co przyczyniało się do ogólnego uczucia rozbicia i depresji Teda. Nie czuł się tak fatalnie od czasu, kiedy jego rodzice zginęli w katastrofie.

Liz codziennie dzwoniła do brata i była poważnie zaniepokojona jego stanem. Ted przyznał się jej, że uważa swoją

sytuację za właściwie bez wyjścia. Znalazł się w pułapce -płód rosnący w łonie jego kochanki zniszczył mu życie, natomiast Pattie była w siódmym niebie. Nosila jego dziecko i miała nad nim kompletną władzę. Stale dziękowała mu, że tak ją uszczęśliwił i bezustannie chciała uprawiać z nim seks. Ted nie nazywał już nawet tej czynności „kochaniem się”, ponieważ nie miała z miłością nic wspólnego. Był to ostry, szalony seks i Pattie za każdym razem dostawała to, na czym jej zależało. Ted nie chciał jej denerwować, więc spełniał wszystkie jej życzenia. Starał się pieścić ją łagodnie, aby nie zaszkodzić dziecku, ale Pattie twierdziła, że dziecku nic nie grozi. Ted żałował, że w ogóle ją poznał i zmagał się z bardzo mrocznymi myślami. Dużo pił i kilka razy powiedział Lizzie, że chciałby umrzeć. Liz nie sądziła, aby Pattie kiedykolwiek miała zrealizować swoją groźbę, ale bardzo martwiła się o Teda i powoli zaczynała żałować, że nic nie powiedziała Annie. Wiedziała, że jeżeli nastrój Teda wkrótce się nie poprawi, nie pozostanie jej nic innego jak tylko wyznać ciotce całą prawdę.

Annie zaskoczyła Liz, dzwoniąc do niej kilka dni później i z powagą prosząc o radę. Lizzie się przestraszyła, że ciotka zaraz zapyta ją o Teda, lecz Annie zwierzyła się jej, że Tom zaprosił ją na randkę. Zamierzał zabrać ją gdzieś na kolację, a ona nie miała się w co ubrać. Liz uśmiechnęła się, słysząc wyraźnie dziewczęce zdenerwowanie w głosie ciotki. Szczerze ją rozczuliło, że Annie tak przeżywa tę sytuację. Zaczęły zastanawiać się wspólnie, do jakiej restauracji najprawdopodobniej pójda i jakie wrażenie Annie chce zrobić na Tomie. Annie doszła do wniosku, że wszystkie jej „lepsze” stroje doskonale nadają się na spotkania z klientami, nie ma jednak nic seksownego, niczego, co mogłoby spodobać się mężczyźnie.

- Jak bardzo seksownego? - spytała Liz, jak zwykle bardzo praktyczna. -
Masz na myśli głęboki dekolt? Krótką spódniczkę?

Annie parsknęła śmiechem.

- Nie powiedziałam, że chcę narazić się na aresztowanie za obrazę
moralności! Zależy mi tylko na atrakcyjnym wyglądzie, to wszystko!

- W porządku... W takim razie proponuję ładną bluzkę z drapowanymi
fałdami, najlepiej od Chanel... Do tego krótka, ale nie wyzywająco krótka
spódnica i zgrabna futrzana kurtka, tak, mogę pożyczyć ci jedną z moich!
Włosy rozpuszczone, falujące wokół twarzy... Żadnych ostrych linii,
wszystko miękkie, łagodne, kobiece, śliczne.

Tego samego dnia wieczorem Liz zjawiła się u Annie z sześcioma
wypchanymi torbami. Po długich naradach Annie zdecydowała się na
piękną bluzkę z organdy oraz czarną koronkową spódnicę; obie te
rzeczy były eleganckie, ale też seksowne. Ponieważ nadal chodziła o
kulach i musiała nosić buty na płaskim obcasie, Liz przyniosła satynowe
pantofelki z błyszczącymi kłamrami, pożyczyła też ciotce krótką
kurteczkę z czarnych norek, którą Annie od lat podziwiała.

W sobotni wieczór Annie wyglądała cudownie. Katie pomogła jej się
ubrać i zrobiła jej makijaż oraz fryzurę. Kiedy Tom zadzwonił do drzwi,
Annie czuła się jak dziewczyna tuż przed balem maturalnym. Tom miał
na sobie czarną kaszmirową marynarkę, rozpiętą pod szyją, pięknie
uszytą na miarę koszulę i czarne spodnie. Powiedział, że jest mocno
zmęczony po zmianie czasu, ale wyglądał świetnie i zachwycił się
strojem Annie. Zauważył wszystkie detale, nic nie umknęło jego *uwadze*.

- Gdzie są wszyscy? - spytał, rozglądając się dookoła. Mieszkanie było
ciche i puste.

- Wyszli. Katie i Paul są w kinie, Lizzie wyjechała na weekend, a Ted ma mnóstwo pracy na uczelni... Ostatnio prawie się nie odzywa, nie wiem, co się z nim dzieje! Mam nadzieję, że wszystko u niego w porządku i że przynajmniej trochę odsunął się od tej kobiety...

- Poradzi sobie - zapewnił ją Tom.

Pojechali taksówką do bardzo eleganckiej restauracji w centrum. Tom przedstawił Annie co najmniej dziesięciu znajomych, którzy zatrzymywali się na chwilę przy ich stoliku, żeby się z nim przywitać, a szef sali kilka razy się upewniał, czy sławny klient jest zadowolony. Annie była przyjemnie zaskoczona, że Tom cieszy się aż tak wielkim szacunkiem i podziwem.

Przy kolacji opowiedziała mu o domach, które budowała, natomiast on zdał jej relację ze swojej podróży do Chin. Annie oderwała się od myśli o dzieciach oraz od wszelkich codziennych kłopotów i czuła się jak na prawdziwej randce. Później, gdy odwiózł ją do domu i odprowadził do samych drzwi, zaprosiła go na drinka. Tom spojrzał na nią z uśmiechem i stłumił ziewnięcie. Powiedział, że świetnie się bawił, ale zmiana czasu coraz mocniej daje mu się we znaki i boi się, że lada chwila zaśnie.

- Postarajmy się jak najszybciej powtórzyć ten wieczór - zaproponował. Annie nie miała nic przeciwko temu.

- Ja też doskonale się bawiłam, bardzo dziękuję - powiedziała.

Uśmiechnął się i pocałował ją w policzek.

- Bardzo mnie to cieszy... Zadzwoń w przyszłym tygodniu, chyba że znowu wyślą mnie na drugi koniec świata!

Wcześniej wspomniał, że musi lecieć do Londynu. Annie była zafascynowana jego stylem życia.

Zaczekał, aż weszła do mieszkania i dopiero wtedy odjechał. W salonie Paul i Katie siedzieli na kanapie. Zwykle nie mieli pieniędzy na kino, oglądali więc filmy na DVD w domu. Annie zauważyła, że sprawiali wrażenie trochę przestraszonych i pomyślała, że w czasie jej nieobecności pewnie się kochali w pokoju Kate. Dziewczyna nigdy nie pytała Annie, czy Paul mógłby zostać na noc, ponieważ chłopak mówił, że nie czułby się swobodnie, zresztą żadne z nich nie było pewne reakcji Annie. Żadne z jej dzieci nie zapraszało swoich aktualnych partnerów na noc do domu, a Paul był pod tym względem bardzo ostrożny.

Kiedy Annie poszła do swojego pokoju, wciąż unosiła się jeszcze nad ziemią po spędzonym z Tomem wieczorze. Powoli rozebrała się i starannie złożyła ubrania od Lizzie. Siostrzenica stworzyła dla niej zupełnie odmienny od dotychczasowego wizerunek, obiecała też, że znajdzie jeszcze inne rzeczy na następne randki z Tomem.

Następnego dnia rano uśmiechnięta Annie czytała niedzielną gazetę i myślała o Tomie, gdy do kuchni weszła Katie. Chwilę nerwowo kręciła się przy oknie, a potem usiadła przy stole naprzeciwko ciotki.

- Muszę ci coś powiedzieć - odezwała się cicho. Annie podniosła wzrok znad gazety, wyraźnie przestraszona.

- O, mój Boże, jesteś w ciąży... - szepnęła. Katie pokręciła głową.

- Nie!

- Dzięki Bogu! - Annie odetchnęła z ulgą. Nie była jeszcze gotowa na taką sytuację.

- Wybieram się w podróż z Paulem - podjęła Katie, przygotowując się na to, co musiało nastąpić. - Rozmawialiśmy o tym już od jakiegoś czasu.

- Dokąd? - spytała Annie z zainteresowaniem.
- Plany Kate i Paula bynajmniej je nie zaskoczyły. W ich wieku było to dość normalne.
- Do Teheranu. - Katie patrzyła ciotce prosto w oczy. W kuchni zapanowała głucha cisza.
- Nic z tego! - zaprotestowała gwałtownie Annie.
- Jedziemy do Teheranu - powtórzyła dziewczyna.
- W żadnym razie na to nie pozwolę! Taka wyprawa może być niebezpieczna, poza tym to zbyt daleko! Nie mam nic przeciwko temu, żebyście gdzieś razem pojechali, ale akurat tam może spotkać cię coś naprawdę nieprzyjemnego!
- Zatrzymamy się u wujostwa Paula, dowiadywałam się już, jak wyglądają formalności wizowe - ciągnęła Kate, nie reagując na słowa Annie. - Złożyłam podanie i dostanę wizę za kilka tygodni. Opłacę podróż z pieniędzy zarobionych w salonie tatuażu.
- Annie była wstrząśnięta. Katie postawiła ją przed faktem dokonanym, nie pytała o radę ani pozwolenie.
- Przecież to jakieś kompletne szaleństwo! - jęknęła.
- Nieprawda - powiedziała z uporem Kate. - Paul nie był w Iranie od wielu lat, a dla mnie też będzie to bardzo interesujące!
- Co interesującego może być w wyprawie do kraju, w którym Amerykanie nie są dobrze widziani?! Taki wyjazd to zwyczajna głupota, no, chyba że ktoś musi tam jechać! Dlaczego nie pojedziecie w jakieś inne miejsce, takie, w którym pobyt obojgu wam sprawi przyjemność? - Annie za wszelką cenę starała się przekonać siostrzenicę.
- Paul nie pozwoli, aby spotkało mnie coś złego, jego rodzina zaopiekuje się nami. On chce zobaczyć swoich kuzynów, a ja bardzo chętnie ich poznam.
- Kate, to naprawdę fatalny pomysł... - Annie bezradnie ukryła twarz w dłoniach.

- Wcale nie! Kochamy się, więc to chyba nic dziwnego, że chcę odwiedzić jego ojczyznę i poznać rodzinę!

Kate najwyraźniej miała romantyczną wizję, zgodnie z którą powinna towarzyszyć Paulowi w jego powrocie do korzeni, lecz Annie bardzo się o nią bała. Dziewczyna mogła obrazić kogoś z czystej niewiedzy i wpakować się w poważne tarapaty.

- Wybierzcie się do Europy, tam przyjemnie spędzicie czas - podsunęła. - Możecie wykupić specjalny bilet i jeździć od kraju do kraju pociągiem.

- Paul chce jechać do Iranu i ja doskonale go rozumiem. - Katie nie ustępowała ani na krok. - Będziemy tam tylko dwa tygodnie!

- W ogóle nie pojedziecie! - Annie podniosła głos, zde-nerwoana całą sytuacją.

Tym razem nie miała do czynienia z jednym z narwanych pomysłów Kate, takim choćby jak semestralny urlop bez żadnego wyraźnego powodu, lecz z kompletnym szaleństwem. I oczywiście Katie jak zwykle upierała się przy swoim, głęboko przekonana, że to ona ma rację.

- Jestem dorosła i mogę robić, co mi się podoba! - krzyknęła Kate.

Przekrzykiwały się nawzajem, dopóki Katie nie pobiegła do swojego pokoju, zatrzaskując drzwi. Annie, która została przy kuchennym stole, trzęsła się ze zdenerwowania.

Kiedy Paul zjawił się późnym popołudniem, Annie powiedziała mu to samo, chłopak był jednak podobnie jak Kate pewny słuszności swojej decyzji i z uporem powtarzał, że absolutnie nic im nie grozi. Mówił, że pobyt w domu jego wuja będzie bardzo miły i całkowicie bezpieczny, że Teheran jest nowoczesnym, cywilizowanym miastem, i że nie widzi w planowanej wyprawie żadnego ryzyka dla Katie. Annie nie wierzyła jego zapewnieniom. Wieczorem

zadzwoiła do Toma, opowiedziała mu o pianach młodych i zapytała o jego opinię.

- Na twoim miejscu też nie byłbym zachwycony tym pomysłem - odparł Tom po chwili wahania. - Teoretycznie nic nie powinno im się stać... Teheran to piękne miasto, tamtejsza kultura jest bardzo ciekawa, ale nie jest to wycieczka dla dwojga dzieciaków. Sam fakt, że Kate jest Amerykanką, a Paul Irańczykiem może stać się źródłem kłopotów, bo komuś na ulicy może się nie spodobać, że są razem. Potencjalnie to dość ryzykowna sytuacja, więc raczej zasugeruj im, żeby wybrali się gdzie indziej.

- Już to zrobiłam - oświadczyła ponuro Annie. - Kate upiera się, że pojedą tam, i kropka, i że w żadnym razie nie zdołam jej przeszkodzić.

- To prawda, powinna jednak posłuchać głosu zdrowego rozsądku oraz ludzi, którzy mają trochę większe doświadczenie!

- Katie robi, co chce. Zamierza opłacić podróż z własnych pieniędzy, zresztą pobyt w Teheranie nie będzie bardzo kosztowny, bo zatrzymają się u wuja Paula.

- Mam nadzieję, że zdołasz ją odwieść od tego planu. - Toma także zmartwił projekt wyprawy Kate do Iranu. - Ale nawet jeśli nie ustąpi, sądzę, że nie stanie im się tam nic złego!

- Jeżeli Katie pojedzie do Teheranu, wykończę się nerwowo - jęknęła Annie.

Czym innym było pozwolić młodym popełniać własne błędy, a czym innym spokojnie patrzeć, jak głupio podejmują duże ryzyko.

- Porozmawiasz z nią? - zapytała, nie wiedząc, co jeszcze mogłaby zrobić.

- Spróbuję - odrzekł Tom. - Oczywiście nie ma żadnej

pewności, że mnie posłucha. Telefonowałaś do jego rodziców?

- Zrobię to jutro.

- Powinnaś - zgodził się Tom. - Niewykluczone, że oni również są przeciwni temu pomysłowi. Paul jest Irańczykiem i mogą spotkać go nieprzyjemności, gdy zjawi się w Teheranie z Amerykanką. Może razem zdołacie skłonić ich do przemyślenia tej całej sprawy... Ja ze swojej strony zrobię, co w mojej mocy, ale Katie najwyraźniej nie brak uporów. Zgodnie z radą Toma Annie następnego dnia zadzwoniła do rodziców Paula. Matka chłopca także nie była zachwycona pomysłem młodych. Nie do końca wierzyła, że w Teheranie będą zachowywać się rozsądnie i ostrożnie, poza tym uważała, że są jeszcze za młodzi na tak daleką wspólną podróż. Powiedziała Annie, że to pierwsza wyprawa Paula z dziewczyną. Próbowwała rozmawiać z synem, ale poniosła porażkę. Nie podobało jej się także, że Paul będzie musiał wziąć na siebie odpowiedzialność za młodą towarzyszkę. A co, jeśli Kate zachoruje albo ulegnie wypadkowi, pytała. Annie bała się o tym myśleć, chociaż świadomość, że Paul ma krewnych w Teheranie była dla niej pewną pociechą.

Matka Paula powiedziała, że chłopak zamierza pokryć koszty podróży z własnych, zarobionych w czasie wakacji pieniędzy i bardzo delikatnie wyraziła przekonanie, że Amerykanka raczej nie powinna wybierać się do Teheranu z Irańczykiem, nawet jeżeli będą podawać się tylko za przyjaciół. Na koniec dodała, że podczas wizyty w Iranie Paul będzie traktowany wyłącznie jako Irańczyk, ponieważ tamtejsze władze nie uznają jego podwójnego obywatelstwa i amerykańskiego paszportu. Annie bez trudu od-

gadła, że kobieta jest tak samo zaniepokojona wyprawą Paula i Kate do Iranu jak ona, i trochę ją to pocieszyło, chociaż nie miało to wielkiego znaczenia dla dzieci, pewnych, że dorośli niepotrzebnie się martwią.

- Czy ojciec nie może zabronić Paulowi jechać? - spytała z nadzieją.

- Już mu zabronił. Paul bardzo chce zobaczyć się z wujostwem, kuzynami i dziadkiem, który jest w podeszłym wieku... Tak czy inaczej, nie wydaje mi się, aby któreś z naszych dzieci zdawało sobie sprawę, że mogą tam wpaść w poważne kłopoty.

- Więc co zrobimy?

Annie pomyślała nagle, że ani ona, ani rodzice Paula nie mają żadnej władzy nad młodymi, którzy w oczach prawa są już dorośli. Znowu przypomniała sobie pouczenia Whitney, że musi pozwolić dzieciom popełniać błędy, było to chyba jednak znacznie trudniejsze niż jej przyjaciółka przypuszczała.

- Obawiam się, że możemy tylko życzyć im bezpiecznej podróży - westchnęła matka Paula. - I liczyć, że mój szwagier oraz jego żona troskliwie się nimi zajmą.

Nie ulegało wątpliwości, że kobieta nie ma wielkiej nadziei, że uda jej się nakłonić Paula do zmiany decyzji. Annie czuła to samo - Kate i Paul kierowali się tylko własnym zdaniem i nie liczyli się ze starszymi. Kiedy odłożyła słuchawkę, miała już pewność, że nie ma żadnego sposobu, aby powstrzymać młodych.

Tydzień później Tom zabrał Annie na kolację, a wcześniej próbował porozmawiać z Kate, która uparcie trwała przy swoim. Tom uprzedził ją, że podróż do Teheranu w towarzystwie Irańczyka może okazać się dla niej mocno kłopotliwa, ale dziewczyna twardo odparła, że nic im nie grozi. Powiedziała Tomowi, że w pełni docenia jego troskę,

podjęła już jednak decyzję i nie zamierza jej zmieniać. Tom jeszcze lepiej rozumiał teraz niepokój Annie - Kate okazała się potwornie uparta, natomiast Paul miał głowę pełną romantycznych marzeń o tym, jak to pokaże ukochanej wszystko, co zapamiętał z dzieciństwa, lecz kompletnie nie zastanawiał się, co może przynieść podróż do Iranu z Amerykanką, zwłaszcza tak nowoczesną, wyzwoloną i niezależną jak Katie. Tom mógł jedynie szczerze współczuć Annie, która musiała się ograniczyć do zamartwiania się losem siostrzenicy.

Starał się dodać Annie odwagi, ale sam był poważnie zaniepokojony. Wiedział też, że Annie bardzo przejmuje się związkiem Teda ze znacznie starszą od niego kobietą. W chwilach takich jak te cieszył się, że nie ma dzieci - rozwiązywanie tak skomplikowanych problemów kompletnie go przerażało. Całym sercem podziwiał Annie za to, jak radziła sobie z dziećmi siostry. Była mądra, sprawiedliwa, kochająca i na dodatek szanowała opinie młodych ludzi, a mimo tego Katie nie chciała jej słuchać. Tom przyznawał się przed sobą, że będąc na miejscu Annie pewnie miałby ochotę udusić dziewczynę gołymi rękami, i wcale tego nie ukrywał.

- To nie byłoby dobre wyjście - Annie uśmiechnęła się lekko. - Chociaż czasami muszę walczyć z pokusą.

Mimo związanych z dziećmi zmartwień druga randka z Tomem była równie przyjemna jak pierwsza. Powoli poznawali się coraz lepiej. Śmiali się, rozmawiali, cieszyły ich te same rzeczy. Pod wieloma względami byli bratnimi duszami. Tym razem, kiedy odprowadził Annie do domu, pocałował ją. Był to delikatny, długi pocałunek, który obudził w niej dawno zapomniane uczucia. Czuła się jak Śpiąca Królewna, zbudzona pocałunkiem przystojnego księcia. Tom sprawił, że była szczęśliwa.

Pod koniec tego samego tygodnia zaprosił ją do studia telewizyjnego i pokazał, jak prowadzi swój program. Annie była zafascynowana. Dwa dni później zabrała go ze sobą na budowę i dokładnie wyjaśniła, co robi i w jaki sposób realizuje architektoniczne projekty. Tom był pod ogromnym wrażeniem jej pracy i talentu. W następny weekend razem przygotowali i zjedli kolację u Annie, a potem długo wymieniali pieśczęty na kanapie w salonie, korzystając z tego, że Kate wyszła na cały wieczór. Ich wzajemne pożądanie rosło, oboje uważali jednak, że jest jeszcze za wcześnie, aby mu ostatecznie ulec. Nie śpieszyło im się i chcieli naprawdę dobrze się poznać. Uważali, że jeżeli mają być razem, spełnienie fizyczne może poczekać. Chcieli mieć całkowitą pewność, że ich uczucie jest dojrzałe i mocne.

Tom niepokoił się jeszcze trochę, czy Annie znajdzie miejsce dla niego w swoim życiu. Nadal była tak bardzo pochłonięta dziećmi siostry Katie wciąż uparcie trzymała się pomysłu wyjazdu do Iranu, a Ted ostatnio prawie w ogóle się nie pokazywał. Annie czuła, że coś przed nią ukrywa. Ted toczył teraz nieustającą bitwę z Pattie, która albo mówiła o dziecku, albo próbowała namówić go, żeby jak najszybciej się z nią ożenił. Oskarżała go, że uważa ją za nie dość dobrą kandydatkę na żonę, i że jego siostry i ciotka traktują ją jak powietrze. Stała się gwałtowna i natarczywa. Manipulowała, błagała, uwodziła, a na koniec wytaczała rozmaite oskarżenia, chociaż Ted powiedział jej szczerze, że po prostu czuje się zbyt młody i niedojrzały, aby poważnie myśleć o małżeństwie.

- Teraz już za późno na zastanawianie się! - krzyczała Pattie. - Będziemy mieli dziecko!

Kłócili się prawie bez przerwy, a kiedy nie walczyli, Pattie chciała się kochać. Seks był jedyną formą komunikacji, jaką знаła i wykorzystywała go na rozmaite sposoby, jako nagrodę, karę, metodę przekupywania i emoq'ona!nego szantażu. Ted był coraz bardziej przygnębiony. Czuł, że wpadł w pułapkę i utkwiał w niej na dobre, niezależnie od tego, czy ożeni się z Patrie, czy nie. Zdawał też sobie sprawę, że wcześniej czy później będzie musiał ją poślubić, prawdopodobnie tuż przed narodzinami dziecka, bo wcale mu się nie śpieszyło, żeby już teraz założyć sobie tę pętlę na szyję.

Starał się częściej dzwonić do Annie, ale nie widywał się z nią. Bał się, że jeśli ciotka go zobaczy, natychmiast odgadnie, co się dzieje. Miał podkrążone oczy i bardzo schudł. Pattie nie dawała mu spokoju nawet w nocy, albo kłócąc się z nim, albo go uwodząc, był więc kompletnie wyczerpany. Czuł się jak zombie i zbierał marne oceny ze wszystkich przedmiotów z wyjątkiem prawa kontraktowego. Zalegał z wieloma pracami i tylko Pattie wystawiała mu najwyższe noty. Ted nie przywiązywał już do tego najmniejszej wagi. Wiedział, że mając na utrzymaniu dziecko i żonę, będzie musiał zrezygnować ze studiów, dlatego oceny straciły dla niego znaczenie. Pattie odnosiła zwycięstwa na wszystkich frontach. Może zależało jej na tym, żeby zniszczyć mu życie, ponieważ świetnie jej to wychodziło.

Walczyła teraz o ślub. Nie chciała czekać ani chwili, bo bała się, że Ted się rozmyśli i co noc spierała się z nim o termin. Ted nie ustępował. Zgodził się ożenić z nią w sierpniu, nie wcześniej. Dziecko miało przyjść na świat we wrześniu. Pattie wymyślała mu od drani i sadystów, ponieważ kazał jej czekać, i upierała się, aby jak najszybciej powiedział ciotce o dziecku. Zależało jej na kompletnym i niepodważalnym zwycięstwie. Ted starał się nie podda-

wać, ale Patrie miała do dyspozycji skuteczną broń w postaci dziecka. Pewnego wieczoru Tom i Annie jedli kolację w restauracji La Grenouille, kiedy nagle rozdzwoniła się komórka, którą Annie zapomniała wyłączyć. Ludzie przy sąsiednich stolikach obrzucili ją pełnymi dezaprobaty spojrzzeniami, pośpiesznie zerknęła więc na ekran aparatu i zobaczyła numer Teda. Przyciszonym głosem przeprosiła Toma i odebrała połączenie. Ostatnio jej kontakty z siostrzeńcem stały się tak rzadkie, że wolała wykorzystywać każdą okazję.

- Cześć, kochanie, wszystko w porządku? - szepnęła, prawie chowając głowę pod stół. - Jestem na kolacji z Tomem.

Tom patrzył na nią i zastanawiał się, czy zachowałaby się tak samo, gdyby w niewygodnej sytuacji musiała odebrać telefon od niego.

Wiedział już, że nie ma takiej rzeczy, której Annie nie zrobiłaby dla dzieci.

- Mogę oddzwonić później? - spytała teraz.

- Ja... Jestem w szpitalu - odparł Ted.

Oczy Annie w jednej chwili wypełnił paniczny lęk. Zerknęła na Toma.

- W szpitalu? - powtórzyła. - W którym?

- W klinice Akademii Medycznej... Miałem drobne kłopoty z Patrie...

Annie miała wrażenie, że Ted zasypia.

- Co się stało? - spytała.

- Dźgnęła mnie w rękę nożem do mięsa, a Je nic mi nie jest, założyli mi tylko parę szwów. Pomyślałem, że może przyjechałbym do domu.

- Już po ciebie jadę! - rzuciła Annie.

Zamknęła klapkę telefonu i z niedowierzaniem pokręciła głową.

- Ta wariatka dźgnęła go w rękę nożem! Podobno nic mu nie jest, ale...

- Dobry Boże, to naprawdę wariatka! - przeraził się Tom.

Natychmiast przywołał kelnera i poprosił o rachunek. Zjedli tylko przystawki, lecz Annie i tak nie mogłaby niczego więcej przełknąć. Była bardzo wdzięczna Tomowi, że postanowił jej towarzyszyć. Złapali taksówkę i przez całą drogę do szpitala rozmawiali o Tedzie.

- Nie sądziłem, że ta kobieta ma aż tak poważne zaburzenia - rzekł Tom. -
Następnym razem może go zabić.

Oboje uznali, że Ted wygląda okropnie. Był blady jak ściana i drżał na całym ciele. Lekarz wyjaśnił im, że chłopak nie stracił dużo krwi, ale cudem uniknął uszkodzenia ścięgna i nerwu. Rana wymagała założenia dziesięciu szwów i dłoń była grubo obandażowana.

- Co się stało? - Annie powtórzyła swoje wcześniejsze pytanie, kiedy we troje jechali do domu.

Ted nie mógł już dłużej ukrywać przed ciotką co się dzieje.

- Patrie jest w ciąży - wyznał. - Chce, żebym się z nią ożenił. Obiecałem, że weźmiemy ślub w sierpniu, lecz ona się upiera, że powinniśmy zrobić to wcześniej, najlepiej natychmiast. Dziecko ma urodzić się we wrześniu. Annie słuchała w ponurym milczeniu. Ted miał na głowie kobietę, która była gotowa dźgnąć go nożem, gdy odmawiał spełnienia jej poleceń oraz nienarodzone dziecko.

- Dziś przy kolacji pokłóciliśmy się i Partie trochę straciła panowanie nad sobą - dokończył.

- Nie możesz ożenić się z kimś takim! - Annie spojrzała na Toma, który bez słowa skinał głową.

Całkowicie zgadzał się z Annie. Bardzo martwił się o Teda - chłopak wyglądał na emocjonalnie wykończonego

i był w fatalnym stanie. Pattie nie tylko zniszczyła jego poczucie bezpieczeństwa, ale także nie cofnęła się przed fizycznym atakiem. Było to przerażające.

- Pattie mówi, że popełni samobójstwo, jeżeli się z nią nie ożenię.

- Więc niech popełni! - warknęła Annie.

Tom zapłacił za taksówkę i we dwoje zaprowadzili Teda na górę. Kiedy położył się w swoim dawnym pokoju, Annie z czułością otuliła go ciepłym kocem. Chłopak był w szoku.

- Pattie nie zrobi sobie nic złego, wierz mi! - zapewniła go. - Próbuje tylko przejąć kontrolę nad twoim życiem!

- Nie wiem, co robić... - Po policzkach Teda popłynęły łzy. - Chcę zachować się jak należy, ale nie chciałem mieć dziecka, jeszcze nie teraz. I nie chcę się z nią żenić. Tylko że nie mam innego wyjścia.

Tom stał w drzwiach, poruszony wyrazem twarzy Annie. Udręczony chłopiec budził w nim głęboką litość.

- Jedyne, co musisz zrobić, to łożyć na utrzymanie dziecka - powiedziała spokojnie Annie, siadając na brzegu łóżka. - Nie masz obowiązku żenić się z Pattie, jeśli tego nie chcesz!

- Nie chcę, ale boję się jej...

Nie bez powodu, pomyślał Tom. Wydarzenia wieczoru wyraźnie tego dowodziły.

- Ta kobieta cierpi na psychozę, kochanie. - Annie popatrzyła siostrzeńcowi prosto w oczy. - Umie i lubi stosować przemoc i postara się wmówić ci, że to ty ponosisz odpowiedzialność za to, co cię dziś spotkało. Ludzie z takimi problemami zawsze zrzucają winę na innych. Zarzuci ci, że celowo ją rozzłościłeś i zraniłeś tym, co jej powiedziałeś, i że twoje zachowanie w pełni usprawiedliwia jej atak. Przedstawi siebie jako ofiarę, a z ciebie zrobi ostatniego

drania. Nawet nie przeprosi cię za to, co dziś zrobiła, zapamiętaj moje słowa! Zwali wszystko na ciebie, a przecież nie ma w tym ani odrobiny twojej winy! Najwyraźniej uprawiałeś z nią seks bez zabezpieczenia, co było głupie i nieostrożne, ale to nie ty stosujesz przemoc w tym dziwnym związku! Chcę, żebyś trzymał się od niej z daleka, bo jest niebezpieczna i wcześniej czy później zrobi ci jeszcze większą krzywdę! Opatrunek na ręce Teda tylko potwierdzał słusność słów Annie. Chłopak podziękował jej za wsparcie i niepewnie zerknął na Toma, bardzo skrepowany. Annie zgasiła jedną lampę, przykryła siostrzeńca jeszcze jednym kocem i poszła z Tomem do kuchni, żeby przygotować coś do jedzenia. Oboje byli bardzo głodni, ponieważ nie zdążyli zjeść kolacji, zaproponowała więc, że zrobi omlet albo kanapki, Tom był jednak zbyt zdenerwowany, żeby zdecydować się na coś konkretnego. W końcu postanowili zjeść lody i usiedli przy kuchennym stole, by porozmawiać o tym, co się wydarzyło. Annie była pełna lęku o Teda, zaangażowanego w romans z psychicznie chorą kobietą oraz o Katie, gotową wyruszyć w podróż do Teheranu razem z Paulem.

- Tak czy inaczej, nie możesz w nieskończoność chronić ich przed życiem - przypomniał jej Tom.

Annie potrząsnęła głową. Nie zgadzała się z nim.

- Może nie, ale muszę przynajmniej próbować...

- Nie powstrzymasz ich, zrobią, co zechcą! Popatrz tylko na Teda! Założę się, że wróci do tej kobiety, z czystego poczucia winy!

Annie obawiała się, że Tom ma rację. Ona także przewidywała taki rozwój wypadków.

Rozmawiali długo. W końcu Tom pocałował ją na pożegnanie i poprosił, żeby zadzwoniła, jeżeli będzie potrze-

bowiała jakiegokolwiek pomocy. Obiecała, że tak zrobi i serdecznie podziękowała mu za pomoc.

Tuż po północy usłyszała sygnał komórki Teda i na palcach pobiegła do jego pokoju, żeby ją wyłączyć, lecz chłopak zdążył się już obudzić i odebrał telefon. Annie domyśliła się, że dzwoni Pattie. Nie chciała podsłuchiwać, zorientowała się jednak, że rozmowa zaczęła się dokładnie tak, jak przewidywała - kobieta zrzuciła winę za swój wybuch furii na Teda. Annie usłyszała, jak siostrzeniec przeprosza Pattie, która musiała być wściekła, że zadzwonił ze szpitala do ciotki. Kiedy Annie zajrzała do pokoju Teda, żeby pocałować go na dobranoc, chłopak wyglądał na ledwo żywego ze zmęczenia.

- Postaraj się zasnąć i przynajmniej na razie nie myśl o tym wszystkim - szepnęła. - Może zostałbyś na jakiś czas w domu, co ty na to?

- Ona chce, żebym wrócił - mruknął Ted.

To, co usłyszał od Pattie, potwierdzało wcześniejsze przypuszczenia Annie.

- Porozmawiamy o tym jutro - powiedziała Annie. - Teraz niczym się już nie denerwuj.

Kiwnął głową i zamknął oczy, wdzięczny, że może odpocząć w domu. Na moment uniósł jeszcze powieki i podziękował ciotce. Annie pocałowała go w czoło i cicho wyszła. Było jej przykro, że mimo woli wciągnęła Toma w domowe kłopoty, lecz dzięki temu dowiedziała się, że jest najbardziej wyrozumiałym i cierpliwym człowiekiem, jakiego spotkała. Kiedy rano wstała, Ted jeszcze spał, Katie także była w swoim pokoju. Annie miała ważne spotkanie, więc wyszła, zostawiając Tedowi kartkę z prośbą aby zadzwonił do niej, gdy się obudzi i niech porządnie wypocznie. Nie

chciała, żeby wracał do Patrie, bo kto mógł przewidzieć, co tamta tym razem zrobi.

Ted był w kuchni, gdy parę godzin później Kate postanowiła zrobić sobie śniadanie. Nie wiedziała, że nocował w domu i ze zdziwieniem popatrzyła na jego zabandażowaną rękę. Środek przeciwbólowy przestał już działać i rana mocno dokuczała Tedowi.

- Co ci się stało? - spytała z niepokojem. - Biłeś się z kimś?

Trudno było jej to sobie wyobrazić, ponieważ Ted nigdy nie wdawał się w bójki, nawet jako dzieciak. Przyszło jej do głowy, że może ktoś napadł go na ulicy.

Ted skinął głową i spojrzał na siostrę zmęczonymi oczami.

- Tak - odparł niepewnie. - Wyprowadziłem Pattie z równowagi i zrobiła coś głupiego. Nie chciała, ale... To moja wina...

Pattie wmówiła mu to podczas ostatniej rozmowy. Annie złapałaby się za głowę, gdyby usłyszała słowa siostrzeńca, który okazał się idealną ofiarą manipulacji Pattie i w ogóle nie zdawał sobie z tego sprawy. Był to klasyczny przypadek przemocy. Pattie twierdziła, że winę za jej wybryk ponosi Ted, a on jej wierzył.

- Co z twoją ręką? - Kate usiadła i zmierzyła brata badawczym wzrokiem. Jego oczy wydawały się zupełnie martwe, a cienie pod nimi były prawie czarne.

- Pattie zraniła mnie nożem. Niepotrzebnie ją rozzłościłem...

- Żartujesz sobie?! - Katie szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. - Ludzie ciągle mnie wkurzają ale nie rzucam się na nich z nożem! Czy ona oszalała?!

- Patricie jest bardzo emocjonalną osobą - wyjaśnił Ted. - A ja ją rozgniewałem...

- Moim zdaniem to wariatka, i to niebezpieczna! Na twoim miejscu trzymałabym się od niej z daleka!

- Będziemy mieli dziecko. Kate jęknęła.

- Urodzi się we wrześniu - ciągnął Ted. - Pattie chce, żebyśmy się pobrali...

- Jasne, nic dziwnego! Mam nadzieję, że nie zamierzasz tego zrobić! Przecież ona jest dwanaście lat starsza od ciebie!

- Teraz jest już trochę za późno, żeby się nad tym zastanawiać. - Ted bezradnie popatrzył na siostrę.

Nagle rozległ się sygnał jego komórki. Odwrócił się i szybko poszedł do swojego pokoju.

Gdy Kate znowu go zobaczyła, był już ubrany i zdołał nawet przyczesać lewą ręką potargane włosy. Powiedział, że musi wrócić do siebie po ubranie na zmianę, ale Kate od razu poznała, że kłamie. Zamierzał zobaczyć się z Pattie. Kate pragnęła go zatrzymać, nie wiedziała jednak, jak to zrobić. Miała dziwne uczucie, że wszelkie próby są całkowicie bezskuteczne. Ted zachowywał się jak człowiek z misją robot zdalnie sterowany przez wymagającego właściciela.

Podszedł do drzwi i popatrzył na stojącą w drzwiach kuchni siostrę.

- Gdyby Annie dzwoniła, powiedz jej, że śpię... Niedługo wrócę!

- Zaraz idę do pracy - odezwała się Kate pełnym współczucia głosem. - Uważaj na siebie, dobrze?

Kiwnął głową i wyszedł.

U Pattie wszystko potoczyło się zgodnie z łatwym do przewidzenia scenariuszem. Kobieta objęła go i obsypała

pocałunkami. Traktowała go jak dziecko - głaskała po głowie i po zabandażowanej ręce. Zapewniła, że wybacz mu wszystko, co zrobił poprzedniego wieczoru, a on podziękował jej i wybuchnął płaczem. Nadal szlochał, kiedy Pattie zaczęła go namiętnie pieścić. Kochał się z nią, żeby wynagrodzić jej swoje błędy. Nie poszedł na zajęcia i nie wrócił na noc do domu. Pattie wygrała kolejną rundę.

ROZDZIAŁ 17

Dwa dni po ataku Pattie na Teda Tom zadzwonił do Annie do biura. Poprzedniego dnia pracował nad reportażem o świeżo ujawnionym politycznym skandalu w Waszyngtonie i nie miał czasu się z nią skontaktować. Annie nauczyła się już, że jeśli Tom do niej nie dzwoni, to dzieje się tak z ważnego powodu. Nie zajmował się firmami budowlanymi, które często nie dotrzymywały ustalonych terminów - przygotowywał informacje o najważniejszych światowych wydarzeniach i międzynarodowych kryzysach, albo podróżował do odległych krajów. - Jak Ted? - zapytał, korzystając z chwili spokoju, która w jego pracy zwykle poprzedzała gwałtowną burzę.

Było jednak oczywiste, że mimo ogromnego stresu, wielkich wyzwań i często dość skomplikowanych rozgrywek personalnych w zatrudniającej go sieci telewizyjnej, Tom uwielbiał to, co robił. Annie była zafascynowana jego pracą. Obracał się w szerokim świecie i znał najdrobniejsze szczegóły i niuanse wydarzeń, rozgrywających się na scenie wielkiej polityki, a ona zawsze z zapartym tchem słuchała jego opowieści. Ale teraz cała jej uwaga skupiona była na Tedzie i jego trudnej sytuacji.

- Nie wiem - odparła, nie kryjąc zniechęcenia. - Wrócił do niej wczoraj, ledwo wyszłam do pracy. Kate mówi, że zadzwoniła do niego i przekonała go, że musi się z nią zobaczyć. Oczywiście nie wrócił na noc do domu, na pewno mu nie pozwoliła. Umieram ze strachu, że zrobi mi coś złego.

W oczach Annie incydent z nożem nie był niewinnym zdarzeniem i Tom całkowicie się z nią zgadzał. Pattie przekroczyła pewną granicę i teraz nikt nie potrafił przewidzieć, jak daleko się posunie. Annie nie miała najmniejszej wątpliwości, że Ted wpadł w szpony nie zrównoważonej, niebezpiecznej kobiety, najprawdopodobniej z poważnymi zaburzeniami socjo- i psychopatycznymi, czego najlepszym dowodem były szwy na dłoni chłopca.

- Tego się obawiałem - powiedział cicho Tom, pełen współczucia dla Teda i Annie. - Kiedy byłem w jego wieku, wpakowałem się w podobną sytuację. Związałem się z bardzo piękną dziewczyną schizofreniczką, która dosłownie żywiła się narkotykami. Trudno jest wyplątać się z czegoś takiego, bo poddany działaniu przemocy człowiek ma bezpodstawną nadzieję, że wszystko wreszcie się uspokoi, tymczasem osoby takie jak Pattie nie potrafią żyć bez chaosu.

- Na dodatek Ted jest potwornie naiwny! - westchnęła Annie. - A teraz musi jeszcze brać pod uwagę dziecko, które ma się urodzić.

- To bystry chłopak i w końcu jakoś sobie poradzi. Niestety może to trochę potrwać, a wiem, że tobie jest ciężko.

- jemu jest dużo gorzej!

Poprzedniego dnia Annie do rana rozmawiała z Katie o problemach Teda. Obie miały nadzieję, że chłopak jednak wróci, ale on nawet nie odbierał telefonu. Odpowiedział tylko na SMS od Katie - przesłał jej wiadomość, że

dobrze się czuje i nie ma powodu się o niego martwić. Dzięki temu przynajmniej wiedziały, że żyje.

- Właściwie dzwonię po to, żeby zapytać, czy miałabyś ochotę wybrać się ze mną na kolację - powiedział Tom. - Dowiedziałem się o otwarciu nowej restauracji i chciałbym ją sprawdzić. Może trochę cię to rozerwie.

Annie nie miała specjalnej ochoty na rozrywki, ale była wdzięczna Tomowi za jego troskę i bardzo lubiła spędzać z nim czas.

- Przykro mi, że moje życie jest teraz tak chaotyczne. - W jej głosie brzmiała przepraszająca nuta. - Jeszcze parę tygodni temu wszyscy byliśmy zupełnie normalni, no, może raczej parę miesięcy temu...

Tymczasem nagle Ted stał się zakładnikiem w rękach psychopatki i ojcem jej dziecka, a Kate zamierza wyruszyć w podróż do Iranu.

Jedyną „normalną” osobą w rodzinie była Liz, która wprawdzie rozstała się z Jean-Louisem, ale bardzo spokojnie i rozsądnie zniosła to zerwanie. Powiedziała nawet Annie, że postanowiła przez jakiś czas nie umawiać się z nikim i poczekać, aż poczuje, że jest gotowa na poważniejszy związek.

Jedyną pociechą był dla Annie fakt, że Katie i Paul nie ustalili konkretnego terminu swojej wyprawy. Jak na razie był to tylko pomysł, który Annie widziała jako wiszącą nad jej głową groźbę. Wszystko to razem nie składało się na atmosferę sprzyjającą nowemu związkowi.

Annie zdawała też sobie sprawę, że taka sytuacja nie jest łatwa dla Toma, który dopiero próbuje ją poznać i dowiedzieć się, co jest dla niej najważniejsze. Całe szczęście, że do tej pory doskonale znosił te wszelkie niespodzianki.

- Nie przejmuj się - odparł spokojnie. - Takie rzeczy zdarzają się każdemu, to tak zwane prawdziwe życie. Poza tym, najczęściej za jedną trudną sytuacją przychodzi dru-

ga, a potem trzecia, doświadczyłem tego na własnej skórze. Moja matka umarła nagle, kiedy się rozwodziłem, a ojciec chorował na alzheimera, więc musiałem umieścić go w domu opieki. Nie było to proste, wierz mi... Mniej więcej w tym samym czasie przeżył krótki romans, który skończył się właśnie dlatego, że Tom nie mógł poświęcić partnerce wystarczająco dużo czasu i uwagi. Zerwał z nią, a kiedy zadzwonił po kilku miesiącach, była już z kimś innym. Jego życie również składało się z trudnych sytuacji.

- Zjedźmy kolację dzisiaj - zaproponował. - Wiem, że wolałabyś wiedzieć wcześniej, ale może dobrze by ci to zrobiło...

- Z przyjemnością pójdę!

Była zdeterminowana, żeby zapewnić Tomowi przyjemny wieczór i nie opowiadać mu o swoich problemach, w każdym razie nie bez przerwy. Sama też miała ochotę nacieszyć się jego towarzystwem i przez resztę popołudnia starała się utrzymać dobry nastrój. Prawie jej się to udało, dopóki w jednym z przebudowywanych przez nią domów nie pękła rura wodociągowa, co spowodowało ogromne straty i doprowadziło do zniszczenia cennego dzieła sztuki. Musiała przekazać tę wiadomość klientowi, który wpadł w furję. Kiedy zaczęła ubierać się na kolację z Tomem, nie do końca uspokoiła się jeszcze po nieprzyjemnej scenie. Ted milczał. Annie próbowała przestać o tym myśleć, ponieważ i tak nic nie mogła poradzić. Ted był naiwny, to prawda, ale mimo wszystko był też dorosły, a Annie miała chyba prawo do spokojnego wieczoru i dobrej kolacji w towarzystwie mężczyzny, który bardzo jej się podobał. Włożyła właśnie jeden z wybranych dla niej przez Liz kompletów i poczuła się odrobinę lepiej, kiedy do pokoju weszła Kate.

- Mogę z tobą porozmawiać? - spytała z poważnym wyrazem twarzy. Annie się zawahała.

- Ciekawe, dlaczego brzmi to tak złowroźnie - mruknęła, malując wargi szminką.

Tom miał przyjechać po nią lada chwila. Cóż, dzieci zawsze poruszają ważne tematy, kiedy rodzice wychodzą z domu, albo odbierają telefon, na który długo czekali. Prawo Murphy'ego, nic dodać, nic ująć...

- Jeżeli to miła wiadomość, po prostu powiedz mi i już, nie musisz przecież prosić mnie o pozwolenie! - rzuciła.

Kate uśmiechnęła się niepewnie.

- No, widzę, że jednak nie jest to miła wiadomość. Dziewczyna nie zaprzeczyła.

- Może i tak... - przyznała niechętnie.

- Ważna? - Annie schowała szminkę do torebki.

- Chyba tak...

- W takim razie porozmawiamy później albo jutro. Teraz wychodzę z Tomem i chcę w spokoju nacieszyć się jego towarzystwem!

- W porządku... - zgodziła się Katie ponuro.

Nie wyglądała na zadowoloną, że ciotka nie ma ochoty z nią teraz rozmawiać, widziała jednak, że jest pochłonięta czym innym.

- Ładnie wyglądasz, tak przy okazji - dorzuciła.

- Dziękuję! Mam nadzieję, że uda mi się zjeść kolację bez żadnych zakłóceń w postaci informacji, że kogoś pchnięto nożem, został nieszczęśliwym rodzicem albo zaraz wyrusza w daleką podróż... Tom zaczął już pewnie podejrzewać, że wszyscy jesteśmy nienormalni!

Tom zjawił się punktualnie, przystojny i zrelaksowany. Na widok Annie uśmiechnął się szeroko - nowe dodatki do jej garderoby okazały się niezwykle udane. Szef firmy

budowlanej z domu z pękniętą rurą zatelefonował do Annie w chwili, gdy zamykała za sobą drzwi mieszkania i powiadomił ją że robotnicy znaleźli drugi zniszczony obraz, tym razem dzieło Picassa. Annie z niespodziewanym dla siebie samej spokojem powiedziała, że omówi z nim ten problem następnego dnia. Teraz miała czas tylko dla Toma,

- Coś się stało? - zapytał, wyczuwając jej napięcie.

- Dziś po południu pękła rura w remontowanym domu i woda uszkodziła dwa bardzo cenne obrazy. Klient mocno się zdenerwował, delikatnie mówiąc... Dzwonił szef firmy budowlanej, ale to sprawa na jutro.

- Nie zdawałem sobie sprawy, że zawód architekta może wiązać się z tak wielkim stresem!

- Stres pojawia się zawsze, gdy w grę wchodzi napięte terminy i bogaci klienci. Budowa albo generalny remont domu zawsze wydobywa z ludzi to, co w nich najgorsze, to reguła. Jedna czwarta moich klientów rozwodzi się w wyniku budowy, oczywiście dotyczy to rozchwianych związków, ale jednak.

- To prawda, rzeczywiście... - Tom popadł w zamyślenie. - Zdążyłem już o tym zapomnieć, ale w moim małżeństwie ostatnią kroplą okazała się decyzja o remoncie mieszkania. Kosztowało to majątek, co doprowadzało mnie do furii, a moja żona wściekała się, bo nigdy nie miałem czasu, żeby porozmawiać z robotnikami. Kiedy postanowiliśmy się rozstać, sprzedaliśmy mieszkanie i od razu mi ulżyło.

- No, właśnie! Czasami czuję się jak psycholog z poradni małżeńskiej! Najzupełniej normalni ludzie w czasie remontu czy budowy przeistaczają się w potwory, a ci, których małżeństwo jest stabilne, wyzywają się na mnie!

- Zastanawiałaś się już nad przejściem na emeryturę? -zażartował.

- Zanudziłabym się na śmierć - wyznała uczciwie. - No i jednak zbyt ciężko pracowałam na swoją pozycję. Poza tym pieniądze z polisy ubezpieczeniowej dzieci już się niemal wyczerpały a ja chcę im pomóc. Płacę za studia Teda, więc sam rozumiesz.

- Mają szczęście, że opatrność dała im taką ciotkę - powiedział Tom, kiedy wsiadali do samochodu z szoferem.

Wynajął wóz, ponieważ nie chciał, żeby Annie zmarła, czekając na taksówkę. Chodziła jeszcze o kulach i nie powinna pokonywać dłuższych dystansów. Tom starał się choć trochę ułatwić jej życie, co było dla niej zupełnie nowym doświadczeniem.

Nowa restauracja, do której ją zaprosił, była pięknie urządzona, a jedzenie wyśmienite. Po ostatnich wydarzeniach Annie nie miała apetytu, ale cieszyła się, że może spędzić wieczór z Tomem. Tom szybko zauważył, że jego towarzyszka tylko skubie jedzenie i zapytał, czy jej nie smakuje. Był trochę zawiedziony, bo widział, że jest zmęczona, chociaż starała się podtrzymać rozmowę.

- Nie jestem przyzwyczajona do życia towarzyskiego - przyznała. - Zazwyczaj późno wracam z pracy i prawie od razu wskakuję do łóżka. Jakoś radzę sobie z problemami dzieci, pracą oraz wszystkimi innymi sprawami, ale nie przywykłam do przebierania się w eleganckie stroje i wychodzenia z domu wieczorem.

Tom miał podobne kłopoty z uczestniczeniem w rozmaitych imprezach pod koniec długiego dnia pracy, ale nie chciał czekać do weekendu, żeby zobaczyć się z Annie.

- Mam pomysł - powiedział przy deserze.

Kolacja była doskonała i szef kuchni przysłał im kilka specjalnych przysmaków i niespodzianek kulinarnych. Toma często traktowano w taki sposób w restauracjach.

- Wiem, że to może trochę za wcześnie, szczególnie że

chcieliśmy być rozsądni i nie śpieszyć się, lecz spotykamy się już od miesiąca i nie wydaje mi się, żebyśmy mogli liczyć tu na spokój i ciszę - ciągnął. - Może wyjechalibyśmy gdzieś na weekend, co ty na to? Jeżeli wolisz, zarezerwujemy osobne pokoje, chciałbym jednak koniecznie cię stąd wywieźć, przynajmniej na chwilę.

Annie była zachwycona, ale także trochę zdenerwowana. Nie była jeszcze gotowa na ten krok, ale widziała też, że Tom jest nieco zniechęcony panującym w jej życiu chaosem oraz koniecznością bezustannej walki o jej czas i uwagę. Miała szczęście, że jeszcze się nie wycofał i wcale nie była przekonana, czy sama na jego miejscu wykazałaby się tak wielką wytrwałością i cierpliwością.

- Brzmi to fantastycznie. Dokąd chciałbyś pojechać? Zastanawiała się, czy może sobie pozwolić na daleki wyjazd, biorąc pod uwagę skomplikowaną sytuację Teda, lecz z drugiej strony siostrzeniec nie miał pięciu lat, a Tom naprawdę dokładał wszelkich starań, aby sprawić jej przyjemność i pomóc ich rodzącemu się związkowi. Annie zdawała sobie sprawę, że nie mogłaby oczekiwać więcej od żadnego mężczyzny, przez głowę przemknęła jej nawet myśl, że nie zasłużyła na tyle wyrozumiałości z jego strony

- Zostaw to mnie, dobrze? - Tom uśmiechnął się i przykrył jej dłoń swoją.

- Spróbuję rozejrzeć się za jakimś przyjemnym miejscem, gdzie mielibyśmy święty spokój i dużo czasu dla siebie.

Do tej pory ich wyprawy w świat miłości fizycznej ograniczały się do pocałunków.

- Co zamawiasz? - Spojrzał jej prosto w oczy. - Dwie sypialnie czy jedną? Miała ochotę powiedzieć, że wolałaby jedną ale zabrakło jej odwagi. Wiedziała zresztą, że przed tym pierwszym razem denerwowałaby się zawsze, niezależnie od okoliczności.

- Jedną - odparła wreszcie tak cicho, że prawie jej nie usłyszał.

Uśmiechnął się i ogarnął ją ramieniem.

- Może weźmiemy dwie i na miejscu zobaczymy, co z tego wyniknie?

- Nie chce mi się wierzyć, że jestem aż taką szczęściarą. - Annie popatrzyła na niego ze zdumieniem. - Mógłbyś przecież powiedzieć mi, żebym poszła do diabła!

- Tak, ale pomyśl tylko, ile bym wtedy stracił! Miłość bywa kłopotliwa, a w naszym wieku wymaga trochę organizacji i przystosowania. W moim życiu też nie zawsze wszystko gładko się układało.

- Dziękuję. - Uśmiechnęła się z wdzięcznością. Tom pocałował ją delikatnie.

- Nie pytaj dlaczego, ale już w chwili, gdy zobaczyłem cię w szpitalnej poczekalni, wiedziałem, że jesteś wyjątkową osobą i zapragnąłem bliżej cię poznać.

Dotąd żadne z nich nie żałowało, że los zetknął ich ze sobą.

- Musimy się tylko zastanowić, jak znaleźć miejsce dla mnie w twoim życiu, a dla ciebie w moim - dodał.

Oboje wiedzieli, że nie jest to proste, ale Annie czekała na taką szansę całe szesnaście lat. Straciła Seta z powodu obowiązków, które wzięła na siebie po śmierci siostry i jej męża i teraz nie miała wątpliwości, że w żadnym razie nie powinna rezygnować z Toma ze względu na dzieci. Musiała przeorganizować swoje życie, ale wiedziała, że powinna zdobyć się na ten wysiłek. Whitney powtarzała jej to od lat.

Teraz spotkała wreszcie kogoś, kto był tego wart. Annie nie powiedziała jeszcze Whitney o Tomie, ponieważ najpierw jej przyjaciółka była z mężem na dwutygodniowym rejsie, a potem zaczęły się poważne problemy z dziećmi.

Annie z pewnym zdziwieniem uświadomiła sobie, że spotyka się z Tomem prawie od miesiąca i jej najlepsza przyjaciółka nic o tym nie wie. Zaproszenie ją na wspólny weekend w pełni przekonało ją że ich znajomość raczej nie należy do przelotnych.

Po kolacji Tom odwiózł ją do domu i odprowadził pod drzwi mieszkania. Zapytał, które weekendy Annie ma wolne, żeby zaplanować ich wycieczkę, i delikatnie pocałował ją w usta. Kiedy Annie weszła do środka, zobaczyła, że Kate na nią czeka. Na twarzy dziewczyny malowało się wyraźne zdenerwowanie i Annie wyczuła, że nawet gdyby wróciła o drugiej w nocy, Katie też by na nią czekała.

- Wygląda na to, że faktycznie masz mi do powiedzenia coś ważnego. - Annie westchnęła, wieszając płaszcz w garderobie.

Z radością przeżyłaby przynajmniej jeden spokojny, pozbawiony dramatycznych zwrotów sytuacji wieczór, ale najwyraźniej nie było jej to dane. Nagle poczuła, że nie może się już doczekać wyjazdu z Tomem i za nic nie chciała, żeby Katie zepsuła jej tę przyjemność. Powoli docierało do niej jednak, że w wieku, w jakim są jej dzieci, możliwe jest absolutnie wszystko. Katie i Paul byli w sobie bardzo zakochani i Annie po prostu musiała się z tym pogodzić.

Weszła do salonu, usiadła na kanapie i popatrzyła na Kate.

- No, dobrze. - powiedziała. - O co chodzi?

- Chcę uprzedzić cię o moich planach.

Katie przybrała śmiertelnie poważny wyraz twarzy i Annie zorientowała się, że dziewczyna jest gotowa walczyć o swoją sprawę.

- Wyjeżdżam z Paulem do Iranu, na dwa tygodnie -podjęła Kate. - Mam już wizę i kupiliśmy bilety. Chciałam cię tylko o tym zawiadomić. Nie możesz mnie powstrzy-

mać, a ja nie chcę cię oszukiwać. Wylatujemy za dwa tygodnie.

W pokoju zapadła cisza jak makiem zasiał. Annie odezwała się dopiero po dłuższej chwili, lecz Kate nie takiej reakcji oczekiwała. Głos jej ciotki był cichy, spokojny i opanowany. Możliwe, że Annie pomógł spędzony z Tomem wieczór, ponieważ dzięki temu zyskała pewną perspektywę.

- Będę z tobą zupełnie szczerą, Kate. - Annie była zasmucona, ale nie przerażona. - Moim zdaniem, jest to niewiarygodnie głupi pomysł, wręcz niebezpieczny. Wybieracie się jako para do kraju, gdzie oboje zostaniecie surowo potępieni za to tylko, że jesteście razem. Uparłaś się, a ja będę szalała z niepokoju przez cały czas waszego pobytu w Iranie. Tom powiedział ci to samo i jego także nie chciałaś słuchać, chociaż jego wiedza na temat krajów arabskich jest znacznie szersza niż moja czy nawet Paula. Ale racja, rzeczywiście jesteś pełnoletnia i nie mogę cię zatrzymać. Masz prawo podejmować decyzje, dokonywać wyborów i popełniać błędy. - W oczach Annie zabłyśły łzy. - Nie chodzi mi o kontrolę nad tobą, nic z tych rzeczy. Pochowałam moją siostrę i wolałabym umrzeć, niż pochować któreś z jej dzieci, to wszystko. Mogę tylko mieć nadzieję, że nie stanie ci się nic złego.

Wstała, sięgnęła po kule i poszła do swojego pokoju. Katie patrzyła za nią w całkowitym milczeniu. Spodziewała się walki, kłótni, krzyków i gróźb, tymczasem Annie zrobiła to, co zrobić musiała - uszanowała prawo siostrzenicy do jej decyzji i ustąpiła. Uważała, że Kate robi błąd, ale nie próbowała jej powstrzymać. Teraz Annie musiała żyć ze swoim niepokojem, a Kate z pełną odpowiedzialnością za swoją pełnoletniość. Kate poczuła, że takie zachowanie Annie zrobiło na niej o wiele większe wrażenie niż krzy-

ki i nakazy, i nagle ją także ogarnął niepokój. W głowie zaświtała myśl, że może trochę pochopnie obiecała Paulowi, że z nim pojedzie. Oczywiście nadal pragnęła poznać jego świat, ale zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem Annie i Tom nie mają racji. Wróciła do swojego pokoju, usiadła na łóżku i poczuła, jak po policzkach spływają dwie łzy. Pierwsze dorosłe zwycięstwo wcale nie okazało się tak słodkie, jak tego oczekiwała.

ROZDZIAŁ 18

Wspólny weekend Annie i Toma przypominał cudowny sen. Annie nie wiedziała nawet, że ludzie robią takie rzeczy i otaczają się takim luksusem. Przez całe dorosłe życie pracowała i opiekowała się dziećmi i nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogłaby sobie pobłązać. Jeżeli w ogóle gdzieś wyjeżdżała, to tylko na wycieczki do Disneylandu z dziećmi, na spotkania z klientami i dwa razy do Europy również z Liz, Tedem i Katie. Nigdy nie spędzała wakacji sama i pewnie nie bardzo by wiedziała, co zrobić z czasem, gdyby trafiła jej się taka okazja. W ostatnich latach wolny czas wypełniała pracą, nic więc dziwnego, że Tom otworzył przed nią drzwi do zupełnie nieznanego świata. Długo szukał idealnego miejsca na ich pierwszy wspólny weekend i wreszcie zdecydował się zabrać ją na wyspy Turks i Caicos we wschodniej części Bahamów.

Z lotniska Kennedy'ego polecili prosto na wyspę Providenciales. Lot trwał trzy i pół godziny; na miejscu czekała na nich limuzyna, którą pojechali do hotelu, gdzie Tom zarezerwował dla nich willę z własną plażą i basenem. Piasek miał odcień kości słoniowej i był drobny jak cukier, a woda była cudownie przezroczysta i turkusowa. Tom do-

trzymał słowa - w willi były dwie sypialnie. Annie nigdy nie widziała tak luksusowego domu. Obsługiwał ich lokaj, na stole czekał na nich wielki kosz z owocami oraz butelka szampana. Annie wydawało się, że umarła i trafiła do nieba. Jeżeli na ziemi istniało jakieś miejsce, gdzie można było schronić się przed stresami i kłopotami codzienności, to była nim właśnie wyspa Providenciales. Planowali, że spędzą tu trzy dni i Annie modliła się żarliwie, żeby nic nie przerwało im wypoczynku. W jej przypadku przeszkodą mogły okazać się dramatyczne i całkowicie nieprzewidziane wydarzenia w życiu dzieci, w przypadku Toma zagrożeniem mógł być jakikolwiek kryzys w dowolnym miejscu świata.

- To prostu nie do wiary - powiedziała z wyrazem dzieciennego niedowierzania na twarzy.

Czuła się tak, jakby nagle odkryła, że Święty Mikołaj jednak istnieje. Tom zaplanował dla nich idealne wakacje. Mogli chodzić do pobliskich restauracji, jeść w willi, wylegiwać się w basenie, spacerować po plaży, pływać w ciepłej, przejrzystej wodzie i przez całe trzy dni nie *spotykać* ludzi. Tom objął ją, gdy tak przyglądała się wszystkiemu z radosnym zdumieniem. Był to najwspanialszy prezent, jaki kiedykolwiek dostała. Wreszcie miała spokój i czas, którymi mogła się z nim podzielić, zupełnie jakby wyjechali na miesiąc miodowy.

- Jestem najszczęśliwszą kobietą na świecie, nie mam co do tego cienia wątpliwości - oznajmiła z uśmiechem.

Pocałował ją z czułością.

- To nagroda za zwichniętą kostkę i wielką odwagę, z jaką stawiasz czoło wszystkim problemom.

Jego słowa sprawiły, że łzy napłynęły jej do oczu.

- Nie znam nikogo, kto podejmowałby się tylu zadań i tak dobrze je wykonywał - dodał Tom. - Chciałbym tyl-

ko, żeby było ich troszeczkę mniej, bo wtedy mielibyśmy więcej czasu dla siebie.

Znaleźli cudowne miejsce, w którym mogli uczyć się siebie nawzajem. Annie czuła się kompletnie odseparowana od rzeczywistości i nawet od dzieci, chociaż one naturalnie wiedziały, jak się z nią skontaktować i w każdej chwili mogły to zrobić. Obiecała sobie uroczyście, że w ciągu następnych trzech dni nie będzie bez przerwy o nich mówić.

Wieczorem poszli na spacer po plaży, a później pływali w basenie. Oboje mieli na sobie kostiumy kąpielowe, ponieważ jeszcze nie przekroczyli tej szczególnej granicy i do pierwszej w nocy rozmawiali na tarasie. Kiedy w końcu poszli do łóżka, wybór wspólnej sypialni wydawał im się najnaturalniejszą rzeczą pod słońcem. Annie leżała w ramionach Toma, całkowicie spokojna i swobodna. Lekko drżała, nie ze zdenerwowania, ale z rozkosznego napięcia wywołanego długim oczekiwaniem. Żadne z nich nie doznało rozczarowania. Wszystko było dokładnie tak, jak mieli nadzieję, że będzie - dwie połówki owocu wreszcie połączyły się w całość. Oboje nie mogli oprzeć się wrażeniu, że są sobie przeznaczeni. Potem spędzili jeszcze trochę czasu na tarasie, nadzy, trzymając się za ręce i całując, znowu pływali w basenie i w końcu wrócili do łóżka, w którym odkrywali swoją namiętność. Spali jak dzieci, mocno przytuleni, obudzili się wcześniej i znowu się kochali. Śniadanie zjedli dopiero w południe, na swoim tarasie, a potem poszli na długi spacer plażą. Cały dzień kapali się w oceanie i odpoczywali na piasku. Wieczorem zjedli wspaniałą kolację i kochali się w basenie, śmiali się z drobiazgów i żartowali. Annie opowiedziała Tomowi, jak straciła siostrę i rozplakała się w jego ramionach. Rozmawiali o swoim dzieciństwie, nadzie-

jach i ambicjach, rozczarowaniach i marzeniach. Poznawali swoje ciała i cieszyli się swoim trzydniowym miodowym miesiącem. Ten czas w oderwaniu od codzienności był im bardzo potrzebny i stał się mocnym fundamentem ich związku.

Pod koniec trzeciego dnia ich ciała, serca i dusze stanowiły harmonijną jedność. Annie z nikim nie czuła się tak swobodnie, a Tom miał wrażenie, że są idealnym małżeństwem. Z kobietą którą kiedyś poślubił, nie łączyło go nic oprócz seksualnego pożądania, jego związek z Annie był nieporównywalnie głębszy. Byli bratnimi duszami, oboje nie mieli co do tego najmniejszych wątpliwości. Annie nie chciała wracać do Nowego Jorku i w niedzielę z wielkim żalem pojechali na lotnisko. Powiedziała Tomowi, że nigdy nie zdoła odwdzińczyć mu się za te cudowne wspólne wakacje.

W niedzielę rano długo siedzieli na tarasie, próbując zdecydować, co powinni zrobić. Dzieci Annie były już dorosłe i z pewnością dość dojrzałe, aby zrozumieć, że ona i Tom chcą czasem spędzić ze sobą noc czy weekend, oboje podejrzewali jednak, że to w mieszkaniu Toma mogą liczyć na więcej spokoju. W pewnej chwili zaczęli się zastanawiać, czy nie zamieszkać razem, i Tom zapytał Annie, jaki jest jej stosunek do małżeństwa. Annie nie była pewna, czy zawarcie formalnego związku ma dla niej jakiegokolwiek znaczenie. Dawno temu przestała brać taką możliwość pod uwagę, lecz teraz znowu mogła ją rozważyć. Ostatecznie postanowili poczekać i zobaczyć, jak ułoży się ich wspólne życie. Przyrzekli też sobie uroczyście, że przynajmniej postarają się nie dopuścić, aby inni odrywali ich od siebie, i że będą traktować swój związek jako rzecz absolutnie najważniejszą. Annie nie przeszkadzało, że Tom musi często wyjeżdżać w sprawach zawodowych, a on powiedział,

że bez trudu pogodzi się z wymaganiami stawianymi jej przez pracę i kłopoty dzieci, byle tylko znalazła w życiu miejsce i dla niego. Ich związek miał rozpocząć się na dobre po opuszczeniu wysp Turks i Caicos. Trzymając się za ręce, wyszli z willi, zgodnie się obejrżeli i uśmiechnęli, pewni, że nigdy nie zapomną miejsca, gdzie narodziła się ich miłość.

W dniu wyjazdu Annie i Toma na Bahamy Lizzie siedziała w swoim gabinecie w redakcji „Vogue” i przygotowywała materiały do czerwcowego wydania, gdy zatrudniona na okres próbny asystentka poinformowała ją, że dzwoni do niej ktoś o nazwisku George. Pan George, poprawiła się zaraz skrupulatnie. Brzmiało to trochę jak pseudonim zawodowy jakiegoś fryzjera albo stylisty. Ponieważ Liz nie miała pojęcia, kto to może być, zamierzała poprosić dziewczynę, żeby zapisała wiadomość, ale w końcu kazała przełączyć rozmowę, pewna, że w ten sposób szybciej załatwi sprawę.

- Tak? - odezwała się oficjalnym tonem. - Tu Liz Marshall...

Mężczyzna, którego głos usłyszała w słuchawce, mówił po angielsku płynnie, chociaż z wyraźnym włoskim akcentem. W pierwszej chwili nie zorientowała się, z kim rozmawia, ale Włoch zaraz przedstawił się ponownie. Był to Alessandro di Giorgio, rzymski jubiler, który uratował ją w czasie sesji zdjęciowej na Place Vendôme ponad miesiąc temu.

- Och, dzień dobry! - zawołała, zawstydzona, że go nie poznała. - Co mogę dla pana zrobić? Dzwoni pan z Rzymu?

Obiecała wysłać mu próbny egzemplarz wydania magazynu, ale „Vogue” ze zdjęciami biżuterii nie był jeszcze gotowy.

- Nie, jestem w Nowym Jorku - wyjaśnił. - Telefonuję, żeby się pani przypomnieć.

Wielu jubilerów i projektantów biżuterii podtrzymywało z nią kontakty, żeby o nich pamiętała, nie była więc zaskoczona, chociaż przed spotkaniem w Paryżu nie miała okazji osobiście poznać Włocha.

- Jak poszło panu z żoną emira? - zagadnęła z uśmiechem. - Kupiła inne klejnoty?

- Zdecydowała się na wszystkie pięć, które pani wybrała do zdjęć. Była bardzo podekscytowana, że fotografie jej biżuterii ukażą się w „Vogue”. Liz pamiętała, że te ozdoby były warte pięć lub sześć milionów dolarów. Taka suma robiła wrażenie, ale nazwisko di Giorgio było szeroko znane w świecie.

- Co pan robi w Nowym Jorku? - spytała uprzejmie. Alessandro był bardzo sympatyczny, poza tym z całą pewnością zrobił, co mógł, żeby jej pomóc.

- Szukam odpowiedniego lokalu na sklep, ale nie mogę się zdecydować, czy powinniśmy otwierać tu salon. Od dawna dyskutujemy o tym z ojcem. On uważa, że tak, ja się z nim nie zgadzam. Wolałbym, żebyśmy nadal byli ekskluzywną marką europejską, natomiast mój ojciec chce rozszerzyć działalność handlową firmy na Nowy Jork, Tokio i Dubaj. - Alessandro się roześmiał. - W tym wypadku starszy wspólnik prezentuje bardziej nowoczesny sposób myślenia, natomiast ja jestem bardziej konserwatywny. Sam nie wiem, może rzeczywiście powinniśmy otworzyć tu salon sprzedaży. Tak czy inaczej, przyjechałem, żeby się rozejrzeć, i dzwonię z pytaniem, czy miałyby pani ochotę zjeść ze mną lunch, oczywiście jeżeli nie jest pani zbyt zajęta. Czy będzie pani w mieście w czasie weekendu?

Liz lubiła wyjeżdżać na weekendy, ale najczęściej nie mogła sobie na to pozwolić, ponieważ musiała zbierać ma-

teriały do tekstów albo do zdjęć. Zdarzało się, że pracowała przez cały tydzień, bez żadnego wolnego dnia. W ten weekend miała nadzieję wyskoczyć na narty, lecz plan nie wypalił.

- Tak, będę w Nowym Jorku - odparła.

- Więc może zjemy razem lunch w sobotę? Zatrzymałem się w hotelu Sherry-Netherland, na dole jest bardzo miła restauracja Harry Cipriani... Była to jedna z ulubionych restauracji Liz, a także jedna z najmodniejszych i najbardziej popularnych w Nowym Jorku.

Uśmiechnęła się lekko. Alessandro di Giorgio mówił o restauracji Cipriani w taki sposób, jakby był to mały hotelowy bar.

- Z przyjemnością spotkam się tam z panem - powiedziała.

- Przyjadę po panią jeżeli pani pozwoli.

- Mieszkam w centrum, to za daleko. Umówmy się w restauracji, dobrze? Alessandro miał nieco staroświeckie maniery, które były rzadkością w Stanach, lecz Liz bardzo się spodobały. Miała uczucie, że Włoch próbuje ją chronić; wcześniej podobne wrażenie odniosła w Paryżu, kiedy przyszedł jej z pomocą.

Następnego dnia zjawiała się u Ciprianiego w czarnych spodniach i swetrze oraz butach od Balenciagi na bardzo wysokich obcasach.

Alessandro był znacznie wyższy od niej i wiele osób przyglądało im się z pełnym podziwu zaciekawieniem. Rozpuszczone włosy Liz jasną falą opadały na ramiona okryte futrem z geparda, które jakiś czas temu kupiła w Paryżu w sklepie z ubraniami typu vintage.

Alessandro okazał się bardzo interesującym rozmówcą. Liz z zapartym tchem słuchała jego opowieści o firmowych sklepach i biznesie, a także o sławnych klientach, którzy

czasami zachowywali się co najmniej ekscentrycznie. Żadna z tych historii nie była w najmniejszym stopniu złośliwa, jedynie zabawna, i Liz śmiała się przez cały lunch. Przeszli na „ty”, świetnie się bawili i wyszli z restauracji dopiero o szesnastej.

- Chciałabyś może zobaczyć sklepy, nad którymi się zastanawiam? - spytał Alessandro.

Wszystkie znajdowały się bardzo blisko, przy Madison Avenue. Ruszli tam pieszo i obejrzelili trzy lokale, olbrzymie i bardzo drogie. Alessandro nie zachwyił się żadnym z nich, Liz także. Wydawały się zimne i nieprzyjazne.

- Moja ciotka jest architektem, może mogłaby zaprojektować dla ciebie jakieś ciekawe wnętrze - zasugerowała lekkim tonem.

Był to raczej żart niż poważna propozycja, lecz Alessandro sprawiał wrażenie zainteresowanego. Kiedy później Liz mimochodem wspomniała, że ciotka wychowywała ją i jest dla niej jak matka, popatrzył na nią ze zdziwieniem.

- Rodzice zostawili cię z ciotką?

W czasie lunchu nie wymieniali żadnych osobistych szczegółów. Liz wiedziała o nim tylko tyle, że jest wolny i ma siostrę, która także pracuje w rodzinnej firmie, jednak nie projektuje, tylko zajmuje się marketingiem i wizerunkiem marki.

- Straciłam rodziców, kiedy miałam dwanaście lat - powiedziała. - Moja ciotka wychowała mojego brata, siostrę i mnie. Jestem najstarsza.

- To musiało być straszne, stracić rodziców w tak młodym wieku - rzekł ze współczuciem, wyraźnie poruszony. - Trudno mi to sobie wyobrazić, naprawdę... Jestem bardzo przywiązany do moich rodziców, siostry i dziadków, włoskie rodziny takie po prostu są.

- My też. Kocham ciotkę i rodzeństwo.

- Twoja ciotka musi być wyjątkową kobietą, skoro zdecydowała się wami zaopiekować. Ma własne dzieci?

- Nie. Nigdy nie wyszła za mąż, była zbyt zajęta wychowywaniem naszej trójki. Miała dwadzieścia sześć lat, kiedy nasi rodzice zginęli. Była cudowna, nigdy nie zdołamy odwdzińczyć się jej za to, co dla nas zrobiła. Alessandro był mocno wzruszony jej opowieścią. Kiedy powoli wrócili pod hotel, była już siedemnasta. Lizzie podziękowała mu za lunch, a on zaproponował, że odwiezie ją do domu.

- Nie trzeba... - uśmiechnęła się. - Mieszkam w Village. Zawahał się. Liz zorientowała się, że nie ma ochoty się z nią rozstawać.

- Zechciałabyś wybrać się ze mną jutro na kolację? - zapytał.

Nie miał nic do roboty, obejrzał już lokale do wynajęcia i zostało mu tylko spotkanie z klientem w poniedziałek.

- Bardzo chętnie - powiedziała. - Wpadnij do mnie na drinka o ósmej, dobrze? Niedaleko mojego domu jest dobra włoska restauracja, Da Silvano. Zrobię rezerwację na dziewiątą albo dziewiątą trzydzieści. W Village mieszka więcej młodych ludzi, to bardziej nowoczesna dzielnica, możesz spokojnie włożyć dzinsy, jeżeli je przywiozłeś.

Zapisała swój adres na kartce. Zatrzymał dla niej taksówkę i pomógł wsiąść. Gdy odjeżdżała, Liz pomachała mu na pożegnanie. Spędziła z nim miłe popołudnie. Był sympatyczny, uprzejmy, inteligentny, zabawny, twórczy i naprawdę interesujący. Cieszyła się, że ma z kim spędzić weekend. Alessandro okazał się nieoczekiwanym darem niebios. W drodze do domu kupiła dwa duże bukiety kwiatów i włożyła butelkę białego wina do lodówki.

Stolik w Da Silvano zarezerwowała na dziewiątą trzydzieści. Kiedy Alessandro zjawił się u niej o ósmej, kwiaty

wyglądały przepięknie, muzyka była włączona, a Liz miała na sobie czarne skórzane obcisłe spodnie i długi biały sweter od Balenciagi. Alessandro włożył na tę okazję czarny sweter i dżinsy, i sprawiał wrażenie dużo młodszego niż poprzedniego dnia.

Przejrzał jej płyty i odkrył, że lubią podobną muzykę. Jej mieszkanie też bardzo mu się podobało. Przyniósł butelkę szampana i pachnącą świecę. Rozmawiali z takim ożywieniem, że o mały włos nie spóźnili się na kolację. Liz wpadła w Da Silvano na kilkoro przyjaciół ze świata mody i przedstawiła ich swojemu towarzyszowi. Zauważyła, że wszyscy byli pod wrażeniem jego wzrostu i męskiej urody. Jej samej znacznie bardziej podobał się jego miły uśmiech, poczucie humoru i inteligencja.

Alessandro był świetnie wykształconym i obytym w świecie Europejczykiem.

Z restauracji wyszli dopiero parę minut przed północą. Alessandro z uprzedzającą grzecznością pocałował Liz na pożegnanie w policzek i zostawił ją w holu. Umówili się na następny dzień na wczesny lunch w hotelu Mercer w SoHo, a później na spacer w Central Parku. Liz uznała, że Alessandro dosłownie spadł jej z nieba, tak samo jak wcześniej w Paryżu.

ROZDZIAŁ 19

Mimo wszystkich prób przywołania Kate do rozsądku, jakie podjęli Annie i Tom oraz podobnych wysiłków ze strony rodziców Paula, dwa tygodnie później młodzi wylecieli do Londynu, gdzie mieli przesiąść się na samolot do Teheranu. Byli bardzo podekscytowani podróżą, a Paul ogromnie się cieszył, że znowu zobaczy bliskich krewnych, szczególnie dziadka, którego jako dziecko po prostu uwielbiał.

Annie i rodzice Paula odwieźli ich na lotnisko. Wszyscy gawędzili przyjaźnie, rodzice Paula bardzo miło odnosili się do Annie i Kate. Ojciec chłopca pomógł młodym nadać bagaż, a matka dyskretnie wręczyła Katie starannie złożony szal na głowę i luźną tunikę z cienkiego szarego płótna. Wyjaśniła, że dziewczyna będzie musiała przykryć głowę szalem, kiedy wysiądzie w Teheranie i może nawet w samolocie. W Iranie powinna zawsze mieć osłoniętą głowę, natomiast płócienna tunika miała przydać się w sytuacjach, o których uprzedzi ją rodzina Paula. Annie przekonała Kate, aby zostawiła swoje najbardziej radykalne minispódniczki w domu, na co dziewczyna całkiem rozsądnie przystała, nie chcąc przyciągać niechętnych i oburzonych

spojrzeń. Annie czuła się trochę spokojniejsza, ponieważ Katie wyraźnie pragnęła uniknąć wszystkiego, co mogłoby urazić czy nieprzyjemnie zaskoczyć krewnych jej chłopaka.

Paul i Katie uściskali rodziców i ciotkę i przeszli przez bramkę. Ojciec chłopca zapewnił Annie, że młodym nic nie grozi. Jego zdaniem Teheran był równie nowoczesnym miastem, jak Nowy Jork, a Kate mogła czuć się zupełnie spokojnie pod opieką żony jego brata. Mimo tego Annie nadal uważała, że Kate i Paul są zbyt młodzi, aby wybierać się w tak daleką podróż. Wracając do domu, wciąż miała przed oczami obraz drobnej, objuczonej wielkim plecakiem Katie i od razu zaczęła za nią tęsknić. Jej obecność odgrywała ważną rolę w codziennym życiu Annie, która doskonale wiedziała, że teraz dom będzie nieprzyjemnie pusty i cichy. Pocieszała się tylko, że Kate wróci za dwa tygodnie.

Zaprosiła Toma, aby przeniósł się do niej na czas nieobecności Kate i oboje bardzo cieszyli się na tę możliwość. Dwa tygodnie od magicznego weekendu na wyspie Providenciales minęły w atmosferze cudownego spokoju - ekipy budowlane pracowały jak należy, klienci dobrze się zachowywali, Liz pracowała w redakcji, Ted samodzielnie zmagił się ze swoją trudną sytuacją. Annie martwiła się o najmłodszą siostrzenicę, ale poza tym wszystko było w porządku. Kilka razy była na kolacji z Tomem i nawet na scenie światowej polityki nie działo się nic nadzwyczajnego. Annie starała się filozoficznie podejść do wyprawy Kate. Prawie zdołała przekonać samą siebie, że dziewczyna bezpiecznie wróci. Paul uroczyście obiecał opiekować się Katie, lecz teraz, wracając z lotniska, Annie z niepokojem myślała o tym, że obydwójce wyglądali jak niewinne dzieci.

Szybko odmówiła za nich modlitwę i postanowiła przestać się zamartwiać.

Po południu zatelefonowała do Whitney. Już wcześniej opowiedziała przyjaciółce o Tomie i teraz Whitney nalegała, by Annie przyjechała z nim do Far Hills, ale sylwestrowa impreza uświadomiła Annie, że ich życie naprawdę bardzo się różni. Miały z Whitney wiele wspaniałych wspólnych wspomnień, lecz osobie z zewnątrz, a nawet samej Annie, spokojna egzystencja w Far Hills mogła wydawać się potwornie nudna. Wszyscy znajomi Whitney i Freda za dużo pili i rozmawiali wyłącznie o dzieciach oraz codziennych zajęciach. Annie nie chciała narażać Toma na boleśnie nieciekawą wieczór, więc jak na razie okazji do spotkania wciąż brakowało. Whitney bardzo imponował fakt, że Annie umawia się z popularnym dziennikarzem telewizyjnym. Annie obawiała się, że przyjaciółka może zrobić z tego wielką sprawę, ponieważ wiele razy widziała, jak dziwnie potrafią reagować ludzie na sławę Toma. Niewątpliwie był gwiazdą i niektórzy próbowali w jego obecności popisywać się, kwestionować jego wiedzę w dziedzinie polityki albo nawet pozwalali sobie na nieuprzejme uwagi. Tom zawsze zachowywał się najzupełniej naturalnie, lecz Annie nie wydawało się, aby spotkanie z Whitney, Fredem oraz ich sąsiadami mogło sprawić mu przyjemność. Szczerze mówiąc, sama nie przepadała za kółkiem znajomych Whitney, a ostatni sylwester mogła śmiało zaliczyć do najmniej udanych imprez w swoim życiu. Tom uratował ją przed następnymi takimi przyjęciami i mężczyznami w rodzaju Boba Grahama, za co była mu niezmiernie wdzięczna.

Whitney pogratulowała jej dojrzałości i spokoju. Uważała, że dla Kate wyprawa do Teheranu będzie doskonałym doświadczeniem oraz szansą na poznanie nieznanego

kultury, i cieszyła się, że Annie podchodzi do tej kwestii w tak rozsądny sposób.

- Nie miałam wyboru - powiedziała Annie. - Nie jestem spokojna, ale uznałam, że masz rację, rzeczywiście muszę pozwolić dzieciom popełniać błędy... Nie wyobrażaj sobie jednak, że przychodzi mi to z łatwością.

Od paru tygodni nękały ją koszmarne sny, ale przecież Katie miała komórkę, sporo pieniędzy, kartę kredytową i bilet powrotny do domu. Annie wiele razy przypominała jej też, aby w razie jakichkolwiek problemów od razu dzwoniła do niej lub wysłała SMS. Katie śmiała się z jej zapobiegliwości.

- Co będziecie robić z Tomem w czasie jej nieobecności? - spytała Whitney.

Wiedziała, że fakt, iż Kate mieszka teraz w domu trochę komplikuje życie parze zakochanych, ale Annie spędziła już kilka nocy w mieszkaniu Toma i słusznie podejrzewała, że wtedy Paul zostaje u Kate. Annie wiedziała, że młodzi traktują się bardzo poważnie, gdyby jednak postanowili się pobrać i mieć dzieci, ich sytuacja by się poważnie skomplikowała. Na szczęście Kate na razie planowała wycieczkę do Iranu, nie małżeństwo, Annie starała się więc patrzeć na całą sprawę z odpowiedniej perspektywy i nie denerwować się na zapas.

- Zamierzamy biegać nago po całym mieszkaniu! - Roześmiała się w odpowiedzi na pytanie Whitney. - Cóż, muszę przyznać, że przychodzi czas, kiedy wspólne mieszkanie z dorosłymi dziećmi zaczyna sprawiać pewne problemy, ale mimo wszystko bardzo się cieszę, że Kate jest ze mną. Mam tylko nadzieję, że na przyszły semestr wróci do szkoły. Annie nadal była bardzo niezadowolona, że Kate pracuje w salonie tatuażu, pilnowała się jednak, żeby zbyt często

się z tym nie zdradzać. Tom trochę ją utemperował. Odkąd zaczęła dzielić z nim życie, czuła się dużo spokojniejsza. Miała u boku dojrzałego człowieka, z którym mogła

o wszystkim porozmawiać i który patrzył na większość spraw w wyjątkowo wyważony sposób. Ogromnie jej to pomagało, choć oczywiście Tom nie miał własnych dzieci i nie do końca rozumiał łączącą ją z dziećmi więź.

Ted nie wrócił do domu po tamtej koszmarnej nocy, ale któregoś dnia wybrał się z Annie na lunch. Wydawało się, że jakoś sobie radzi, wyglądał jednak na przemęczonego i spiętego. Mimo nieustannych nacisków Pattie, nie zgodził się na ślub z nią przed sierpniem. Pattie rozpaczała, że ślub w tak zaawansowanej ciąży będzie dla niej wielkim upokorzeniem, lecz Ted nie ustępował. Miał serdecznie dosyć życia w ciągłym napięciu i w dalszym ciągu uważał, że dziecko w ich sytuacji to poważna pomyłka. Nie był gotowy na nowe obowiązki, ale zachowywał się całkiem dojrzałe. Był bardzo dobry dla Pattie i wykonywał za nią wszystkie domowe zajęcia. Szczerze przyznał się też Annie, że ma spore zaległości z wielu przedmiotów i nawet niezasłużona najwyższa nota u Pattie raczej nie poprawi jego bardzo marnej średniej.

Liz mimochodem wspomniała Annie, że w jej życiu pojawił się nowy mężczyzna, nie powiedziała jednak nic więcej. Annie nie dopytywała się, kto to taki, ponieważ z góry założyła, że chodzi o kolejnego fotografa, modela albo kogoś w tym rodzaju.

- Wydawało mi się, że zamierzałaś zrobić sobie krótką przerwę - przypomniała siostrzenicy.

Lizzie się roześmiała.

- Wiem, ale... Cóż... To zupełnie świeża znajomość, na razie nic poważnego... On mieszka w Rzymie i widzieliśmy się dopiero parę razy... Poznałam go w Paryżu, w cza-

sie sesji zdjęciowej, a potem przyjechał tutaj w sprawach zawodowych. Byliśmy na lunchu i kolacji. Najprawdopodobniej skończy się to na niczym, bo on rzadko bywa w Nowym Jorku, podobnie jak ja w Rzymie. Nie snuła żadnych planów, lecz Alessandro dzwonił do niej kilka razy dziennie i świetnie rozmawiało im się na różne tematy. Obiecał, że kiedy następnym razem Liz będzie w Paryżu, przyleci się z nią zobaczyć.

- Odległości są problemem do pokonania - zauważyła Annie. -

Oczywiście, jeśli w grę wchodzi właściwy mężczyzna! Gdyby przerodziło się to w coś poważnego, pewnie mogłabyś dostać pracę we włoskiej redakcji „Vogue”.

- On też tak mówi - przyznała Liz. - Ale na razie to nie ten etap, jeszcze nawet z nim nie spałam. Nie chciałam pójść do łóżka z facetem, którego może nigdy więcej nie zobaczę.

Ale w głębi duszy wiedziała, jak trudno było jej oprzeć się pokusie. Kiedy Alessandro pocałował ją podczas spaceru w Central Parku, o mało nie zemdląła w jego ramionach. Wieczorem długo i namiętnie całowali się na kanapie u niej, ale jakoś zdołali się opanować i Liz była z tego bardzo zadowolona.

- Nie wygląda mi to na przelotną znajomość - Annie się uśmiechnęła.

Liz nigdy dotąd nie mówiła w taki sposób o żadnym mężczyźnie, pewnie dlatego, że do tej pory umawiała się tylko z chłopcami. Alessandro był mężczyzną i Annie miała wrażenie, że Liz wreszcie gotowa jest podjąć ryzyko i zaangażować się głębiej niż zwykle. Cieszyło ją to, bo przecież Lizzie zasługiwała na przyzwoitego, uczciwego człowieka, kogoś zupełnie innego niż rozkudłani pseudo-artysty, których wcześniej wybierała. Pragnęła, żeby Ted również znalazł miłą dziewczynę, ale w tej chwili wszyst-

ko wskazywało na to, że właśnie on jest w najtrudniejszej sytuacji. W piątkowy wieczór Ted wybrał się na mecz koszykówki na uczelni. Ten weekend dzieci Patrie miały spędzić u ojca, a ona starała się przekonać Teda, aby został z nią w domu. Skarżyła się na ból głowy i powtarzała, że potrzebuje jego bliskości, natomiast on z łagodnym uporem odpowiadał, że musi mieć przynajmniej parę chwil dla siebie. Ostatnio w ogóle nie spotykał się z przyjaciółmi, ponieważ Pattie od początku ciąży stale domagała się jego obecności. Tym razem Ted uprzedził ją, że wieczorem wychodzi i przenocuje u siebie, bo pewnie sporo wypije. Bardzo jej się to nie podobało, nie mogła jednak nic zrobić.

Ostatecznie Ted wcale nie wypił tak dużo, jak sądził, a uczelniana drużyna przegrała z kretesem. W drodze do domu ogarnęły go wyrzuty sumienia, pożegnał się więc z kolegą i postanowił zrobić Pattie niespodziankę. Kiedy wszedł, leżała na kanapie z miską popcornu na brzuchu, oglądała jakąś romantyczną komedię w telewizji i bardzo się ucieszyła na jego widok.

- Co tu robisz? - zapytała radośnie.

Nadal wyglądała tak samo jak przed ciążą. Była dopiero w trzecim miesiącu, więc jeszcze nie zaczęła przybierać na wadze.

- Zateśniłem za tobą - odparł z uśmiechem. Częściowo była to prawda, ponieważ zdążył się już

przyzwyczaić do życia z Pattie. Wiedział jednak, że następnego dnia kochanka znajdzie jakiś sposób, żeby ukarać go za wyjście z kolegami. Sama nie miała przyjaciół ani bliskich znajomych i pewnie również z tego powodu tak rozpaczliwie trzymała się Teda. Nawet pięć minut bez niego stanowiło dla niej problem, dlatego łatwiej było mu po

prostu wrócić do niej na noc niż później wysłuchiwać niekończących się narzekań.

- Jadłeś kolację? - zagadnęła.

Nie była dobrą kucharką ale dbała, żeby nie był głodny. Żywili się głównie pizzą i gotowymi daniami z chińskiego baru, za co oczywiście płacił Ted. Pattie zabierała się do gotowania mniej więcej raz na miesiąc. Teraz w kuchni stało duże opakowanie pieczonych kurzych skrzydełek i udek z KFC. Ted wyjął z kartonu kawałek jeszcze ciepłego mięsa.

- Zjadłem hot doga i nachosy w przerwie meczu - odparł.

Skończył kurczaka, otworzył puszkę piwa i zostawił ją na stole, ponieważ musiał pójść do toalety. Zamknął za sobą drzwi, zapalił światło i nagle znieruchomiał, ze wzrokiem utkwionym w pływający w misce klozetowej przedmiot. Z roztargnieniem potarł czoło, niepewny, czy się nie myli. W mieszkaniu nie było nikogo poza Pattie, a przecież... Ta dziwna rzecz wyglądała jak zakrwawiona mysz, ale był to tampon i woda w misce była również czerwona od krwi. Pattie zapomniała spuścić wodę... Nie poroniła, bo głośno śmiała się z jakiejś sceny w filmie i kiedy Ted wyszedł z łazienki, uśmiechnęła się do niego.

W jego głowie wirowały gorączkowe myśli, lecz nic jej nie powiedział.

Stanął przy oknie w kuchni i zapatrzył się w ciemność, próbując zrozumieć, co właściwie zobaczył i jakie ma to dla niego znaczenie.

Wydawało mu się niemożliwe, aby Pattie zrobiła mu coś takiego, ale jednak... Może cały czas kłamała, oszukiwała go. Musiał wiedzieć, co się dzieje.

Chwycił kurtkę, rzucił, że za parę minut wróci i podszedł do drzwi.

- Gdzie idziesz? - Ze zdziwieniem odwróciła ku niemu głowę.

- Muszę na chwilę wyjść... - wymamrotał, nie potrafiąc ukryć zdenerwowania.

Pattie nie poczuła nawet najsłabszego ułucia niepokoju. Wiedziała, że wróci. Czasem zachowywał się jak dzieciak, ale nigdy nie trwało to długo.

Dwie przecznice dalej znajdowała się otwarta całą dobę apteka. Ted kupił dwa testy ciążowe, wsunął je do kieszeni i pognął z powrotem. Wbiegł na górę, pokonując po dwa stopnie. Nadal drżał na całym ciele i kiedy wpadł do mieszkania, na jego twarzy malowało się coś, czego Pattie jeszcze nie widziała. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego krocza, a on chwycił ją za ramię i pociągnął za sobą w stronę łazienki, nawet nie zdejmując kurtki.

- Co ty wyprawiasz? - Zmarszczyła brwi. - O co chodzi? Nie miała pojęcia, co go napadło ani dlaczego wychodził.

- Ty mi powiedz! - warknął.

Znowu próbowała go dotknąć, przekonana, że chce się z nią kochać, ale Ted zdecydowanym ruchem odsunął jej dłoń. Wyjął z kieszeni test ciążowy i podał jej. Pattie drgnęła, zaskoczona i chyba trochę zbita z tropu.

- Nie potrzebuję tego... - zaśmiała się. - Nie rób sobie żartów.

Gdy Ted otworzył opakowanie, zbladła.

- Zrób test! - polecił głosem, który wydał jej się zupełnie obcy.

Trząsł się jak w gorączce. Nie miał już cienia wątpliwości, że Pattie próbowała zrujnować mu życie i prawie zmusiła go do zawarcia małżeństwa, szantażując nieistniejącą ciążą. Wyszedł z łazienki i oparł się o ścianę. Stał tam bardzo długo. Zza drzwi dobiegał cichy płacz Pattie.

Gra była skończona. W końcu stanęła w progu, bez testu, i popatrzyła na niego z rozpaczą.

- Przepraszam - wyszeptała, nie ocierając spływających po jej policzkach łez.

Z przerażeniem rozejrzała się po pokoju. Oboje doskonale wiedzieli, że gdyby zrobiła próbę ciążową, wynik byłby negatywny. Teraz rozumiał, dlaczego po południu powiedziała mu, że boli ją głowa. Nie mogła się zgodzić na seks, bo wtedy odkryłby, że ma miesiączkę.

- Kocham cię - szepnęła przez łzy. - Przepraszam...

- Jak mogłaś mi to zrobić?! - krzyknął. - Jak mogłaś szantażować mnie, że zabijesz siebie i dziecko?! To dlatego tak ci zależało, żebym ożenił się z tobą teraz, nie później! I co byś zrobiła, gdybym w końcu zapytał, dlaczego wciąż masz płaski brzuch?! Powiedziałaabyś, że poroniłaś, tak?! Idiota ze mnie, to prawda, ale ty jesteś podłą, podstępna suką! - Dygotał z wściekłości i ulgi. - Nie zbliżaj się do mnie nigdy więcej, przenigdy!

Wyminął ją i ruszył do drzwi, ona jednak pobiegła za nim, rzuciła się na kolana i z całej siły objęła go za nogi.

- Nie zostawiaj mnie! - wykrztusiła. - Kocham cię, Ted!

- Nie wiesz nawet, co to znaczy! - Otworzył drzwi i wyszarpnął się z jej ramion.

Zbiegając po schodach, uświadomił sobie, że wciąż ma na sobie kurtkę.

Nie zamierzał wracać do mieszkania Pattie, nie chciał więcej widzieć rzeczy, które tam zostawił. Mocnym pchnięciem otworzył prowadzące na ulicę drzwi i dosłownie zachłysnął się zimnym, świeżym powietrzem.

Biegł przez całą drogę do domu. Czuł się tak, jakby uciekł z więzienia.

Udało mu się, szczęście przyniósł mu zakrwawiony tampon i to, że Pattie zapomniała spuścić wodę w toalecie. Chciało mu się śmiać i krzyczeć na całe gardło. Nie było w nim miłości, tylko czysta nienawiść. Chciała zniszczyć mu życie, chociaż on starał się zrobić, co do niego należało.

Mało brakowało, a zrezygnowałby dla

niej ze studiów i z normalnego życia, tymczasem ona oszukiwała go i manipulowała nim. Posłużyła się seksem, żeby mieć nad nim władzę, oraz samobójczymi groźbami, by zatrzymać go przy sobie. Jego komórka dzwoniła jak oszalała, ale nie odpowiadał. Okłamała go bez cienia litości. Nie było żadnego dziecka, była tylko Pattie, która wbiła w niego swoje szpony i nie zamierzała popuścić.

Wszedł do mieszkania, nalał pół szklanki tequili i właśnie dopijał alkohol, kiedy do kuchni wszedł jeden z jego współloka torów.

- Mamy imprezę? - zapytał z szerokim uśmiechem.

- Ja na pewno tak! - odparł Ted.

Tak dobrze jak w tej chwili nie czuł się od wielu tygodni, może nawet miesięcy. Był wolny. Nalał sobie jeszcze trochę tequili.

- Spokojnie, nie śpiesz się tak! - ostrzegł go kolega. - Jutro będziesz się czuł jak psia kupa, zobaczysz!

Ted puścił jego słowa mimo uszu. Na razie czuł się wspaniale. Było mu trochę dziwnie, bo oto nagle nienawidził kogoś, kogo podobno miał kochać i kogo nawet przyrzekł poślubić, ale przecież Pattie nigdy nie była tą osobą, jaką udawała. Ted poszedł do pokoju i usiadł na kanapie.

Oglądał telewizję z butelką tequili między nogami, co jakiś czas dolewał odrobinę alkoholu do szklanki i gapił się w przestrzeń, próbując zrozumieć, co mu się przydarzyło.

O drugiej w nocy odebrał telefon z izby przyjęć szpitala Downtown. W milczeniu wysłuchał wiadomości.

- Wyjdzie z tego? - zapytał w końcu martwym głosem.

Był mocno pijany, ale rozumiał, co mówiła do niego pielęgniarka. Pattie miała płukanie żołądka. Połknęła sześć tabletek nasennych, co w żadnym razie nie było dawką śmiertelną, i sama wezwała pogotowie. Pielęgniarka powiedziała, że nic jej nie grozi, zatrzymali ją jednak, żeby

porozmawiał z nią psychiatrą, ponieważ przyznała, że była to próba samobójcza. Prosiła, żeby ktoś zadzwonił do Teda.

- Chciałaby, żeby pan do niej przyjechał.

- Proszę jej powiedzieć, że jestem zbyt pijany. Przyjadę rano.

Odłożył słuchawkę, wypił resztę tequili i poszedł spać. Miał gdzieś jej samobójczą próbę, równie nieprawdziwą jak dziecko, którego nigdy nie było. Patrie nie cofała się przed żadną metodą manipulacji, wreszcie to pojął.

Rano obudził się z potwornym bólem głowy, ale o dziewiątej trzydzieści był już w szpitalu. Bez trudu znalazł jej pokój. Leżała na łóżku i wyglądała bardzo blado. Na krześle obok siedziała młodsza pielęgniarka, jak zwykle w przypadku niedoszłych samobójców. Kiedy Ted wszedł do pokoju, dziewczyna zaproponowała, że zostawi ich samych, lecz on odmówił. Praktykantka uśmiechnęła się do niego, bo był młody, przystojny i wyraźnie skacowany, ale mimo nocnych ekscesów czuł się dużo lepiej, niż w ciągu ostatnich miesięcy. Pattie wyglądała znacznie gorzej. Najwyraźniej nie była zadowolona, że zatrzymano ją do wizyty psychiatry. Na widok Teda zaczęła płakać i wyciągnęła do niego ramiona, ale on nawet nie drgnął. Stał w progu, wystarczająco daleko, żeby nie mogła go dosięgnąć.

- To koniec, Pattie! Nie szantażuj mnie więcej, nie zabijaj się z mojego powodu ani nie udawaj, że chcesz to zrobić! Nie mów mi, że mnie kochasz i nie opowiadaj mi o naszym dziecku! Skończyłem z tobą, nie obchodzi mnie, co teraz zrobisz! Nie powinnaś była mnie okłamywać i udawać, że jesteś w ciąży!

Młoda pielęgniarka obserwowała ich z nieskrywanym zainteresowaniem. Pattie położyła się na brzuchu i rozszlochała na dobre.

- Wynoś się z mojego życia! Nie dzwoń do mnie, moje prace zaliczeniowe wyślę ci pocztą i mam to gdzieś, czy mnie oblejesz! Rób, co chcesz! Chce mi się rzygać, kiedy pomyślę, jak mnie potraktowałaś! Odwrócił się na pięcie i wyszedł. Drzwi zamknęły się za nim cicho. Słyszał histeryczny płacz Pattie, ale nic go to nie obchodziło. W korytarzu zatrzymała go jedna z pielęgniarek oddziałowych. Powiedziała, jak jej przykro, że Pattie znowu jest w szpitalu i że po czterech samobójczych próbach powinna poddać się porzadnemu leczeniu. Kobieta trafnie odgadła, że Ted jest studentem Pattie, i dodała, że jej poprzedni dwaj partnerzy też ją tu odwiedzali. Pielęgniarka popełniła poważną niedyskrecję, ale Ted był jej za to bardzo wdzięczny. Zastanawiał się, ilu swoim studentom Pattie zrobiła coś takiego, ile razy udawała, że jest w ciąży albo popełnia samobójstwo, żeby ich zatrzymać. Naprawdę chciało mu się rzygać. Pattie była prawdziwą desperatką. Zaraz po powrocie do domu zadzwonił do Annie i opowiedział jej, co się stało.

- Wszystko to było jedno wielkie oszustwo - rzekł głucho. - Wcale nie była w ciąży.

- Jak to odkryłeś? - spytała Annie.

Jadła właśnie z Tomem śniadanie i czytała gazetę. Mieli już plany na weekend.

- Nieważne! Cały czas mnie okłamywała. - Głos Teda załamał się gwałtownie.

Pattie tyle razy płakała, obrzucała go oskarżeniami i wyzwiskami, groziła, że się zabije, jeżeli nie spełni jej żądań... Teraz już się nie bał. Nie wyobrażał sobie, żeby w ogóle czegokolwiek miał się jeszcze bać, nie sądził też, aby mógł komuś uwierzyć i zaufać.

- Skończyło się - powiedział cicho.

Zatelefonował jeszcze do Liz, a potem wyciągnął się na łóżku z obolałą głową, ale lekkim sercem. Dopiero teraz uświadomił sobie, że był uzależniony od Pattie, która z pełną świadomością wprowadziła go w ten stan i wykorzystywała jego uzależnienie jako metodę kontroli nad nim. Robiło mu się zimno ze strachu, kiedy o tym myślał. Miał ogromne szczęście, że dowiedział się, jak wygląda prawda. Wreszcie odzyskał wolność.

- Co się stało? - zapytał Tom, kiedy Annie odłożyła słuchawkę.

Widział, że chodzi o coś naprawdę ważnego.

- Nie wiem... Ted odkrył, że Pattie wcale nie była w ciąży, że przez cały czas tylko go oszukiwała. Dowiedział się tego wczoraj wieczorem. Mówi, że to koniec. Dzięki Bogu!

Westchnęła ciężko i uśmiechnęła się do Toma. Czuła ogromną ulgę.

- No, w takim razie możesz wykreślić tę pozycję ze swojej listy zmartwień! - Tom przechylił się przez stół i pocałował ją. - Wygląda na to, że chłopak miał sporo szczęścia!

Skinęła głową i naląła mu drugą filiżankę kawy. W tym czasie Ted spał już jak zabity w swoim łóżku, z szerokim uśmiechem na twarzy. Musiał przespać kaca po tequili.

ROZDZIAŁ 20

Kiedy Katie i Paul przeszli przez stanowisko kontroli paszportowej na lotnisku JFK i ostatni raz pomachali na pożegnanie Annie i rodzicom, dziewczynę ogarnęło przyjemne podniecenie. Po drodze do samolotu zatrzymali się i kupili cappuccino w kawiarni Starbucks, świadomi, że teraz przez jakiś czas nie będą mogli tego zrobić. Niedługo miało ich wchłonąć rodzinne życie krewnych Paula w Teheranie.

Paul nie był w Iranie od dziewięciu lat. Jego rodzice czasami rozmawiali o powrocie, ale nie mogli się zdecydować. Przywykli do życia w Ameryce, przystosowali się do nowej rzeczywistości i ostatecznie nie wrócili do Teheranu, nawet tylko z wizytą. Czas mijał. Ojciec Paula przyjechał do pracy w Stanach tylko na parę lat, ale powodziło mu się lepiej, niż przypuszczał, więc został. Jego rodzina bez przerwy błagała, żeby wrócił, lecz on miał teraz sporą firmę w Nowym Jorku i ciężko pracował, a matka Paula cieszyła się życiem wyemancypowanej kobiety. Przestała przykrywać głowę i zarzuciła wiele zasad, co oczywiście stworzyłoby duże problemy, gdyby wrócili do Teheranu. Oboje cieszyli się, że zostali Amerykanami i szybko przywykli do nowego stylu życia. To Paul najmocniej pragnął

odwiedzić rodzinę w Iranie i wciąż przywoływał cudowne wspomnienia ze spędzonego tam dzieciństwa. Chciał znowu zobaczyć rodzinny kraj, wszystkie miejsca, które kiedyś znał i kochał, i podzielić się z Kate swoją historią oraz dziedzictwem. Dziewczyna była zachwycona, że może wyruszyć z nim w tę szczególną podróż.

Paul często opowiadał jej o Persepolis, o wsiach wokół Teheranu oraz o egzotycznym zapachu bazaru. Chciał pokazać jej to wszystko i był dumny, że wraca do kraju jako mężczyzna, nie chłopiec. Jego matka nie chciała, żeby pojechał do Iranu wcześniej, nim nie zostanie oficjalnie zwolniony z obowiązku służby wojskowej, co ostatecznie stało się dopiero przed rokiem. Jako dziecko Paul miał szmery w sercu, a to dawało podstawę do zwolnienia, tyle że załatwianie formalności trwało bardzo długo.

Chociaż *Faul* dostał amerykańskie obywatelstwo, nadal miał irański paszport i wiedział, że w rodzinnym kraju będzie traktowany jak Irańczyk. Katie miała przy sobie kopie ich amerykańskich paszportów na wypadek, gdyby zgubili oryginały albo mieli jakieś nieprzewidziane kłopoty w podróży. Wizę odebrała w ambasadzie Pakistanu, ponieważ w Stanach nie było ambasady Iranu, a w Iranie ambasady Stanów. Departament Stanu poinformował ją że w razie jakichkolwiek problemów na terenie Iranu powinna zgłosić się do ambasady Szwajcarii w Teheranie. Kate i Paul byli przekonani, że dyplomatyczna pomoc nie będzie im potrzebna, ale jednak dobrze było wiedzieć, gdzie jej szukać. Powiedziano im też, aby trzymali się z dala od politycznych demonstracji i wszelkich protestów, ale oczywiście taka rada była rozsądna w odniesieniu do każdego kraju. Kate i Paul nie chcieli zostać aresztowani przez pomyłkę, za to, że w niewłaściwym czasie znaleźli się w niewłaściwym miejscu. W takim wypadku Paul zostałby potrakto-

wany jak obywatel Iranu, a Kate również mogłaby trafić do więzienia jako dysydyntka, nie było jednak żadnego powodu, aby spotkały ich kłopoty z władzami, jak powiedział Annie ojciec Paula. Dodatkowym plusem był fakt, że dom krewnych chłopca znajdował się w zamożnej willowej dzielnicy Teheranu.

Kate bardzo chciała odwiedzić muzea, uniwersytet i wielki bazar. Dwóch kuzynów Paula studiowało, jego stryj wykładał na uczelni, a najstarsza kuzynka miała za rok rozpocząć studia.

Paul i Katie kupili bilety do Londynu, tam przesiadali się na samolot Irańskich Linii Lotniczych. Mieli wylądować na Międzynarodowym Lotnisku imama Chomeiniego w Teheranie. Kate wiedziała od Paula i z lektury, że irańskie kobiety są dość wyzwolone - studiują, są dobrze wykształcone, mogą prowadzić samochód, głosować i sprawować urzędy publiczne.

W czasie lotu do Londynu najpierw oglądali film, a potem zasnęli. Na lotnisku Heathrow przeszli się po sklepach, nim wsiedli do samolotu. Zajęli miejsca i jeszcze przed startem zaproponowano im herbatę, wodę oraz soki owocowe. Ani na pokładzie samolotu, ani nigdzie w Iranie nie podawano alkoholu. Kiedy uśmiechnięta stewardesa podała Kate szklankę soku, dziewczyna poczuła się tak, jakby już przekroczyła próg innego świata.

Paul napisał do stryja i ciotki, i wyjaśnił, że przywiezie ze sobą przyjaciółkę, młodą kobietę, z którą uczy się w szkole i która chce odwiedzić Iran, aby poszerzyć swoją wiedzę o świecie. Oboje zdecydowali, że lepiej będzie przedstawić to właśnie w taki sposób i nie wspominać, że są w sobie zakochani. Paul ostrzegł Katie, że będą musieli zachować ostrożność, unikać pieszczot i czułych gestów nawet w domu stryja. Nie chciał urazić krewnych i Kate

całkowicie go w tym wspierała. Nie ulegało wątpliwości, że byliby zaskoczeni, że Paul związał się z Amerykanką, nie z Arabką, lepiej więc było zachować to w tajemnicy. Kate wiedziała, że w krajach arabskich wszelkie przejawy uczucia między muzułmaninem a kobietą Zachodu są w miejscach publicznych nie do przyjęcia i obiecała Paulowi trzymać się tej zasady. Nie miała zamiaru ani ochoty kogokolwiek denerwować, oboje chcieli tylko odwiedzić rodzinę Paula i w spokoju cieszyć się wymarzoną wyprawą.

Podany w czasie sześciogodzinnego lotu posiłek był tradycyjny, przygotowany zgodnie z muzułmańskimi zasadami i nakazami dietetycznymi. Kate i Paul najedli się do syta i zapadli w sen. W samolocie wyświetlano filmy, ale oni głównie spali. Cała podróż z Nowego Jorku do Teheranu trwała trzynaście godzin. Na lotnisku Chomeiniego mieli wylądować po jeszcze jednym, tym razem lekkim posiłku. Gdy podchodzili do lądowania, Kate z uśmiechem popatrzyła na Paula. Czuła, że są sobie bliżsi niż kiedykolwiek i bardzo cieszyła się na tę wspólną przygodę.

Czyste i schludne lotnisko tętniło życiem. Był tu tylko jeden terminal i wszystkie samoloty, z krajów arabskich i innych, lądowały na tej samej płycie, więc odebranie bagażu trwało prawie godzinę. Katie z zaciekawieniem rozglądała się dookoła, co jakiś czas sprawdzając, czy szal nie zsunął się jej z głowy. Przywiozła z sobą niewiele - parę dłuższych spódnic, kilka par dżinsów, swetry i dwie sukienki, wszystko w stonowanych kolorach, bez wycięć i dodatków w stylu punk. Wyjęła też wszystkie kolczyki z uszu, pierwszy raz od czasu, gdy skończyła trzynaście lat, i zamierzała nosić rzeczy z długimi rękawami, żeby zasłonić tatuaże. Annie zauważyła przed ich wyjazdem brak kolczyków w uszach siostrzenicy i zdała sobie sprawę, że Kate musi naprawdę kochać Paula, skoro gotowa jest tyle dla niego

poświęcić. Najwyraźniej spotkanie z rodziną chłopca było dla niej ważnym wydarzeniem.

Jeszcze w Nowym Jorku i w czasie podróży Paul dużo opowiadał Kate o swoich krewnych. Jego dwie kuzynki, Shirin i Soudabeh, miały czternaście i osiemnaście lat, a kuzyni dwadzieścia jeden i dwadzieścia trzy. Jeden z nich, rówieśnik Paula, studiował medycynę na Uniwersytecie Teherańskim, a drugi, w wieku Kate, historię sztuki. Ten młodszy zamierzał zostać kiedyś kustoszem muzeum w Teheranie, które cieszyło się bardzo dobrą opinią.

W końcu odebrali bagaż i podeszli do stanowiska kontroli paszportowej. Kate podała swój paszport i jeden z wartowników pobrał jej odciski palców, co było rutynowym postępowaniem przy odprawie cudzoziemców. Wbito jej wizę i przeszła na drugą stronę. Paul musiał przedstawić paszport i książeczkę wojskową ze zwolnieniem z obowiązku służby. Tu nie był już uważany za Amerykanina. Jeszcze w samolocie schował swój amerykański paszport do wewnętrznej kieszeni plecaka, świadomy, że w Iranie nie będzie się mógł nim posługiwać. Zgodnie z obowiązującym tu prawem do końca życia miał być Irańczykiem, a gdyby w Stanach urodziły mu się dzieci, one także uważane by były za obywateli jego ojczystego kraju. To samo dotyczyłoby Kate, gdyby kiedyś się pobrali.

Wszyscy odnosili się do nich bardzo uprzejmie i pomagali im, kiedy przechodzili przez kontrolę celną oraz imi-gracyjną. Kate starała się nie stać zbyt blisko Paula, nie dotykać go i nie uśmiechać się do niego zbyt serdecznie. Przez najbliższe dwa tygodnie mieli być tylko i wyłącznie przyjaciółmi.

Kiedy przeszli kontrolę i ogarnęli wzrokiem twarze oczekujących na podróżnych, natychmiast rozpoznała rodzinę Paula. Stryj był bardzo podobny do jego ojca, tyle że niższy

i starszy, a ciotka Jelveh była drobną, ciepłą i chyba przyjaźnie nastawioną do ludzi osobą. Obaj kuzyni Paula wyraźnie go przypominali; ich siostry nie przyjechały na lotnisko. Paul spontanicznie objął kuzynów, których tak długo nie widział, a potem trafił prosto w ramiona ich rodziców. Wszyscy obejmowali go ze łzami w oczach. Paul przedstawił Katie jako koleżankę ze szkoły w Nowym Jorku, a ona przywitała się nieśmiało.

Po chwili zauważyła starszego mężczyznę, który stał nieco z tyłu i przyglądał się całej scenie z poważnym wyrazem twarzy. Niewątpliwie był to dziadek Paula. Pytająco spojrział na swego syna, stryja Paula, jakby nie do końca pewny, kim jest przybyły. Ciotka łagodnie wyjaśniła mu, kogo witają i wtedy staruszek rozplakał się i mocno objął chłopca. Był to bardzo wzruszający moment i po policzkach Paula również popłynęły łzy. Chłopak tak bardzo zmienił się w ciągu ostatnich dziewięciu lat, że dziadek go nie poznał. Kiedy wychodzili na zewnątrz, starzec cały czas obejmował Paula ramieniem i zachowywał się jak ojciec witający marnotrawnego syna. Gdy starszy pan wsiadł do czekającej na nich furgonetki, Paul półgłosem wyjaśnił Kate, że jego dziadek ogromnie się postarzał przez ostatnie lata. Zdaniem Kate sprawiał wrażenie bardzo kruchego fizycznie, a także trochę zdezorientowanego. Jelveh wytłumaczyła Paulowi, że jego dziadek sądzi, iż wnuk wrócił do Teheranu na stałe. Paul był głęboko poruszony i szczęśliwy, że zdecydował się odwiedzić rodzinny kraj, nawet jeżeli wizyta miała trwać tylko dwa tygodnie. Ledwo wysiadł na lotnisku, a już wszystko zaczęło przypominać mu, jak bardzo kochał Iran. Przyszło mu do głowy, że jego rodzice być może przeczuwali, jak trudno byłoby im opuścić ojczyznę po raz drugi i dlatego woleli tu nie wracać.

Krewni Paula traktowali Kate z uprzedzającą grzeczno-

ścią, a jeden z jego kuzynów zaniósł jej torbę do samochodu. Usiadła z tyłu, razem z ciotką Paula, aby trzej kuzyni mogli siedzieć obok siebie. Jelveh dopytywała się troskliwie, czy Kate jest bardzo zmęczona podróżą i obiecała jej pyszny posiłek, który córki właśnie przygotowywały w domu. Paul już wcześniej mówił dziewczynie, że Jelveh jest doskonałą kucharką.

Kiedy stryj Paula wiózł ich w stronę miasta, Jelveh przyznała się Kate, że nigdy nie wyjeżdżała z Iranu, a Nowy Jork wydaje jej się okropnie odległym miejscem. W tym momencie Katie całkowicie się z nią zgadzała. Starsza kobieta pogratulowała jej zainteresowania Iranem i kulturą muzułmańską. Kate naturalnie nie wyjaśniła, że jej fascynacja bierze się z pobudek nie tyle akademickich, ile romantycznych. Zaczęli już udawać przyjaźń, było zresztą zdecydowanie za wcześnie na to, aby informować rodzinę Paula o poważnej naturze ich związku. Paul chciał, żeby wszyscy najpierw dobrze poznali Katie.

Wokół lotniska panował duży ruch, arterie miejskie też były tu i ówdzie zakorkowane, dlatego dopiero po blisko dwóch godzinach dotarli do domu stryja Paula w dzielnicy Pasdaran w północnej części miasta. Kate z zaciekawieniem wyglądała przez okno i prawie się nie odzywała, zbyt pochłonięta obserwowaniem ludzi i miasta, natomiast cała rodzina z ożywieniem rozmawiała w języku farsy, chociaż wszyscy mówili płynnie po angielsku.

Teheran sprawiał wrażenie nowoczesnego miasta, zabudowanego i wieżowcami, i niższymi budynkami. Wspólnymi punktami wszystkich dzielnic były liczne meczety. Miasto miało dzielnicę finansową i handlową i Kate nie mogła się już doczekać, kiedy na własne oczy zobaczy bazar, który Paul tak barwnie jej opisał. Koniecznie chciała kupić coś wyjątkowego dla Annie. Paul pokazał jej uniwer-

syntet oraz wieżę Azadi. Sam, patrząc na miasto, z każdą chwilą coraz wyraźniej uświadamiał sobie, jak bardzo zmienił się Teheran od czasu jego wyjazdu. Teraz mieszkało tu piętnaście milionów ludzi, ulice były bardzo zatłoczone i gwarne. Kate ze zdumieniem pomyślała, że w porównaniu z Teheranem Nowy Jork wydaje się spokojniejszy, ale nawet tu, w stolicy, i to zaledwie po dwóch godzinach od przylotu, miała wrażenie, że znajduje się w egzotycznym miejscu. Ogromnie cieszyła się, że przyjechała tu z Paulem, zwłaszcza że wśród jego bliskich czuła się najzupełniej swobodnie - wszyscy zachowywali się bardzo miło i traktowali ją z sympatią i szacunkiem.

Zwróciła uwagę, że siedzący z przodu dziadek Paula odzywał się bardzo rzadko i prawie przez całą podróż w zamyśleniu wpatrywał się w okno; co jakiś czas odwracał się tylko i patrzył na Paula ze łzami w oczach, a raz czy dwa poklepał chłopca po ręce, jakby chciał się upewnić, że ma do czynienia z żywym człowiekiem, nie z ułudą i zaraz potem przyciszonym głosem powiedział coś do syna. Paul i jego kuzyni gadali i śmiali się, natomiast Jelveh skrupulatnie pokazywała Kate ważne budynki, pomniki i miejsca.

W końcu zatrzymali się przed obszernym rodzinnym domem, praktycznie niczym nie różniącym się od dużych willi na przedmieściach Nowego Jorku. Ten był tylko trochę większy i ozdobiony pięknymi kamiennymi łukami nad drzwiami i oknami. Dwie kuzynki Paula czekały na nich na trawniku przed domem i gdy tylko upragniony gość wysiadł z furgonetki, natychmiast zaczęły go ścisnąć i całować. Paul nie krył zdziwienia, bo gdy widział je ostatnim razem, jedna miała pięć, a druga dziewięć lat, tymczasem teraz miał przed sobą piękne młode kobiety o aksamitnych brązowych oczach, skórze koloru miodu, takiej jak jego własna i pewnie kruczoczarnych włosach (jak

przypuszczała Kate), ukrytych pod szalami. Nie pojechały na lotnisko, żeby dopilnować wspaniałego lunchu na cześć Paula i Katie, który razem z matką przygotowywały od świtu.

Wszyscy zdjęli buty przed wejściem i Jelveh natychmiast pośpieszyła do kuchni, aby doprawić smakowite potrawy. Powietrze w domu przesycone było cudownym aromatem cynamonu, pomarańczy i jagnięciny, który rozbudził wciąż żywe wspomnienia Paula. Kate poszła zaproponować pomoc Jelveh, która przedstawiła ją swoim córkom i z dumą oświadczyła, że Soudabeh wychodzi za mąż w drugiej połowie roku. Cztery kobiety zabrały się razem do pracy, korzystając z pomocy trzech zatrudnionych w domu Iranek.

- Została zaręczona ze swoim przyszłym mężem, kiedy miała trzynaście lat - wyjaśniła Jelveh, poklepując po policzku promiennie uśmiechniętą Soudabeh. - Rok temu zaaranżowaliśmy małżeństwo dla Shirin i kiedy Soudabeh wyjdzie już za mąż, w przyszłym roku zorganizujemy drugie wesele...

Oznaczało to, że młodsza kuzynka Paula zostanie mężatką w wieku piętnastu lat, co w Iranie nie było niczym niezwykłym. Paul mówił też Kate, że w rodzinach tradycyjnie nastawionych do życia małżeństwa często aranżowane są przez rodziców. Obie dziewczyny świetnie mówiły po angielsku i chichotały, rozmawiając o swoich przyszłych mężach. Kiedy posiłek był już prawie gotowy, Jelveh zaproponowała, że zaprowadzi Kate do jej pokoju. Mężczyźni wyszli na dwór, żeby porozmawiać i powspominać dawne czasy. Wszyscy byli zachwyceni, że Paul przyjechał do domu, a Kate na razie nie widziała tu nic, co różniłoby się od serdecznych rodzinnych scen w Stanach.

Shirin i Soudabeh razem z matką zaprowadziły ją do po-

koju na pierwszym piętrze, sąsiadującego z ich sypialniami. Było to ciasne pomieszczenie z wąskim łóżkiem, szafką na ubrania i umieszczonym wysoko malutkim okienkiem, przez które *do środka wpadary* promienie słońca. Idąc korytarzem, Kate zorientowała się, że pokoje dziewcząt były bardzo podobne. Shirin rzuciła mimochodem, że chłopcy mają większe sypialnie na drugim piętrze, a Soudabeh powiedziała, że pokój rodziców znajduje się w przeciwległej części domu, natomiast dziadek ma apartament na parterze. Sprowadził się do nich *już* po wyjeździe Paula i jego rodziców, i podobno poważnie chorował. Katie zostawiła torbę obok łóżka, a paszport, kartę kredytową oraz czeki podróżne w plecaku. Riale, na które wymieniła część gotówki, miała w kieszeni, razem z paroma dolarami. Gdy odbierała wizę, uprzedzono ją, że nie musi zabierać do Iranu laptopa, ponieważ w Teheranie na każdym kroku są kafejki internetowe. Do drugiej kieszeni Kate schowała komórkę.

Dziewczęta zaraz zaprosiły ją znowu do kuchni, gdzie pod okiem Jelveh wyłożyły potrawy na półmiski. Trzy służące pomogły zanieść wszystko do jadalni.

Rodzina Paula nie była wyjątkowo bogata, było jednak oczywiste, że żyją bardzo zamożnie. Jelveh miała na sobie skromną czarną suknię i piękny, wysadzany brylantami zegarek, Kate zauważyła też, że Soudabeh i Shirin noszą złote bransolety, a wszyscy mężczyźni duże złote zegarki.

Jeszcze w czasie przygotowywania posiłku Katie po raz pierwszy usłyszała *adhan*, południowe wezwanie na modlitwę, nadawane przez głośniki w całym mieście. Rozległ się przejmujący głos muezina, słyszany pięć razy dziennie, i w jednej chwili wszelki ruch zamarł. W domu zapadła kompletna cisza i cała rodzina wysłuchiwała siedmiu wersetów, stanowiących odpowiedź na modlitwę. Wołanie

muezina całkowicie zahipnotyzowało Kate. Faul uprzedził ją, że usłyszy je o świcie, w południe, wczesnym popołudniem, tuż po zachodzie słońca i dwie godziny później. Muezin przypominał wiernym, aby zatrzymali się i zanieśli modły do Allacha, a kiedy skończył, dom natychmiast znowu ożył.

Przygotowane przez Jelveh dania okazały się cudownie aromatyczne, delikatnie doprawione szafranem, owocami i cynamonem. Podano kurczaka, jagnięcinę i rybę, i kiedy mężczyźni weszli do jadalni, Katie uświadomiła sobie, że jest piekielnie głodna po długiej podróży, chociaż podczas każdego lotu zjadła dwa posiłki. Nie miała pojęcia, która godzina była teraz w Nowym Jorku, ale czuła się tak, jakby znalazła się w innym świecie czy może nawet na innej planecie.

Wszyscy zajęli miejsca przy stole. Kate usiadła między Shirin i Soudabeh i cała rodzina gawędziła z podnieceniem, a trzy usługujące dziewczyny podawały półmiski. Powrót Paula był wielkim świętem dla rodziny.

Mężczyźni z ożywieniem rozmawiali w farsi i często wybuchali śmiechem. Paul zachowywał się tak naturalnie, jakby nigdy nie wyjeżdżał, natomiast jego kuzynki zasypywały Katie pytaniami o modę w Nowym Jorku, tak samo jak robiłyby to dziewczęta w ich wieku w każdym miejscu na świecie. Paul co jakiś czas rzucał pogodny uśmiech Kate, która dopiero teraz w pełni sobie uświadomiła, że dwa tygodnie bez kontaktu fizycznego czy choćby tylko czułego gestu będą jej się bardzo dłużyły. Była to jednak niewielka cena za wspaniałe przeżycie, jakim był przyjazd do Teheranu.

- Wszystko w porządku? - zagadnął ją Paul w pewnej chwili.

- Tak - odparła z uśmiechem.

Chłopak wiedział, że dla niej jest to zupełnie nowe do-

świadczanie i bardzo mu zależało, aby czuć się tu jak w domu. Uznał, że jak dotąd jego stryjostwo i kuzyni spisali się na medal - Kate niewątpliwie była zachwycona jedzeniem, bo kilka razy sięgała po różne aromatyczne potrawy. Chłopcy powiedzieli jej, że następnego dnia zamierzają zabrać ją na uniwersytet i Katie szczerze się ucieszyła; najbardziej chciała zobaczyć właśnie teherańską uczelnię, no i słynny bazar. Kuzyni Paula obiecali, że pokażą jej wszystkie interesujące miejsca w mieście i dziewczyna była im szczerze wdzięczna, że tak się dla niej starają.

Nagle dziadek Paula obrzucił ją nieco zdziwionym spojrzeniem i zadał młodemu człowiekowi jakieś pytanie w farsy. W odpowiedzi Paul zdecydowanie pokręcił głową.

- O co pytał cię dziadek? - zapytała zaciekawiona. Miała uczucie, że staruszek pytał o nią.

- Chciał wiedzieć, czy jesteś moją dziewczyną - odparł cicho Paul. - Powiedziałem, że nie...

Uzgodnili tę wersję przed wyjazdem, więc Kate skinęła głową. Oboje uważali, że krewni Paula nie powinni wiedzieć o jego związku z Amerykanką, bo to by mogło skomplikować sytuację.

Po lunchu Jelveh zaproponowała, żeby dziewczęta poszły na górę odpocząć. Obie usadowiły się na łóżku Kate i podziwiała jej rzeczy, gdy rozpakowywała torbę. Shirin przykładała wszystkie do siebie i bez wątpienia chętnie by je przymierzyła, nie śmiała jednak poprosić, ponieważ Katie szybko i sprawnie poukładała ubrania w szafce.

Katie postanowiła zostawić pieniądze i telefon komórkowy w pokoju, bo uznała, że będzie się głupio czuła, nosząc je z sobą w domu, lecz gdy sięgnęła do kieszeni plecaka, do której chciała je włożyć, odkryła, że jej karta kredytowa, czek podróżny i paszport zniknęły. Kieszeń była

pusta. Ktoś musiał opróżnić ją w czasie lunchu, bo wcześniej sprawdzała jej zawartość tuż przed zejściem na dół. Ogarnęła ją fala przerażenia. Przez głowę przemknęła jej myśl, że to może Paul albo któryś z jego kuzynów pozwolił sobie na mało zabawny żart; miała nadzieję, że tak właśnie było.

Kiedy jednak Paul zjawił się kilka minut później i Kate półgłosem powiedziała mu, co się stało, on również był bardzo zaskoczony. Poszedł do stryja i po powrocie powtórzył dziewczynie to, co usłyszał - w czasie wizyty Kate nie będzie potrzebowała żadnej z tych rzeczy, toteż lepiej i bezpieczniej trzymać je pod kluczem. Krewni Paula nie zamierzali pozwolić jej za cokolwiek płacić, nie musi więc nosić przy sobie karty kredytowej ani czeków, a paszport będzie jej potrzebny dopiero w dniu wyjazdu. Paul nie miał pojęcia, kto przeszukał plecak i nie chciał o to pytać. Jego stryj był głową rodziny i miał nad swoimi bliskimi absolutną władzę. Wyjaśnił to wszystko Kate, ale dziewczyna bynajmniej nie wyglądała na uspokojoną.

Paul zdążył już zajrzeć do swojej sypialni i stwierdził, że oba jego paszporty oraz pieniądze także zniknęły. Kate w myśli serdecznie podziękowała Opatrzności, że podczas lunchu miała przy sobie pieniądze i komórkę.

- Możesz poprosić go, żeby oddał moje rzeczy? - zapytała Paula, gdy szeptem rozmawiali w korytarzu na piętrze. - Czułabym się pewniej, gdybym miała je przy sobie. Naprawdę wołałabym móc w każdej chwili sięgnąć po paszport.

Teraz była zadowolona, że zrobiła kopie wszystkich paszportów i ukryła je na dnie plecaka.

- Ja też - zapewnił ją Paul. - Spróbuję jeszcze raz porozmawiać ze stryjem!

Był to pierwszy zgrzyt w ich wymarzonej podróży. Stryj

Paula bardzo zdecydowanym tonem powtórzył, że w czasie pobytu w Teheranie paszporty nie będą potrzebne ani jemu, ani Kate. Paul nie chciał się spierać, ponieważ okazałoby w ten sposób brak szacunku głowie rodziny. Kiedy powtórzył Kate słowa stryja, dziewczyna wyglądała, jakby chciało jej się płakać.

- Denerwuje mnie ta jego nad opiekuńczość - powiedziała, żałując, że nie może chociaż na parę sekund przytulić się do ukochanego.

Potrzebowała emocjonalnego wsparcia. Utrata paszportu bardzo ją przestraszyła. Nie mogła pozbyć się wrażenia, że nagle stała się zupełnie bezbronna. Przypomniała sobie, że po przyjeździe nie wysłała jeszcze SMS-a do Armie i zaczęła się zastanawiać, czy komórka nie odmówi posłuszeństwa. Postanowiła spróbować i wysłała króciutką wiadomość: „Bezpiecznie dotarliśmy na miejsce, ucałowania”. Zaraz potem wyłączyła komórkę, żeby nie rozładowywać baterii, gdyż ładowarka zniknęła z jej plecaka razem z dokumentami.

Była pewna, że stryj Paula miał dobre intencje, ale mimo wszystko czuła się nieswojo. Wsunęła telefon do skarpetki i ukryła go pod materacem, gdzie chyba był bezpieczny. Był to jedyny środek jej komunikacji ze światem zewnętrznym. Zdecydowanie jej się nie podobało, że nagle została pozbawiona paszportu, czeków podróжных i karty kredytowej, które były namacalnymi symbolami jej wolności i niezależności.

Potraktowano ją jak dziecko, nie jak osobę dorosłą i to dotkliwie zraniło jej ambicję. Paul także nie był zadowolony. Stryj powiedział mu, że tutaj liczy się tylko jego irański paszport, ponieważ amerykański i tak jest bezużyteczny, ale on chciał mieć dokumenty w zasięgu ręki, a Kate przecież miała tylko jeden paszport. Tak czy inaczej, nic nie mogli na to poradzić. Stryj Paula był głową rodziny

i to on podejmował decyzje za nich wszystkich, także za Kate, dopóki przebywała pod jego dachem.

Po południu Paul z kuzynami wybrali się na wycieczkę po starych, znajomych miejscach. Kobiety zostały w domu, Shirin i Soudabeh grały w karty z Kate, która wolałaby pojechać z Paulem i chłopcami, i trochę poznać miasto, nie chciała jednak być nieuprzejma wobec tak podekscytowanych jej wizytą dziewcząt.

Chłopcy wrócili trzy godziny później, w świetnych nastrojach. Paul widział swoją starą szkołę i odwiedził jednego z przyjaciół z dzieciństwa. Z wielkim zaskoczeniem odkrył, że jego dawny kolega jest narzeczonym Soudabeh i ma poślubić ją jeszcze tego lata. Wydawało mu się trochę dziwne, że jego rówieśnik wkrótce będzie żonaty, wiedział jednak, że w Iranie ludzie wcześniej zakładają rodziny. Paul bardzo kochał Katie, ale nie czuł się jeszcze gotowy na taki krok. Na razie cieszył się powrotem do Teheranu, spotkaniami z rodziną i przyjaciółmi, widokiem znajomych miejsc oraz dźwiękami i zapachami, za którymi tak tęsknił.

Wieczorem znowu wyszedł z kuzynami. Tym razem do małej grupki dołączył stryj i we czterech wyruszyli na spotkanie z przyjaciółmi i znajomymi. Żegnając się, Paul rzucił Kate przepraszające spojrzenie. Jego stryj życzył sobie, aby została w domu z Jelveh i dziewczętami. Mężczyźni wychodzili sami, bez kobiet, taki był tutaj zwyczaj.

Kate, Shirin i Soudabeh usadowiły się na łóżku Kate i znowu rozmawiały o modzie i gwiazdach filmu. Kuzynki Paula nie znały wszystkich sławnych aktorów i były zafascynowane tym, co im opowiadała. Katie wiedziała, że Annie odetchnęłyby z ulgą, gdyby zobaczyła tę zżyłą, kochającą się rodzinę, która otoczyła ją serdeczną opieką. Nie miała Paulowi za złe tego wypadu w męskim gronie i chcia-

la, żeby nacieszył się towarzystwem krewnych po długiej nieobecności w kraju.

Dziewczęta śmiały się i chichotały, aż w końcu Soudabeh spytała, czy Kate ma chłopca i kiedy otrzymała twierdzącą odpowiedź, poderwała dłoń do ust, nie kryjąc podniecenia. Kate roześmiała się głośno, ubawiona całą sytuacją - jej chłopak był ich kuzynem, ale przecież nie mogła im o tym powiedzieć. Fakt, że nie była muzułmanką, w każdym razie jeszcze nie, skłaniał ją do dalszego ukrywania ich związku.

Poszły spać na długo przed powrotem chłopców i Kate przed snem zastanawiała się, co oni robią. Postanowiła nie denerwować się, lecz w miarę upływu czasu jej nastrój powoli się pogarszał.

Zobaczyła Paula dopiero przy śniadaniu. Bardzo się niepokoił, czy nie było jej przykro i jeszcze raz przeprosił, że wieczorem zostawił ją w domu.

- Dobrze spałaś? - spytał.

Żałował, że nie może jej objąć, ale oczywiście taki gest był absolutnie wykluczony.

- Dobrze. - Uśmiechnęła się do niego. - O której wróciłeś?

- Koło drugiej - odparł.

Po chwili do jadalni zeszli jego kuzyni i wszyscy razem zaczęli planować wycieczkę na uniwersytet. Kate mieli towarzyszyć trzej chłopcy i Soudabeh. Zjedli śniadanie i furgonetką wyruszyli w stronę kampusu. Kate była pod ogromnym wrażeniem wielkości uniwersyteckiego miasteczka. Chłopcy oprowadzali ją po nim cały dzień, kilka razy robiąc krótkie przerwy na pogawędki ze spotkanymi po drodze przyjaciółmi i znajomymi. Przedstawili też Kate kilka młodych studentek, swoich koleżanek.

Uniwersytet w Teheranie był większy niż Uniwersytet

Nowojorski, gdzie Ted studiował na wydziale prawa, i dużo, dużo większy niż Akademia Sztuk Pięknych Pratt, na której Kate i Paul studiowali projektowanie.

Podeksycytowana zwiedzaniem uniwersytetu, Kate próbowała namówić pozostałych na wizytę w muzeum, ale nikt nie chciał z nią pójść. Paul obiecał, że postara się jakoś to zorganizować, a Kate zaczęła już myśleć o wymarzonej wyprawie na bazar.

Tuż przed pójściem spać włączyła na chwilę komórkę i znalazła wiadomość od Annie: „Uważaj na siebie, Kocham Cię”. Bateria była naładowana, co bardzo cieszyło Kate, ponieważ ani Soudabeh ani Shirin nie miały telefonów komórkowych. Podobno ich ojciec nie znosił tych urządzeń, obie jednak miały iPody, których bezustannie słuchały.

Następnego dnia przy śniadaniu obie dziewczyny rozmawiały o swoich planowanych ceremoniach ślubnych. Obie były bardzo podeksycytowane tą perspektywą, a Shirin wcale nie przeszkadzało, że wychodzi za

mężczyznę o pięć lat starszego od niej, wręcz przeciwnie, uważała, że jej narzeczony jest bardzo przystojny. Obie pragnęły też jak najszybciej urodzić dzieci. Kate zdążyła się już zorientować, że w tej kulturze wszyscy zawierali małżeństwa i zakładali rodziny w naprawdę młodym wieku. Jelveh wyjaśniła jej, że ona sama wyszła za mąż jako czternastolatka i rok później urodziła starszego syna, a jej mąż był od niej znacznie starszy. Kate zdała sobie sprawę, że trzy lub cztery lata młodsza od Annie Jelveh ma dwudziestotrzyletniego syna, co wydawało jej się zupełnie nieprawdopodobne. Gdy opowiedziała stryjence Paula, że po śmierci rodziców ją i dwoje jej rodzeństwa wychowała ciotka, Jelveh nie kryła zdumienia, że Annie nie wyszła za mąż i nie ma własnych dzieci.

- Jakie to smutne... - ze współczuciem pokiwała głową.

Kate pomyślała, że może Jelveh ma rację, ale Annie nigdy nie sprawiała wrażenia nieszczęśliwej. No i przecież miała ich troje.

Zgodnie z obietnicą, Paul zorganizował tego dnia wycieczkę do Muzeum Sztuki Współczesnej. Posiadało ono jedną z najwspanialszych kolekcji sztuki nowożytnej i współczesnej, jaką Kate miała okazję oglądać, i ku jej wielkiej radości po obejściu wszystkich sal ekspozycyjnych wyszli jeszcze do ogrodu rzeźby i spędzili tam parę następnych godzin. Tym razem kuzynki Paula pojechały z nimi.

Pod koniec tygodnia Kate, Paul i inni wybrali się na bazar, gdzie dziewczyna kupiła piękny srebrny naszyjnik dla Annie. Widoki, odgłosy i aromaty bazaru zupełnie oszołomiły Katie. Uliczki ze straganami, sprzedającymi dosłownie wszystko, ciągnęły się całymi kilometrami. Wszędzie tłoczyli się kupujący i handlarze, negocjacje toczyły się na każdym kroku. Bazar był dużo większy niż Kate sobie wyobrażała i wyprawa dostarczyła jej znakomitej rozrywki.

Pierwszy tydzień w Teheranie był cudowny, lecz pod koniec Paul i Katie zgodzili się, że zaczynają tęsknić za Nowym Jorkiem i swoją codziennością. Ich czas w Teheranie był tak wypełniony, że wydawało im się, iż przebywają tu dłużej niż parę dni. Kate przede wszystkim brakowało Annie. Dobrze czuła się wśród krewnych Paula, ale świadomość odległości, dzielącej ją od własnej rodziny, coraz bardziej jej dokuczała.

Tego dnia postanowiła wysłać Annie e-maila. Nie chciała zużywać baterii w komórce, poprosiła więc jednego z kuzynów Paula, aby po szkole zabrał ją do najbliższej kafejki internetowej, na co ten się zgodził. Katie opisała, co do tej pory robili, co szczególnie ją zainteresowało, zapewniła, że

czuje się świetnie i dodała, że bardzo tęskni za ciotką. Wysłała też krótkie wiadomości do Teda i Lizzie, i dopiero wtedy naprawdę boleśnie zateęskniła za domem. Teheran był niezwykłym, fascynującym miastem, lecz nagle zdała sobie sprawę, że nie może się już doczekać powrotu do Nowego Jorku. Wróciła z kafejki trochę smutna. Paul rozumiał ją i szczerze jej współczuł; podziwiał ją za to, że do tej pory tak twardo się trzymała. Mieli za sobą pełen najrozmaitszych zajęć i atrakcji tydzień, ale Paul czasami nie mógł oprzeć się wrażeniu, że jego krewni subtelnie próbują go przekonać, żeby na stałe wrócił do Teheranu, ponieważ tu jest jego miejsce. Chłopak się cieszył, że może spędzić trochę czasu z dawno niewidzianą rodziną, ale również miał świadomość, że Teheran nie jest już jego domem i tęsknił za rodzicami, przyjaciółmi i kolegami oraz życiem w Nowym Jorku. Dziadek przy każdej okazji przypominał mu, że jest Irańczykiem, nie Amerykaninem, a stryj i kuzyni powtarzali tę myśl jak echo. Nadal czuł się w Teheranie jak u siebie, lecz był już gotowy wracać do Nowego Jorku. Tydzień z krewnymi sprawił mu mnóstwo radości, ale powoli przyznawał w duchu, że dwa to trochę za długo. Kate była już zmęczona udawaniem, że są tylko przyjaciółmi. Brakowało jej gestów czułości ze strony Paula i pocałunków, a poznawanie nowej kultury i arabskich zwyczajów czasami trochę ją męczyło. Wbrew ostrzeżeniom Annie, na razie żadne z nich nie żałowało decyzji o wspólnej wyprawie do Iranu. Mieli tylko nadzieję, że przed wyjazdem uda im się jeszcze pojechać do Persepolis. Paul pokazał Kate wszystko, co sobie zaplanował i co ona chciała zobaczyć.

W dzień drugiej wyprawy na bazar po bransoletę dla Liz i pasek dla Teda Kate przy kolacji źle się poczuła.

Zbladła, zaczęła skarżyć się na zawroty głowy i w jednej chwili oblała się potem. Jelveh z zaniepokojeniem położyła rękę na jej czole i powiedziała, że ma gorączkę. Dwie minuty później zażenowana Kate zerwała się od stołu, pobiegła na górę i gwałtownie zwymiotowała. Kiedy Paul zajrzał do niej po kolacji, wyglądała fatalnie. Pomógł jej się położyć i zszedł na dół powiedzieć ciotce, że jego zdaniem Kate powinien obejrzeć lekarz. Jelveh poszła do pokoju Kate i zobaczyła, że dziewczyna dygocze i jest rozpalona jak piec. Kate ze łzami powtarzała, że bardzo boli ją żołądek i że na bazarze nic nie piła ani nie jadła. Jelveh przyznała, że wygląda to na paskudną grype, którą wszyscy przechodzili zimą. Dziewczyna była tak wystraszona i rozbita, że zdenerwowany Paul schylił się, aby pocałować ją w czoło w chwili, gdy Jelveh wróciła do pokoju z termometrem.

Kobieta popatrzyła na Paula z nieskrywaną dezaprobatą.

- Nie możesz się tak zachowywać i dobrze o tym wiesz, Paul! Gdybyś pocałował Kate w miejscu publicznym, ściągnęłoby to na was oboje poważne kłopoty, tym większe, że Kate nie jest muzułmanką! Twojemu dziadkowi pękłoby chyba serce - zmierzyła ich oboje badawczym wzrokiem. - Czy ona jest twoją dziewczyną? - spytała szeptem, żeby nikt nie usłyszał.

Kate patrzyła na Paula szeroko otwartymi oczami. Zawahał się chwilę, ale w końcu kiwnął głową. Nie chciał okłamywać ciotki i ufał jej dyskrecji. Wiedział, że Jelveh darzy Kate szczerą sympatią, na pewno nie popierała jednak związku muzułmanina i chrześcijanki.

- Tak - potwierdził krótko.

- Twoi rodzice o tym wiedzą?

Gdy Paul znowu przytaknął, na twarzy Jelveh pojawił się wyraz ogromnego zaskoczenia.

- Rodzice bardzo lubią Kate, chociaż martwią się, co bę-

dzie dalej - powiedział chłopak. - Ale na szczęście mieszkamy w Nowym Jorku, nie w Teheranie! Jelveh długo milczała.

- To niczego nie zmienia - rzekła cicho. - Nadal jesteś muzułmaninem, nawet w Nowym Jorku, a Kate jest chrześcijanką. Wydaje mi się, że za długo przebywałeś z dala od ojczyzny! Najwyższy czas, żebyś wrócił i przypomniał sobie, kim naprawdę jesteś!

- Nie mogę tu wrócić - odparł Paul. - Moje życie jest w Nowym Jorku, rodzice także...

- Twoi rodzice popełnili błąd, wywożąc cię stąd, kiedy byłeś dzieckiem! Następne słowa ciotki dosłownie zaparły Paulowi dech w piersi.

- Chcemy, żebyś zamieszkał tu z nami - oświadczyła. - Możesz przecież studiować na tutejszym uniwersytecie, razem z kuzynami.

Paul nie miał cienia wątpliwości, że Jelveh bardzo zależy na jego szczęściu, nie chciał jednak zostać w Iranie. Kate w milczeniu przysłuchiwała się ich rozmowie.

- Nie mogę tego zrobić! - W głosie młodego człowieka zabrzmiał ton przerażenia. - Rodzice bardzo by się zdenerwowali, gdybym nie wrócił, zresztą ja także nie chcę zostać tu na stałe! Cieszę się, że do was przyjechałem, ale to już nie jest mój dom!

- Teheran zawsze będzie twoim domem - odrzekła ciotka zdecydowanie. W tej samej chwili Kate zerwała się z łóżka i pobiegła do łazienki, gdzie znowu zwymiotowała.

- Wezwę lekarza - powiedziała spokojnie Jelveh. - A o tamtej sprawie porozmawiamy później!

Jej ton jeszcze bardziej przeraził Paula. Stryj miał oba jego paszporty i Paul wiedział, że nie zdoła wyjechać z Te-

heranu bez przynajmniej jednego z nich, a z rozmowy z Jelveh wywnioskował, że krewni są zdecydowani zatrzymać go w Iranie. Lekarz przyjechał po godzinie, kiedy gorączka Katie wzrosła do czterdziestu stopni i jej stan jeszcze się pogorszył. Zbadał dziewczynę i oświadczył, że to jakiś wirus albo infekcja bakteryjna. Zastanawiał się nawet, czy nie przewieźć jej do szpitala, ale po rozmowie z Jelveh zdecydował, że zostanie w domu.

Katie gorączkowała przez trzy dni. Jelvel ją pielęgnowała, a Faul odwiedzał, kiedy tylko mógł. Był wdzięczny ciotce, że nie powiedziała nikomu, iż Kate jest jego dziewczyną ale z każdym dniem choroby stawało się to coraz bardziej oczywiste, ponieważ dosłownie szalał ze zdenerwowania. Gdy czwartego dnia gorączka wreszcie spadła, Kate, trochę wychudzona, była biała jak prześcieradło i miała głębokie cienie pod oczyma. Nie kontaktowała się z Annie, ponieważ nie chciała jej denerwować, zresztą niedługo i tak wracali do domu. Kiedy poczuła się odrobinę lepiej, Paul powiedział jej, że była bardzo dzielna i z czułością poklepał ją po dłoni, ale nie wykonał żadnego gestu, by ją pocałować, bo Jelveh dobitnie uświadomiła mu, jaki skandal mogłoby to wywołać. Lekarz uznał, że Kate będzie w stanie wyruszyć w drogę powrotną do Nowego Jorku zgodnie z planem i dziewczyna odetchnęła z ulgą. Nie chciała na dłużej utknąć u stryjostwa Paula. Ciągle jeszcze czuła się bardzo słabo, pragnęła wrócić do domu, do Annie i własnego łóżka. Paul potwierdził ich bilety i poszedł do stryja po paszporty. Ten wysłuchał go, skinął głową, otworzył zamkniętą na klucz szufladę biurka i podał Paulowi paszport Katie oraz jej kartę kredytową i czeki podróżne.

- A moje dokumenty? - spytał cicho Paul.

Stryj pokręcił głową.

- Nie będą ci potrzebne. Twoja ciotka i ja chcielibyśmy, żebyś został. Tu jest twoje miejsce i twój rodzinny kraj!

- Nie! - Paul poczuł, jak po plecach przemyka mu zimny dreszcz. - Nie możesz mnie tu zatrzymać, stryju! Wcześniej czy później znajdę sposób, żeby wrócić do Nowego Jorku! Tam jest mój dom, nie tutaj!

- Nie powinieneś wracać do Nowego Jorku. Twoją ojczyzną jest Iran, a rodzinnym miastem Teheran!

- Teraz moją ojczyzną jest także Ameryka! Mieszkam w Nowym Jorku, nie w Teheranie! Kocham Iran, ale życie tutaj to dla mnie historia! Swoją przyszłość wiąże ze Stanami!

- Twój ojciec wiele lat temu popełnił błąd... Uległ pokusie pieniędzy, które mógł zarobić w Stanach, ale w życiu są ważniejsze sprawy, na przykład rodzina i tradycja! Masz teraz szansę naprawić pomyłkę rodziców i zostać tutaj!

- Nie zostanę! - Paul z przestachem popatrzył na stryja. - Poza tym muszę odwiedzić Kate do domu. Jest chora i już najwyższy czas, żebyśmy wrócili.

- Może polecieć sama.

Paul miał wrażenie, że mówi do ściany.

- Chcesz powiedzieć, że nie oddasz mi paszportów? -zapytał z niedowierzaniem.

- Tak - odparł twardo stryj. - Myślę, że powinieneś spędzić tu trochę więcej czasu, ale najpierw odeślij Kate do domu.

- Nie pozwolę jej lecieć samej. Stryj bez słowa wyszedł z pokoju.

Dwie minuty później Paul był już u Kate, wyraźnie przygnębiony.

- Co się stało? - spytała. - Wyglądasz, jakby ktoś ci umarł.

- Bo tak właśnie jest! Nie mam żadnego ze swoich paszportów, mój stryj nie chce mi ich oddać.

- Mówisz poważnie? - Katie nie ukrywała przerażenia. Skinął głową i podał dziewczynie jej paszport, kartę i чеки.

- Chcą, żebym tu został.

- Na jak długo?

- Mam wrażenie, że na zawsze. Ich zdaniem, jestem Irańczykiem i moje miejsce jest tutaj.

Była to jedyna rzecz, która naprawdę niepokoiła matkę Paula przed jego wyjazdem - możliwość, że ktoś spróbuje zatrzymać go w Iranie. Jak się okazało, miała całkowitą rację.

- Będziesz musiała polecieć sama - ciągnął. - Nie chcę, żebyś tu została! Jesteś chora, powinnaś jak najszybciej wrócić do domu.

- Nie zostawię cię. - Katie była poważnie przestraszona. - Może poprosimy o pomoc ambasadę Szwajcarii?

- Nic nie będą mogli zrobić. Tu jestem uważany za obywatela Iranu.

- Twój stryj nie może ci tego zrobić! - Rozplakała się.

- Może. Jest głową rodziny i mówi, że mój wyjazd zabije dziadka.

Tymczasem ja wiem, że to moi rodzice umrą jeżeli do nich nie wrócę! Stryj uważa, że oni także powinni znowu tu zamieszkać.

- Nie wyjadę bez ciebie! - Kate mocno przycisnęła paszport do piersi.

- Twoja ciotka oszaleje, zresztą za dwa tygodnie kończy ci się wiza. Chcę, żebyś wróciła do Nowego Jorku.

Dziewczyna nadal wyglądała na poważnie chorą. Wirusowa infekcja, którą złapała, bardzo ją osłabiła.

- Nie wyjadę bez ciebie - powtórzyła ze łzami.

- Nie mamy wyboru. - Objął ją.

Miał nadzieję, że nikt tego nie zobaczy i tym razem rzeczywiście im się udało.

- Wyślę wiadomość do mojej ciotki! - W oczach Kate zabłysła iskierka buntu.

- Przecież ona też nic nie poradzi.

Stryj uznał, że chłopak ma zostać w Iranie, a to on ustalał zasady i podejmował decyzje w rodzinie.

- Nie znasz Annie! - Kate sięgnęła pod materac i wyjęła komórkę.

Gdy ją włączyła, z ulgą spostrzegła, że bateria się nie rozładowała.

Natychmiast wysłała zwięzłą wiadomość do Annie: „Złapałam paskudną gripę. Stryj Paula nie chce oddać jego paszportów. Swój mam. Nie wyjadę bez niego. Jestem jeszcze chora. Paul utknął. Co zrobić? Pomożesz nam? Kocham cię, K.". Wyłączyła komórkę i znowu ją ukryła. Paul przyglądał się jej poczynaniom ze smutnym uśmiechem. Czuł, że nigdy nie wróci do Nowego Jorku i było mu rozpaczliwie żal rodziców. Teraz żałował, że przyjechał z Kate do Teheranu. Został schwytyany w potrzask, a Kate, kiedy ważność jej wizeny za dwa tygodnie wygaśnie, i tak będzie musiała wyjechać. Annie i jego matka miały rację, wyprawa do Iranu była wielkim błędem.

ROZDZIAŁ 21

Tom i Annie spędzili wspaniały weekend. W piątek wieczorem zjedli kolację w Da Silvano, w sobotę wybrali się na zakupy potem Tom naprawił w mieszkaniu Annie kilka drobnych rzeczy razem przygotowali kolację i kochali się w blasku świec, a w niedzielę po południu, przeczytawszy od deski do deski „The New York Times”, poszli do kina. Na wczesny niedzielny lunch umówili się w hotelu Mercer z Tedem, aby uczcić jego świeżo odzyskaną wolność. Chłopak oddał zaległe prace, wypisał się z zajęć u Pattie i zupełnie się nie przejmował, że być może nie dostanie zaliczenia; zależało mu tylko na tym, żeby nigdy więcej jej nie zobaczyć. Kiedy niósł informację o rezygnacji z zajęć do gabinetu doradcy do spraw programu studiów, Pattie zauważyła go w holu, ale nie odezwała się do niego ani słowem. Wiedziała, że wyłożyła wszystkie karty na stół i przegrała. Ted czuł się jak nowo narodzony i postanowił, że wynajmie kawalerkę. Miał już trochę dosyć współloka-torów. Teraz chciał skupić uwagę wyłącznie na studiach. Był wolny i znowu oddychał pełną piersią.

W czasie lunchu powiedział Annie, że przez cały weekend próbuje skontaktować się z Lizzie.

- Liz jest w Londynie - odparła tajemniczo.

- Co tam robi?

- Pojechała spotkać się z przyjacielem.

Liz i Alessandro uzgodnili, że w ten weekend spotkają się w Londynie i Annie szczerze zachęcała siostrzenicę do wyjazdu.

- Miałaś jakieś wiadomości od Kate? - spytał Ted.

- E-maila. Wszystko wskazuje na to, że bardzo miło spędza tam czas. Chyba niepotrzebnie tak się martwiłam.

- Ja też dostałem od niej e-maila, ale był bardzo krótki: „Cześć, pa, Kocham cię!”. Kiedy wraca?

- Za parę dni.

Annie była bardzo szczęśliwa, że sprawy dzieci zaczęły się jakoś układać. Whitney miała słuszość - przyszedł czas, aby pozwoliła młodym stanąć na własnych nogach. Ted wyplątał się z koszmarnej sytuacji z Patrie, Liz pozbyła się Jean-Louisa, a Kate świetnie radziła sobie w Iranie. Wszystko wreszcie było w porządku.

- Nadal uważam, że nie powinna była tam jechać - zrzędził Ted, wiecznie niezadowolony starszy brat.

- Może jednak podjęła dobrą decyzję. - Annie się uśmiechnęła. - To przecież wspaniała przygoda i wygląda na to, że naprawdę bardzo udana. No i po powrocie do domu będzie miała poczucie, że potrafi o siebie zadbać, co nie jest bez znaczenia.

- Paul to fajny chłopak, ale Kate nie zna go na tyle, żeby decydować się na tak daleką podróż. Jego kultura ma korzenie w zupełnie innym świecie! Annie nie zaprzeczyła, cieszyła się jednak, że Kate dobrze się bawi. Po spotkaniu z Tedem poszła z Tomem do kina i wyłączyła komórkę. Przytulali się do siebie, jedli

popcorn i z wielką przyjemnością obejrżeli film. Dopiero w czasie przygotowywania kolacji Annie przypomniała sobie, że musi włączyć telefon. Aparat natychmiast ożył i poinformował ją, że dostała wiadomość tekstową od Katie. Kiedy ją przeczytała, serce podeszło jej do gardła i bez słowa podała telefon Tomowi.

- Co mam zrobić? - spytała z przerażeniem.

Choroba Kate była wystarczającym powodem do zdenerwowania, ale dziewczyna na dodatek odmawiała opuszczenia Teheranu bez Paula, który nie mógł się nigdzie ruszyć bez paszportu.

- Nie wygląda to zbyt dobrze. - Tom zmarszczył brwi. -Zadzwoń do rodziców Paula i dowiedz się, co oni myślą. Znają tamtejsze warunki i swoją rodzinę znacznie lepiej niż my. Może stryj Paula tylko blefuje, żeby skłonić go do pozostania w Teheranie.

Annie natychmiast poszła za jego radą. Matka Paula była w domu i gdy Annie przeczytała jej wiadomość od Katie, bardzo się zdenerwowała. Ponieważ jej męża nie było, mogła niczego nie ukrywać przed Annie.

- Rodzina od lat powtarza, że powinniśmy wrócić do Iranu! Uważają, że miejsce Paula jest tam, nie w Stanach. Mój szwagier to bardzo uparty człowiek, może trzymać tam Paula w nieskończoność! - Zaczęła płakać. - Właśnie dlatego nie chciałam, żeby jechał. Krewni męża nie zrobią mu krzywdy. Kochają go i sądzą, że podjęli taką decyzję dla jego dobra, starają się naprawić nasz „błąd”. Bardzo mi przykro, że Katie tam się rozchorowała! Moja szwagierka jest bardzo dobrą osobą na pewno wezwała lekarza i dba o nią najlepiej jak może.

- Kate nie chce wracać bez Paula - powiedziała Annie. Sytuacja była bardzo trudna. Matka Paula obiecała, że natychmiast zadzwoni do rodziny w Teheranie i postara

się dowiedzieć czegoś więcej. Annie odłożyła słuchawkę i odwróciła się do Toma.

- Co mam zrobić, żeby polecieć do Teheranu? - zapytała.

Nie miała pojęcia, od czego zacząć, wiedziała jednak, że Tom pomoże.

- Musisz mieć wizę, której załatwienie trwa co najmniej dwa tygodnie. -

Tom zamyślił się na chwilę i pocałował ją.

Było mu jej szczerze żal, wyglądała na chorą ze zmartwienia.

- Zobaczą, co uda mi się załatwić - powiedział. - Mam przyjaciół w

Departamencie Stanu, może ktoś z nich zdoła nam jakoś pomóc.

Następne trzy godziny spędził przy telefonie. W końcu dwie osoby

obiecały zająć się sprawą. Po wizę należało zgłosić się do ambasady

Pakistanu, tak jak zrobiła to Katie, lecz Tom wyjaśnił swoim znajomym,

na czym polega problem - młoda Amerykanka rozchorowała się w

Teheranie, a towarzyszący jej w podróży Irańczyk został bez paszportu i

w rezultacie nie mógł wyjechać. Nie była to sytuacja stwarzająca

zagrożenie dla życia, ale niewątpliwie bardzo nieprzyjemna i kłopotliwa

dla Katie i Paula. Tom powiedział, że ciotka dziewczyny musi jechać po

chorą, która nie jest w stanie podróżować sama i wymaga pomocy

medycznej w Stanach. Nie wiedział, czy to prawda, ale miał nadzieję, że

podał wystarczający powód do natychmiastowego wystawienia wizy.

Wy tłumaczył też, że towarzyszem Kate jest jej pochodzący z Iranu

chłopak, który ma amerykańskie obywatelstwo i rodziców w Nowym

Jorku, również obywateli amerykańskich. Młodzi wybrali się do

Teheranu w odwiedziny do rodziny chłopca, Kate zachorowała, a teraz

jego krewni nie pozwalają mu wrócić do Ameryki.

Tom zdawał sobie sprawę, że Kate nie poprosiłaby Annie o pomoc, gdyby nie znalazła się w beznadziejnej sytuacji, ponieważ była bardzo niezależna. Niepokoiło go też, że nie wiedzą, co właściwie dolega dziewczynie.

Do rana nie mogli zrobić nic więcej. Annie wieczorem wysłała Kate wiadomość: „Trzymajcie się, staramy się coś zrobić. Przylecę jak najszybciej się da, ucałowania, A.". Próbowała dodzwonić się do domu stryja Paula, ale nikt nie podnosił słuchawki, co jeszcze bardziej ją zdenerwowało.

Kiedy telefon zadzwonił o siódmej rano, o mało nie wyskoczyła ze skóry. Jeden ze znajomych Toma skontaktował się z ambasadorem Pakistanu w Waszyngtonie i poprosił o osobistą przysługę dla znanego dziennikarza. Tom nie powiedział nic Annie, ale poprzedniego dnia postanowił wystąpić o dwie wizy nie jedną. Chciał pojechać razem z nią. Znał Iran i panujące tam zwyczaje, i wiedział, że będzie znacznie lepiej, jeśli w podróży będzie jej towarzyszył mężczyzna.

Ambasador zgodził się wystawić dwie wizy o dziewiątej rano. Musieli tylko odebrać je w konsulacie Pakistanu w Nowym Jorku, a potem Annie mogła lecieć pierwszym dostępnym samolotem do Londynu. Ambasador powiedział działającemu jako pośrednik znajomemu Toma, że mogą liczyć na wszelką pomoc, ponieważ cała sytuacja nie miała nic wspólnego z polityką i była dość poruszająca -młoda Amerykanka unieruchomiona w Teheranie z powodu choroby i jeden z najślawniejszych amerykańskich dziennikarzy błagający o interwencję w jej imieniu. Nikt nie mógł i nie chciał zignorować takiej prośby, także dlatego, że zrobiłoby to wyjątkowo złe wrażenie na arenie dyplomatycznej.

Kiedy Tom powiedział, że leci razem z nią Annie ogarnęły wielkie wyrzuty sumienia.

- Nie możesz tak po prostu rzucić wszystkiego i wyjechać! -
zaprotestowała. - Poradzę sobie sama, wierz mi!

Starła się być dzielna. Nie chciała wykorzystywać Toma ani nawet jego znajomości, wystarczyła jej ogromna i niezwykle skuteczna pomoc w uzyskaniu wizy.

- Zachowujmy się jak rozsądni ludzie - powiedział zdecydowanym tonem. - Przez dwa lata byłem szefem redakcji w tamtej części świata i trochę znam kraje arabskie. Nie możesz jechać sama. Zaraz zadzwonię do pracy, a ty dzwoń do linii lotniczych! Wizy odbierzemy w drodze na lotnisko i w południe będziemy już lecieć do Londynu, oczywiście, jeżeli uda nam się trafić na odpowiedni lot!

Z pomocą Toma wszystko wydawało się bardzo proste. Annie miała nadzieję, że szybko dotrą do Teheranu. Nadal nie wiedziała, jaki naprawdę jest stan Katie.

Tom zatelefonował do swojej stacji telewizyjnej i poprosił o czterodniowy urlop, natomiast Annie zarezerwowała dwa miejsca w samolocie wylatującym do Londynu o trzynastej. Potem zadzwoniła jeszcze do swojego biura i do Teda, aby przekazać mu, co się stało. Chłopak bardzo zdenerwował się chorobą Katie i podobnie jak Annie miał nadzieję, że siostra ma się już lepiej. Zaraz po rozmowie Annie z Tedem zatelefonowała matka Paula. Od swojej szwagierki dowiedziała się, że Katie miała wysoką gorączkę i ostrą biegunkę, ale zaczyna już wracać do zdrowia. Jelveh powiedziała też, że zamierzają zatrzymać Paula u siebie, ponieważ powinien mieszkać w Iranie, nie w Stanach, i że w ten sposób próbują naprawić błędy rodziców chłopca, co kompletnie wyprowadziło matkę Paula z równowagi. Ze łzami potwierdziła, że brat jej męża zdecydowanie odmawia oddania chłopcu paszportów.

Annie spakowała niewielką torbę, w ostatniej chwili wrzuciła do niej kilka szalów, które mogły służyć jako na-

krycie głowy i w godzinę później byli już w drodze do pakistańskiego konsulatu. Ojciec Paula przez komórkę podał Tomowi adres i numery telefonów swojego brata oraz numery obu paszportów Paula. Annie i Tom mieli teraz wszystko, co mogło im być potrzebne. Jedyne, co im pozostało, to dotrzeć na miejsce i zorientować się, jak naprawdę wygląda sytuacja. Oboje byli pewni, że Kate nie skontaktowałaby się z Annie, gdyby mogła poradzić sobie sama.

Lot do Londynu był denerwująco długi, a następny, do Teheranu, jeszcze dłuższy i bardziej męczący. Annie i Tom martwili się o młodych i starali się odgadnąć, co dzieje się w Teheranie. Obojgu przyszło już na myśl, że może krewni Paula dowiedzieli się, że Kate jest dla chłopca kimś więcej, niż tylko koleżanką ze studiów. Annie nie mogła się doczekać lądowania, bo podczas lotu musiała mieć wyłączone komórkę, ale już na londyńskim Heathrow nie znalazła żadnej nowej wiadomości od Katie. Wysłała jej krótki tekst: „Jesteśmy w drodze. Kocham cię, A.”, ale dziewczyna nie odpowiedziała.

Na lotnisku Chomeiniego w Teheranie złożyli odciski palców i bez trudu przeszli przez kontrolę celną i paszportową. Tom zarezerwował dwa pokoje w hotelu, ponieważ nie mógł wykluczyć, że ich pobyt w Iranie potrwa parę dni, i na wszelki wypadek dodatkowy pokój dla Katie. Zastanawiał się, czy nie pójść na policję, nie chciał jednak pogarszać sprawy i dobrze wiedział, że stryj Paula miał prawo zatrzymać jego paszport. Prosto z lotniska pojechali taksówką pod podany przez ojca chłopca adres. Bardzo niepokoił ich, co zastaną na miejscu i jak zareaguje na ich pojawienie się rodzina Paula. Nie ulegało wątpliwości, że coś jest nie w porządku, skoro Paul nie mógł opuścić Teheranu. Annie nadal nie dostała żadnej wiadomości od Katie i nie potrafiła ukryć lęku, że może dziewczyna zno-

wu poczuła się gorzej. Mogła przecież złapać jakiegoś naprawdę niebezpiecznego wirusa, na przykład zapalenia opon mózgowych... Łzy napływały Annie do oczu za każdym razem, gdy o tym myślała.

Kiedy Katie znowu włączyła komórkę, telefon już nie działał. Nie wiedziała, że Annie jest w drodze do Teheranu i leżąc w łóżku, gorączkowo zastanawiała się nad sytuacją swoją i Paula.

Jelveh nadal zajmowała się nią wyjątkowo troskliwie i serdecznie.

Przynosiła słabą herbatę, lekkie posiłki, głównie z ryżem oraz zioła, które powinny pomóc chorej wrócić do zdrowia i Kate naprawdę czuła się lepiej, wciąż nie miała jednak pomysłu, jak wydostać Paula z Teheranu. A on regularnie zaglądał do niej, wiedział więc, że dziewczyna nie ma nowych wiadomości od ciotki, ponieważ bateria w telefonie zupełnie się rozładowała.

Odпочyając w swoim pokoju, Kate usłyszała nawoływanie muezina do modlitwy, przedostatnie tego dnia, zaraz po zachodzie słońca.

Przyzwyczała się już do tego dźwięku i czasami odmierzała nim nawet czas. Paul sprawiał wrażenie coraz bardziej przygnębionego. Zdawał sobie sprawę, że jest w pułapce i nie wierzył, że uda mu się wyjechać z Teheranu.

Po prawie dwugodzinnej jeździe taksówką Tom i Annie dotarli na miejsce. Wiele razy stali w korkach i Annie powoli traciła cierpliwość. Siedziała obok Toma z głową osłoniętą szalem; zakryła nim włosy tuż przed lądowaniem w Teheranie, kiedy jedna ze stewardes delikatnie jej o tym przypomniała. Mogła tylko modlić się, aby Kate czuła się lepiej. Miała nadzieję, że dziewczyna nie odvodniła

się zbytnio w rezultacie gorączki i biegunki i wciąż bardzo się o nią bała. Taksówka zatrzymała się w końcu przed dużym, ładnym domem. Annie była tak spięta, że w ogóle nie chciało jej się spać, chociaż przez całą podróż nawet na moment nie zmrużyła oka. Gdy wysiadali, Tom przyciszonym głosem powiedział, aby starała się zachować spokój i cierpliwość, i unikała wszelkich oskarżeń pod adresem krewnych Paula. Wolał postępować ostrożnie, w każdym razie dopóki nie mieli całkowitej jasności, co się dzieje.

Tom zadzwonił do drzwi i kiedy po chwili w progu stanęła służąca, zapytał o stryja Paula wyraźnie i dobitnie, głosem emanującym pewnością siebie i siłą. Dziewczyna cofnęła się do holu i do przybyłych wyszła zaraz miło i łagodnie uśmiechnięta Jelveh.

- Jestem Annie Ferguson, ciotka Katie - przedstawiła się Annie. - Przyjechałam po moją siostrzenicę.

Patrzyła Jelveh prosto w oczy, lecz na jej twarzy nie dostrzegła choćby cienia wrogości.

- Przysłała mi wiadomość, że jest chora - dodała Annie trochę łagodniejszym tonem i odwróciła się do Toma. - A to jest Tom Jefferson, amerykański dziennikarz. Chciałabym zobaczyć się z Paulem i Kate. Pragnęła zobaczyć ich już, natychmiast, ale Jelveh wcale się nie śpieszyła. Minęły już prawie dwie doby od chwili, kiedy Annie odebrała wiadomość od Kate i na myśl o tym, że jej siostrzenica leży tu gdzieś rozgorączkowana i chora, może na coś tak poważnego jak zapalenie opon mózgowych, robiło jej się zimno z przerażenia.

- Oczywiście! - Jelveh się uśmiechnęła. - Kate opowiadała mi o pani... Poprosiła ich, aby zaczekali i po chwili do drzwi pod-

szedł jej mąż. Popatrzył na dwoje Amerykanów, skinął głową i zaprosił ich do środka. Zaprowadził Annie i Toma do dużego pokoju na parterze i zapytał, czy mają ochotę czegoś się napić. Był uprzedzająco grzeczny, gościnnie i bardzo podobny do ojca Paula, lecz Annie miała ochotę krzyknąć, tupnąć ze złości i domagać się, żeby natychmiast zaprowadził ją do dwojga młodych. Z najwyższym trudem opanowała irytację, pamiętając o ostrzeżeniach Toma. Była na obcym terenie i musiała zastosować się do zasad ustalonych przez stryja Paula.

- Pański brat zapewnił mnie, że mi pan pomoże - powiedziała, kiedy już oboje uprzejmie podziękowali za proponowany poczęstunek. - Wiem, że moja siostrzenica zachorowała i nie wątpię, że byliście dla niej bardzo dobrzy, ale słyszałam też, że zatrzymał pan paszporty Paula, jego rodzice są tym poważnie zaniepokojeni. Spodziewam się, że pozwoli pan Kate i swojemu bratankowi wrócić ze mną do Stanów.

Miała nadzieję, że zdoła od razu przekonać mężczyznę i uniknąć walki.

- Paul i Katie są tutaj - odparł spokojnie. - Pani siostrzenica czuje się coraz lepiej. Złapała paskudną infekcję wirusową lecz wraca już do zdrowia.

Moja żona opiekowała się nią przez cały czas choroby i naturalnie zaraz ją pani oddamy. Jej paszport zatrzymaliśmy wyłącznie ze względu na bezpieczeństwo, żeby nie zgubiła go gdzieś na mieście.

Annie nie skomentowała jego słów, choć mocno powątpiewała, czy mówił prawdę.

- Wyjazd mojego bratanka to zupełnie odrębna sprawa. Tu jest jego dom, tu powinien zostać. Jego miejsce jest w Teheranie, nie w Nowym Jorku. Mój brat postąpił źle i niemądrze, kiedy przed laty opuścił Iran, lecz jego syn

powinien mieszkać tutaj, z rodziną. Tu czeka go lepsze życie, dlatego chcemy, żeby u nas został!

Annie i Tom przerazili się, chociaż starali się tego nie okazać. Widzieli, że stryj Paula mówi szczerze i mocno wierzy, że postępuje słusznie. Nie próbował zatrzymać chłopca ze złej woli, nie dostrzegął jednak, że robi mu krzywdę, zwłaszcza że Paul miał własne życie i rodziców w Nowym Jorku. Nie chcieli się z nim spierać. Annie pragnęła teraz przede wszystkim zobaczyć się z Kate.

- Gdzie jest Katie? - spytała opanowanym głosem.

- W swojej sypialni na piętrze...

Mężczyzna był wyraźnie zdenerwowany obecnością Toma. Wyczuwał, że ma do czynienia z kimś ważnym, może nawet niebezpiecznym i nie mylił się. Tom obserwował go uważnie i jeszcze się nie odezwał.

- Czy ona żyje? - Annie rzuciła panu domu pełne przerażenia spojrzenie. Nagle przez głowę przebiegła jej myśl, że może Katie umarła, kiedy ona była w samolocie. Najbardziej obawiała się zapalenia opon mózgowych, które szybko zabijało młodych ludzi. Strach przyćmił jej zdrowy rozsądek i kompletnie rozstroił nerwy. Wszyscy powtarzali, że Kate lepiej się czuje, ale czy była to prawda?

- Oczywiście! - natychmiast zapewnił ją gospodarz.

- Chcę się z nią zobaczyć. - Annie ledwo powstrzymała łzy zmęczenia i ulgi.

Tom postanowił włączyć się do rozmowy. Miał przeczucie, że krewni Paula odkryli, że jego i Kate łączy uczucie i chcą zakończyć ich romans, zatrzymując go w Iranie.

- Czy Paul i Kate popełnili jakieś przestępstwo? - zapytał twardo.

- Na pewno nie publicznie, ale jednak... - Stryj Paula lekko zmarszczył brwi.

Jelveh powiedziała mu, że młodzi nie są tylko przyjaciółmi, kiedy sama odkryła prawdę. Nie miała żadnych sekretów przed mężem.

- Są sobie bliżsi, niż utrzymywali - ciągnął mężczyzna. - A kiedy muzułmanin zwiąże się z kobietą innej wiary, może grozić mu bardzo surowa kara.

Annie zrobiło się słabo ze strachu. Mocno ścisnęła dłoń Toma, szukając u niego wsparcia i pomocy.

- Z tego powodu Paul postąpił niewłaściwie, przyjeżdżając tu z Katie i udając, że są tylko zaprzyjaźnieni, ale cóż, oboje są młodzi i nierozważni. Tak czy inaczej, związek między nimi byłby wysoce ryzykowny i nierozsądny. Także i dlatego Paul powinien u nas zostać. Gdy Kate wyjedzie, wszystko dobrze się zakończy. Oddałem jej paszport, kartę kredytową i czeki podróżne, może wyjechać, kiedy zechce. Na pewno bardzo ucieszy ją pani przyjazd.

Annie i Tom odetchnęli z ulgą. Stryj Paula nie miał powodu zatrzymać Katie i wcale nie chciał tego robić. Nie była zakładniczką, lecz gościem i od początku tak ją tu traktowano.

- Natomiast mój bratanek powinien zostać w ojczyźnie. Nie wróci z Kate do Nowego Jorku.

Tom poczuł, jak ogarnia go gniew.

- Wyrządzi pan straszną krzywdę swojemu bratu i jego żonie - rzekł surowo. - Paul jest ich jedynym dzieckiem, złamie im pan serce.

- Może to skłoni ich do powrotu - odparł spokojnie gospodarz.

Miał szczerą nadzieję, że tak będzie.

- To nierealistyczne mrzonki i dobrze pan o tym wie! Ułożyli sobie życie w Ameryce, mają tam firmę i dom, nie byłoby im łatwo zacząć wszystkiego od początku.

Mężczyzna niechętnie kiwnął głową.

- Ja ze swej strony jestem gotowy zaapelować do opinii publicznej i wszelkich instancji, jeżeli natychmiast nie uwolni pan Paula i nie odda mu obu paszportów! Jego rodzice życzą sobie, żeby wrócił do Nowego Jorku i prosili mnie, bym tego dopilnował!

Tom blefował, lecz mogli już liczyć tylko na jego siłę przekonywania. Stryj Paula miał w swoim mniemaniu pełne prawo odmówić wydania im chłopca.

- Nie jestem wcale pewny, czy Paul chce wyjechać! Jest bardzo związany z rodzinnym krajem i z nami, ze swoimi kuzynami i dziadkiem!

Paul niewątpliwie był jeszcze mocniej przywiązany do rodziców, ale Tom nie chciał teraz o tym dyskutować. Gospodarz wstał.

- Zaprowadzę was teraz do Kate - powiedział serdecznie, zupełnie jakby Annie i Tom byli jego honorowymi gośćmi.

Chwilę później byli już na górze. Gospodarz lekko zapukał do drzwi i otworzył je. Katie siedziała na łóżku, Paul na krześle obok. Rozmawiali cicho, wyraźnie zatroskani i szeroko otworzyli oczy ze zdumienia na widok Toma i Annie. Kate prosiła ciotkę o pomoc, ale nie spodziewała się jej przyjazdu; teraz wydała radosny okrzyk i skoczyła prosto w ramiona Annie. Paul uśmiechnął się z wdzięcznością do Toma, który nie spuszczał lodowatego spojrzenia z twarzy jego stryja.

- Poproszę o paszporty Paula - odezwał się Tom. - Natychmiast! Nie może pan trzymać go tutaj wbrew jego woli. Jestem dziennikarzem i zamierzam załatwić tę sprawę do końca.

Po bardzo długiej chwili milczenia stryj chłopca odwrócił się i wyszedł z pokoju. Pięć minut później wrócił z paszportami w rękę. Pragnął, żeby Paul został, nie chciał jednak

wywoływać prasowego skandalu, który mógłby poważnie zaszkodzić opinii jego kraju za granicą. Jego miłość i szacunek do Iranu zwyciężyły nad chęcią zatrzymania bratanka. Przegrał bitwę o Paula. Bez słowa, przygnębiony i pokonany podał Tomowi dokumenty chłopca.

- Dziękuję - odparł cicho Tom, biorąc paszporty i chowając je do kieszeni marynarki.

Młodzi ludzie patrzyli na niego z wyraźnym podziwem.

Tom polecił im, aby natychmiast się spakowali. Nie chciał dać stryjowi Paula czasu na zmianę decyzji. Annie została, żeby pomóc Katie, a Paul poszedł po rzeczy do swojego pokoju.

Dziesięć minut później Kate i Paul byli już z bagażami na dole.

Dziewczyna była bardzo blada i osłabiona. Jelveh zeszła do holu i oboje z mężem z wielkim smutkiem patrzyli na Paula. Dziadek chłopca wyszedł, więc Paul nie mógł się z nim pożegnać. Jego kuzyni byli w szkole, a obie kuzynki ojciec odesłał do ich pokoi, zabraniając im się pokazywać.

Annie podziękowała gospodarzom za opiekę nad Kate, która także pożegnała się z nimi bardzo serdecznie. Jelveh płakała cicho. Wiedziała, że najprawdopodobniej nigdy nie zobaczy już Paula i w ostatniej chwili mocno go uściskała. Jej mąż odwrócił się ze łzami w oczach, nie chcąc patrzeć, jak bratanek opuszcza dom. A oni wyszli na zewnątrz i wsiedli do taksówki.

Tom ze wzruszeniem ujrzał, że Paul także płacze. Chłopiec myślał o dziadku, którego miał już więcej nie zobaczyć, i kiedy odjeżdżali, z żalem patrzył na dom stryja, sam w duchu rozdarty pomiędzy dwie kultury i dwa kraje. Kochał Teheran i swoją rodzinę, i w głębi duszy może nawet rozważał możliwość pozostania tu na zawsze, wie-

dział jednak, że taki krok zabiłby jego rodziców. Kate także widziała cierpienie, malujące się na twarzy ukochanego. Paul kochał oba swoje światy i ludzi, którzy w nich żyli, i niezależnie, które życie by wybrał, zdradzał najbliższych.

Płakał przez całą drogę do hotelu. Wszyscy milczeli. Nieskrywany ból chłopca był dla nich trudny do zniesienia. Mało brakowało, by Tom zaczął się zastanawiać, czy na pewno dobrze postąpił, zmuszając stryja Paula do oddania jego paszportów. Może Paul rzeczywiście chciał zostać w Iranie... Jednak po przybyciu do hotelu chłopak z przejęciem podziękował Tomowi za pomoc. Kate naprawdę musiała jak najszybciej wrócić do Nowego Jorku, bo wprawdzie czuła się lepiej, ale nadal nie była zdrowa i bardzo mizernie wyglądała. Paul cierpiał na myśl o wyjeździe z Teheranu, lecz chciał wrócić do rodziców i świetnie rozumiał, co Tom dla niego zrobił.

Recepcja hotelowa zarezerwowała dla nich bilety na samolot do Londynu odlatujący za trzy godziny. Żadne z nich nie chciało przedłużać pobytu w Teheranie. Ponieważ torby Toma i Annie przyjechały z lotniska do hotelu, teraz ledwo wystarczyło im czasu, by je odebrać i znowu wrócić na lotnisko. Wszystko razem poszło łatwiej niż przypuszczali, ponieważ stryj Paula zachował się rozsądnie. Annie wciąż miała przed oczami zrozpaczoną twarz mężczyzny, który z pewnością serdecznie kochał chłopca, nie ulegało jednak wątpliwości, że rozpacz rodziców Paula byłaby znacznie większa.

Zatelefonowali do nich z lotniska, chcąc jak najprędzej przekazać dobrą wiadomość. Rodzice Paula odetchnęli z ulgą. Powiedzieli, że nigdy nie zdołają odwdziżyć się Tomowi za jego pomoc, świadomi, że Paul nie poradziłby

sobie sam ze stryjem, osobą, która siłą rzeczy musiała budzić wielki szacunek, a może nawet lęk w sercu tak młodego człowieka. Tom wpadł na szczęśliwy pomysł, apelując do miłości i lojalności starszego mężczyzny wobec Iranu.

Katie i Paul nie odzywali się do siebie podczas lotu do Londynu. Oboje sprawiali wrażenie głęboko poruszonych i zamyślonych, a kiedy samolot startował, Paul z ogromnym smutkiem patrzył na miasto, które tyle znaczyło w jego najlepszych wspomnieniach. Po pewnym czasie młodzi bez słowa zasnęli. Annie otuliła ich kocami, wróciła na swoje miejsce, pocałowała Toma i jeszcze raz mu podziękowała. Dla nich wszystkich była to dziwna, pod wieloma względami wyczerpująca podróż.

Krótkie oczekiwanie na lotnisku w Londynie spędzili w kawiarni, ledwo żywi ze zmęczenia. Katie nadal wyglądała bardzo marnie, a silne przeżycia pozbawiły całą czwórkę energii. W czasie lotu do Nowego Jorku obejrzelili dwa filmy i zjedli kolację. Katie i Paul chwilę cicho rozmawiali. Kate nigdy wcześniej nie zdawała sobie sprawy, że jej chłopak jest rozdarty między dwiema ojczyznami, dwiema kulturami i stylami życia. Tuż przed wyjazdem z hotelu zastanawiała się nawet, czy Paul nie zostawi ich i nie wróci do stryja. Najwyraźniej czuł się Irańczykiem w o wiele większym stopniu niż sądziła.

Rodzice Paula czekali na lotnisku, a jego matka rozplakała się na widok syna i długą chwilę trzymała go w objęciach, zanim odwróciła się, by podziękować Tomowi i Annie. Dwoje młodych patrzyło na siebie ze smutkiem. Tego dnia przekroczyli granicę dorosłego życia i w pełni uświadomili sobie, jak bardzo różnią się kultury, w których są zakorzenieni. Katie była Amerykanką, natomiast Paul tkwił w dwóch światach. Sytuacja, w jakiej się znaleźli, zaskoczyła i przeraziła oboje, jej rozwiązanie okazało się po-

nad ich sity. Byli wdzięczni Tomowi i Annie, że nie zawahali się po nich przyjechać, a teraz najważniejszy był dla nich powrót do domu. Przed opuszczeniem lotniska Katie lekko musnęła wargami policzek Paula. Żadne z nich nie wiedziało, czy jest to symbol początku, czy pożegnania. Gdy pomachali sobie przed budynkiem, Annie miała wrażenie, że wyraźnie słyszy dźwięk pękających serc.

ROZDZIAŁ 22

Do mieszkania Annie dotarli w stanie kompletnego wyczerpania. Ted czekał już na nich i w jego oczach pojawiły się łzy ulgi, kiedy chwycił siostrę w objęcia. Kilka minut później Annie położyła ją do łóżka. Katie zasnęła, zanim Annie wyszła z pokoju. Był to długi, męczący dzień, szczególnie dla wciąż jeszcze chorej dziewczyny.

Podczas gdy Annie i Ted cicho rozmawiali w kuchni i rozglądali się za czymś do jedzenia, Tom wyciągnął się na kanapie. Nie był głodny i ponieważ ze zmęczenia nie chciało mu się myśleć, włączył telewizor. Oglądał właśnie wiadomości w swojej stacji, kiedy program przerwano, aby poinformować widzów o terrorystycznym ataku w Belgii. W budynku NATO w Brukseli eksplodowała bomba, zabijając pięćdziesiąt sześć osób.

- O, cholera jasna! - zaklął Tom. Natychmiast zadzwonił do pracy.
- Gdzie jesteś? - spytał producent jego programu. Próbowali zlokalizować go od wielu godzin.
- W Nowym Jorku, wróciłem dwie godziny temu - odparł Tom zmęczonym głosem. - Rano byłem w Teheranie.
- Przykro mi, Tom... Jesteś nam potrzebny!

- Sam wpadłem na ten pomysł, kiedy obejrzałem wiadomości. - Tom usiadł i potarł czoło.

- Zdasz na lot do Paryża o północy? Jeżeli tak, wynajmiemy śmigłowiec, który przewiezie cię z lotniska Char-lesa de Gaulle'a do Brukseli...

- Jasne...

Nie miał pretensji do losu. Takie było jego życie, na tym polegała jego praca. Poszedł do kuchni i długą chwilę stał w progu, przyglądając się Annie.

- Muszę lecieć - powiedział z bladym uśmiechem.

- Nie chcesz zostać na noc? - zdziwiła się, przekonana, że mówi o powrocie do swojego mieszkania.

- Bardzo, ale muszę wracać do pracy! O północy mam samolot do Paryża. W Brukseli doszło do zamachu terrorystycznego.

- Lecisz teraz?

Annie z trudem trzymała się na nogach i nie mogła pojąć, jak Tom może wybierać się dokądkolwiek po całym dniu spędzonym w podróży.

- Nie możesz wziąć wolnego dnia?

- Nie, nie teraz, kiedy wydarzyło się coś tak ważnego. Prześpię się w samolocie.

Poszła z Tomem do sypialni i podała mu pustą walizkę, do której błyskawicznie wrzucił parę koszul, trzy garnitury, dzinsy i kilka swetrów. Nie potrafił określić, jak długo tam zostanie.

- Przepraszam, że już zostawiam cię samą... Uśmiechnęła się.

- Zrobiłeś dla nas tak dużo, że za nic nie musisz mnie przeproszać. -

Wyraz jej oczu wyraźnie mówił, co do niego czuła.

Pocałował ją.

- Moja była żona nienawidziła mojej pracy. Za każdym

razem, gdy próbuję coś zaplanować czy zrobić, muszę pędzić do samolotu, który wywozi mnie na drugi koniec świata. Mówiła, że nigdy nie ma mnie na miejscu, kiedy w domu dzieje się coś ważnego.

- Ale ty byłeś na miejscu, kiedy w moim domu wydarzyło się coś ważnego! - Annie objęła go mocno. - Poleciałeś ze mną do Teheranu po dwoje dzieci. Bez ciebie z całą pewnością nie wydostałabym stamtąd Paula, bo jego stryj najzwyczajniej w świecie nawet by mnie nie wysłuchał! To chyba coś znaczy, prawda?

Uśmiechnął się do niej z wdzięcznością. W jego małżeństwie to on zawsze był wszystkiemu winien. Przy Annie czuł się jak bohater i rzeczywiście był dla niej bohaterem.

Skończył się pakować, wziął prysznic i przebrał się. Annie zrobiła mu kanapkę. Przytulił ją i pocałował, i właśnie w tej chwili do pokoju zajrzeli Katie i Ted.

- Dokąd się wybierasz? - zapytał Ted, unosząc brwi na widok leżącej na łóżku walizki.

- Do Brukseli, przygotować reportaż. Niegodziwi nie zaznają spokojnego snu.

Ted popatrzył na niego ze zdumieniem.

- Naprawdę nie wiem, skąd bierzesz siły na to wszystko!

- Z czasem można przyzwyczać się do takiego życia. Tom wiedział jednak, że ostatnie dwa dni miały niewiele

wspólnego z normalnym życiem, nawet dla niego. Nie był pewny, czy Katie i Paul zostaną razem po tak trudnych doświadczeniach, chociaż starał się nie okazywać tej troski. Sam także dosłownie padał na twarz - w ciągu czterdziestu ośmiu godzin odbył cztery długie loty.

- Zadzwoń! - powiedział do Annie.

Pocałował ją jeszcze raz, wziął walizkę i razem wyszli z pokoju. W progu spojrzął na nią z rozbawieniem i nagle parsknął śmiechem.

- Tamto złamanie ręki podczas gry w squasha było najszcześniejszym zdarzeniem mojego życia, wiesz?

- Podobnie jak moje zwichnięcie kostki! - Uśmiechnęła się w odpowiedzi.

- Uważaj na siebie, będę cię śledziła w telewizji.

Tom zasalutował na pożegnanie i już go nie było. Annie wróciła do pokoju i uśmiechnęła się do Teda, szczęśliwego, że siostra wróciła do domu cała i mniej więcej zdrowa. A wszystko to dzięki Tomowi, nikt nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Tom był niezwykłym, godnym najwyższego podziwu człowiekiem.

Godzinę później w mieszkaniu Annie panowała już kompletna cisza.

Wszyscy byli w swoich pokojach i zasypiali. Annie zerknęła na zegarek i pomyślała, że Tom właśnie odlatuje do Paryża. Dobrze było wiedzieć, że niedługo wróci do domu. Nie potrafiła już wyobrazić sobie życia bez niego, a przecież jeszcze niedawno zastanawiała się, czy ich związek ma sens. Teraz Tom był jednym z nich, członkiem rodziny, i chociaż dzieci ani na chwilę nie stały się dla niej mniej ważne, Annie czuła, że stoi na progu całkiem nowego życia.

Następnego dnia Katie obudziła się w znacznie lepszej formie. Wyprawa do Teheranu wydawała jej się odległa i nierzeczywista jak sen.

Zadzwoiła do Paula, który z wyraźnym smutkiem mówił o rozstaniu z rodziną w Teheranie, chociaż oczywiście był też szczęśliwy, że wrócił do rodziców i Nowego Jorku. Myśl, że mógłby zostać w Iranie wbrew swojej woli, wciąż budziła w nim lęk. Obiecał, że po południu wpadnie do Katie, lecz dziewczyna słyszała w jego głosie ton dziwnego zamyślenia i wyciszenia.

Kiedy przyszedł, oboje nie czuli się do końca swobodnie. Wspólna podróż była ekscytująca, ale zagrażające Pau-

lowi niebezpieczeństwo głęboko nimi wstrząsnęło. Kate nie potrafiła pozbyć się narastającego wrażenia, że skoczyła na zbyt głęboką wodę i nie jest jeszcze gotowa na ten związek. Wcześniej rozmawiali o małżeństwie tak, jakby wszystko było łatwe i nieskomplikowane, teraz zdawała sobie sprawę, że pochodzą z dramatycznie różnych środowisk, a Paul jest rozdarty między dwie rodziny i dwa światy, stary i nowy. Potrzebowali czasu, by odzyskać równowagę po odkryciach, jakich dokonali w czasie wyprawy. Kate zrozumiała, że żadne z nich nie jest jeszcze w pełni dorosłe. Postanowili zwolnić tempo i porządnie odpocząć. Było za wcześnie na podejmowanie decyzji na resztę życia. Oboje nie wyrosli jeszcze z dzieciństwa i zaangażowali się w zbyt intensywny związek. Chcieli teraz spędzać więcej czasu z rodzinami i przyjaciółmi, w swoich odrębnych światach. Kiedy Paul pocałował Kate na pożegnanie, a ona ze smutkiem zamknęła za nim drzwi, obydwójce nie mieli wątpliwości, że muszą odnaleźć się w nowej rzeczywistości. Życie okazało się dużo bardziej skomplikowane niż sądzili i byli wdzięczni losowi, że bezpiecznie wrocili do domu i mogą znowu być dziećmi. Przestało im się śpieszyć do dorosłości. Marzenie o połączeniu dwóch tak odmiennych światów było dużo trudniejsze do zrealizowania niż myśleli. Zbyt szybko próbowali stać się poważnymi ludźmi i nie dali sobie z tym rady.

Dwa dni później Liz wróciła z Londynu i nie mogła uwierzyć, że w czasie jej nieobecności tyle wydarzyło się w życiu rodziny. Zjedli razem kołację w domu. Ted mieszkał tu do czasu znalezienia odpowiedniej kawalerki, a Katie tego ranka powiedziała Annie, że w następnym semestrze wraca do szkoły i już złożyła wypowiedzenie w salonie tatuażu. Ten etap życia się dla niej zakończył. Chciała nacie-

szyć się rodziną i wrócić do zdrowia. Annie poszła z nią do lekarza, który potwierdził, że nic jej już nie grozi, choć dziewczyna nadal była osłabiona.

- Jak było w Londynie? - spytała Annie, chociaż wyraz twarzy Liz, młodej kobiety, mówił wszystko.

- Cudownie! Alessandro przyleci do Nowego Jorku w przyszłym miesiącu i chciałabym ci go przedstawić. To dojrzały mężczyzna, a ja tak się cieszę, że wreszcie potrafię być z kimś takim jak on, nie z dzieciakiem... Kocham go, Annie.

Lizzie wiedziała, że uczucie, którym obdarzyła Alessandra, rzeczywiście jest miłością. Nie bała się go kochać, niezależnie od ryzyka.

- Właśnie tego zawsze dla ciebie pragnęłam. - Annie uśmiechnęła się.

Liz wreszcie była kobietą i Annie miała nadzieję, że ta znajomość z czasem przerodzi się w naprawdę poważny związek.

- Czyżbym słyszała dobiegający z oddali dźwięk weselnych dzwonów? - obrzuciła siostrzenicę pogodnym spojrzeniem spod uniesionych brwi.

- Może... Nie śpieszy się nam. Jeżeli wszystko będzie dobrze, niewykluczone, że złożę podanie o *pracę* we włoskiej edycji „Vogue”, ale to plany na bliżej nieokreśloną przyszłość. Na razie pomogę mu pewnie otworzyć salon sprzedaży w Nowym Jorku i zobaczymy, co dalej.

- Świetny pomysł! - ucieszyła się Annie.

Miała uczucie, że w końcu wyprowadziła Liz na właściwą ścieżkę. Zajęło jej to szesnaście lat, ale się udało... Zauważyła też, że Liz trochę przybrała na wadze. Wyglądała na prawdziwie szczęśliwą i chyba przestała już uciekać przed trwałymi zobowiązaniami. Nie bała się, że straci Alessandra, zaryzykowała i pokochała go. Katie doszła do

wniosku, że nie musi bez przerwy ryzykować. Ted znowu cieszył się wolnością. Cała trójka dorosła i Annie również. Mieli za sobą trudne przeżycia, lecz dzięki nim stali się mądrzejsi i dojrzałsi.

- A co z tobą? - zapytała Liz. - Gdzie jest Tom?

- W Brukseli. Musiał lecieć tam dosłownie dwie godziny po powrocie z Teheranu, biedak, ale nie narzekał. Pewnie zdążył już się do tego przyzwyczaić, ostatecznie żyje tak od lat.

Annie wiedziała, że ma teraz wszystko, czego pragnie -dzieci oraz mężczyznę, którego kochała i z którym chciała żyć. Liz, Ted i Kate stali się także częścią życia Toma. Wszyscy zgodnie płynęli w tym samym kierunku.

Wieczorem, tuż po wyjściu Lizzie, Tom zadzwonił z Brukseli. Zrobił reportaż, zgromadził potrzebne materiały. W Belgii budził się właśnie nowy dzień i Tom za kilka minut wyjeżdżał z hotelu na lotnisko.

- Mamy jakieś plany na ten weekend? - spytał.

- Chyba nie... Czemu pytasz?

- Pomyślałem, że może miło byłoby znowu wyskoczyć na dwa, trzy dni na Bahamy. Przydałby mi się krótki odpoczynek.

- Ja też nie miałabym nic przeciwko temu. - Annie przypomniała sobie tamten pierwszy wspaniały wspólny weekend na wyspie Providenciales. Jaką długą drogę przebyli od tamtego czasu.

- Sądzisz, że dzieci jakoś przeżyją kilka dni bez ciebie? -zapytał z nadzieją w głosie.

- Tak. Wszyscy odzyskali równowagę i chwilowo nie grozi im żadne nowe szaleństwo.

Sama również była silna i spokojna. I gotowa na życie z Tomem.

- Teraz twoja kolej! - przypomniał jej łagodnie.

Annie powoli skinęła głową.

- Nasza kolej! - poprawiła go z uśmiechem.

Podarowała dzieciom siostry szesnaście lat, a teraz chciała dzielić życie z Tomem. Zdawała sobie sprawę, że zawsze będzie gotowa śpieszyć im na pomoc, bardzo ich kochała, ale byli już dorośli i stopniowo przejmowali kontrolę nad swoim życiem. Popełnili błędy i naprawili je, wiele się nauczyli i przetrwali. Tom stanął na jej drodze we właściwym momencie, ani za wcześnie, ani za późno.

- Do zobaczenia wieczorem - powiedział, spokojny i szczęśliwy.

Nie mógł się doczekać, kiedy ją zobaczy. Miał do czego wracać, miał ukochaną kobietę, dom i rodzinę. On także wreszcie dojrzał do dorosłego życia.

Stanął w progu parę minut po powrocie Annie z pracy.

- Jak upłynął lot? - zapytała, gdy ją pocałował.

- Był długi i nudny. Tęskniłem za tobą...

- Ja także...

Katie wyszła, a Ted na kilka dni przeniósł się do swojego dawnego mieszkania, żeby spakować rzeczy przed przeprowadzką. Tom i Annie byli sami, otaczała ich cisza i spokój. Gdy Annie dopiła herbatę, Tom poszedł za nią do sypialni. Odwróciła się i zobaczyła uśmiech na jego twarzy.

- Czemu się uśmiechasz? - Usiadła na brzegu łóżka i zrzuciła pantofle.

- Myślę o tym, jaki jestem dzięki tobie szczęśliwy - odparł, siadając obok niej. - Jeszcze niedawno wydawało mi się, że w twoim życiu nie ma dla mnie miejsca, teraz jestem zupełnie spokojny o naszą przyszłość.

Położył się i przyciągnął ją do siebie.

- Tu chcę być - rzekł cicho.

- Dobrze się składa, bo ja również - odszepnęła, oddając mu pocałunek.

Tom wziął ją w ramiona z uczuciem, że wreszcie dotarł do domu. Annie była kobietą, którą kochał i jego miejsce było właśnie przy niej. W jego życiu zaszła ogromna zmiana, a wszystko za sprawą złamanej ręki, zwichniętej nogi oraz wielu trudności, które teraz wydawały się tak mało istotne.

Annie musiała poświęcić pół życia dzieciom siostry, aby natknąć się na niego. Lizzie musiała odrzucić wielu chłopców w rodzaju Jean-Louisa, aby odnaleźć w sobie odwagę i pokochać Alessandra. Ted musiał przejść przez piekło szaleństwa Pattie, aby dowiedzieć się, kim jest i co jest dla niego ważne. A Kate musiała wypowiedzieć posłuszeństwo wszystkim zasadom, aby odkryć, na czym polega prawdziwa wolność.

A Tom? On musiał poślubić niewłaściwą kobietę, aby poznać tę, która była mu przeznaczona. Co z tego, że z początku wydawała się zbyt zajęta i całkowicie skupiona na innych, skoro tak naprawdę czekała na niego całe życie.

Pokonali długą, wyboistą drogę, ale było warto. Każde z nich musiało się czegoś nauczyć, każde miało jakąś życiową lekcję „do przerobienia”. I wszystko było tak, jak być powinno. Annie uśmiechnęła się do Toma. Nawet złamana ręka i zwichnięta kostka były częstkami boskiego porządku, nawet te drobne niedogodności prowadziły ich ku sobie. Nic nie działo się przypadkiem. Nie było im łatwo, ale otrzymali wielką nagrodę. Może w innych okolicznościach nigdy nie dotarliby do celu. Wszyscy wykazali się wielką odwagą. Annie poczuła gorące wargi Toma na swoich ustach i otoczyła jego szyję ramionami. Ich życie zatoczyło idealny krąg.